

Hand Cynthia

Nieziemską

Clara Gardner niedawno się dowiedziała, że w jej żyłach płynie krew anioła. To znaczy nie tylko, że jest zdolniejsza, silniejsza i szybsza od innych, ale że ma cel, że po coś została zesłana na ziemię.

Tylko po co?

Na jawie i w snach zaczynają ją dręczyć wizje: płonący las i piękny chłopiec. Kiedy spotyka Christiana, nieznanego ze swoich snów, wszystko zaczyna się układać – a równocześnie staje się niejasne. Bo jest jeszcze jeden chłopak, Tucker, który porusza mniej anielską stronę jej natury...

Clara usiłuje odkryć swoją drogę w świecie, którego nagle nie rozumie, ale zmierzy się z niewidzialnym niebezpieczeństwem i wyborami, jakich nie przeczuwała – pomiędzy prawdą a kłamstwem, miłością a obowiązkiem, dobrem a złem. Lecz kiedy wreszcie wybuchnie ogień z jej wizji, czy będzie gotowa zmierzyć się ze swoim przeznaczeniem?

*A w owych czasach byli na ziemi giganci [nefilimy];
a także później, gdy synowie Boga zbliżali się do córek człowieczych,
te im rodziły.
Byli to więc owi mocarze mający sławę w owych dawnych czasach.*
(Księga Rodzaju 6,4)

Prolog

Na początku jest chłopak, który stoi wśród drzew. Mniej więcej w moim wieku, już nie dziecko, ale jeszcze nie mężczyzna, ma może siedemnaście lat. Nie jestem pewna, skąd to wiem. Widzę tylko tył jego głowy, wilgotne ciemne włosy kręca mu się na karku. Palące słońce wysysa soki ze wszystkiego, co żyje. Niebo na wschodzie ma dziwną pomarańczową barwę. Czuć gryzący zapach dymu. Przez chwilę przepełnia mnie tak przytłaczający żal, że aż trudno oddychać. Nie wiem dlaczego. Robię krok w stronę chłopaka i otwieram usta, żeby go zawołać, ale nie znam jego imienia. Ziemia chrzęści mi pod stopami. Usłyszał. Zaczyna się odwracać. Jeszcze chwila, a zobaczę jego twarz. I wtedy wizja się rozmywa. Mrugam i już jej nie ma.

1. *Moje zadanie*

Zapierwszym razem, szóstego grudnia dla ścisłości, budzę się o drugiej w nocy, czując mrowienie w głowie; tak jakby maleńkie świetliki tańczyły mi pod powiekami. W powietrzu rozchodzi się zapach dymu. Wstaję i zaczynam wędrować od pokoju do pokoju, żeby się upewnić, że żadna część domu nie stoi w płomieniach. Nic się nie dzieje, wszyscy śpią, jest spokojnie. To zresztą raczej zapach dymu z ogniska, gryzący i leśny. Kolejna dziwna rzecz w moim dalekim od normalności życiu. Próbuję zasnąć, ale nie mogę. Schodzę na dół. Piję wodę przy zlewie w kuchni, kiedy nagle, bez ostrzeżenia, znajduję się w samym środku płonącego lasu. To nie sen. Po prostu fizycznie jestem w lesie. Niedługo, minęło może trzydzieści sekund, i znów stoję w kuchni, w kałuży wody, bo szklanka wypadła mi z rąk.

Natychmiast biegnę obudzić mamę. Siadam w nogach łóżka i staram się oddychać spokojnie, kiedy relacjonuję jej wszystkie szczegóły wizji. Nie ma tego wiele, tak naprawdę tylko ogień i ten chłopak. - Za dużo naraz mogłoby być trudne do zniesienia - mówi. - Dlatego będzie to do ciebie docierało właśnie w ten sposób, po kawałku.

- Ty też tak miałaś? Też dostawałaś swoje zadanie po kawałku?

- Większość tak ma - mówi mama, unikając odpowiedzi na pytanie.

Nie opowie mi o swoim zadaniu. To jeden z zakazanych tematów. Wkurza mnie, bo przecież jesteśmy blisko, zawsze byliśmy blisko, a tymczasem ogromna część jej życia wciąż jest dla mnie zagadką.

- Opowiedz mi o drzewach - prosi. - Jak wyglądały?

- Zdaje się, że to sosny. Miały igły, nie liście.

W zamyśleniu kiwa głową, jakby to była ważna wskazówka. Ja natomiast wcale nie myślę o drzewach. Myślę o chłopaku.

- Szkoda, że nie widziałam jego twarzy.

- Zobaczysz.

- Ciekawe, czy mam go chronić.

Podoba mi się pomysł, że miałabym go uratować. Każdy anielita ma cel w życiu, swoje zadanie, chociaż każdy innego rodzaju - niektórzy są posłańcami, inni świadkami, jedni mają pocieszać, inni po prostu sprawić, żeby coś się wydarzyło. Ale stróż ładnie brzmi. Wyjątkowo anielsko.

- Nie mogę uwierzyć, że jesteś już na tyle duża, żeby mieć własne zadanie - mówi mama, wzdychając.

- Czuję się przez to staro.

- Przecież jesteś stara.

Trudno jej się z tym nie zgodzić, ma w końcu ponad sto lat, nawet jeśli nie wygląda na więcej niż czterdzieści. Ja natomiast czuję się dokładnie tym, kim jestem: całkowicie zieloną (nawet jeśli niezupełnie zwyczajną) szesnastolatką, która rano musi iść do szkoły. W tej chwili wcale nie mam wrażenia, jakby w moich żyłach płynęła

anielska krew. Patrzę na swoją przepiękną, tryskającą energią matkę i wiem, że bez względu na to, jakie było jej zadanie, na pewno poradziła sobie z nim z odwagą, humorem i talentem.

- Myślisz... - odzywam się po minucie. Trudno mi wykrztusić pytanie, bo nie chcę, żeby uznała mnie za kompletnego tchórza. - Myślisz, że to możliwe, żebym zginęła w ogniu?

- Claro.

- Serio.

- Dlaczego pytasz?

- Bo kiedy stoję za nim, czuję straszliwy smutek. I nie wiem dlaczego.

Mama obejmuje mnie i przyciąga do siebie, tak że słyszę mocne, równe uderzenia serca.

- Może jestem smutna, bo mam umrzeć - szepczę. Przytula mnie mocniej.

- To się zdarza bardzo rzadko - mówi cicho.

- Ale się zdarza.

- Rozpracujemy to razem. - Przyciska mnie do siebie jeszcze mocniej i odsuwa mi włosy z twarzy; robiła tak, kiedy w dzieciństwie śniły mi się koszmary. - Teraz powinnaś odpocząć.

Nigdy w życiu nie czułam się mniej śpiąca, ale wyciągam się na łóżku mamy i pozwalam, żeby przykryła nas kołdrą. Obejmuje mnie. Jest ciepła, nawet w środku nocy grzeje tak, jakby stała w promieniach słońca. Wdycham jej zapach: woda różana i wanilia, perfumy starszej pani. Zawsze sprawia, że czuję się bezpiecznie.

Kiedy zamykam oczy, wciąż widzę chłopaka ze swojej wizji. Stoi i czeka. Na mnie. I to wydaje się ważniejsze

niż smutek czy perspektywa straszliwej śmierci w płomieniach. Czeka na mnie.

Budzi mnie odgłos deszczu i miękkie szare światło przesączające się przez żaluzje. Mama stoi przy kuchence. Już ubrana i gotowa do pracy, jak co dzień, zsuwa jajecznicę z patelni do miski, kasztanowe włosy wciąż ma wilgotne po prysznicu. Nuci coś pod nosem. Sprawia wrażenie szczęśliwej.

- Cześć - mówię.

Odwraca się, odkłada łypatkę i podchodzi, żeby mnie przytulić. Uśmiecha się tak jak wtedy, kiedy w trzeciej klasie wygrałam okręgowy konkurs ortograficzny - z dumą, ale jakby nie spodziewała się po mnie niczego innego.

- Jak się dziś miewasz? Wszystko w porządku?

- Tak, pewnie.

- Co się dzieje? - odzywa się mój brat Jeffrey, stając w drzwiach.

Odwracamy się do niego. Opiera się o framugę, rozczochrany i zrzędlawy jak zwykle. Trudno go nazwać rannym ptaszkiem. Patrzy na nas. Przez twarz przemyka mu cień lęku, jakby przygotowywał się na jakieś straszliwe wieści, na przykład że ktoś umarł.

- Twoja siostra dostała zadanie. - Mama uśmiecha się znowu, ale tym razem już nie tak entuzjastycznie. Tylko ostrożnie.

Jeffrey mierzy mnie wzrokiem, jakby szukał na moim ciele jakiegoś znaku boskości.

- Miałaś wizję?

- Tak. Płonący las. - Zamykam oczy i znowu widzę porośnięte sosnami zbocze, pomarańczowe niebo i kłębiący się dym. - I chłopak.

- Skąd wiesz, że to nie był po prostu sen?

- Bo nie spałam.

- A co to ma znaczyć? - pyta.

Wszelkie informacje związane z anielskością to dla niego wciąż nowość. Jest w wieku, kiedy wszystko, co nadnaturalne, wydaje się podniecające, odjazdowe. Zazdroszczę mu.

- Nie mam pojęcia - mówię. - Właśnie tego muszę się dowiedzieć.

Dwa dni później wizja wraca. Biegnę wokół sali gimnastycznej w Liceum Mountain View i nagle dopada mnie. Ot tak. Świat, który znam - Kalifornia, Mountain View, wuef - w jednej chwili znika, a ja jestem w lesie. Właściwie mogę wyczuć smak ognia. Tym razem widzę płomienie wspinające się na grzbiet wzgórza. I omal nie wpadam na czirliderkę.

- Uważaj, kretyńko! - syczy.

Na uginających się nogach odsuwam się, żeby ją przepuścić. Oddychając ciężko, opieram się o trybuny, żeby jeszcze raz przywołać wizję. Ale to jak przywoływanie snu, kiedy człowiek już całkowicie się rozbudził. Przepadło.

Kurczę. Nikt nigdy nie nazwał mnie wcześniej kre-tynką. Niedobrze.

- Nie zatrzymuj się! - krzyczy pani Schwartz, nauczycielka wuefu. - Potrzebuję najlepszego czasu w biegu na półtora kilometra. Twojego też, Claro.

W poprzednim życiu pani Schwartz musiała być kapralem.

- Jeśli będziesz miała czas gorszy niż dziesięć minut, będziesz musiała przebiec ten dystans jeszcze raz w przyszłym tygodniu! - wrzeszczy.

Zaczynam biec. Próbuję się skoncentrować i następny zakręt biorę ostro, żeby nadrobić stracone sekundy. Tylko że znów wracam myślami do wizji. Drzewa. Kamienie i igły pod stopami. Chłopak, który stoi tyłem i patrzy na nadciągający ogień. I moje serce, które nagle zaczyna bić szybciej.

- Ostatnie okrążenie, Claro - mówi pani Schwartz. Przyspieszam.

Skąd się tam wziął, zastanawiam się, nie zamykając oczu. Wciąż go widzę, jakby ktoś wypalił mi na siatkówce jego obraz. Czy kiedy mnie zobaczy, będzie zaskoczony? Pytania galopują mi po głowie, ale wciąż wraca jedno: kim jest chłopak?

I w tym momencie mijam pędem panią Schwartz.

- Świetnie, Claro! - krzyczy. A po chwili: - To niemożliwe.

Zwalniam i zataczam koło, żeby sprawdzić, jaki mam czas.

- Udało mi się zejść poniżej dziesięciu minut?

- Stoper pokazuje pięć minut czterdzieści osiem sekund. - Pani Schwartz sprawia wrażenie naprawdę zaszokowanej. Patrzy na mnie, jakby też miała wizję: widzi mnie w szkolnej drużynie.

Ups. Miałam nie zwracać na siebie uwagi. Jeśli mama się dowie, będę miała przerażane. Wzruszam ramionami.

- Pewnie coś nie tak ze stoperem - tłumaczę, starając się sprawiać wrażenie wyluzowanej. Mam nadzieję, że to kupi, nawet gdyby to znaczyło, że będę musiała znowu pobiec ten durny dystans w przyszłym tygodniu.

- Pewnie tak - potakuje nieprzytomnie. - Musiałam go źle ustawić.

Tego wieczoru, kiedy mama wraca do domu, siedzę na kanapie i oglądam powtórkę *Kocham Lucy*.

- Aż tak źle?

- Trzymam Lucy w odwodzie, kiedy nie mogę znaleźć *Dotyku anioła* - mój głos ocieka sarkazmem.

Wyciąga pudełko lodów z papierowej torby. Jakby czytała mi w myślach.

- Jesteś boginią - mówię.

- Niezupełnie.

Pokazuje mi książkę *Drzewa Ameryki Południowej. Obszary występowania*.

- Może moje drzewo wcale nie rośnie w Ameryce Południowej?

- Od czegoś trzeba zacząć.

Zabieramy książkę do kuchni, siadamy przy stole i szukamy sosny z mojej wizji. Dla kogoś z zewnątrz wyglądamy jak matka i córka pochylone nad pracą domową, a nie jak para niebiańskich istot rozpracowujących misję powierzoną im przez niebo.

- To ta. - Wskazuję na obrazek. Zadowolona bujam się na krześle. - Sosna wydmowa.

- Skręcone żółtawe igły zebrane po dwie - czyta z książki mama. - Brązowe, jajowate szyszki.

- Nie przyglądałam się szyszkom, mamó. Po prostu ma odpowiedni kształt, gałęzie układają się wokół pnia w taki sposób, jak trzeba, i najzwyczajniej w świecie pasuje - mówię znad lodów.

- W porządku. - Znów zagląda do książki. - Wygląda na to, że sosna wydmowa występuje wyłącznie w Górach Skalistych oraz na północno-zachodnim wybrzeżu Stanów Zjednoczonych i Kanady. Indianie wykorzystywali jej drewno do budowy wigwamów. Stąd

nazwa *lodgepole**. I - kontynuuje - tutaj jest napisane, że szyszki otwierają się i uwolniają nasiona w wyjątkowo wysokiej temperaturze, na przykład takiej, jaka jest podczas pożaru.

- To takie pouczające - żartuję, ale myśl o sośnie, która rośnie tylko na wypalanej ziemi, przyprawia mnie o dreszcz podniecenia. Nawet gatunek drzewa ma sens.

- Dobrze. Czyli wiemy mniej więcej, gdzie to się stanie - stwierdza mama. - Teraz musimy po prostu zawęzić obszar.

- A potem co? - Przyglądam się rysunkowi sosny i nagle wyobrażam sobie jej gałęzie w płomieniach.

- A potem się przeprowadzimy.

- Przeprowadzimy? Wyjedziemy z Kalifornii?

- Tak - mówi najzupełniej serio.

- Ale... - zacinam się. - Co ze szkołą? Co z moimi przyjaciółmi? Z twoją pracą?

- Pójdiesz do nowej szkoły, jak sądzę, i poznasz nowych przyjaciół. A ja znajdę nową pracę albo wymyślę sposób, żeby to, co robię, robić w domu.

- A co z Jeffreyem?

Śmieje się i poklepuje mnie po ręce, jakby to było głupie pytanie.

- Jeffrey pojedzie z nami.

- Jasne. Będzie zachwycony - parskam, myśląc o armii przyjaciół brata, niekończących się rozgrywkach bejsbolowych, zawodach zapaśniczych, treningach piłkarskich i całej reszcie. Mamy przecież swoje życie, Jeffrey i ja. Po raz pierwszy dociera do mnie, że znalazłam

*** Sosna wydmowa to po angielsku *lodgepole pine*. Ang. *lodgepole* oznacza również „wigwam” (przyp. tłum.).**

się o krok od czegoś znacznie poważniejszego, niż sądziłam. Moje zadanie wszystko zmieni.

Mama zamyka książkę i z powagą patrzy mi w oczy.

- To naprawdę ważne, Claro - mówi. - Ta wizja, twoje zadanie... dlatego tu jesteśmy.

- Wiem. Po prostu nie sądziłam, że będziemy się musiały przeprowadzać.

Wyglądam przez okno i patrzę na podwórko, gdzie dorastałam, na huśtawkę, której mama wciąż jeszcze nie rozebrała, na rząd różanych krzewów przy ogrodzeniu, rosnących tu, odkąd sięgam pamięcią. Za płotem ledwo widać zamglone szczyty odległych wzgórz, które zawsze wyznaczały granicę mojego świata. Słyszę stukot kolejki mijającej Shoreline Boulevard, a jeśli bardzo się postaram, to również słabe odgłosy muzyki z parku rozrywki trzy kilometry stąd. Niemożliwe, żebyśmy kiedykolwiek opuściły to miejsce.

Kącik ust mamy unosi się w pełnym współczucia uśmiechu.

- Myślałaś, że polecisz gdzieś na weekend, wypełnisz swoją misję i wrócisz?

- Może. - Zakłopotana uciekam wzrokiem. - Kiedy chcesz o tym powiedzieć Jeffreyowi?

- To może poczekać, dopóki nie będziemy wiedzieć, dokąd jedziemy.

- Mogę przy tym być? Przyniosę popcorn.

- Na Jeffrey'a też przyjdzie pora - wzdycha mama. Oczy ma smutne. Zawsze smutnieje, gdy myśli, że za szybko dorastamy. - Kiedy on dostanie swoje zadanie, ty też będziesz musiała sobie z tym poradzić.

- I znowu się przeprowadzimy?

- Pojedziemy tam, dokąd nas zaprowadzi jego misja.

- To szaleństwo - mówię, kręcąc głową. - To wszystko jest szalone, wiesz o tym, prawda?
- Niezbadane są ścieżki, Claro. - Chwyta moją łyżeczkę i nabiera dużą porcję lodów. Uśmiecha się i na moich oczach znów zamienia się w figlarną, wesołą mamę. - Niezbadane są ścieżki.
Przez kilka następnych tygodni wizja powraca co dwa albo trzy dni. Akurat kiedy zajmuję się swoimi sprawami. Ni stąd, ni zowąd nagle trzask prask i jestem w drużynie Strażaka Sama. Zaczynam się jej spodziewać w najdziwniejszych momentach - w drodze do szkoły, pod prysznicem, w czasie obiadu. Czasami zdarza się, że samej wizji nie ma, są tylko doznania. Czuję gorąco. Dym.
Moi przyjaciele widzą, że coś się dzieje. I niestety wymyślają mi nowe przezwisko: Świrska. Pewnie mogło być gorzej. Nauczyciele też coś podejrzewają. Ale póki się uczę i robię swoje, nie czepiają się, gdy w czasie lekcji gryzmołę w swoim pamiętniku coś, co raczej nie przypomina notatek.
Gdybyście zajrzeli do mojego dzienniczka kilka lat temu - mechatego różowego pamiętnika dwunastolatki z Hello Kitty na okładce, zamykanego na malutki złoty kluczyk, który nosiłam na szyi na łańcuszku, żeby uchronić się przed wścibskim okiem Jeffreya - zobaczylibyście zapiski całkiem zwykłej dziewczyny. Pełno nagryzmołonych kwiatków i księżniczek, zapisków na temat szkoły czy pogody, filmów, które mi się podobały, muzyki, przy której tańczyłam, snów o tym, jak grałam Cukrową Wieszczkę w *Dziadku do orzechów*, albo jak Jeremy Morris wysłał kolegę, żeby mnie poprosił, żebym

została jego dziewczyną, a ja się oczywiście nie zgodziłam, no bo kto by chciał chodzić z tchórzem, który boi się zapytać sam.

Potem nastąpiła epoka pamiętnika anielskiego, który zaczęłam prowadzić, kiedy skończyłam czternaście lat. Ten był granatowy, w spiralnej oprawie, a na okładce był obrazek anioła - pogodna kobieca postać, która wyglądała niesamowicie, całkiem jak mama. Z rudymi włosami i złotymi skrzydłami stała na półksiężycu w otoczeniu gwiazd, a dookoła jej głowy rozchodziły się promienie. Notowałam w nim wszystko, czego dowiedziałam się od mamy o aniołach i mojej anielskiej krwi, każdy okrucieństwo, każdy fakt, który udało mi się z niej wydobyć. Zapisywałam też swoje eksperymenty. Na przykład to, jak kiedyś nacięłam przedramię nożem, żeby sprawdzić, czy będę krwawić (owszem, i to naprawdę obficie); starannie wtedy odnotowałam, jak długo rana się goiła (około dwudziestu czterech godzin od nacięcia do chwili, gdy cieniutka różowa linia zniknęła). Albo jak odezwałam się w suahili do mężczyzny na lotnisku w San Francisco (możecie sobie wyobrazić, w jakim szoku byliśmy oboje). Albo jak udało mi się zrobić dwadzieścia pięć *grand jetés** do tyłu i do przodu bez zadyszki. Wtedy właśnie mama zaczęła mi prawić kazania. Chciała, żebym dała sobie z tym spokój, w każdym razie w miejscach publicznych. I wtedy też ja sama przestałam być dla siebie Zwykłą Clarą, a stałam się Clarą Anielską, Clarą Nie z Tej Ziemi.

Teraz w pamiętniku (czarny skórzany moleskine) piszę wyłącznie o zadaniu, które mnie czeka. Pełno

* *Grand jetés* (fr.) - wielki skok, krok w balecie (przyp. tłum.).

w nim szkiców, notatek i szczegółów dotyczących wizji, a zwłaszcza tajemniczego chłopaka - cały czas błąka się gdzieś na obrzeżach mojej świadomości, z wyjątkiem tych niespodziewanych momentów, gdy przesuwa się na środek sceny i staje w świetle reflektorów.

Jego obraz pod powiekami sprawia, że znam go coraz lepiej - zarys szerokich ramion, rozwichrzone włosy, ciemne, w odcieniu ciepłego brązu, na tyle długie, że zakrywają uszy i z tyłu opadają na kołnierzyk. Ręce trzyma w kieszeniach czarnej kurtki, zdaje się, że mechatej, może polarowej. Ciężar ciała jest lekko przesunięty w jedną stronę, jakby miał właśnie odejść. Sprawia wrażenie szczupłego, ale silnego. Kiedy zaczyna się odwracać, dostrzegam niewyraźny zarys policzka. I za każdym razem serce bije mi szybciej, a oddech więźnie w gardle.

Ciekawe, co o mnie pomyśli.

Chciałabym wzbudzić w nim podziw. Kiedy już się tam pojawię obok niego w lesie, a on w końcu się odwróci i mnie zobaczy, chciałabym choć trochę wyglądać na anioła. Chciałabym być zwiewną, świetlistą postacią tak jak mama. Wiem, że nie wyglądam najgorzej. Anielici to całkiem fajna banda. Mam ładną cerę, naturalnie różowe usta, które tylko pociągam błyszczkiem. Mam też bardzo ładne kolana, a w każdym razie tak słyszałam. Ale jestem za wysoka i za chuda, i to nie w stylu wysmukłych supermodelek, tylko raczej bociana z tymi długimi rękami i nogami. No i oczy, które w jednym oświetleniu przypominają zachmurzone niebo, a w innym są stalowoniebieskie, wydają się za duże w stosunku do mojej twarzy.

Najlepsze ze wszystkiego są włosy: dokądkolwiek pójde, faluje za mną jasnozłota chmura z rudymi reflek-

sami. Problem w tym, że są absolutnie niesforne. Rozwichrzone. Wplątują się w różne rzeczy - suwaki, drzwi samochodu, jedzenie. Próby związania ich albo splecenia zawsze kończą się porażką. Jakby były żywym stworzeniem, które chce się wyrwać na wolność. Nawet jeśli na chwilę uda mi się nad nimi zapanować, i tak kosmyki wymykają się na twarz. Zwykle w ciągu godziny wszystkim udaje się wysunąć spod zapięcia. Wynoszą niesforność na zupełnie nowe wyżyny.

Dlatego z moim szczęściem pewnie nigdy nie uda mi się zdążyć na czas, żeby ocalić nieznajomego z płonącego lasu, bo włosy zaczepią mi się o gałąź kilometr dalej...

- Claro, telefon! - krzyczy mama z kuchni. Podskakuję przestraszona. Na biurku przede mną leży otwarty pamiętnik, a w nim staranny szkic głowy nieznajomego - zmierzwione włosy, zarys policzka. Nie pamiętam, żebym go robiła.

- Dobra! - odkrzykuję.

Zamykam pamiętnik i wsuwam go pod podręcznik do algebry. A potem zbiegam na dół. Pachnie jak w piekarni. Jutro jest Święto Dziękczynienia i mama piecze ciasto. Ma na sobie fartuszek gospodyni domowej z lat pięćdziesiątych (który faktycznie ma od tego czasu, choć zapewnia nas, że wcale wtedy nie była gospodynią), cały oproszony mąką. Podaje mi telefon.

- Tata.

Unoszę brew w niemym pytaniu.

- Nie wiem - odpowiada. Wręcza mi słuchawkę, odwraca się i dyskretnie wycofuje z pokoju.

- Cześć, tato - mówię do słuchawki.

- Cześć.

Zapada cisza. Trzy słowa i tata nie wie, co więcej powiedzieć.

- Więc co to za okazja?

Przez chwilę nic nie mówi. Wzdycham. Przez lata ćwiczyłam przemówienie, jak byłam wściekła za to, że zostawił mamę. Miałam trzy lata, kiedy się rozeszli. Nie pamiętam ich kłótni. Z czasów kiedy byli razem, zostały mi tylko przebłyski. Przyjęcie urodzinowe. Popołudnie na plaży. Tata golący się przy umywalce. A potem okropne wspomnienie dnia, kiedy odszedł: stoimy na podjeździe, mama z Jeffreyem na biodrze płacze rozdzierająco, patrząc za odjeżdżającym samochodem. Nie umiem mu tego wybaczyć. Nie potrafię mu wybaczyć wielu rzeczy. Ze zamieszkał na drugim końcu kraju, żeby od nas uciec. Ze nie dzwoni dość często. Że nigdy nie wie, co powiedzieć, kiedy dzwoni. A przede wszystkim, że za każdym razem, kiedy mama słyszy jego imię, jej twarz kurczy się z bólu.

Niechęć mamy, żeby roztrząsać, co się między nimi wydarzyło, jest równie wielka jak jej awersja do tego, żeby zdradzić szczegóły swojego zadania. Ale wiem jedno: świat nie widział istoty tak doskonałej jak moja matka. W końcu jest półaniołem, nawet jeśli tata nie ma o tym pojęcia. Piękna, bystra i zabawna. Prawdziwa czarodziejka. A on ją rzucił. Rzucił nas wszystkich.

Co w moim przekonaniu znaczy, że jest głupkiem.

- Po prostu chciałem wiedzieć, czy u ciebie wszystko w porządku - mówi w końcu.

- A dlaczego miałoby nie być? Kaszle.

- No wiesz, trudno jest być nastolatką, prawda? Szkoła. Chłopcy.

Nasza już i tak niezwykła rozmowa staje się naprawdę dziwna.

- Tak - zgadzam się - łatwo nie jest.

- Mama mówi, że masz dobre stopnie.

- Rozmawiałeś z mamą? Znowu zapada milczenie.

- Jak tam życie w Wielkim Jabłku? - pytam, żeby zmienić temat.

- Jak zwykle. Wielki świat. Wczoraj w Central Parku widziałem Dereka Jetera*. Okropne miasto.

Tata potrafi być czarujący. Wciąż próbuję się na niego wkurzać, chcę mu powiedzieć, że nie musi się tak trudzić, żeby utrzymywać ze mną kontakty, ale nigdy nie udaje mi się długo na niego wściekać.

Ostatni raz widziałam go latem, kiedy skończyłam czternaście lat. Swoje słynne przemówienie o tym, jak strasznie go nienawidzę, ćwiczyłam na lotnisku, w samolocie i przy wyjściu z terminalu. A potem zobaczyłam go i poczułam się przedziwnie szczęśliwa. Rzuciłam mu się w ramiona i powiedziałam, że tęskniłam.

- Pomyślałem - mówi teraz - że może ty i Jeffrey moglibyście przyjechać do Nowego Jorku na wakacje.

Rany, co za wyczucie czasu! Omal nie wybucham śmiechem.

- Chciałabym - odpowiadam - ale akurat będę musiała zrobić coś ważnego.

Powiedzmy zlokalizować pożar lasu. Bo to jedyny powód, dla którego jestem tu, na Ziemi. Czego nigdy, przenigdy nie uda mi się mu wytłumaczyć.

Nic nie odpowiada.

*** Znany amerykański bejsbolista, członek drużyny New York Yankees (przyp. tłum.).**

- Przepraszam - mówię i jestem zaszokowana, bo naprawdę jest mi przykro. - Dam ci znać, jeśli coś się zmieni.

- Mama mówiła też, że zrobiłaś prawo jazdy. - Wyraźnie próbuje zmienić temat.

- Tak, zdałam egzamin, zaparkowałam równolegle i w ogóle. Mam szesnaście lat, więc mogę już prowadzić legalnie. Tylko mama nie daje mi samochodu.

- Może czas, żebyś miała własny?

Otwieram usta ze zdziwienia. Ten człowiek jest pełen niespodzianek. I wtedy czuję dym.

Tym razem ogień musi być dalej. Nie widzę go. Nie widzę też chłopaka. Gorący wiatr niosący piasek sprawia, że włosy wysuwają mi się z kucyka. Kaszlę i odwracam się przed podmuchem, odgarniając je z twarzy.

Wtedy właśnie widzę srebrną półciężarówkę. Stoję kilka metrów od miejsca, gdzie ktoś zostawił ją na poboczu drogi. Srebrne litery z tyłu układają się w napis „Avalanche”. To duży samochód z krótką, krytą skrzynią z tyłu. Należy do nieznanego chłopca. Po prostu to wiem.

Spójrz na tablicę rejestracyjną, mówię sobie. Skoncentruj się.

Tablica jest bardzo ładna. W dużej części niebieska: niebo, a na nim chmury. Po prawej stronie wyrasta skalista góra o spłaszczonym szczycie. Wydaje się znajoma. Po lewej - czarna sylwetka kowboja, który siedzi okrakiem na wierzgającym koniu i wymachuje kapeluszem. Widziałam taką tablicę już wcześniej, choć nie potrafię jej automatycznie rozpoznać. Próbuję odczytać numery. Na początku rozszyfrowuję tylko ogromne cyfry po le-

wej: 22. A potem udaje mi się też odczytać cztery znaki po drugiej stronie kowboja: 99CX. Powinnam czuć się szczęśliwa, podekscytowana, że tak łatwo udało mi się zdobyć przydatne informacje. Ale wciąż jestem w środku wizji, a ona trwa. Odwracam się od samochodu i szybkim krokiem wchodzę między drzewa. Przy ziemi kłębi się dym. Gdzieś w pobliżu słyszę trzask, jakby złamała się gałąź. A potem widzę chłopca. Tak jak zwykle. Stoi plecami do mnie. Płomienie zaczynają lizać grzbiet wzgórza. Niebezpieczeństwo jest tuż-tuż. Miażdżący smutek zwała się na mnie niczym opadająca kurtyna. Ścisła mnie w gardle. Chcę wypowiedzieć jego imię. Robię krok w jego stronę.

- Claro? Wszystko w porządku?

To głos taty. Przytomnieję. Opieram się o lodówkę, wyglądam przez okno w kuchni i widzę kolibra, który zawisł obok karmnika mamy. Niewyraźna plama trzepoczących skrzydeł. Gwałtownie rzuca się do środka, bierze łyk i odlatuje.

- Claro?

Tata sprawia wrażenie zaniepokojonego. Wciąż oszołomiona podnoszę słuchawkę do ucha.

- Tato, oddzwonię do ciebie później.

2. Tam w *dole* to Jackson Hofe

Po drodze do Wyoming mijamy mnóstwo znaków. W większości ostrzegawczych: „Uwaga na jelenie”.

„Uwaga, spadające skały”. „Kierowców ciężarówek uprasza się o sprawdzenie hamulców”.
„Utrudnienia w ruchu. Uwaga na łośie” „3 km śnieg! Ślisko! Nie zatrzymywać się na poboczu”. Całą drogę z Kalifornii jadę swoim samochodem za mamą, z Jeffreyem na siedzeniu obok, i próbuję nie panikować, choć wszystko wskazuje na to, że zmierzamy w miejsce dzikie i niebezpieczne. Właśnie w tej chwili jadę przez las wydmowych sosen. Czysty surrealizm. Robi mi się nieswojo na widok samochodów z tablicami z Wyoming. Wiele ma w dodatku dwie dwójki po lewej. To ten feralny numer sprawił, że w ciągu zaledwie sześciu tygodni szaleńczych przygotowań - sprzedaż domu, pożegnanie z przyjaciółmi i sąsiadami, których znałam całe życie, pakowanie i przeprowadzka w miejsce, gdzie nikt nigdy o nas nie słyszał - przebyliśmy tak długą drogę. Naszym celem jest hrabstwo Teton w Wyoming - według Google to właśnie ono ma numer 22 i ledwo ponad dwadzieścia tysięcy mieszkańców. Co oznacza, że na każdy kilometr kwadratowy powierzchni przypadają mniej więcej dwie osoby.

Przenosimy się na zadupie. I wszystko przeze mnie.

Nigdy w życiu nie widziałam tyle śniegu. Przerazające. Mój nowy prius (wielkie dzięki, tato!) na zaśnieżonej górskiej drodze przechodzi prawdziwy test. Nie ma odwrotu. Facet na stacji benzynowej zapewnił nas, że o ile nie nadciągnie śnieżycy, droga przez góry będzie zupełnie bezpieczna. Mogę jedynie ścisnąć kurczowo kierownicę i starać się nie zwracać uwagi na to, że kilka metrów od krawędzi drogi zbocze góry po prostu znika.

Zauważam znak „Witamy w Wyoming”.

- Ej - mówię do Jeffrey'a - to już tu.

Jeffrey nie odpowiada Z jego iPoda dobiega wściekły łomot. Im dalej jesteśmy od Kalifornii, jego drużyn sportowych i przyjaciół, tym bardziej ponurą ma minę. Po dwóch dniach w drodze mojemu bratu przybyło lat. Chwytam kabel i wyciągam mu słuchawkę z ucha.

- Czego? - RzUCA mi gniewne spojrzenie.

- Jesteśmy w Wyoming, kretynie. Już prawie dojechaliśmy na miejsce.

- Wielkie mi halo - mówi i wkłada słuchawkę z powrotem do ucha.

Jeszcze przez jakiś czas będzie mnie nienawidził.

Mój brat był całkiem w porządku, dopóki nie dowiedział się o całym tym anielstwie. Dobrze wiem, jak to jest. W jednej chwili jest człowiek zadowolonym z życia czternastolatkiem - dobrym we wszystkim, do czego się zabierze, popularnym i zabawnym - a w drugiej dziwadłem ze skrzydłami. Trzeba trochę czasu, żeby się przyzwycząić. A przecież od chwili, kiedy Jeffrey dowiedział się, że jest anielitą, do momentu, kiedy ja otrzymałam swoją maleńką misję z nieba, minął zaledwie miesiąc. I teraz ciągniemy go do jakiegoś Zadupia Wielkiego w Wyoming w styczniu, w samym środku roku szkolnego.

Kiedy mama oznajmiła, że się przeprowadzamy, Jeffrey wrzasnął:

- Ja nie jadę! - I zacisnął pięści, jakby miał ochotę kogoś walnąć.

- Owszem, jedziesz - odparła mama, patrząc na niego chłodno. - I wcale bym się nie zdziwiła, gdyby się okazało, że i ciebie czeka w Wyoming zadanie.

- Nic mnie to nie obchodzi - warknął Jeffrey, a potem odwrócił się i popatrzył na mnie tak, że wzdragam się za każdym razem, kiedy to sobie przypomnę.

Mama, rzecz jasna, przekopła całe Wyoming. Jeździła w poszukiwaniu domu, zapisała Jeffreya i mnie do szkoły i dogadała się z Apple, dla którego pracowała w Kalifornii, że po przeprowadzce będzie pracować dalej, w domu. Godzinami nawijała o fantastycznym krajobrazie, który będziemy mieć teraz na co dzień, o świeżym powietrzu, przyrodzie, pogodzie i o tym, jak kocha śnieg zimą. Właśnie dlatego Jeffrey jedzie ze mną. Nie może znieść gadania mamy o tym, jak to będzie nam tutaj cudownie. Zaraz na pierwszej stacji benzynowej wysiadł z jej samochodu, zabrał plecak i przesiadł się do mnie. Bez słowa wyjaśnienia. Podejrzewam, że doszedł do wniosku, że w tej chwili jej nienawidzi bardziej niż mnie.

Znowu łapię kabel od słuchawki.

- Wcale tego nie chciałam, wiesz? - tłumaczę się. -Przepraszam, jeśli to cokolwiek znaczy.

- Jak sobie chcesz.

Dzwoni moja komórka. Wyciągam ją z kieszeni i rzucam Jeffreyowi. Zaskoczony łapie telefon.

- Możesz odebrać? - pytam słodko. - Prowadzę. Wzdycha, otwiera klapkę i przykładą telefon do ucha.

- Tak? - mówi. - Dobra. Tak. Rozłącza się.

- Mówi, że dojeżdżamy do przełęczy Tenton. Chce, żebyśmy się zatrzymali przy punkcie widokowym.

I właśnie w tym momencie skręcamy - przed nami, poniżej łańcucha niewysokich pagórków i poszarpanych niebiesko-białych gór, otwiera się dolina, w której będziemy mieszkać. Widok jest niesamowity, zupełnie jak z kalendarza albo pocztówki. Mama zjeżdża do za-

toczki przy „malowniczym punkcie widokowym”, a ja ostrożnie zatrzymuję się za nią. Praktycznie wyskakuje z samochodu.

- Zdaje się, że chce, żebyśmy wysiedli - mówię do Jeffreya.

Gapi się na deskę rozdzielczą.

Otwieram drzwi i wychodzę na górskie powietrze. To jakby wejść do chłodni. Naciągam kaptur bluzy, która nagle wydaje się zbyt cienka, i wpycham ręce głęboko w kieszenie. Z każdym oddechem widzę powietrze, które wypuszczam z płuc.

Mama podchodzi do drzwi od strony Jeffreya i puka w szybę.

- Wsiadaj! - Po tonie jej głosu znać, że nie żartuje.

Macha ręką w stronę grani. Stoi tam ogromny drewniany znak z narysowanym kowbojem, który wskazuje na dolinę u naszych stóp. „Siemanko, nieznajomy” - głosi napis. - „Tam w dole to Jackson Hole. Ostatni ślad Dzikiego Zachodu”. Garstka zabudowań po obu stronach błyszczącej srebrnej rzeki. Jackson to nasz nowy dom.

- Dalej są parki narodowe Grand Teton i Yellowstone. - Mama wskazuje na horyzont. - Wybierzemy się tam na wiosnę.

Dołącza do nas Jeffrey. Nie włożył kurtki, ma na sobie tylko dżinsy i T-shirt, ale wcale nie wygląda, jakby mu było zimno. Jest zbyt zły, żeby dygotać. Kiedy obrzuca okolicę badawczym spojrzeniem, jego twarz jest nieruchoma. Nadciąga chmura, przesłania słońce i skrywa całą dolinę w cieniu.

Temperatura od razu spada o kilka stopni. Nagle czuję niepokój. Jak gdyby teraz, kiedy już oficjalnie zjawiłam się w Wyoming, drzewa miały zaraz

stanąć w płomieniach, a ja z miejsca powinnam wypełnić swoje zadanie. Wiele się tu ode mnie oczekuje.

- Nie martw się. - Mama kładzie mi ręce na ramionach i przez chwilę ściska mocno. - To twoje miejsce na ziemi, Claro.

- Wiem. - Próbuję zdobyć się na dzielny uśmiech.

- A tobie - mówi mama, podchodząc do Jeffreya -na pewno się tutaj spodoba. Narty, narty wodne, wspinaczka, sporty ekstremalne. Możesz sobie wybrać, co zechcesz. Masz moje błogosławieństwo.

- Ja myślę - mruczy pod nosem mój brat.

- No i świetnie. - Mama sprawia wrażenie zadowolonej. Pstryka nam fotkę i dziarskim krokiem wraca do samochodu. - A teraz w drogę.

Ruszam za nią, droga zakosami wiedzie w dół z bocza. Mój wzrok przyciąga kolejny znak: „Uwaga! Ostre zakręty”.

Tuż przed Jackson skręcamy w Spring Gulch Road, która prowadzi do następnej długiej, krętej drogi przegrodzonej ogromną, żelazną zdalnie otwieraną bramą. Zaczynam podejrzewać, że nasze skromne progi mogą się okazać całkiem imponujące. Kolejną wskazówkę stanowią ogromne domy z bali, które widzę schowane wśród drzew. Skręcam za mamą w świeżo odśnieżoną dróżkę i powoli przebijamy się przez las wydmowych sosen, brzoź i osik w kierunku polany, gdzie na niewielkim wzniesieniu stoi nasz nowy dom.

- Łał! - Spoglądam przez przednią szybę. - Jeffrey, popatrz!

Dom zbudowano z potężnych bali i otoczków, dach jak na chatce z piernika przykrywa kołderka bie-

lusieńkiego śniegu, a całości dopełnia zestaw idealnie srebrnych sopli. Jest większy niż nasz dom w Kalifornii, a mimo to jakimś cudem bardziej przytulny, z werandą i ogromnymi oknami, z których rozciąga się niewiarygodnie piękny widok na pokryty śniegiem łańcuch gór.

- Witajcie w domu - mówi mama. Oparta o samochód, przygląda się, jak w oszołomieniu wysiadamy na kolidy podjazd. Jest tak zadowolona z siebie, że omalże śpiewa. - Nasi najbliżsi sąsiedzi mieszkają prawie półtora kilometra dalej. Ten lasek mamy cały dla siebie.

Delikatny podmuch porusza drzewami, osypując śnieg z gałęzi, zupełnie jakby nasz dom znajdował się we wnętrzu śnieżnej kuli stojącej na kominku. Wydaje się, że powietrze jest tutaj cieplejsze.

Panuje absolutna cisza. Zalewa mnie fala szczęścia.

To nasz dom, myślę, tu jesteśmy bezpieczni. Prawdziwa ulga. Po tylu tygodniach wizji niebezpieczeństw i smutku, niepewności związanej z przeprowadzką i tym, że wszystko zostawiliśmy za sobą, po całym tym szaleństwie nareszcie zaczynam sobie wyobrażać nasze życie w Wyoming.

Zamiast wciąż tylko widzieć siebie wkraczającą w płomienie.

Zerkam na mamę. Cała świeci. Dosłownie. Coraz jaśniej i jaśniej. Anielska radość wibruje wokół niej.

Jeszcze chwila, a zobaczymy skrzydła.

Jeffrey chrząka. Ten widok, wciąż nowy, sprawia, że czuje się dziwnie.

- Mamo - mówi. - Robisz to coś z chwałą. Mamina jasność przygasa.

- I co z tego? - odzywam się. - Nikt nie widzi. Tutaj możemy być sobą.

- Tak - potwierdza cicho mama. - Prawdę mówiąc, podwórko świetnie nadaje się, żeby poćwiczyć latanie.

Spoglądam na nią przerażona. Już dwa razy próbowała nauczyć mnie latać i za każdym razem kończyło się to katastrofą. W gruncie rzeczy porzuciłam myśl o lataniu i pogodziłam się z tym, że będę naziemną anielitką, nietotem, kimś w rodzaju strusia czy też raczej - wzięwszy pod uwagę okoliczności przyrody - pingwina.

- Latanie może się okazać przydatne - chłodno stwierdza mama. - I może Jeffrey zechce spróbować - dodaje, zwracając się do brata. - Założę się, że ma wrodzony talent.

Czuję, że twarz mi płonie. Pewnie, Jeffrey ma wrodzony talent, a ja nie potrafię się nawet oderwać od ziemi.

- Chcę zobaczyć swój pokój - mówię, wchodząc do domu.

Tego popołudnia po raz pierwszy stoimy na Broadway Avenue w Jackson w stanie Wyoming. Nawet w styczniu pełno tu turystów. Co chwila mijają nas dyliżanse i powozy jadące obok niekończącego się sznura samochodów. Nie potrafię się powstrzymać i wypatruję pewnej konkretnej srebrnej półciężarówki: tajemniczego ava-lanche'a o numerze 99CX.

- Kto by pomyślał, że będzie tu taki ruch - dziwię się, patrząc na przejeżdżające pojazdy.

- Co zrobisz, jak go zobaczymy? - pyta mama. Ma na sobie nowy, słomkowy kowbojski kapelusz. Nie mogła się oprzeć i kupiła go w pierwszym sklepie z pamiątkami, do którego weszliśmy. Kowbojski kapelusz. Mam wrażenie, że trochę przesadza z tym Dzikim Zachodem.

- Prawdopodobnie zemdleje - stwierdza mój brat. Trzepocze rzęsami i udaje, że upada mamie przed nosem. Oboje się śmieją.

Jeffrey zdążył kupić koszulkę ze snowboardzistą i właśnie zastanawia się nad prawdziwą deską, którą zauważył na wystawie. Odkąd zobaczył dom i doszedł do wniosku, że nie wszystko stracone, nastrój znacznie mu się poprawił. Znowu zachowuje się jak dawny Jeffrey: uśmiecha się i żartuje, i tylko od czasu do czasu mówi pełnymi zdaniami.

- Strasznie zabawne. - Przewracam oczami i ruszam truchtem w kierunku małego parku, który zauważyłam po drugiej stronie ulicy. Łukowate wejście wykonano z poroży łosia.

- Chodźmy tędy! - wołam.

W pośpiechu przechodzimy przez jezdnię, akurat gdy mała pomarańczowa rączka zaczyna migać. Przez chwilę stoimy pod łukiem, przyglądając się porożu, które trochę przypomina kości. Niebo zasnuwają chmury i zrywa się zimny wiatr.

- Czuję grilla - mówi Jeffrey.

- Masz żołądek bez dna.

- Ej, przecież nic nie poradzę, że mam szybszą przemianę materii niż normalni ludzie. Może coś tam zjemy? _ Wskazuje na kolejkę przed Million Dollar Cowboy Bar.

- Pewnie. I kupię ci piwo - mówi mama.

- Naprawdę?

- Nie.

Gdy tak się o to sprzeczą, nagle czuję potrzebę, żeby udokumentować tę chwilę. Żebym mogła kiedyś spojrzeć wstecz i powiedzieć, że to był początek. Zadanie Clary

część pierwsza. Na myśl o tym ogarnia mnie wzruszenie. Nowy początek dla nas wszystkich.

- Przepraszam bardzo, czy mogłaby nam pani zrobić zdjęcie? - pytam przechodzącą obok kobietę. Kiwa głową i bierze aparat od mamy. Ustawiamy się pod łukiem, mama w środku, a my z Jeffreyem po bokach. Uśmiechamy się. Kobieta pstryka, ale nic się nie dzieje, więc mama podchodzi do niej, żeby pokazać, jak działa flesz.

I właśnie wtedy znowu wychodzi słońce. Nagle staję się świadoma wszystkiego, co dzieje się wokół. Jakby czas zwolnił i świat zaczął do mnie docierać kawałek po kawałku: głosy ludzi na deptaku, błysk zębów, kiedy mówią, warkot silników i cichy pisk hamulców samochodów zatrzymujących się na czerwonym świetle. Moje serce bije powoli jak wielki, głośny bęben. Płuca wciągają i wypuszczają powietrze. Czuję zapach końskiego gnoju i soli, szampon lawendowy, którym myję włosy, nutę wanilii z perfum mamy, męski dezodorant Jeffrey'a, a nawet ledwo wyczuwalną woń butwiejącego poroża nad nami. Zza szklanych drzwi jednej z galerii sztuki płyną dźwięki muzyki klasycznej. Gdzieś w oddali szczekają psy. Słyszę płacz dziecka. Za dużo tego, mam wrażenie, że zaraz eksploduję, próbując ogarnąć całość. Wszystko jest zbyt jaskrawe. Mały czarny ptaszek przysiadł na gałęzi w parku za nami, śpiewając i strosząc z zimna piórka. Jak mogę to widzieć, skoro mam go za plecami? Ale czuję na sobie jego przenikliwe czarne oczka. Widzę, jak na mnie spogląda, przekrzywiając łebek to w jedną, to w drugą stronę. A potem nagle zrywa się, wiruje na tle otwartego nieba niczym kłębek dymu i znika w słońcu.

- Claro - szepcze mi Jeffrey do ucha - Ej! Gwałtownie wracam na ziemię. Jackson Hole. Jeffrey. Mama. Kobieta z aparatem. Wszyscy się na mnie gapią.

- Co się dzieje? - Jestem oszołomiona, odłączona, jakby jakaś część mnie wciąż szybowiała w niebo razem z ptakiem.

- Twoje włosy, eee, jakby lśnią - szepcze Jeffrey. Ucieka wzrokiem. Sprawia wrażenie zażenowanego. Patrzę w dół i gwałtownie wypuszczam powietrze. Lśnienie to nieodpowiednie słowo. Moje włosy są opalizującą srebrno-złotą masą. Mienia się od światła i kolorów. Płoną. Są jak lustro odbijające promienie słońca. Przejeżdżam dłońmi po lśniących pasmach i serce, które jeszcze chwilę temu wydawało się bić tak powoli, zaczyna tłuc mi się boleśnie w piersi. Co się stało?

- Mamo? - wołam słabym głosem i spoglądam w jej ogromne niebieskie oczy. Całkowicie opanowana odwraca się do kobiety.

- Piękny dzień, prawda? - mówi. - Wie pani, co mówią: „Jak ci się nie podoba pogoda w Wyoming, poczekaj dziesięć minut”.

Kobieta nieprzytomnie kiwa głową. Wciąż gapi się na moje nieziemsko promienne włosy, jakby próbowała zrozumieć, na czym polega sztuczka. Mama podchodzi i energicznym ruchem chwyta je, jakby były kawałkiem liny. Wpycha włosy pod bluzę i naciąga mi kaptur na głowę.

- Po prostu stój spokojnie - szepcze i zajmuje miejsce między Jeffreyem a mną. - W porządku. Jesteśmy gotowi.

Kobieta mruga kilka razy i potrząsa głową, jakby próbowała się czegoś pozbyć. Teraz, kiedy moje włosy są

schowane, wszystko wygląda tak jak zawsze. Jakby nie zdarzyło się nic niezwykłego. Jakbyśmy sobie wszystko wymyślili. Podnosi aparat.

- Uśmiech, proszę - mówi.

Robię, co mogę, żeby się uśmiechnąć.

Obiad jemy w Mountain High Pizza Pie, bo to najspokojniejsze miejsce w pobliżu. Jeffrey pożera swoją pizzę, a my z mamą skubimy swoje. Nie rozmawiamy. Czuję się, jakbym została przyłapana na czymś okropnym. Wstydliwym. Cały czas mam na głowie kaptur, nawet w samochodzie.

Gdy docieramy do domu, mama idzie prosto do swojego gabinetu i zamyka drzwi, a my z Jeffreyem z braku laku podłączamy się do telewizora. Jeffrey co chwila patrzy na mnie, jakbym miała nagle stanąć w płomieniach.

- Możesz się przestać na mnie lampić? - pytam w końcu. - Denerwujesz mnie.

- To było dziwne. Co zrobiłaś?

- Nic nie zrobiłam. To się po prostu stało.

W drzwiach staje mama, ma na sobie płaszcz.

- Muszę wyjść - mówi. - Proszę, żebyście zostali w domu, dopóki nie wrócę. - I znika, zanim zdążymy o cokolwiek zapytać.

- No to super - mruczy Jeffrey.

Rzucam mu pilota i rejteruję do swojego pokoju. Zostało mi jeszcze mnóstwo rzeczy do rozpakowania, ale myślami wciąż wracam do tej chwili pod łukiem, kiedy miałam wrażenie, że cały świat próbuje mi się wślizgnąć do głowy. I te moje włosy! Nieziemskie. Wyraz twarzy tamtej kobiety, kiedy je zobaczyła: najpierw zaskoczenie i dezorientacja, a potem przerażenie. Jakbym była

alienem, Obcym, który powinien trafić do laboratorium, żeby naukowcy mogli obejrzeć świecące włosy pod mikroskopem. Jakbym była dziwadłem.

Musiałam zasnąć. Bo następne, co widzę, to mama stojąca w drzwiach sypialni. Rzuca opakowanie farby do włosów na łóżko. Biorę je do ręki.

- Zachód słońca w Sedonie? - czytam. - Żartujesz, prawda? Rude?

- Kasztanowe. Takie jak moje.

- Ale dlaczego? - pytam.

- Najpierw zajmujemy się twoimi włosami - mówi. -A potem porozmawiamy.

- I z takimi włosami mam iść do szkoły?! - jęczę, kiedy nakłada mi farbę. Siedzę w łazience na sedesie ze starym ręcznikiem na ramionach.

- Uwielbiam twoje włosy. Nie prosiłabym cię o to, gdybym nie uważała, że to ważne. - Cofa się o krok i badawczo przygląda mojej głowie w poszukiwaniu miejsc, które mogła ominąć. - No już. Gotowe.

Musimy tylko poczekać, aż farba chwyci.

- Dobra, to teraz możesz mi to wytłumaczyć, prawda?

Przez jakieś pięć sekund sprawia wrażenie zdenerwowanej, a potem siada na krawędzi wanny i składa ręce na kolanach.

- To, co ci się przytrafiło, jest całkiem normalne -mówi. Przypomina mi się nasza rozmowa o okresie. I próby poruszenia przez nią tematu seksu. Rzeczowy, racjonalny, wyważony ton. Jakby trenowała tę przemowę od lat.

- Aha, akurat. Jakim cudem to miałyby być normalne?

- Okej, nie normalne w ogóle - poprawia się szybko - tylko normalne dla nas. Kiedy twoje umiejętności rosną, anielska strona twojej osobowości zaczyna się coraz wyraźniej manifestować.

- Anielska strona mojej osobowości. Super. Jakbym nie miała dość problemów.

- To nie takie złe - mówi mama. - Nauczysz się ją kontrolować.

- Nauczę się kontrolować swoje włosy? Zaczyna się śmiać.

- Tak, w końcu nauczysz się je ukrywać, tonować tak, żeby ludzie ich nie dostrzegali. Ale na razie farba wydaje się najłatwiejszym rozwiązaniem.

Nagle orientuję się, że mama właściwie wciąż nosi kapelusze. Na plaży. W parku. Prawie zawsze w miejscach publicznych. Ma ich dziesiątki - kapeluszy, chust i szali. Dotychczas myślałam, że to dlatego, że jest staromodna.

- Więc tobie też się to przytrafiło? Odwraca się do drzwi, uśmiechając lekko.

- Możesz wejść, Jeffrey.

Jeffrey wślizguje się do mojej sypialni, gdzie nas podsłuchiwał. Poczucie winy na jego twarzy szybko ustępuje miejsca gorączkowej ciekawości.

- I mnie też to czeka? - pyta. - To coś z włosami?

- Tak - mówi mama. - To spotyka większość z nas. Pierwszy raz przydarzyło mi się w 1908 roku. W lipcu, zdaje się. Czytałam książkę na ławce w parku i... - Podniosła dłoń zaciśniętą w pięść do czubka głowy i zrobiła gest naśladujący wybuch.

Przejęta pochylałam się w jej stronę.

- I wydawało ci się, że wszystko zwalnia, a ty słyszysz i widzisz rzeczy, których nie powinnaś móc wiedzieć?

Przenosi na mnie wzrok. Jej oczy mają kolor głębokiego indygo - są jak niebo zaraz po zapadnięciu ciemności, poznaczone maleńkimi punkcikami światła, jakby mama rzeczywiście świeciła od środka. Mogę się w nich przejrzeć. Wygląda na zmartwioną.

- Tak właśnie było z tobą? - pyta. - Czas zwolnił? Kiwam głową.

W zamyśleniu mówi „hm” i kładzie ciepłą dłoń na mojej.

- Biedna dziewczynka. Nic dziwnego, że jesteś taka poruszona.

- Co zrobiłaś, kiedy ci się to przytrafiło? - chce wiedzieć Jeffrey.

- Włożyłam kapelusz. W tamtych czasach dobrze wychowane młode damy nosiły na dworze kapelusze. I na szczęście do czasu, kiedy ta zasada przestała obowiązywać, wynaleziono farbę do włosów. Przez prawie dwadzieścia lat byłam brunetką. - Marszczy nos. - Nie pasował mi ten kolor.

- Ale co to takiego? - pytam. - Co się stało? Milknie, jakby zastanawiała się, jak dobrać słowa.

- Zaczęła się przebijać chwała. - Sprawia wrażenie lekko skrepowanej. Jak gdyby nie była pewna, czy może nam zdradzić tę informację. - Dobra, koniec lekcji na dzisiaj. Jeśli coś takiego przydarzy ci się znowu, to znaczy w miejscu publicznym, najlepiej, żebyś zachowywała się jak gdyby nigdy nic. W większości wypadków ludzie sami będą się starali przekonać, że to, co widzieli, jest

tylko złudzeniem optycznym. Ale niegłupio byłoby, gdyby Jeffrey częściej wkładał czapkę. Tak na wszelki wypadek.

- Nie ma sprawy - rzuca mój brat, uśmiechając się pod nosem. Właściwie śpi w bejsbolówce Giants.
- I spróbujcie nie zwracać na siebie uwagi - ciągnie mama, patrząc na niego znacząco. To ewidentna aluzja do jego potrzeby bycia najlepszym we wszystkim. - Żadnego popisywania się.

Jeffrey zaciska zęby.

- To nie problem - stwierdza. - I tak w styczniu nic się nie dzieje. Kwalifikacje zapaśnicze były w listopadzie. W bejsbolu ruszą dopiero na wiosnę.

- Może to i lepiej. Będiesz miał trochę czasu, żeby się przystosować, zanim zajmiesz się czymś poza lekcjami.

- Racja. Lepiej. - Twarz znowu mu posepnieje i po chwili Jeffrey wycofuje się do swojego pokoju, trzaskając drzwiami.

- Dobrze, czyli ustalone - mówi mama, odwracając się do mnie z uśmiechem. - Płuczemy. Moje włosy zrobiły się pomarańczowe. Jak marchewka. Kiedy to widzę, zupełnie poważnie rozważam możliwość ogolenia głowy na łyso.

- Naprawimy to - obiecuje mama, bardzo starając się nie roześmiać. - To będzie pierwsza rzecz, jaką się zajmiemy jutro. Przyrzekam.

- Dobranoc. - Zamykam jej drzwi przed nosem. A potem rzucam się na łóżko i długo zanoszę się płaczem. To byłoby tyle, jeśli chodzi o robienie wrażenia na Tajemniczym Chłopaku za pomocą kaskady falujących brązowych włosów.

Gdy w końcu się uspokajam, leżę w łóżku, słuchając wiatru stukającego w okno. Las na zewnątrz wydaje się ogromny i mroczny. Czuję góry, ich wyniosłą obecność z tyłu za domem. Zaczynają się dziać rzeczy, na które nie mam wpływu - zmieniam się i do tego, co było, nie ma już powrotu.

I wtedy wizja przychodzi do mnie niczym stary przyjaciel. Wymazuje sypialnię i przenosi mnie w sam środek lasu, w którym jest pełno dymu. Powietrze jest tak gorące, tak suche i gryzące, że trudno mi oddychać. Widzę srebrnego avalanche'a zaparkowanego na poboczu drogi. Automatycznie odwracam się w stronę wzgórz i kieruję w miejsce, gdzie wiem, że znajdę chłopaka. Idę. I nagle czuję smutek, żal tak wielki, jakby ktoś wyciął mi serce. Rośnie z każdym krokiem. Oczy mam pełne łez. Mrugam, żeby się ich pozbyć, i idę dalej zdecydowana dotrzeć do chłopaka. A gdy go spostrzegam, zatrzymuję się na chwilę i po prostu patrzę. Jego widok - tak nieświadomego - sprawia, że przepełnia mnie mieszanina bólu i tęsknoty.

Myślę, że jestem na miejscu.

3. Przeżyłam czarną śmierć

Pierwsza rzecz, która przyciąga moją uwagę, kiedy wjeżdżam na parking Liceum Jackson Hole, to ogromna srebrna półciężarówka. Zezuję, żeby zobaczyć rejestrację.

- Ej! - drze się Jeffrey, kiedy omal nie wjeżdżam w tył starej, zardzewiałej niebieskiej półciężarówki.

-Naucz się prowadzić!

- Przepraszam. - Macham przepaszająco ręką do gościa za kierownicą niebieskiego wozu, ale wrzeszczy do mnie przez okno coś, czego na pewno nie chcę zrozumieć, i odjeżdża z piskiem opon. Ostrożnie parkuję priusa na wolnym miejscu i przez chwilę siedzę, próbując się pozbiierać.

Liceum Jackson Hole nie przypomina szkoły, tylko kurort. Ogromny budynek z cegieł okalają od frontu olbrzymie bale, tworząc coś na kształt filarów, tylko że w raczej rustykalnym stylu. Tak jak wszystko w moim nowym mieście, szkoła wygląda jak z pocztówki. Lśniące okna. Drzewa o białych pniach, rozmieszczone równomiernie przed budynkiem, piękne nawet bez liści. Żeby nie wspomnieć o fantastycznej oprawie szczytów górskich, które otaczają szkołę z trzech stron. Nawet kłębiaste obłoki na niebie sprawiają wrażenie, jakby umieszczono je tam z rozmysłem.

- To pa - rzuca Jeffrey, wyskakując z samochodu. Łapie plecak i dumnym krokiem maszeruje w stronę wejścia, jakby to miejsce do niego należało. Kilka dziewczyn na parkingu odwraca się, żeby na niego popatrzeć. Błyska do nich w uśmiechu zębami i natychmiast wywołuje burzę szeptów i chichotów, która otaczała go zawsze w naszej starej szkole.

- No to tyle, jeśli chodzi o niezwracanie na siebie uwagi - mruczę pod nosem.

Kolejny raz pociągam usta błyszcznikiem i sprawdzam swoje odbicie we wstecznym lusterku, wzdragając się na widok upokarzającego koloru włosów. Mimo że przez cały tydzień robiłyśmy z mamą, co tylko się dało, pozostały pomarańczowe. Próbowałyśmy wszystkiego, farbowałyśmy je z pięć razy, raz nawet na kruczo-

czarno, ale efekt zawsze był ten sam: straszliwy, bijący po oczach pomarańczowy. To jakiś okrutny kosmiczny żart.

- Nie możesz wciąż polegać na swoim wyglądzie, Claro - powiedziała mama, kiedy piąta próba zakończyła się fiaskiem. I kto to mówi? Kobieta, która ani jeden dzień w życiu nie wyglądała inaczej niż olśniewająco.

- Nigdy nie polegałam na swoim wyglądzie, mamo.

- Oczywiście, że tak - stwierdza trochę zbyt łatwo. - Nie jesteś wprawdzie próżna, ale mimo to.

Wiedziałaś, że kiedy twoi koledzy z Mountain View patrzyli na ciebie, widzieli śliczną truskawkową blondynkę.

- Tak, za to teraz nie jestem ani truskawkowa, ani śliczna - mówię żałośnie. To prawda, że się nad sobą użalałam. Ale z drugiej strony, moje włosy były tak straszliwie pomarańczowe.

Mama uniosła mi brodę, zmuszając, żebym na nią spojrzała.

- Twoje włosy mogłyby być nawet żaróviaście zielone, a i tak nie dałoby się ukryć, jaka jesteś śliczna.

- Jesteś moją matką. Masz ustawowy obowiązek mówić takie rzeczy.

- Pamiętaj, że nie przyjechałaś tu po to, żeby wygrać konkurs piękności. Masz zadanie do wykonania.

Może problemy z włosami oznaczają, że nie będzie ci tu tak łatwo jak w Kalifornii. I może jest po temu jakiś powód.

- Jasne. Bardzo ważny powód, jestem pewna.

- W każdym razie farba ukryła tę jaskrawość. Przynajmniej nie musisz non stop nosić czapki.

- Hura, ale mam farta.

- Po prostu spójrz na to od jaśniejszej strony, Claro.

Tak więc jestem tu i staram się patrzeć na wszystko od jaśniejszej strony. Jakbym rzeczywiście miała jakiś wybór. Wsiadam z samochodu i zakradam się na tyły parkingu, żeby przyjrzeć się srebrnej półciężarówce. Srebrne litery na tylnym zderzaku układają się w napis „avalanche”. Na tablicy rejestracyjnej widnieje numer 99CX.

A więc on tutaj jest. Zmuszam się, żeby oddychać. Naprawdę tu jest.

Nie zostało mi nic innego, jak tylko wejść do szkoły z tymi szalonymi, niesfornymi, obłąkańczo pomarańczowymi włosami. Przyglądam się strumieniowi uczniów. Napływają do budynku grupkami. Śmieją się, gadają i wygłupiają. Wszyscy kompletnie obcy. Sami nieznajomi. Z wyjątkiem jednej jedynej osoby. Dla której ja jestem obca. Ręce mam równocześnie spocone i lepkie. W brzuchu czuję motyle. Nigdy w życiu nie byłam bardziej zdenerwowana.

Dasz radę, Claro, myślę sobie. W porównaniu z zadaniem, które cię czeka, szkoła to pestka.

Prostuję się więc, próbując być tak pewna siebie jak Jeffrey, i ruszam do drzwi.

Moim pierwszym błędem - z czego zdaję sobie sprawę niemal od progu - było założenie, że mimo designerskiej fasady sama szkoła będzie w gruncie rzeczy taka jak inne. Kurczę, co za pomyłka. W środku także jest luksusowo. Prawie wszystkie klasy są wysokie, a sięgające od sufitu do podłogi okna wychodzą na góry. Stołówka stanowi skrzyżowanie chatki narciarskiej z muzeum. Obrazy, murale i kolaże zajmują właściwie każdy wolny kawałek przestrzeni. Nawet pachnie tu lepiej niż

w zwykłej szkole: sosną, kredą i delikatną mieszaniną drogich perfum. W porównaniu z tym miejscem moja szkoła w Kalifornii, zbudowana ze zwyczajnych pustaków, wydaje się więzieniem.

Potykając się, wkraczam w krainę pięknych ludzi. Choć wydawało mi się, że przecież stamtąd przyjechałam. Wiecie, czasami w telewizji pokazują zdjęcia jakiejś sławy z czasów liceum i ten ktoś wygląda zupełnie zwyczajnie, nie jest ani trochę bardziej atrakcyjny od reszty. Jak myślicie, co takiego mu się przytrafiło? Dlaczego Jennifer Garner jest teraz takim ciachem? Powiem wam: przytrafiły się pieniądze. Zabiegi kosmetyczne, fryzjer, ciuchy od projektantów, osobisty trener - oto, co się przytrafiło. Dzieciaki w Jackson Hole mają właśnie taki polor. Z wyjątkiem może kilkorga. Te z kolei wyglądają jak rasowi kowboje: w kapeluszach Stetson, z perłowymi guzikami przy kraciastych koszulach, w zbyt obcisłych wranglerach i podniszczonych kowbojkach.

W dodatku zajęcia są tu niezwykle wyszukane. Oczywiście możecie wybrać plastykę, jeśli chcecie się nauczyć rysować, ale równie dobrze moglibyście się zdecydować na kurs AP Studio Art*, który przygotowuje was do udziału w bardzo ożywionym miejscowym życiu artystycznym. Są tu zajęcia o nazwie Power Sport, na których nauczycie się, jak wyregulować motocykl, quada albo skuter śnieżny. Można się też dowiedzieć, jak prowadzić działalność gospodarczą lub zaprojektować dom, poznać i pokochać kuchnię francuską albo jak zostać inżynierem. A na wypadek gdyby zamarzyła się wam licencja pilota, szkoła oferuje kilka kursów

*** Zaawansowany program nauki technik plastycznych (przyp. tłum.).**

z zakresu aerodynamiki. W Liceum Jackson Hole świat należy do was.

Na pewno jest to coś, do czego można się przyzwyczaić.

Myślałam, że ludzie w liceum będą podekscytowani, widząc obcą dziewczynę. Albo przynajmniej ciekawi. W końcu jestem nowa, prosto z Kalifornii, i może mam do zaoferowania autochtonom nieco mądrości wielkiego miasta. Znów pomyłka. Większość całkowicie mnie ignoruje. Po tym, jak udało mi się przebrnąć przez trzy lekcje (trygonometrię, francuski i chemię), na których nikt nie pofatygował się nawet, żeby mi powiedzieć „cześć”, jestem gotowa wskoczyć do samochodu i wrócić do Kalifornii, gdzie ja znałam wszystkich, a wszyscy znali mnie. Gdzie mogłabym z miejsca zacząć obgadywać z przyjaciółmi nasze ferie, porównać plany zajęć i gdzie byłabym śliczna i popularna. Gdzie życie jest takie zwyczajne.

I właśnie wtedy go zauważam.

Stoi tyłem niedaleko mojej szafki. Rozpoznaję jego ramiona, włosy, kształt głowy i czuję, jak przebiega mnie prąd. Przebłysk wizji sprawia, że widzę obu równocześnie - jednego w czarnej polarowej kurtce pośród drzew i drugiego - realnego na szkolnym korytarzu. Jakby wizja była cienkim woalem spowijającym rzeczywistość.

Robię krok w jego stronę, otwierając usta, żeby zawołać jego imię. I wtedy przypominam sobie, że go nie znam. Jest tak jak zawsze - jakby mimo wszystko mnie usłyszał. Zaczyna się odwracać, a mnie serce podskakuje w piersi, kiedy tym razem nie budzę się, tylko widzę jego twarz, usta wygięte w półuśmiechu, bo właśnie żartował z kolegą.

Patrzy w moją stronę i napotyka mój wzrok. Korytarz się rozplywa. Jesteśmy teraz w lesie, tylko on i ja. Wizja nadchodzi zza niego, ogień na zboczu z rykiem mknie w naszą stronę szybciej niż to w ogóle możliwe.

Muszę go ocalić, myślę.

I wtedy tracę przytomność.

Kiedy otwieram oczy, widzę dziewczynę z długimi złotobrazowymi włosami. Siedzi obok na podłodze, rękę trzyma mi na czole i przemawia do mnie cicho, jakby próbowała uspokoić zwierzątko.

- Co się stało? - Rozglądam się w poszukiwaniu chłopaka, ale on zniknął. Coś uwiera mnie w plecy i orientuję się, że leżę na podręczniku do chemii.

- Upadłaś - mówi dziewczyna, jak gdyby to nie było oczywiste. - Chorujesz na padaczkę czy coś w tym rodzaju? Bo to wyglądało, jakbyś dostała jakiegoś ataku.

Ludzie się na mnie gapią. Czuję, że do policzków napływa mi krew.

- Nic mi nie jest - mówię, siadając.

- Powoli. - Dziewczyna podskakuje i wyciąga dłoń, żeby mi pomóc. Biorę ją za rękę i pozwalam, żeby pomogła mi wstać.

- Niezdara ze mnie - tłumaczę, jakby to wszystko wyjaśniało.

- Nic jej nie jest. Możecie się rozejść - zwraca się dziewczyna do dzieciaków, które wciąż się gapią. - Jadłaś dziś śniadanie? - pyta mnie.

- Co takiego?

- To może mieć związek z poziomem cukru we krwi. - Obejmuje mnie ramieniem i prowadzi przez korytarz. - Jak ci na imię?

- Clara.

- Wendy - przedstawia się.
- Dokąd idziemy?
- Do pielęgniarki.
- Nie - mówię, uwalniając się z jej uchwytu. Prostuję się i próbuję uśmiechnąć. - Nic mi nie jest, naprawdę.

Dzwoni dzwonek. Korytarz nagle pustoszeje. A po chwili z za rogu wypada pulchna kobieta o żółtych włosach. Ma na sobie niebieski fartuch pielęgniarki i maszeruje szybkim krokiem. Za nią idzie chłopak. Mój chłopak.

- O proszę, znowu - stwierdza Wendy, kiedy tracę równowagę i opieram się o nią.
- Christianie! - woła pielęgniarka. Oboje do mnie podbiegają.

Christian. Tak ma na imię.

Ręką obejmuje mnie pod kolanami i unosi w górę. Moja ręka spoczywa na jego ramieniu, palce trzymam kilka centymetrów od miejsca, gdzie włosy opadają mu na kark. Owiewa mnie jego zapach, mieszanka mydła Ivory i jakiejś cudownej wody kolońskiej. Spoglądam w jego zielone oczy z tak bliska, że mogę zobaczyć złote plamki.

- Cześć - wita się.

Boże, miej mnie w swojej opiece, myślę, kiedy się uśmiecha. Tego już za wiele.

- Cześć - mamroczę, uciekając wzrokiem i czerwieniąc się po korzonki jaskrawopomarańczowych włosów.

- Trzymaj się mnie - prosi chłopak i niesie mnie przez korytarz. Nad jego ramieniem widzę Wendy. Patrzy na mnie przez chwilę, a potem odwraca się i idzie w drugą stronę.

W gabinecie pielęgniarki Christian bardzo delikatnie sadza mnie na leżance. Z całych sił staram się na niego nie gapić.

- Dziękuję - jąkam się.

- Żaden problem. - Znowu się uśmiecha, a ja cieszę się, że siedzę. - Niewiele ważysz.

Mój oszołomiony mózg próbuje zrozumieć sens tych słów i ustawić je w jakimś porządku, ale ponosi sromotną porażkę.

- Dziękuję - mamroczę znowu. Nieprzekonująco.

- Tak, ja też dziękuję, panie Prescott - włącza się pielęgniarka. - A teraz proszę wracać na lekcję.

Christian Prescott. Nazywa się Christian Prescott.

- Do zobaczenia - mówi i po prostu odchodzi. Macham mu, kiedy znika za rogiem. Czuję się jak idiotka.

- A teraz... - Pielęgniarka odwraca się do mnie.

- Nic mi nie jest - zapewniam. - Naprawdę. Sprawia wrażenie, jakby jej to nie przekonywało.

- Czuję się świetnie. Mogę nawet zrobić kilka pajacyków - zapewniam. Nie umiem pozbyć się z twarzy głupiego uśmiechu.

W efekcie przychodzę na angielski (poziom rozszerzony) spóźniona. Wszyscy już ustawili krzesła w koło. Nauczyciel, starszy pan z krótką białą bródką, gestem wskazuje, żebym weszła do klasy.

- Proszę wziąć sobie krzesło. Panna Gardner, jak przypuszczam?

- Tak.

Czuję na sobie wzrok wszystkich, łapię krzesło i z końca sali wlokę je do koła. Rozpoznaję Wendy, dziewczynę,

która pomogła mi na korytarzu. Przesuwa się, robiąc mi miejsce.

- Nazywam się Phibbs - przedstawia się nauczyciel. - Jesteśmy w trakcie ćwiczenia, z którego właśnie panna Gardner powinna odnieść największą korzyść. Dlatego cieszę się, że mogła do nas dołączyć.

Każda z siedzących tu osób ma podać trzy wyjątkowe fakty dotyczące jej życia. Jeśli ktoś inny uzna, że jakiś fakt dotyczy również jego, podnosi rękę i wówczas trzeba znaleźć coś innego. Jesteśmy

właśnie przy Shawnie, który zakończył stwierdzeniem, że ma najbardziej... czaderską deskę

snowboardową w hrabstwie Tenton... - Pan Phibbs unosi krzaczaste brwi. - Co zakwestionował Jason.

- Prawdziwą pink lady - chwali się chłopak, który, jak przypuszczam, ma na imię Shawn.

- Nikt nie zaprzeczy, że to wyjątkowy fakt - oznajmia pan Phibbs, zanosząc się kaszlem. - Przejdźmy teraz do Kay. Proszę, przedstaw się nowej koleżance.

Wszyscy spoglądają na drobną brunetkę z ogromnymi brązowymi oczami. Uśmiecha się, jakby to, że się znajduje w centrum uwagi, było dla niej najnaturalniejszą rzeczą na świecie.

- Jestem Kay Patterson. Moi rodzice są właścicielami najstarszego sklepu ze słodyczami w Jackson. I mnóstwo razy widziałam Harrisona Forda - mówi z nutką dumy - bo uwielbia nasze krówki.

Powiedział, że wyglądam jak Carrie Fisher z *Gwiezdnych Wojen*.

A więc Kay jest próżna, myślę sobie. Choć gdyby ubrać ją w białą suknię i po obu stronach głowy przymocować jej precelki, faktycznie mogłaby uchodzić za księżniczkę Leię. Jest bardzo atrakcyjna.

Z tą swoją brzoskwiniową cerą i brązowymi włosami, które opada-

ją jej na ramiona w idealnych lokach, lśnić tak, że prawie nie wyglądają jak włosy, z całą pewnością należy do grona pięknych ludzi.

- I - dodaje Kay na zakończenie - Christian Pres-cott jest moim chłopakiem.

Nie lubię jej.

- Bardzo dobrze, Kay - mówi pan Phibbs. Następna jest Wendy. Czerwieni się. Najwyraźniej czuje się zażenowana, opowiadając o sobie przed całą klasą.

- Nazywam się Wendy Avery - zaczyna, wzruszając ramionami. - Moja rodzina zarządza ranchem nieopodal Wilson. Nie wiem, co jest we mnie wyjątkowego. Chcę zostać weterynarzem, choć to pewnie żadna niespodzianka, bo kocham konie. I jeszcze sama szyję sobie ubrania, odkąd skończyłam sześć lat.

- Dziękuję, Wendy - odzywa się pan Phibbs.

Wendy osuwa się na oparcie z cichym westchnieniem ulgi. Siedząca obok Kay pozwala sobie na ziewnięcie. To dyskretny i bardzo wytworny gest, ale sprawia, że nie lubię jej jeszcze bardziej.

Cisza.

O kurczę, uświadamiam sobie, że czekają na mnie.

Wszystko, o czym wcześniej myślałam, wylatuje mi z głowy. Przychodzą mi na myśl tylko te rzeczy, których nie mogę im powiedzieć. Umiem mówić płynnie we wszystkich językach świata. Mam skrzydła, które się pojawiają, kiedy je przywołam, i powinnam móc na nich latać, ale na razie daję ciała. Jestem naturalną blondynką. Mam znakomite wycucie kierunku, co chyba powinno pomóc przy lataniu, ale, niestety, tak nie jest. A, i przyjechałam tu z misją uratowania chłopaka Kay.

Odchrząkuję.

- A więc nazywam się Clara Gardner i przyjechałam z Kalifornii.

Pozostali zaczynają rzeć, kiedy chłopak z naprzeciwka podnosi rękę.

- To jeden z wyjątkowych faktów na temat pana Lo-vetta - mówi pan Phibbs. - Tylko że nie było cię, kiedy o tym mówił. Przekonasz się, Claro, że całkiem sporo uczniów przeniosło się tu z Kalifornii.

- Dobrze, to może spróbuję jeszcze raz. - Najwyraźniej trzeba postawić na szczegółowość. -

Przeprowadziłam się z Kalifornii tydzień temu, bo doszły mnie słuchy o tutejszych wspaniałych krówkach.

Klasa wybucha śmiechem, nawet Kay sprawia wrażenie zadowolonej. Nagle czuję się jak komik, który właśnie opowiedział dowcip rozpoczynający show. Wszystko, byle nie zasłynąć jako rudowłosa kretynka, która zemdliała na środku korytarza po trzeciej lekcji. Niech więc będą żarty.

- W przedziwny sposób przyciągam ptaki - ciągnę dalej. - Wciąż za mną latają. - To prawda. Mam teorię, że to dlatego, że wyczuwają pióra, choć nie sposób stwierdzić tego na pewno.

- Angelo, czyżbyś podnosiła rękę? - pyta pan Phibbs. Zaskoczona zerkam na prawo, gdzie kruczowłosa

dziewczyna w fioletowej tunice i czarnych legginsach szybko opuszcza dłoń.

- Nie, tylko się przeciągałam - mówi beztrąsko, patrząc na mnie poważnymi bursztynowymi oczami. - Podoba mi się to z ptakami. Zabawne.

Ale tym razem nikt się nie śmieje. Gapią się na mnie. Przetykam ślinę.

- Dobra, jeszcze jedno, tak? - pytam nieco rozpaczliwie. - Moja mama jest programistką, a tato profesorem fizyki na Uniwersytecie Nowojorskim, co znaczy, że pewnie powinnam być dobra z matematyki. - Robię zbolaną minę. Oczywiście sugestia, że jestem kiepska z matematyki, to ścierna. Bo jestem dobra. W końcu matematyka jest językiem. Dlatego zrozumienie tego, co jeden komputer mówi do drugiego, przychodzi mamie z taką łatwością. I pewnie dlatego zainteresowała się tatą, który, choć w jego żyłach nie płynie ani kropla anielskiej krwi, jest chodzącym kalkulatorem. Dla Jeffreya i dla mnie matematyka jest dziecinnie łatwa.

To też nie budzi śmiechu, tylko litościwy chichot Wendy. Najwyraźniej kariera komika nie jest mi przeznaczona.

- Dziękuję, Claro - mówi pan Phibbs.

Ostatnia jest czarnowłosa dziewczyna, która patrzyła na mnie uważnie, kiedy wspomniałam o dziwactwie z ptakami. Mówi, że ma na imię Angela Zerbino. Zakłada opadającą na bok grzywkę za ucho i jednym tchem wymienia trzy wyjątkowe fakty ze swojego życia.

- Moja matka jest właścicielką Różowej Podwiązki. Nigdy nie spotkałam swojego ojca. I jestem poetką.

Znów zapada pełna skrępowania cisza. Angela rozgląda się dookoła, jakby sprawdzała, czy ktoś ośmieli się rzucić jej wyzwanie. Nikt nie patrzy jej w oczy.

- Dobrze - kończy pan Phibbs, odchrząkując. Przegląda notatki. - Teraz znamy się trochę lepiej. Ale czy ludzie rzeczywiście mogą poznać jeden drugiego? Czy tym, co odróżnia nas od pozostałych sześciu i pół miliarda osób na Ziemi, są fakty, szczegóły, które nas dotyczą? Czy też jest to mózg, sposób, w jaki został zaprogramowany,

mieszanina pamięci, nawyków i cech genetycznych? A może to, co robimy, działania, jakie podejmujemy. Ciekawe, co byście powiedzieli, gdybym poprosił, żebyście wymienili trzy niezwykle rzeczy, jakie w życiu zrobiliście. Oczyrna duszy widzę przebłysk pożaru.

- W tym semestrze będziemy się zastanawiać nad tym, co to znaczy być wyjątkowym - kontynuuje pan Phibbs. Wstaje i, kuśtykając, podchodzi do małego stolika. Bierze stosik książek i zaczyna je rozdawać. - Oto nasza pierwsza lektura - mówi.

Frankenstein.

- To żyje! - wrzeszczy chłopak ze snowboardem Pink Lady, chwytając książkę tak, jakby się spodziewał, że zaraz uderzy w nią błyskawica. Kay Patterson wywraca oczami.

- Ach, widzę, że zdążyłeś się skontaktować z doktorem Frankensteinem, Shawn. - Pan Phibbs odwraca się do białej tablicy i czarnym markerem pisze na niej nazwisko „Mary Shelley” i datę „1817”. - Tę książkę napisała kobieta niewiele starsza od was, przedstawiając w niej starcie świata nauki i przyrody.

Pan Phibbs zaczyna wykład na temat Jeana--Jacques'a Rousseau i wpływu jego idei na literaturę i sztukę w czasach Mary Shelley. Staram się nie gapić na Kay Patterson. Ciekawe, co to za dziewczyna, skoro udało jej się poderwać takiego chłopaka jak Christian. I po chwili, choć nie wiem nic ponad to, jak wygląda tył jego głowy i że lubi ratować dziewczyny, które zemdlały na korytarzu, jestem pogrążona w myślach o tym, jakim chłopakiem jest Christian.

Przyłapuję się na zucię gumki. Odkładam ołówek na stolik.

- Mary Shelley chciała odkryć, co sprawia, że jesteśmy ludźmi - podsumowuje pan Phibbs. Zerka na mnie tak, jakby wiedział, że z tego, co mówił przez ostatnich dziesięć minut, nie słyszałam ani słowa, po czym przenosi wzrok na kogo innego. - Mam nadzieję, że my też to odkryjemy - mówi, podnosząc książkę. I wtedy rozlega się dzwonek.

- Jeśli chcesz, możesz siedzieć ze mną przy stole w czasie lunchu - proponuje Wendy, kiedy wychodzimy z klasy. - Wzięłaś ze sobą coś do jedzenia? Czy będziesz jadła poza szkołą?

- Nie, myślałam, że dostanę coś tutaj.

- Hm, dziś pewnie będzie filet z kurczaka. - Robię rozczarowaną minę. - Ale zawsze możesz dostać pizzę albo kanapkę z masłem orzechowym. Specjalność zakładu.

- Bardzo zdrowe.

Staję w kolejce po jedzenie, a potem idę za Wendy do jej stołu, gdzie trzy niemal identycznie wyglądające dziewczyny patrzą na mnie wyczekująco. Wendy szybko je przedstawia: Lindsey, Emma i Audrey. Wydają się dość miłe. Z całą pewnością nie należą do pięknych ludzi. Wszystkie noszą T-shirty i dzinsy, warkocze i kucyki i mają niezbyt mocny makijaż. Ale są ładne. Normalne.

- Więc jesteście czymś w rodzaju grupy? - pytam, siadając.

Wendy wybucha śmiechem.

- Nazywamy siebie niewidzialnymi.

- Och... - Nie jestem pewna, czy żartuje. Nie wiem, co odpowiedzieć.

- Nie jesteśmy świrami ani geekami - mówi Lind-sey, Emma czy Audrey, nie potrafię stwierdzić która. - Jesteśmy po prostu, no wiesz, niewidzialne.

- Niewidzialne dla...

- Dla ludzi, którzy są popularni - mówi Wendy. - Nie dostrzegają nas.

Super. Idealnie trafiłam.

Po drugiej stronie stołówki widzę swojego brata. Siedzi otoczony wianuszkiem chłopaków w sportowych bluzach. Nieduża blondynka patrzy na niego z uwielbieniem. Jeffrey mówi coś i wszyscy przy stole wybuchają śmiechem.

Niewiarygodne. Wystarczył niecały dzień, a mój brat stał się Panem Popularnym.

Ktoś odsuwa krzesło obok. Odwracam się. Christian siada na nim okrakiem. Przez chwilę widzę tylko jego zielone oczy. Może jednak nie jestem aż tak niewidzialna.

- Słyszałem, że jesteś z Kalifornii.

- Tak - mamrocę, w pośpiechu żując i połykając kęs kanapki z masłem orzechowym. Gwar w stołówce przycichł. Dziewczyny ze stolika niewidzialnych wpatrują się w Christiana szeroko otwartymi oczami, jak gdyby nigdy wcześniej nie zdarzyło się, żeby wkroczył na ich terytorium. Prawdę mówiąc, większość obecnych na nas patrzy, czuję ich ciekawski, niemal drapieżny wzrok. Biorę łyk mleka i uśmiecham się, mając nadzieję, że na zębach nie mam resztek jedzenia.

- Przeprowadziliśmy się z Mountain View, To na południe od San Francisco - zdobywam się na odpowiedź.

- Ja się urodziłem w Los Angeles. I mieszkałem tam do piątego roku życia, choć tak naprawdę niewiele pamiętam.

- Fajnie. - Mój umysł gorączkowo szuka jakiejś sensownej riposty, sposobu, żeby wyrazić, jak niesamowite jest to, że mamy coś wspólnego. Ale nic mi nie przychodzi do głowy. Jestem w stanie zdobyć się tylko na nerwowy chichot. Chichot? Na litość boską!

- Mam na imię Christian. Nie miałem okazji przedstawić się wcześniej.

- Clara. - Wyciągam rękę i najwyraźniej uznaje ten gest za czarujący. Ujmuje moją dłoń, a ja czuję się tak, jakby moja wizja i świat realny w tym właśnie momencie przybiły piątkę. Jego krzywy uśmiech jest olśniewający. Ten chłopak naprawdę istnieje. Dłoń ma ciepłą i pewną, uścisk taki, jak trzeba. Natychmiast zaczyna mi się kręcić w głowie.

- Miło cię poznać, Claro - odpowiada, potrząsając moją dłońią.

- Absolutnie.

Znowu się uśmiecha. „Ciacho” to nie jest dobre określenie. Christian jest piękny do szaleństwa. I to coś więcej niż tylko wygląd - z rozmysłem rozwichrzone ciemne włosy, mocno zarysowane brwi, które nadają jego twarzy może nieco zbyt poważny wygląd, nawet kiedy się uśmiecha, oczy, które w jednym oświetleniu sprawiają wrażenie szmaragdowych, a w innym orzechowych, słodki zarys twarzy, pełne usta. Widziałam jego twarz może wszystkiego dziesięć minut i już zdążyłam dostać obsesji na punkcie jego ust.

- Dzięki, za tamto - mówię.

- Nie ma sprawy.

- Hej, gotowy? - Kay podchodzi i gestem właścicielki kładzie Christianowi dłoń na karku, zanurzając palce w jego włosy. Wyraz twarzy ma tak starannie obojętny, jakby ktoś przykleił go jej do twarzy. I jakby zupełnie nie obchodziło jej, z kim rozmawia jej chłopak.

Christian odwraca się i patrzy w górę, twarz ma na wysokości jej biustu. Na szyi Kay dynda wisiołek, błyszcząca srebrna połówka serca z inicjałami CP. Uśmiecha się.

Czar pryska.

- Tak, już zaraz - mówi. - Kay, to jest...

- Clara Gardner. - Kiwa głową. - Chodzi ze mną na angielski. Przyjechała z Kalifornii. Nie lubi ptaków. Nie jest dobra z matmy.

- Oto cała ja - stwierdzam.

- Coś mi umknęło? - pyta dezorientowany Christian.

- Nic takiego. To tylko głupie zadanie, które mieliśmy u Phibbsa. Lepiej chodźmy, jeśli mamy zdążyć na następną lekcję - popędza go Kay. Odwraca się do mnie i uśmiecha, błyskając idealnie białymi zębami. Założę się, że nosiła aparat. - Jakies półtora kilometra stąd jest fajna chińska knajpka, do której lubimy wpaść na lunch. Musisz tam kiedyś zajrzeć ze swoimi przyjaciółmi.

Tłumaczenie: ty i ja nigdy nie będziemy przyjaciółkami.

- Lubię chińskie jedzenie - mówię.

Christian zrywa się z krzesła. Kay wsuwa mu rękę pod ramię i uśmiecha się spod opuszczonych rzęs, prowadząc go do wyjścia.

- Miło było cię znów spotkać! - woła na pożegnanie. I już go nie ma.

- No, no - odzywa się Wendy, która do tej pory siedziała obok, nie wydając z siebie dźwięku. -
Imponująca próba flirtu.

- Zdaje się, że miałam natchnienie - mówię nieco oszołomiona.

- No cóż, pewnie trudno byłoby znaleźć dziewczynę, dla której Christian Prescott nie byłby
natchnieniem - stwierdza, a jej koleżanki zaczynają chichotać.

- W pierwszej klasie fantazjowałam, że Christian zaprasza mnie na bal i zostaję królową - wzdycha
chyba Emma, a potem się czerwieni. - Przeszło mi.

- Założę się, że w tym roku Christian zostanie królem balu. - Wendy łapie się za nos. - Ale królową
będzie Kay. Więc lepiej uważaj.

- Jest aż tak straszna?

Wendy śmieje się, a potem wzrusza ramionami.

- Przyjaźniłyśmy się w podstawówce. Nocowałyśmy u siebie, urządzałyśmy razem przyjęcia dla lalek
i w ogóle, ale kiedy zdałyśmy do gimnazjum... - Kręci głową ze smutkiem. - Kay jest rozpieszczona.
Ale potrafi być też dość miła, jeśli się ją pozna. Naprawdę umie być słodka. Tylko lepiej nie zależeć jej
za skórę.

Jestem pewna, że ja zdążyłam już zależeć Kay Petter-son za skórę. Pod jej lekkim, przyjaznym tonem
głosu słyhać było lekceważenie.

Rozglądam się po stołówce i zauważam czarnowłosą dziewczynę z lekcji angielskiego, Angelę
Zerbino. Siedzi sama, z nietkniętym lunchem przed nosem, i czyta grubą książkę w czarnej oprawie.
Podnosi wzrok i kiwa mi głową, lekko, niemal niedostrzegalnie, w geście pozdrowienia. Przez chwilę
wytrzymuję jej spojrzenie, po czym odwracam wzrok. Wraca do swojej książki.

- A co z nią? - pytam Wendy, wskazując głową brunetkę.
 - Masz na myśli Angelę? Nie jest żadnym wyrzutkiem ani nikim takim. Po prostu woli trzymać się na uboczu. Jest dość poważna. Skupiona. Zawsze taka była.
 - A co to takiego Różowa Podwiązka? Brzmi jak nazwa, eee... no wiesz, miejsca, gdzie... no wiesz... Wendy wybucha śmiechem.
 - Burdelu?
 - Właśnie - przyznaję zakłopotana.
 - To tutejszy kabaret - odpowiada, wciąż się śmiejąc. - Wystawiają tam kowbojskie melodramaty i musicale.
 - Och! - Nareszcie do mnie dociera. - Pomyślałam, że to dziwne, kiedy tak przed całą klasą powiedziała, że jej matka jest właścicielką burdelu, a ona nie zna swojego ojca. Trochę za dużo informacji, jeśli rozumiesz, co mam na myśli.
- Teraz wszystkie dziewczyny przy stole się śmieją. Znowu patrzę na Angelę, która odwróciła się odrobinę, tak że nie widać jej twarzy.
- Wydaje się miła. Wendy kiwa głową.
 - Bo jest. Mój brat kiedyś się w niej durzył.
 - Masz brata?
- Prycha, jakby wolała, żeby odpowiedź na to pytanie była inna.
- Tak. Bliźniaka. Prawdziwa zaraza.
 - Wiem coś o tym. - Zerkam na Jeffrey'a otoczonego wianuszkami nowych przyjaciół.
 - O wilku mowa. - Wendy łapie za rękaw przechodzącego obok chłopaka.

- Ej - protestuje. - O co chodzi?

- O nic. Po prostu opowiadałam nowej koleżance o moim fantastycznym bracie i oto jesteś. - Szczerzy się do niego w promiennym uśmiechu, który sugeruje, że być może nie mówi całej prawdy. - Oto Tucker Avery.

Tucker przypomina Wendy niemal w każdym calu: ma takie same zamglone niebieskie oczy i tak samo zło-tobrązowe włosy, tyle że krótsze, nastroszone. No i jest pewnie ze trzydzieści centymetrów wyższy. Stanowczo należy do grupy kowbojów, choć nie jest tak przerysowany jak reszta - ma na sobie prosty szary T-shirt, dżinsy i kowbojki. Nieźle z niego ciacho, ale w zupełnie innym stylu niż Christian - mniej w nim wyrafinowania, więcej opalenizny i mięśni. Na brodzie widać cień zarostu. Wygląda, jakby całe życie pracował na słońcu.

- A to Clara - mówi Wendy.

- To ty jesteś tą dziewczyną z priusa, która omal nie wjechała mi w tył.

- Och, przepraszam za tamto.

Obrzuca mnie wzrokiem od góry do dołu. Czuję, że się czerwienię. Pewnie już setny raz dzisiaj.

- Z Kalifornii, tak? - W jego ustach słowo „Kalifornia” brzmi jak obelga.

- Tucker - wtrąca ostrzegawczym tonem Wendy, pociągając go za rękę.

- No cóż, podejrzewam, że nawet gdybym wjechała ci w tył, nie zrobiłoby to dużej różnicy - odparowuję. - Zdaje się, że ta zardzewiała gablota i tak się zaraz rozpadnie.

Oczy Wendy robią się wielkie jak spodki. Sprawia wrażenie naprawdę zaniepokojonej.

- Ta zardzewiała gablota - mówi drwiącym głosem Tucker - pewnie przy najbliższej śnieżycy będzie cię musiała wyciągać z zasy.

- Tucker! - woła Wendy. - Czy ty przypadkiem nie masz teraz spotkania w sprawie rodeo czy czegoś tam?

Gorączkowo próbuję wymyślić jakąś ripostę, w której znalazłaby się wzmianka na temat niewiarygodnej ilości pieniędzy, jakie uda mi się zaoszczędzić w tym roku dzięki jeździe priusem, a nie takim pozeraczem paliwa jak jego wóz, ale słowa nie składają mi się do kupy.

- To ty chciałaś ze mną gadać - mówi Tucker do Wendy.

- Bo nie wiedziałam, że się będziesz zachowywał jak świnia.

- Dzięki. - Rzuca mi krzywy uśmiezek. - Miło cię było poznać, karotko - mówi, patrząc na moje włosy. - Och, to znaczy Claro.

Twarz mi płonie.

- Ciebie też, panie samochodziku - ripostuję, ale Tucker już odmaszerował.

Super. Wystarczyło kilka godzin w szkole, żebym zdążyła się dorobić dwojga wrogów, i to przez sam fakt, że istnieję.

- Mówiłam ci, że to zaraza - stwierdza Wendy.

- Oględnie powiedziane! - Obie wybuchamy śmiechem.

Pierwszą osobą, którą widzę, kiedy przychodzę na następne zajęcia, jest Angela Zerbino. Siedzi z przodu, pochylona nad zeszytem. Siadam kilka rzędów dalej i rozglądam się po klasie. Przyglądam się portretom brytyjskich monarchów wiszącym na ścianach. Na ogrom-

nym stole z przodu klasy znajdują się model londyńskiej Tower zrobiony z drewnianych patyczków i replika Stonehenge z papier mâché. W jednym kącie sali stoi manekin w kolczudze, w drugim ogromna drewniana deska z trzema dziurami pośrodku - prawdziwe dyby.

Wygląda na to, że może być ciekawie.

Do klasy napływają pozostali. Kiedy dzwoni dzwonek, z pokoju na tyłach wyłania się nauczyciel. To chudy gość z długimi włosami związanymi w kucyk i w grubych okularach, ale jakimś cudem wygląda fajnie w koszuli i krawacie do pary z czarnymi dżinsami i kowbojkami.

- Cześć, nazywam się Erikson i witam wszystkich na zajęciach z historii Wielkiej Brytanii. Bierze ze stołu słój i potrząsa karteczkami w środku. - Zaczniemy od rozdziału ról. W tym pojemniku jest dziesięć karteczek z napisem „chłop pańszczyźniany”. Jeśli ktoś wyciągnie jedną z nich, będzie to oznaczało, że w zasadzie jest niewolnikiem. Musicie sobie jakoś z tym poradzić. Są też trzy karteczki z napisem „duchowny”. Ten, kto je wylosuje, zostanie członkiem kościoła, zakonnicą albo księdzem w zależności od płci.

Pan Erikson zerka w stronę drzwi, przez które właśnie ktoś się wślizgnął.

- Christianie, jak miło, że zechciałeś do nas dołączyć.

Potrzebuję całej siły woli, żeby się nie odwrócić.

- Przepraszam - słyszę głos Christiana. - To się więcej nie powtórzy.

- Ale gdyby się powtórzyło, spędzisz pięć minut zakuty w dyby.

- Na pewno się nie powtórzy.

- Znakomicie - mówi pan Erikson. - Zaraz, przy czym byliśmy? Ach, tak. Na pięciu karteczkach widnieje napis „szlachcic/szlachcianka”. Jeśli wyciągniecie jedną z nich, gratulacje, zostaniecie właścicielem ziemskim, może nawet panem jakiegoś chłopca albo dwóch. Na trzech karteczkach znajduje się słowo „rycerz”... wiecie, o co chodzi. Jest też wreszcie jedna, tylko jedna, z napisem „król”. Jeśli ktoś wyciągnie tę, będzie rządził nami wszystkimi.

Pan Erikson wyciąga rękę ze słoikiem w kierunku Angeli.

- Zamierzam być królową - oznajmia Angela.

- Zobaczymy.

Angela wyciąga karteczkę i czyta. Uśmiech na jej twarzy gaśnie.

- Szlachcianka.

- Nie ma co jęczeć - pociesza ją pan Erikson. - To stosunkowo dobre życie.

- No jasne, jeśli tylko człowiek chce, żeby go sprzedano najbogatszemu konkurentowi do ręki.

- *Touché* - przyznaje nauczyciel. - Pozwólcie, że wam przedstawię: lady Angela.

Pan Erikson robi rundę po sali. Zna już uczniów i zwraca się do nich po imieniu.

- Hm, rude włosy - mówi, kiedy podchodzi do mnie. - To mogłaby być wiedźma.

Za plecami słyszę rżenie. Rzucam okiem przez ramię i widzę, że tuż za mną siedzi Tucker, okropny brat Wendy. Błyska zębami w diabolicznym uśmiechu.

Wyciągam karteczkę. Duchowny.

- Bardzo dobrze, siostró Claro. Teraz kolej na pana Avery'ego.

Odwracam się, żeby zobaczyć, co Tucker wyciągnie ze słoika.

- Rycerz - czyta. Sprawia wrażenie zadowolonego.

- SirTuckerze.

Królem zostaje Brady, chłopak, którego nie znam. Sądząc po mięśniach i po tym, że przyjmuje tytuł, jakby na niego zasłużył, a nie wylosował, jest pewnie futboli-stą.

Christian wyciąga karteczkę ostatni.

- Ach - mówi, starając się, żeby jego głos brzmiał żałośnie. - Chłop pańszczyźniany.

Po losowaniu pan Erikson robi po klasie rundę z kostkami i każe nam nimi rzucać, żeby sprawdzić, czy przeżylibyśmy czarną śmierć. Chłopi i duchowni mieli małe szanse, bo łatwo zapadali na choroby, ale ja cudem przetrwałam. W nagrodę dostaję laminowaną plaketkę z napisem: „Przeżyłam czarną śmierć”.

Mama będzie dumna.

Christianowi się nie udaje. Dostaje plaketkę ozdobioną czaszką i skrzyżowanymi piszczelami. Napis głosi: „Umarłem podczas epidemii czarnej śmierci”. Pan Erikson odnotowuje jego zgon w zeszycie - zamierza obserwować nasze losy - i stwierdza, że dopóki trwa zabawa, dopóty zwykłe reguły życia i śmierci nie mają zastosowania.

Mimo to nie potrafię przestać myśleć, że tak szybki koniec Christiana to zły znak.

Mama czeka na nas przed frontowymi drzwiami.

- Opowiadajcie! - woła, gdy tylko przekraczamy próg. - Chcę poznać wszystkie szczegóły. I co, chodzi do twojej szkoły? Widziałaś go?

- O, pewnie, że widziała - mówi Jeffrey, zanim zdążę zabrać głos. - Zobaczyła go i zemdlała na środku korytarza. Cała szkoła nie mówi o niczym innym.

Mama otwiera szeroko oczy. Odwraca się do mnie. Wzruszam ramionami.

- Mówiłem ci, że zemdleje.

- Prawdziwy z ciebie geniusz.

Robi krok w jego stronę, żeby zmierzić mu włosy, ale zanim jej ręka znajdzie się na głowie Jeffrey'a, on robi unik i rzuca:

- Jestem dla ciebie za szybki.

- W kuchni czekają chipsy i salsa - mówi mama. - Co się stało? - pyta, kiedy Jeffrey idzie się napchać.

- Tak jak powiedział. Zwaliło mnie z nóg na oczach wszystkich.

- Och, skarbie. - Mama robi współczującą minę.

- Kiedy się ocknęłam, pomogła mi jedna dziewczyna. Myślę, że się zaprzyjaźnimy. A potem... -

Przełykam ślinę. - On wrócił z pielęgniarką i zaniósł mnie do gabinetu.

Mama otwiera usta. Nigdy nie widziałam jej tak zaskoczonej.

- Zaniósł cię?

- Jakbym była jakąś damą w opałach. Wybucha śmiechem. Wzdycham.

- Powiedział ci już, jak ma na imię? - dobiega z kuchni głos Jeffrey'a.

- Zamknij się! - krzyczę.

- Christian! - odkrzykuje. - Uwierzyłabyś? Przyjechaliśmy tu po to, żeby Clara mogła ocalić chłopaka o imieniu Christian.

- Jestem świadoma ironii losu.

- Ale w końcu poznałaś jego imię - mówi miękko mama.
- Tak. - Nie potrafię powstrzymać uśmiechu. -Znam jego imię.
- To się dzieje, już teraz. Wszystkie kawałki trafiają na swoje miejsce. - Sprawia wrażenie bardzo poważnej. - Jesteś gotowa, dzieciaku?

Przez ostatnich kilka tygodni myślałam tylko o tym. Od dwóch lat wiedziałam, że mój czas nadejdzie.

Ale czy rzeczywiście jestem gotowa?

- Tak sądzę - stwierdzam. Mam nadzieję.

4. Rozpiętość skrzydeł

Miałam czternaście lat, kiedy mama powiedziała mi o aniołach. Pewnego dnia przy śniadaniu oznajmiła, że dziś nie idę do szkoły i że zamiast tego wybierzemy się we dwie na wycieczkę. Jak matka z córką. Tylko ona i ja. Podrzuciłyśmy Jeffreya na lekcje i pojechałyśmy do znajdującego się jakieś pięćdziesiąt kilometrów od naszego domu parku stanowego Big Basin Redwoods, w górach nieopodal oceanu. Mama zostawiła samochód na parkingu, zarzuciła plecak na ramię, powiedziała:

- Kto ostatni, ten ślamazara. - I ruszyła utwardzonym szlakiem. Musiałam właściwie biec, żeby dotrzymać jej kroku.

- Niektóre matki zabierają córki do kosmetyczki, żeby im przekłuć uszy! - krzyknęłam w ślad za nią.

Na szlaku poza nami nie było nikogo. Między sekwojami unosiła się mgła. Drzewa miały nawet po sześć metrów średnicy i były tak wysokie, że nie sposób było zobaczyć, gdzie się kończą. Widać było tylko niewielkie prześwity między gałęziami, któredy promienie słońca ukosem padały na poszycie.

- Dokąd idziemy? - spytałam zdyszana.

- Do Buzzard Roots - powiedziała mama przez ramię. Jakby to miało pomóc.

Wędrowaliśmy przez opustoszałe obozowiska, przeskakiwaliśmy przez strumienie, rozpryskując wodę, i nurkowaaliśmy pod gigantycznymi omszałymi pniami w miejscach, gdzie drzewa zwały się na ścieżkę. Mama nic nie mówiła. Wcale nie było tak jak podczas naszych wspólnych wypraw do Fisherman Wharf*, domu pani Winchester** czy do IKEA. Spokój lasu zakłócał tylko nasz oddech i skrzyp butów na szlaku. Panowała tak ciężka i obezwładniająca cisza, że aż miałam ochotę krzyknąć. Mama nie odezwała się, dopóki nie dotarliśmy do olbrzymiej skały sterczącej na grzbiecie góry niczym kamienny palec wskazujący niebo. Żeby się dostać na szczyt, trzeba się było wspinać jakieś sześć metrów po nagiej ścianie, co mama zrobiła szybko, bez trudu i bez oglądania się za siebie.

- Mamo, zaczekaj! - zawołałam, wdrapując się za nią. Dotychczas wspinałam się jedynie po ścianie w sali gimnastycznej.

*** Dzielnica w San Francisco często odwiedzana przez turystów (przyp. tłum.).**

**** Niezwykły, uchodzący za nawiedzony, dom Sary Winchester w San José (przyp. tłum.).**

Spod butów mamy posypał się grad kamyków. Zniknęła na szczycie.

- Mamo! - krzyknęłam. Spojrzała na mnie z góry.

- Dasz radę, Claro - stwierdziła. - Zaufaj mi. Warto.

Naprawdę nie miałam wyboru. Sięgnęłam ręką, złapałam za skałę i zaczęłam się wspinać, zabraniając sobie patrzeć w dół opadającego stromo zbocza. I raptem znalazłam się na szczycie. Zasapana stanęłam obok mamy.

- O rany - wydyszałam, rozglądając się dookoła.

- Niewiarygodne, prawda?

Pod nami leżała porośnięta sekwojami dolina, którą okalały odległe szczyty gór. To było jedno z tych miejsc, gdzie człowiek ma wrażenie, że znalazł się na czubku świata. We wszystkie strony rozciągał się stąd widok na wiele kilometrów. Zamknęłam oczy i wyciągnęłam ręce, pozwalając, żeby owiał mnie wiatr. Wciągnęłam w nozdrza powietrze - uderzająca mieszanina woni drzew, mchu i wszystkiego, co rosło, z nutką ziemi, wody ze strumienia i czystego tlenu. Nad lasem powoli kołował orzeł. Bez trudu potrafiłam sobie wyobrazić, jak wspaniale byłoby tak szybować, gdy między mną a bezkresnym błękitnym niebem nie byłoby nic oprócz obłoków.

- Usiądź - poleciła mama.

Otworzyłam oczy, odwróciłam się i zobaczyłam, że siedzi na głazie. Poklepała dłonią miejsce obok. Usiadłam. Poszperała w plecaku w poszukiwaniu wody, otworzyła butelkę, pociągnęła solidny łyk i wręczyła ją mnie. Wzięłam wodę i, pijąc, przyglądałam się mamie. Z błędzącym gdzieś daleko wzrokiem sprawiała wrażenie nieobecnej, zatopionej w myślach.

- Mam kłopoty? - spytałam.

Spłoszona roześmiała się nerwowo.

- Nie, kochanie - odparła. - Po prostu mam ci coś ważnego do powiedzenia.

Zakreśliło mi się w głowie na myśl o tym, czym może mnie zaskoczyć.

- Przychodzę w to miejsce od bardzo dawna - wyjaśniła.

- Poznałaś faceta - strzeliłam. To wydawało się najbardziej prawdopodobne.

- Słucham? - zdziwiła się.

Właściwie nie umawiała się z facetami, choć lubił ją każdy, kto ją poznał, a mężczyźni nie spuszczaali z niej wzroku. Mawiała, że na trwały związek jest zbyt zajęta, za bardzo pochłania ją praca dla Apple i bycie samotną matką przez resztę dnia. Podejrzywałam, że wciąż ma obsesję na punkcie taty. Ale może zdarzył się jej jakiś płomienny romans, do którego teraz zamierzała się przyznać. Może za kilka miesięcy będzie stała w różowej sukience i z kwiatami we włosach, patrząc, jak mama wychodzi za mąż za jakiegoś faceta, do którego będę musiała mówić „tato”. Coś takiego przydarzyło się kilku moim przyjaciółom.

- Przeprowadziłaś mnie tutaj, żeby opowiedzieć o facecie, którego poznałaś i w którym się zakochałaś,

i teraz chcesz za niego wyjść. Albo coś w tym rodzaju - palnęłam, nie patrząc na nią, bo nie chciałam, żeby zobaczyła, jak strasznie mi się to nie podoba.

- Claro Gardner.

- Nie ma sprawy, naprawdę.

- To bardzo miłe z twojej strony, Claro, ale mylisz się - zapewniła. - Przeprowadziłam cię tu, bo myślę, że jesteś już dostatecznie duża, żeby poznać prawdę.

- Dobra - odparłam zaniepokojona. Brzmiała tak, jakby chodziło o coś poważnego. - Jaką prawdę? Odetchnęła głęboko i pochyliła się w moją stronę.
- Kiedy byłam mniej więcej w twoim wieku, mieszkałam z babcią w San Francisco. Niewiele wiedziałam na ten temat. Jej tata zniknął z jej życia, zanim się urodziła, a mama zmarła przy porodzie. Zawsze myślałam, że brzmi to prawie jak bajka. Jakby mama była osieroconą, tragiczną bohaterką jednej z moich książek.
- Mieszkałyśmy w dużym białym domu przy Mason Street - powiedziała.
- Dlaczego mnie tam nigdy nie zabrałaś?
- Tyle razy byliśmy w San Francisco - jeździliśmy tam co najmniej dwa albo trzy razy w roku - a ona nigdy nie wspomniała o domu przy Mason Street.
- Spłonął wiele lat temu. Teraz jest tam, zdaje się, sklep z pamiątkami. W każdym razie któregoś dnia obudziłam się bardzo rano. Cały dom drżał. Musiałam złapać się za słupek przy łóżku, żeby nie spaść.
- Trzęsienie ziemi - domyśliłam się.
- Dorastałam w Kalifornii i kilka trzęsień ziemi zdążyłam już przeżyć. Chociaż żadne nie trwało dłużej niż kilka sekund i nie wyrządziło poważniejszych szkód, były naprawdę przerażające.
- Pokiwała głową.
- Słyszałam, jak talerze wypadają z kredensu i w całym domu pękają okna. To był ogłuszający trzask. Ściany pokoju zniknęły, a na mnie poleciały cegły z komina.
- Patrzyłam na nią przerażona.
- Nie wiem, ile czasu tak leżałam - ciągnęła. - Kiedy otworzyłam oczy, zobaczyłam nad sobą mężczyznę.

Pochylił się i powiedział: „Spokojnie, dziecko”. A potem wziął mnie na ręce, a cegły poleciały na boki, jakby zupełnie nic nie ważyły. Podeszedł ze mną do okna. Wszystkie szyby były potłuczone. Widziałam, jak ludzie wybiegają z domów na ulicę. A potem stało się coś dziwnego i znaleźliśmy się gdzie indziej. W pokoju, który przypominał mój, ale jednak były inny. Jakby mieszkał w nim ktoś inny. I ten pokój był nietknięty, jak gdyby trzęsienie ziemi nigdy się nie wydarzyło. A za oknem panowała tak wielka jasność, że patrzenie na nią sprawiało ból.

- I co się wtedy stało?

- Mężczyzna postawił mnie na ziemi. Byłam zdumiona, że mogę stać. Koszulę nocną miałam podartą i trochę kręciło mi się w głowie, ale poza tym nic mi nie było. „Dziękuję”, powiedziałam. Nie wiedziałam, co mogłabym powiedzieć więcej. Miał złote włosy, które lśniły jak nic, co do tej pory widziałam. Był też wysoki, najwyższy mężczyzna, jakiego kiedykolwiek spotkałam. I bardzo przystojny.

Uśmiechnęła się na to wspomnienie. Potarłam ramiona, na których pojawiła się gęsia skórka. Próbowałam sobie wyobrazić wysokiego przystojniaka przybywającego mojej mamie na ratunek pod postacią kogoś w rodzaju Brada Pitta. Zmarszczyłam brwi. Ten obraz był niepokojący, ale nie miałam pojęcia dlaczego.

- Powiedział: „Bardzo proszę, Margaret”.

- Skąd znał twoje imię?

- Sama byłam ciekawa. Zapytałam go. Powiedział, że jest przyjacielem mojego ojca. Że razem służyli. I że czuwał nade mną, odkąd się urodziłam.

- Łał! Twój osobisty anioł stróż.

- Właśnie. Mój anioł stróż - powiedziała, kiwając głową. - Choć oczywiście on sam tak by siebie nie nazwał.

Czekałam, żeby mówiła dalej.

- Ale tym właśnie był, Claro. Chcę, żebyś to zrozumiała. Był aniołem.

- Jasne - parsknęłam. - Aniołem. Pewnie takim ze skrzydłami i w ogóle.

- Wtedy nie widziałam jego skrzydeł, ale tak. Sprawiała wrażenie śmiertelnie poważnej.

- Aha - mruknęłam. Przed oczami stanął mi anioł z witraża w kościele, z aureolą nad głową, w purpurowej szacie i z rozpostartymi złotymi skrzydłami. - I co było potem?

Pomyślałam, że już dziwniej być nie może. A jednak.

- Powiedział, że jestem kimś szczególnym.

- Jak to szczególnym?

- Powiedział, że mój ojciec był aniołem, matka człowiekiem, a ja jestem dimidiusem, co znaczy „połowiczny”.

Wybuchnęłam śmiechem. Nie potrafiłam się powstrzymać.

- Daj spokój. Żartujesz, prawda?

- Nie. - Patrzyła na mnie ze spokojem. - To nie żart, Claro. To prawda.

Spojrzałam na nią. Rzecz w tym, że jej ufałam. Bardziej niż komukolwiek na świecie. O ile wiedziałam, nigdy wcześniej mnie nie okłamała, nigdy nie pozwoliła sobie na żadne z tych małych kłamstewek, którymi rodzice karmią dzieci, żeby się grzecznie zachowywały, wierzyły we wróżkę zębuszkę czy coś w tym stylu. Jasne, była moją mamą, ale była też najlepszą przyjaciółką. Może to i kiczowate, ale prawdziwe. A teraz opowiadała mi jakieś niestworzone, niemożliwe historie i patrzyła na mnie, jakby wszystko zależało od mojej reakcji.

- Więc twierdzisz... twierdzisz, że jesteś półkrwi aniołem - wydusiłam.
- Tak.
- Daj spokój, naprawdę. - Chciałam, żeby się roześmiała i powiedziała, że cała ta opowieść o aniele była czymś na kształt snu, tak jak w *Czarnoksiężniku z Krainy Oz*, kiedy Dorotka się budzi i okazuje się, że cały świat Oza był tylko barwną halucynacją po tym, jak dostała w głowę. -1 co było dalej?
- Zabrał mnie z powrotem na Ziemię. Pomógł odnaleźć babcię, która tymczasem wpadła w histerię, przekonana, że przygniótł mnie gruz. A kiedy w naszej dzielnicy wybuchły pożary, pomógł nam się ewakuować do parku Golden Gate. Został z nami jakieś trzy dni i potem nie widziałam go przez lata. Siedziałam w milczeniu, trawiąc szczegóły. Jakiś rok wcześniej byliśmy z klasą na wycieczce w muzeum w San Francisco, bo akurat otworzyli tam wystawę poświęconą wielkiemu trzęsieniu ziemi. Oglądaliśmy zdjęcia wszystkich tych zawałonych budynków, wykolejonych tramwajów, poczerniałych szkieletów wypalonych domów. Słuchaliśmy starych nagrań z opowieściami ludzi, którzy to widzieli, ich przenikliwych, drżących głosów. Wszyscy robili z tego taką aferę, bo akurat przypadała setna rocznica tego wydarzenia.
- Mówisz, że wybuchły pożary?
- Straszliwe. Dom mojej babki spłonął doszczętnie.
- Kiedy to było?
- W kwietniu - powiedziała mama - 1906 roku. Poczułam się, jakbym miała zaraz zwymiotować.
- To znaczy, że masz co? Sto dziesięć lat?

- W tym roku skończę sto szesnaście.

- Nie wierzę.

- Wiem, że to trudne.

Wstałam. Mama chciała wziąć mnie za rękę, ale się wyrwałam. W jej oczach mignął ból. Też wstała. Pokiwała przy tym lekko głową, jakby rozumiała, co się ze mną dzieje. Jakby wiedziała, że właśnie zatrzęsała posadami mojego świata.

Nie byłam w stanie nabrać dość powietrza w płuca.

Oszalała. To jedyne sensowne wyjaśnienie. Moja mama - która aż do tej chwili wydawała się najlepszą matką na świecie, moim prywatnym wydaniem *Kochanych kłopotów*, powodem do zazdrości wszystkich moich przyjaciółek, z tymi przepięknymi kasztanowymi włosami, bajecznie świeżą cerą i ekscentrycznym poczuciem humoru - właśnie kompletnie traciła rozum.

- Co ty wyprawiasz? Dlaczego mi to mówisz?! -krzyknęłam, przełykając łzy wściekłości.

- Bo ty też musisz wiedzieć, że jesteś wyjątkowa. Patrzyłam na nią z niedowierzaniem.

- Jestem wyjątkowa - powtórzyłam. - Bo skoro ty jesteś półaniołem, to ja jestem czym?

Ćwiercianołem?

- Ćwiercianoły nazywają się quartariusami.

- Chcę wrócić do domu - powiedziałam słabym głosem. Chciałam zadzwonić do taty. On będzie wiedział, co robić. Trzeba znaleźć dla mamy jakąś pomoc.

- Też bym w to nie uwierzyła - stwierdziła. - Nie bez dowodu.

Na początku myślałam, że to słońce wyszło zza chmury, nagle rozświetlając półkę skalną, na której stałyśmy, ale po chwili dotarło do mnie, że to światło jest jaśniejsze. Odwróciłam się i zasłoniłam oczy przed

promieniejącą jasnością mamą. Jakbym spojrzała w słońce. Światło było tak silne, że zaczęły mi łzawić oczy. A potem nagle przygasło i zobaczyłam skrzydła -niewiarygodne śnieżnobiałe skrzydła za jej plecami.

- To jest chwala - powiedziała mama, a ja zrozumiałam, co mówi, choć wcale nie wypowiedziała tych słów po angielsku, tylko w jakimś dziwnym języku. Brzmiały, jakby w każdej sylabie dźwięczała muzyka. Były tak niesamowite i obce, że włosy zjeżyły mi się na karku.

- Mamo - wyszeptałam bezradnie.

Rozłożyła skrzydła, jakby dosłownie chwyciła nimi powietrze, i zatrzepotała. Dźwięk, jaki wydały, brzmiał jak bicie serca ziemi. Siła podmuchu rozwiała mi włosy. Z niewiarygodną gracją i lekkością mama powoli się uniosła, wciąż jaśniejac. A potem nagle wystrzeliła ponad linię drzew, podrywając ciało do lotu. Błyskawicznie pokonała całą długość doliny, stając się maleńkim jasnym punktem na horyzoncie. Zostałam sama, ogłuszona, na pustej półce skalnej, cichej teraz i pociemniałej, kiedy razem z mamą zniknęło światło.

- Mamo! - zawołałam.

Patrzyłam, jak zatacza krąg i szybuje z powrotem w moją stronę, tym razem nieco wolniej. Skręciła w miejscu, gdzie zbocze opadało stromo w dół, i zawisała, ostrożnie przebierając nogami.

- Chyba ci wierzę. Oczy jej błyszczały.

Z jakiegoś powodu nie mogłam przestać płakać.

- Skarbie - powiedziała - wszystko będzie dobrze.

- Jesteś aniołem - wykrztusiłam, połykając łzy. -A to znaczy, że ja...

Nie byłam w stanie tego powiedzieć.

- To znaczy, że ty też jesteś po części aniołem. -Zrobiła to za mnie.

Tamtej nocy stanęłam pośrodku zamkniętej na klucz sypialni, chcąc zobaczyć swoje skrzydła. Mama zapewniła mnie, że z czasem będę je mogła przywoływać, a nawet na nich latać. Nie potrafiłam sobie tego wyobrazić. Wydawało mi się to zbyt dziwaczne. Stanęłam w bieliźnie przed wysokim lustrem i pomyślałam o modelkach z Victoria's Secret seksownie otulonych skrzydłami. Ale nic się nie pojawiło. Miałam ochotę się roześmiać, bo cały ten pomysł wydał mi się absurdalny. Ja ze skrzydłami wyrastającymi z łopatek. Ja, anielitka.

Myśl, że mama jest półaniołem, miała sens, tak jak zresztą w ogóle myśl, że jest jakimś bytem ponadnaturalnym. Zawsze wydawała mi się podejrzanie piękna. W przeciwieństwie do mnie, mojego oślego uporu, wybuchowego temperamentu i sarkazmu, mama zawsze była pełna wdzięku i spokoju. Tak idealna, że aż irytująca. Nie potrafiłam wymienić żadnej jej wady.

No, chyba żeby wziąć pod uwagę fakt, że całe życie mi kłamała, pomyślałam z goryczą. Nie powinna istnieć przypadkiem jakaś reguła zabraniająca aniołom kłamać?

No dobra, tak naprawdę wcale nie kłamała. Nigdy nie powiedziała: „Wiesz co? Wcale nie jesteś inna niż reszta ludzi”. Zawsze powtarzała coś wręcz przeciwnego. Wciąż mówiła, że jestem wyjątkowa. Po prostu aż do tej pory nigdy jej nie wierzyłam.

- W wielu rzeczach jesteś lepsza od innych - powiedziała, kiedy stałyśmy na szczycie Buzzards Roost.

- Silniejsza, szybsza, bystrzejsza. Nie zauważyłaś tego?

- Eee, nie - odparłam.

Ale to nie była prawda. Zawsze miałam poczucie, że różnię się od reszty. Mama ma nagranie wideo, na którym chodzę, choć mam dopiero siedem miesięcy. Nauczyłam się czytać, zanim skończyłam trzy lata. Zawsze pierwsza w klasie zapamiętywałam takie rzeczy, jak tabliczka mnożenia czy nazwy wszystkich stanów. No i byłam dobra z gimnastyki - szybka i wytrzymała. Potrafiłam wysoko skakać i miałam mocny rzut. W grach zespołowych wszyscy zawsze chcieli, żebym należała do ich drużyny. A pomimo tego nie byłam cudownym dzieckiem ani nikim w tym rodzaju. Nie przejawiałam żadnego szczególnego talentu. Jako kilkulatka nie lubiłam golfa tak jak Tiger Woods, nie pisałam własnych symfonii w wieku pięciu lat ani nie brałam udziału w zawodach szachowych. Ogólnie rzecz biorąc, wszystko po prostu przychodziło mi nieco łatwiej niż innym dzieciakom. Pewnie, że to zauważyłam, ale nigdy nie zastanawiałam się nad tym specjalnie. Jeśli już sobie to jakoś tłumaczyłam, to po prostu zakładałam, że to dlatego, że nie spędzam czasu, oglądając jakieś bzdety w telewizji. Albo dlatego że moja mama należała do rodziców, którzy pilnują, żeby dziecko ćwiczyło, uczyło się i czytało książki. Teraz nie wiedziałam już, co myśleć. Wszystko przestało mieć sens. I równocześnie nabrało całkiem nowego.

Mama się uśmiechnęła.

- Bardzo często robimy tylko to, czego od nas oczekują - powiedziała. - Tymczasem jesteśmy w stanie zrobić dużo więcej.

W tym momencie tak bardzo zakręciło mi się w głowie, że aż musiałam usiąść. A mama zaczęła mówić zno-

wu, wracając do kwestii zasadniczych. Skrzydła: odfajkowane. Silniejsza, szybsza, bystrzejsza: odfajkowane. Może zrobić więcej. Coś z językami. I jeszcze kilka zasad. „Nie mów Jeffreyowi - jest jeszcze za mały”. „Nie mów ludziom - nie uwierzą. A jeśli nawet, nie będą sobie potrafili z tym poradzić”. Wciąż czułam mrowienie na karku, kiedy przypominałam sobie sposób, w jaki powiedziała „ludziom”. Jakby to słowo nagle nas nie dotyczyło. A potem zaczęła mówić o zadaniach i o tym, że już niedługo dostanę swoje. Według mamy było to coś ważnego, ale nie potrafiła mi tego jasno wytłumaczyć. A potem się zamknęła i przestała odpowiadać na moje pytania. Niektórych rzeczy, powiedziała, nauczę się z czasem. Z doświadczenia. Na razie nie muszę wszystkiego wiedzieć.

- Dlaczego nie powiedziałaś mi o tym wcześniej? -
spytałam.

- Bo chciałam, żebyś miała normalne życie, dopóki to możliwe - odparła. - Chciałam, żebyś była normalnym dzieckiem.

Teraz już nigdy nie będę normalna. To akurat było jasne jak słońce.

Popatrzyłam na swoje odbicie w lustrze.

- Dobra - powiedziałam. - Chcę zobaczyć... swoje skrzydła!

I nic.

- Szybciej niż pędząca kula! - oznajmiłam swojemu odbiciu, przyjmując pozę Supermana. Ale uśmiech na mojej twarzy zgasł i dziewczyna po drugiej stronie popatrzyła na mnie sceptycznie. - No dalej - ponaglałam, rozkładając ręce. Zgarbiłam plecy, wystawiając łopatki, zacisnęłam powieki i z całych sił starałam się

myśleć o skrzydłach. Wyobraziłam sobie, że wystrzelają ze mnie, przebijając skórę, i rozkładają się za plecami tak jak mamie na szczycie skały. Otworzyłam oczy Nadal nic.

Westchnęłam i opadłam na łóżko. Wyłączyłam lampkę. Na suficie miałam gwiazdy, które błyszczą w ciemnościach - wydawały się teraz takie głupie, dziecinne. Zerknęłam na budzik. Już po północy.

Jutro szkoła. Trzeba będzie zaliczyć test z ortografii, który opuściłam w poprzednim semestrze. To wydawało się jeszcze bardziej absurdalne.

- Quartarius - powiedziałam. Tego słowa użyła mama na określenie ćwierćaniola.

Q-U-A-R-T-A-R-I-U-S. Clara jest quartariusem.

Przypomniałam sobie dziwny język, w którym mówiła. Anielski, tak go nazwała. Niesamowicie piękny, jak dźwięki muzyki.

- Chcę zobaczyć skrzydła - powiedziałam.

Tym razem mój głos zabrzmiał inaczej, jakby słowa otaczało echo. Gwałtownie wciągnęłam powietrze.

Potrafiłam mówić w tym języku.

A potem poczułam pod sobą skrzydła - podniosły mnie odrobinę - złożone jedno na drugim. Sięgały mi prawie do kostek i nawet w ciemności lśniły białym blaskiem.

- Do diabła! - krzyknęłam i obiema dłońmi zakryłam usta.

Bałam się, że sprawię, że znowu znikną, dlatego bardzo powoli wstałam i włączyłam światło. A potem stanęłam przed lustrem i po raz pierwszy popatrzyłam na swoje skrzydła. Były tam. Prawdziwe skrzydła z prawdziwymi piórami. Czułam ich ciężar i mrowienie - nie-

zbity dowód, że to, co wcześniej przydarzyło się mamie, wcale nie było żartem. Były tak piękne, że kiedy na nie patrzyłam, ścisnęło mi się serce.

Delikatnie ich dotknęłam. Były ciepłe, żywe. Odkryłam, że mogę nimi poruszać tak samo jak rękami. Jakby naprawdę były częścią mnie, dodatkową parą kończyn, o których do tej pory przez całe życie nie miałam pojęcia. Uznałam, że pewnie mają dobre trzy, trzy i pół metra rozpiętości, choć trudno to było stwierdzić. Po prostu nie mieściły się w lustrze.

Rozpiętość skrzydeł, pomyślałam, kręcąc głową. Mam rozpiętość skrzydeł. To szaleństwo.

Badawczo przyjrzałam się piórom. Niektóre były bardzo długie, gładkie i ostre, inne miękkie, bardziej zaokrąglone. Najkrótsze, te, które znajdowały się najbliżej ciała, w miejscu, gdzie skrzydła łączyły się z ramionami, były puchate i nieduże, wielkości najwyżej mojego kciuka. Złapałam za jedno, pociągnęłam i wyrwałam, czując przy tym uszczypnięcie tak bolesne, że aż oczy zaszczyły mi łzami.

Spojrzałam na piórko z uwagą, próbując ogarnąć fakt, że było częścią mnie. Przez chwilę po prostu leżało na dłoni, a potem powoli zaczęło znikać, rozpląwać się w powietrzu. Po chwili nie został po nim nawet ślad.

Miałam skrzydła. Miałam pióra. W moich żyłach płynęła anielska krew.

Byłam ciekawa, co teraz. Nauczę się latać? Będę spływać z chmury, brzdąkając na harfie? Dostawać wiadomości od Boga? Żołądek ścisnął mi się z przerażenia. Naszą rodzinę trudno było nazwać religijną, ale zawsze wierzyłam w Boga. Teraz jednak zaczęłam rozumieć, na czym polega różnica między wierzyć a wiedzieć - wiedzieć, że Bóg istnieje i najwyraźniej ma jakiś pomysł na

moje życie. Najogólniej mówiąc, było to dość dziwaczne. Całe moje wyobrażenie na temat świata i swojego miejsca w nim w ciągu niespełna dwudziestu czterech godzin zostało wywrócone do góry nogami.

Nie wiedziałam, jak sprawić, żeby skrzydła zniknęły, złożyłam je więc na plecach tak ściśle, jak tylko mogłam, i położyłam się do łóżka, wyginając ręce, żeby móc ich dotykać. W domu panowała cisza. Czułam się tak, jakby wszyscy na Ziemi spali. Oni pozostali tacy sami, a ja się zmieniałam. Tej nocy mogłam tylko leżeć zdumiona i wystraszona, delikatnie gładząc pióra, póki nie zasnęłam.

5. Gorąca Wiewióra

Chodzę z Christianem tylko na jedne zajęcia, więc niełatwo mi zwrócić na siebie jego uwagę. Codziennie na historii Wielkiej Brytanii próbuję wybrać takie miejsce, żeby miał szansę usiąść koło mnie. W ciągu dwóch tygodni gwiazdy pomagają mi dokładnie trzy razy - trzykrotnie Christian łąduje na krześle obok. Uśmiecham się do niego wtedy i mówię „cześć”, a on uśmiecha się w odpowiedzi i też mówi „cześć”. Przez chwilę wydaje się, jakby jakaś neodparta siła przyciągała nas do siebie niczym magnes. Ale wtedy Christian otwiera zeszyt albo sprawdza pod stolikiem komórkę, dając tym samym znak, że nasza pogawędka w stylu „ładna dziś pogoda” dobiegła końca. Tak jakby w ciągu kilku decydujących sekund jeden z magnesów obrócił się i zaczął go odpy-

chać. Christian nie jest niegrzeczny, nic z tych rzeczy. Po prostu wcale nie ma ochoty lepiej mnie poznać. Bo i dlaczego miałyby mieć? Przecież nie ma pojęcia, jaka nas czeka przyszłość.

Tak więc codziennie przez godzinę w sekrecie obserwuję go, próbując zapamiętać wszystko, co tylko się da. Nie wiem, co pewnego dnia może się okazać przydatne. Christian lubi nosić koszule z niedbale podwiniętymi rękawami i dzinsy Seven w różnych odcieniach czerni i niebieskiego. Ma zeszyty z makulatury i pisze zielonym kulkowym piórem. Kiedy pan Erikson o coś go pyta, prawie zawsze zna właściwą odpowiedź, a jeśli nie, żartuje ze swojej niewiedzy, co oznacza, że jest inteligentny, skromny i zabawny. Lubi altoids - od czasu do czasu sięga do tylnej kieszeni spodni po srebrne opakowanie i wrzuca miętówkę do ust. Dla mnie oznacza to, że spodziewa się pocałunku.

Skoro o tym mowa, codziennie po zajęciach czeka na niego Kay. Jakby tego pierwszego dnia w stołówce zorientowała się, jak na jej faceta patrzy ta nowa, i nie chciała go narażać na powtórkę. Dlatego wszystko, co mam, to tych kilka cennych minut przed lekcją, ale jak dotąd nie udało mi się zrobić ani powiedzieć nic, co wywołałoby jakąś istotną reakcję ze strony Christiana. Ale jutro jest Dzień Podkoszulka. Potrzebuję T-shirta, który pozwoli rozpocząć rozmowę.

- Nie przejmuj się tak - mówi Wendy, kiedy po szkole prezentuję jej zestaw swoich koszulek. Siedzi w moim pokoju na podłodze obok okna z podwiniętymi nogami i wygląda jak uosobienie najlepszej przyjaciółki, która pomaga właśnie podjąć człowiekowi decyzję, co ma na siebie włożyć.

- Może koszulka z zespołem? - pytam i pokazuję czarną z tournée Dixie Chicks.

- Nie ta.

- Dlaczego?

- Zaufaj mi.

Wyciągam jedną z moich ulubionych, leśnozieloną z podobizną Elvise, którą kupiłam kilka lat temu na wycieczce w Gracelandzie. Młody Elvis - rozmarzony, pochylony nad gitarą.

Wendy buczy wymijająco.

Podnoszę jaskraworóżową z napisem: „Wszyscy kochają dziewczynę z Kalifornii”. Ta byłaby moja faworytką, bo podkreśla to, co mamy z Christianem wspólnego, ale gryzie się z pomarańczowymi włosami.

- Zdaje się, że mój brat zamierza włożyć koszulkę z napisem: „Wracaj do Kalifornii” - parska Wendy.

- Skandal. O co chodzi z tą Kalifornią? Wzrusza ramionami.

- To długa historia. W zasadzie o to, że właścicielem Leniwego Psa był mój dziadek, a teraz ranczo należy do jakiegoś bogatego Kalifornijczyka. Moi rodzice tylko nim zarządzają, a Tuckera to wkurza. No i obraziłaś Hiacynta.

- Hiacynta?

- W tych stronach brak szacunku dla gabloty faceta oznacza poważne konsekwencje.

Wybucham śmiechem.

- No cóż, musi to jakoś przeboleć. Wczoraj na historii próbował mnie spalić na stosie. Siedzę sobie spokojnie, zajęta własnymi sprawami, robię notatki jak grzeczna uczennica, a tu ni stąd, ni zowąd Tucker podnosi rękę i oskarża mnie, że jestem czarownicą.

- To do niego podobne - zgadza się Wendy.

- Wszyscy musieli głosować. Ledwo uszłam z życiem. Rzecz jasna, może się spodziewać rewanżu. Christian na szczęście głosował przeciwko. Niestety, jego głos nie ma zbyt wielkiego znaczenia, bo jest chłopem. Ale mimo wszystko nie chce, żebym umarła, nawet jeśli tylko w teorii. To też się liczy.

- To go tylko ośmieli, wiesz? - ostrzega mnie Wendy.

- Oj tam, dam sobie radę z twoim bratem. Poza tym dla tych, którym uda się przetrwać cały semestr, jest nagroda. A ja ocalałam.

Teraz Wendy wybucha śmiechem.

- Tak jak Tucker.

- Nie mogę uwierzyć, że tyle czasu spędziliście w jednej macicy.

Uśmiecha się.

- Zdarzają się chwile, że ja też nie mogę w to uwierzyć - mówi. - Ale to dobry facet. Po prostu czasami skutecznie to ukrywa.

Wygląda przez okno, policzki ma zaróżowione. Czyżbym ją obraziła? Czyżby mimo tych wszystkich żarcików była czuła na punkcie brata? Chyba rozumiem, o co w tym chodzi. Bo choć ja sama mogę się nabijać z Jef-freya do woli, to jeśli ktoś inny spróbuje zdrzeć z moim braciszkiem, niech lepiej uważa.

- Czyli Elvis, tak? Nie mam więcej pomysłów.

- Elvis jest w porządku. - Opiera się o ścianę i wyciąga ręce ponad głowę, jakby ta rozmowa ją wyczerpała. - Tak naprawę nikt się tym nie przejmuje.

- Jasne. Ty tu jesteś od zawsze - przypominam jej. - Ciebie akceptują. A ja mam wrażenie, że wystarczy jeden zły ruch, żeby rozwścieczony tłum przegnał mnie, gdzie pieprz rośnie.

- Oj przestań. Zaakceptują cię. Ja cię zaakceptowałam, prawda?

No właśnie. Minęły dwa tygodnie, a ja wciąż jem lunch przy stoliku niewidzialnych.

Jak dotąd udało mi się w szkole zidentyfikować dwie grupy: towarzystwo „posiadaczy”, do którego należą wszyscy piękni ludzie - bogate dzieciaki właściciele restauracji, galerii sztuki i hoteli; i towarzystwo „nieposiadaczy”, czyli dzieciaki, których rodzice pracują dla miejscowych potentatów. Żeby zobaczyć, jak wielka przepaść dzieli oba towarzystwa, wystarczy przenieść wzrok z Kay, z jej idealną fryzurą i francuskim mani-kiurem, na Wendy, która - choć niewątpliwie ładna - swoje rozjaśnione słońcem włosy nosi zwykle zaplecione w warkocz, a paznokci nie maluje i przycina je króciutko.

Do której grupy pasuję?

Szybko odkrywam, że nasz ogromny dom z widokiem na góry oznacza, że mamy kupę kasy, pieniądze, o których mama nigdy nie wspominała w Kalifornii. Najwyraźniej jesteśmy przy forsie. Choć mama wychowywała nas tak, że nie mieliśmy o tym pojęcia. W końcu sama przeżyła czasy Wielkiego Kryzysu - upiera się, żebyśmy razem z Jeffreyem odkładali część kieszonkowego, każe nam zjadać wszystko z talerza, ceruje skarpetki i naprawia ubrania, a także nastawia termostat na niską temperaturę, bo przecież zawsze możemy włożyć jeszcze jeden sweter.

- No tak, ty mnie zaakceptowałaś. Chociaż wciąż próbuję zrozumieć dlaczego - mówię do Wendy. - Pewnie po prostu jesteś dziwaczką. Albo masz zamiar nawrócić mnie na swoją tajną końską religię.

- O kurczę, rozgryzłaś mnie - mówi Wendy teatralnym głosem. - Pokrzyżowałaś moje szatańskie knowania.

- Wiedziałam!

Lubię Wendy. Jest nieco ekscentryczna i miła - solidny, dobry człowiek. No i ocaliła mnie przed etykietką dziwaka czy też odludka. I przed tęsknotą za przyjaciółmi w Kalifornii. Kiedy do nich dzwonię, mam wrażenie, jakbyśmy teraz, kiedy wypadłam z obiegu, nie mieli sobie zbyt wiele do powiedzenia. To oczywiste, że ich życie toczy się dalej beze mnie.

Ale nie mogę o tym teraz myśleć. Ani o tym, do której grupy należę. Mój prawdziwy problem nie ma nic wspólnego z byciem bogatym lub biednym, tylko z tym, że większość dzieciaków w Liceum Jackson Hole zna się od przedszkola. Lata temu potworzyły swoje grupki. Mimo że w sposób naturalny ciągnie mnie do skromniejszego towarzystwa, Christian jest jednym z pięknych ludzi. Dlatego do tego towarzystwa powinnam się wkreślić. Tylko że istnieją przeszkody. Ogromne, bijące po oczach przeszkody. Po pierwsze, lunch. Towarzystwo posiadaczy zwykle wybywa wtedy ze szkoły. To jasne. Gdybyście mieli kasę i samochód, zostalibyście na filet z kurczaka? Nie sądzę. Mam pieniądze i samochód, ale w ciągu pierwszego tygodnia, jadąc do szkoły, zaliczyłam obrót o sto osiemdziesiąt stopni na oblodzonej drodze. Jeffrey stwierdził, że ten piruecik na środku autostrady był lepszy niż przejażdżka górską kolejką. Teraz jeździmy autobusem, a to znaczy, że nie mogę iść na lunch poza szkołą, o ile mnie ktoś nie podrzuci, a prawdę mówiąc, jakoś nie widzę kolejki chętnych. Co prowadzi do przeszkody numer dwa: najwyraźniej jestem nieśmiała,

a w każdym razie wśród ludzi, którzy nie zwracają na mnie szczególnej uwagi. Nigdy wcześniej tego nie zauważyłam. W starej szkole nie musiałam wykazywać się szczególnym talentem towarzyskim - przyciągałam ludzi całkiem naturalnie. Tu jednak jest zupełnie inaczej, choć myślę, że to z powodu przeszkody numer trzy: Kay Patterson. Trudno o przyjaciół, kiedy najpopularniejsza dziewczyna w szkole krzywo na ciebie patrzy.

Następnego ranka Jeffrey wparowuje do kuchni w koszulce z napisem „Gdyby idioci potrafili latać, to miejsce wyglądałoby jak lotnisko”. Wiem, że wszyscy w szkole będą uważali, że to zabawne, i wcale nie poczują się obrażeni, bo go lubią. Jemu jest łatwiej.

- Ej, może byłabyś gotowa pojechać dziś do szkoły samochodem? - pyta. - Nie chce mi się iść na przystanek. Strasznie zimno.

- A byłbyś gotów umrzeć?

- Pewnie. Lubię ryzyko. Pozwala zachować odpowiednią perspektywę.

Rzucam w niego bajlgem, łapie go w powietrzu. Spoglądam na zamknięte drzwi do gabinetu mamy. Uśmiecha się z nadzieją.

- Dobra - zgadzam się. - Rozgrzeję silnik.

- Widzisz? - mówi Jeffrey, kiedy powoli pokonujemy długą trasę do szkoły. - Dajesz radę z jazdą po śniegu. Niedługo będzie z ciebie zawodowiec.

Jest podejrzenie miły.

- No dobra, o co chodzi? - pytam. - Czego chcesz?

- Dostałem się do drużyny zapaśniczej.

- Jakim cudem, skoro kwalifikacje były w listopadzie?

Wzrusza ramionami, jakby nic wielkiego się nie stało.

- Wyzwałem najlepszego zapaśnika w zespole. Wygrałem. To mała szkoła. Potrzebują zawodników.

- Mama wie?

- Powiedziałem jej, że jestem w drużynie. Nie była zachwycona. Ale nie może nam zabronić brać udziału w zajęciach, nie? Mam już dość tego jej ciągłego gadania. „Lepiej się nie wychylajmy, bo ktoś odkryje, że nie jesteśmy tacy jak inni!” Przecież jak wygram mecz, ludzie nie zaczną mówić: O matko, taki dobry z niego zapaśnik, pewnie jest aniołem.

- No tak - przytakuję odrobinę zaniepokojona. Bo z drugiej strony mama nie jest kimś, kto ustala jakieś zasady tylko dlatego, że może.

- Rzecz w tym, że potrzebuję, żeby ktoś mnie czasem podrzucił na trening - mówi Jeffrey, poprawiając się nerwowo na siedzeniu. - To znaczy zawsze.

Przez chwilę w samochodzie panuje taka cisza, że słycać tylko odgłos nawiewu ciepłego powietrza pod nogami.

- O której? - pytam w końcu. Przygotowuję się na złe wieści.

- Wpół do szóstej rano.

- Ha!

- Oj, daj spokój.

- Niech mama cię wozi.

- Powiedziała, że skoro tak bardzo zależało mi na tym, żeby się dostać do drużyny, to teraz muszę sobie sam załatwić transport. Wziąć na siebie całą odpowiedzialność.

- No to powodzenia. - Śmieję się.

- Proszę. Tylko przez kilka tygodni. Wtedy mój kumpel Darrin skończy szesnaście lat i będzie mnie ze sobą zabierał.

- Jestem pewna, że mamie się to spodoba.

- Ej, Clara. Jesteś mi to winna - mówi cicho.

Ma rację. To przeze mnie jego życie wywróciło się do góry nogami. Choć nie wygląda, jakby z tego powodu straszliwie cierpiał.

- Nic ci nie jestem winna. Ale... niech będzie. Sześć tygodni maks. A potem będziesz musiał sobie znaleźć innego szofera.

Sprawia wrażenie naprawdę uradowanego. Może to początek drogi do uzdrowienia naszych stosunków. Żeby było jak dawniej. Odkupienie, chyba tak to nazywają. Sześć tygodni porannego wstawania nie wydaje się szczególnie wysoką ceną za to, żeby przestał mnie nienawidzić.

- Ale pod jednym warunkiem - dodaję.

- Jakim?

Wkładam do odtwarzacza płytę Kelly Clarkson.

- Ja wybieram muzykę.

Wendy ma na sobie koszulkę z napisem: „Konie zjadły moją pracę domową”.

- Supcio - szepczę, kiedy zajmujemy miejsca na angielskim. Jej aktualny wielbiciel, Jason Lovett, gapi się na nas z drugiego końca sali. - Nie patrz tam, ale zaklęty książę nie może oderwać od ciebie wzroku.

- Zamknij się.

- Mam nadzieję, że podszkoli się w jeździe konnej, zanim razem pogalopujecie w stronę zachodzącego słońca.

Dzwoni dzwonek i pan Phibbs staje przed klasą.

- Dziesięć dodatkowych punktów dla tego, kto poprawnie rozpozna cytat na mojej koszulce - oznajmia.

Staje wyprostowany, z rękami założonymi na plecach, żebyśmy mogli przeczytać słowa widniejące na jego piersi. Wszyscy pochylamy się, żeby zobaczyć maleńkie literki: „Jeśli nauka uczy nas czegokolwiek, to tego, że porażki powinniśmy przyjmować tak samo jak sukcesy - ze skromną godnością i wdziękiem”.

Łatwizna. W zeszłym tygodniu skończyliśmy omawiać tę książkę. Rozglądam się, ale nikt nie podnosi ręki. Wendy unika wzroku pana Phibbsa, żeby nie wywołał jej do odpowiedzi. Jason Lovett próbuje złapać spojrzenie Wendy. Angela Zerbino, na którą zwykle można liczyć, że podrzuci właściwą odpowiedź, skrobie coś w swoim notatniku, prawdopodobnie jakiś pokręcony poemat epicki o tym, jak niesprawiedliwe jest jej życie. Ktoś z tyłu dmucha nos, jedna z dziewczyn zaczyna stukać paznokciami o blat stolika, ale nikt się nie odzywa.

- Kto wie? - pyta zawiedziony pan Phibbs. Zadał sobie trud, żeby przygotować koszulkę, i nikt z jego wspaniałych uczniów z rozszerzonego angielskiego nie potrafi rozpoznać fragmentu książki, którą właśnie przerabiali.

Olać to. Podnoszę rękę.

- Panna Gardner - mówi pan Phibbs, rozjaśniając się.

- To z *Frankensteina*, prawda? Ironia polega na tym, że doktor Frankenstein wypowiada te słowa na chwilę przed tym, jak próbuje udusić potwora, którego stworzył. Tyle w kwestii godności. Tak myślę.

- Tak, prawdziwa ironia - chichocze pan Phibbs. Zapisuje dodatkowe punkty przy moim nazwisku. Staram się sprawiać wrażenie zadowolonej.

Wendy podrzuca mi liścik. Mija chwila, zanim udaje mi się dyskretnie rozłożyć karteczkę.

„Ej, mądralińska - czytam. - Zgadnij, kogo dziś nie ma?" Na marginesie narysowała uśmiechniętą buźkę. Jeszcze raz przyglądam się klasie. I wtedy orientuję się, że nikt nie próbuje wypalić mi wzrokiem dziury w czaszce.

Kay nie przyszła.

Uśmiecham się. To będzie piękny dzień.

- Przyniosłam broszurę na temat tego stażu weterynaryjnego, o którym ci opowiadałam - mówi Wendy, kiedy rozlega się dzwonek na przerwę obiadową. Rusza za mną, gdy w pośpiechu opuszczam klasę i schodami w dół pędzę do szafki. Musi niemal biec, żeby mi dotrzymać kroku.

- Ej, powoli! Umierasz z głodu czy co? - Śmieje się, kiedy gorączkowo wybieram szyfr. - Dziś jest kanapka z klopsikami. To i pieczone ziemniaki z przystawkami to najlepsze potrawy w menu.

- Co takiego? - Jestem trochę nieprzytomna. Skanuję wzrokiem morze przechodzących obok twarzy w poszukiwaniu pary znajomych zielonych oczu.

- W każdym razie ten staż jest w Montanie. To coś naprawdę niesamowitego.

Jest. Stoi przy szafce. Nigdzie nie widać Kay. Ma na sobie kurtkę - czarny polar! - i wyciąga kluczyki. Czuję, jak fala podniecenia zalewa mi żołądek.

- Będę dziś jadła poza szkołą - mówię szybko, łapiąc swoją parkę.

Usta Wendy układają się w wielkie „O”. Jest zaskoczona.

- Przyjechałaś samochodem?

- Tak. Dałam się wrobić Jeffreyowi. Przez kilka tygodni będę go podwozić.

- Super - rzuca Wendy. - Możemy wpaść do Bubba's. Tucker tam pracował, więc zawsze dają mi zniżkę. I mają dobre żarcie, serio. Poczekaj, wezmę płaszcz.

Christian wychodzi. Nie mam czasu.

- Prawdę mówiąc, Wen, mam wizytę u lekarza - dodaję niepewnym głosem. Mam nadzieję, że nie spyta mnie u jakiego.

- Och! - Trudno stwierdzić, czy mi wierzy.

- No. I nie chcę się spóźnić. - Jest już prawie przy drzwiach. Zatrząskuję szafkę i odwracam się do Wendy, nie patrząc jej w oczy. Jestem beznadziejną kłamczuchą. Ale teraz nie ma czasu na poczucie winy. W końcu chodzi o moje zadanie. - Spotkamy się po szkole, dobra? Muszę lecieć.

Praktycznie pędzę do wyjścia.

Jadę za srebrnym avalanche'em Christiana, odkąd opuścił szkolny parking. Trzymam się kilka samochodów z tyłu, żeby nie wyglądało na to, że go śledzę. Jedzie do Pizzy Hut z kilkoma kumplami ze szkoły. Wysiada z samochodu z gościem, którego słabo kojarzę z angielskiego.

Planuję swój ruch. Będę udawała, że natknęłam się na nich przypadkowo.

- O, cześć - mruczę, patrząc we wsteczne lusterko i udając zdziwienie. - Wy też tu wpadliście? Nie macie nic przeciwko, że się przysiadę?

A wtedy on spojrzy na mnie tymi swoimi zielonymi oczami, w których można utonąć, powie „nie ma sprawy” lekko gardłowym głosem i przesunie się, żeby mi zrobić miejsce, a krzesło wciąż będzie ciepłe. A mnie jakimś cudem rozwiąże się język i powiem coś niewiarygodnie dowcipnego. I Christian nareszcie zobaczy, jaka naprawdę jestem.

Nie jest to wprawdzie plan niezawodny, ale najlepszy, jaki udało mi się wymyślić w tak krótkim czasie.

W środku panuje ogromny tłok. Odnajduję Christiana na tyłach, ściśniętego w okrągłym boksie wraz z pięcioma innymi osobami. Z całą pewnością nie ma tam miejsca dla mnie i ani cienia szansy, żebym mogła zwyczajnie podejść, nie zdradzając się przy tym ze swoimi zamiarami. Kolejna porażka.

Znajduję maleńki stolik w rogu z przodu sali, naprzeciwko arkady, i wybieram takie krzesło, żeby Christian ani jego koledzy nie mogli zobaczyć mojej twarzy, choć jestem pewna, że jeśli przyjrzą się uważniej, poznają moje szaleńczo pomarańczowe włosy. Muszę wymyślić nowy plan.

Kiedy czekam na kogoś, kto przyjmie zamówienie, Christian razem z dwoma innymi chłopakami wyskakuje z boksu i rusza w stronę arkady. Wyglądają jak dzieciaki, które wyrwały się na przerwę na dwór. Nagle wyraźnie widzę ich wszystkich, tłoczą się wokół flipera. Christian w środku wrzuca monetę. Patrzę, jak grając, pochyla się nad automatem. Mocno zarysowane brwi ma ściągnięte w wyrazie koncentracji, ręce gorączkowo poruszają

się po obu stronach maszyny. Włożył granatową bluzę z długimi rękawami, napisem: „Spod jakiego znaku jesteś?” i biegnącym w poprzek piersi białym paskiem, na którym widnieją czarny romb, niebieski kwadrat i zielone koło. Nie mam pojęcia, co to znaczy.

- O, człowieku! - Jego kumple stękają niczym banda pełnych współczucia jaskiniowców, kiedy Christian przepuszcza kulkę nie raz, ale dwa, a nawet trzy razy. Najwyraźniej nie jest w tym mistrzem.

- Stary, co się z tobą dzisiaj dzieje? - pyta gość, z którym chodzę na angielski. Shawn, zdaje się, ten, który ma fioła na punkcie snowboardu. - Dałeś ciała, człowieku. Gdzie twój błyskawiczny refleks? Christian przez chwilę nic nie mówi, wciąż gra. A potem z jękiem odwraca się od automatu.

- Ej, mam totalne urwanie głowy - mówi.

- No, jasne. Musisz ugotować rosołek biednej zaki-chanej Kay - kpi inny chłopak.

Christian kręci głową.

- Śmieję się, śmieję, ale laski kochają zupeł. Bardziej niż kwiaty. Możesz mi wierzyć.

Próbuję zebrać się na odwagę i odezwać do Christiana. W Kalifornii wszyscy wiedzieli, że we flipery jestem świetna. Może i tutaj mogłabym zostać superlaską, która wymiata w gry wideo. To o niebo lepsze niż kręcić się koło jego stołu jak jakiś zabłąkany psiak. Oto moja szansa.

- Ej - mówi Shawn, kiedy wstaję. - Czy to nie Wie-wióra?

Kto?

- Co takiego? - pyta Christian. - Jaka wiewióra?

- No wiesz, ta nowa. Z Kalifornii.

Przykre, że potrzebuję dobrej minuty, żeby do mnie dotarło, że chodzi mu o mnie. Czasami naprawdę słabo jest mieć superczuły słuch.

- Stary, ona wciąż się na ciebie gapi - mówi Shawn. Szybko odwracam wzrok, przezwisko ciąży mi w brzuchu jak mokry cement. Wiewióra. Czuję, że do końca życia mogę już nie pokazywać siebie, a w każdym razie swoich włosów, w miejscu publicznym. Ale to dopiero początek.

- Ma wielkie gały, co nie? Jak sowa - mówi inny gość. - Ej, Prescott, może ona ciebie śledzi? No wiesz, niby niezła laska, ale trochę jakby stuknięta, nie?

Shawn wybucha śmiechem.

- O stary! Gorąca Wiewióra. Najlepsza ksywka, jaką znam.

Wiem, że wcale nie chce, żebym usłyszała jego złośliwości. Po prostu rozsądnie zakłada, że jego głos nie może do mnie dotrzeć, skoro stoję po drugiej stronie hałaśliwej restauracji. Ale ja słyszę każde słowo Shaw-na tak, jakby mówił do mikrofonu. Fala gorąca zalewa mnie od stóp do głów. Żołądek podchodzi mi do gardła. Muszę się stąd szybko wydostać, bo im dłużej stoję, tym większą mam pewność, że zdarzy się jedno z dwojga: albo zwymiotuję, albo się rozplacę. A wolałabym umrzeć niż pozwolić, żeby któraś z tych rzeczy przytrafiła mi się w obecności Christiana Prescottta.

- Ludzie, dajcie spokój - mamrocze Christian. - Pewnie po prostu przyszła tu na lunch.

Tak, właśnie tak. I już wychodzi. W tej sekundzie.

Historia Wielkiej Brytanii trzydzieści minut później. Siadam jak najdalej od drzwi i staram się nie myśleć

o słowie „wiewióra”. Marzę o kapturze, który mogłabym naciągnąć na głowę.

Pan Erikson siedzi na krawędzi biurka w za dużej czarnej koszulce, na której widnieje napis:

„Dziewczyny lecą na historyków”.

- Zanim dzisiaj zaczniemy, wyznaczę wam partnerów do specjalnego projektu - oznajmia, otwierając dziennik. - Wybierzcie sobie w parach temat, cokolwiek, co będzie miało związek z historią Anglii, Walii, Irlandii lub Szkocji, i przez kilka następnych miesięcy będziecie go opracowywać, a potem zaprezentujecie klasie.

Ktoś kopie w tył mojego krzesła.

Ośmielam się rzucić spojrzenie przez ramię. Tucker. Jakim cudem ten facet zawsze ląduje za moimi plecami?

Ignoruję go.

Kopie w krzesło jeszcze raz. Mocno.

- Masz jakiś problem? - rzucam szeptem przez ramię.

- Tak. Ciebie.

- Możesz uściślić?

Szczerzy zęby w uśmiechu. Powściągam chęć, żeby odwrócić się i rąbnąć go grubym tomem *Oksfordzkiej ilustrowanej historii Wielkiej Brytanii* w łeb.

- Przestań - mówię zamiast tego.

- Jakiś problem, siostró Claro? - pyta pan Erikson.

Zastanawiam się, czy nie powiedzieć mu, że to Tucker ma problem z utrzymaniem przy sobie nóg. Czuję, jak oczy wszystkich zwracają się w moją stronę, a to ostatnia rzecz, jakiej bym chciała. Nie dziś.

- Nie, po prostu ekscytacja projektem.

- Ekscytacja historią to rzecz godna pochwały -zgadza się pan Erikson. - Ale spróbuj ją powstrzymać, dopóki nie przydzielę ci pary, dobrze?

„Byle nie Tuckera”, modłę się i to najżarliwsza modlitwa w moim życiu. Ciekawe, czy modlitwy anielitów liczą się bardziej niż zwykłych ludzi. Może jeśli zamknę oczy i z całych sił będę prosiła, żeby pan Erikson przydzielił mi Christiana, zdarzy się cud? Musielibyśmy wtedy pracować po szkole, a Kay nie mogłaby nam w tym przeszkodzić. I Christian przekonałby się, że wcale nie jestem obłąkaną wiewiórą z sowimi oczami, a mnie w końcu coś by się w życiu udało.

„Christian”, proszę niebiosa. „Błagam”, dodaję, żeby nie być niegrzeczna.

Partnerem Christiana zostaje król Brady.

- Nie zapominaj, że jesteś chłopem - mówi Brady.

- Ależ skąd, sir - odpowiada pokornie Christian.

- I ostatnia, choć wcale nie najgorsza przez to para: siostra Clara i lady Angela. Myślę, że to będzie naprawdę dynamiczny duet - uśmiecha się pan Erikson. - A teraz macie kilka minut, żeby razem z partnerami zastanowić się nad projektem.

Próbuję się uśmiechnąć, żeby ukryć rozczarowanie. Angela jak zwykle siedzi z przodu sali. Opadam na krzesło obok i przysuwam się bliżej.

- Elvis - rzuca, patrząc na moją koszulkę. - Ładna.

- Och, dzięki. Twoja też jest niezła.

Angela ma na koszulce słynny obraz Bouguereau z dwoma nagimi aniołkami - chłopcem, który całuje w policzek dziewczynkę.

- To chyba *II primo bacio*, prawda? *Pierwszy pocałunek*.

- Tak. Moja mama co roku latem ciągnie mnie do swojej rodziny we Włoszech. Kupiłam tę koszulkę w Rzymie za dwa euro.

- Super. - Nie wiem, co powiedzieć więcej. Przyglądam się uważnie koszulce. Skrzydełka chłopca na obrazie są białe i maleńkie. Mało prawdopodobne, żeby udało mu się poderwać na nich z ziemi tłuściutkie ciało. Dziewczynka patrzy w dół, jakby zupełnie nie była zainteresowana całym tym całowaniem. Jest wyższa od chłopca, szczuplejsza, dojrzała. Jej skrzydła są ciemnoszare.

- Pomyślałam, że mogłybyśmy się spotkać w poniedziałek w kabarecie mojej mamy. To znaczy w Różowej Podwiązce. Nie ma tam teraz żadnych prób, więc będziemy miały mnóstwo miejsca - mówi Angela.

- Brzmi super! - Kiwam głową z entuzjazmem, który zmieściłby się w łyżeczce od herbaty. - Czyli w poniedziałek po szkole?

- Wtedy mam próbę orkiestry. Kończymy około siódmej. Może spotkajmy się w Podwiązce wpół do ósmej?

- Dobra - zgadzam się. - Przyjdę wpół do ósmej. Angela gapi się na mnie. Ciekawe, czy ona i jej przyjaciele, kimkolwiek są, też nazywają mnie wiewiórą.

- Wszystko w porządku? - pyta.

- Tak. Przepraszam. - Twarz mam rozpaloną, a skórę ściągniętą, jakby mnie poparzyło słońce.

Zdobywam się na jeszcze jeden drewniany uśmiech. - To po prostu jeden z tych dni, kiedy wszystko idzie nie tak.

Tej nocy śnię o pożarze lasu. Jest tak jak zwykle: sosny i osiki, gorąco, nadciągające płomienie i patrzący na

nie, odwrócony do mnie plecami chłopak. W powietrzu kłębi się dym. Podchodzę i wołam:

- Christian!

Odwraca się do mnie. Napotyka mój wzrok. Otwiera usta i coś mówi. Wiem, że to ważne, kolejna wskazówka, coś, co ma zasadnicze znaczenie dla zrozumienia mojego zadania.

- Czy ja cię znam?

- Chodzimy razem do szkoły - przypominam mu. Zero reakcji.

- Na lekcje z historii Wielkiej Brytanii. Wciąż nic.

- Pierwszego dnia w szkole zaniósłeś mnie do gabinetu pielęgniarki. Zemdlalam na korytarzu, pamiętasz?

- A tak, pamiętam - mówi. - Ale przypomnij mi, jak masz na imię.

- Clara. - Nie mam czasu, żeby mu o sobie odpowiadać. Nadciąga ogień. - Muszę cię stąd wydostać.

Łapię go za rękę. Nie mam pojęcia, co robić. Po prostu wiem, że musimy stąd iść.

- Co takiego?

- Jestem tu, żeby cię ocalić.

- Ocalić mnie? - pyta z niedowierzaniem.

- Tak.

Uśmiecha się, a potem wciska sobie pięść do ust i wybucha śmiechem.

- Przepraszam. - Ale jakim cudem ty chcesz ocalić mnie?

- To tylko sen - mówi mama.

Nalewa mi do kubka herbatę malinową i siada przy blacie w kuchni. Wygląda tak samo spokojnie jak za-

wsze, jest może tylko odrobinę zmęczona i rozczochrana, stosownie zresztą do okoliczności - jest czwarta rano i właśnie przerażona córka wyrwała ją z łóżka.

- Cukru? - pyta. Kręcę głową.

- Skąd wiesz, że to sen?

- Bo wygląda na to, że twoje wizje zdarzają się tylko na jawie. Niektórzy z nas swoje wizje rzeczywiście śnią, ale ty nie. No i trudno mi uwierzyć, żeby Christian nie pamiętał twojego imienia. Wzruszam ramionami. A potem, ponieważ zawsze to robię, mówię jej o wszystkim. Opowiadam, że Christian bardzo mnie pociąga i że kilka razy rozmawialiśmy w klasie, i że nigdy nie wiem, co powiedzieć. Opowiadam jej o Kay i moim wspaniałym pomysłem, żeby wprosić się na lunch do stolika Christiana, i o tym, jak ten plan nie wypalił. I w końcu mówię jej o Wiewiórze.

- Wiewióra? - pyta, uśmiechając się, kiedy w końcu milknę.

- Tak. Choć jeden chłopak stwierdził, że lepsza jest „Gorąca wiewióra”. - Wzdycham i przetykam herbatę. Pali mnie w język. - Jestem dziwadłem.

Mama żartobliwie uderza mnie w rękę.

- Claro! Uznali, że jesteś gorąca.

- Eee, niezupełnie - mówię.

- Nie użalaj się nad sobą za bardzo. Powinniśmy pomyśleć o innych.

- O innych?

- O innych przezwiskach, które mogliby wymyślić. Żebyś miała gotową ripostę, kiedy je usłyszysz.

- Co?

- Dyniogłowa.

- Dyniogtowa? - powtarzam cicho.
 - To była najgorsza obelga, kiedy ja byłam dzieckiem.
 - Kiedy? Na początku XX wieku? Dolewa sobie herbaty.
 - Setki razy wołali na mnie Dyniogłowa. Albo Sierotka Annie, bo akurat był wtedy popularny wiersz o takim tytule. I jeszcze Maggot*. Nienawidziłam tego przezwiska.
- Trudno mi sobie wyobrazić mamę jako dziecko, a tym bardziej takie, nad którym znęcają się inne dzieciaki. W każdym razie to, co mówi, sprawia, że czuję się troszeczkę (ale tylko troszeczkę) lepiej.
- No dobra, jak jeszcze cię nazywali?
 - Poczekaj. Marchewka, Karotka. Te dwa były bardzo popularne.
 - Na mnie też już tak ktoś mówi - przyznałam.
 - A, i jeszcze Pippi Langstrumpf.
 - No co ty?! - Wybucham śmiechem. - Z czym do ludzi, Rudzino?
- I tak to idzie dalej, aż w końcu obie pokładamy się ze śmiechu i wtedy w drzwiach pojawia się Jeffrey, rzucając nam gniewne spojrzenie.
- Przepraszam - mówi mama, wciąż chichocząc. -Obudziłyśmy cię?
 - Nie. Mam trening. - Przciska się do lodówki, wyciąga karton soku pomarańczowego, nalewa sobie szklanekę, pochłania ją w trzech łykach i stawia na blacie, gdy tymczasem my próbujemy się uspokoić. Nie potrafię się powstrzymać. Odwracam się do mamy.
- * **Maggot (ang.) - czerw (przyp. tłum.).**

- Czyżbyś należała do klanu Weasleyów? - pytam.

- Nieźle, Ryżyku - odparowuje.

- A to niby co? Pewnie skutek uboczny twojej rudo-watości pospolitej.

I znów zanosimy się śmiechem niczym para hien.

- Wy dwie powinnyście poważnie pomyśleć o tym, żeby odstawić kofeinę. Clara, nie zapomnij, że za dwadzieścia minut masz mnie odwieźć na trening - mówi Jeffrey.

- Masz to jak w banku, bracki.

Idzie na górę. W końcu nasz śmiech zamiera. Wycieram oczy. Bolał mnie boki.

- Wymiatasz, wiesz o tym? - pytam mamę.

- To było zabawne - odpowiada. - Dawno się tak nie uśmieiałam.

Zapada cisza.

- Jaki jest Christian? - pyta nagle mama, jakby to była zwykła pogawędka. - Wiem, że cudowny i najwyraźniej cierpi na kompleks bohatera, ale jaki jest? Nigdy o tym nie mówiłaś.

Czerwienię się.

- Nie wiem. - Wzruszam ramionami zakłopotana. - To dla mnie wielka zagadka i wydaje mi się, że powinnam ją rozwiązać. Nawet koszulka, którą dzisiaj włożył, była czymś w rodzaju szyfru. Miała napis: „Spod jakiego znaku jesteś?“, a pod spodem czarny romb, niebieski kwadrat i zielone koło. Nie mam pojęcia, co to miałyby znaczyć.

- Hm - mruczy mama. - To rzeczywiście tajemnicze.

Zrywa się, na kilka minut znika w swoim gabinecie, po czym pojawia się z uśmiechem na twarzy

i wydrukiem w dłoni. Moja stuletnia mama jest mistrzynią w Google'ach.

- Narty - obwieszcza triumfalnie. - Te symbole oznaczają stopień trudności trasy narciarskiej. Czarny romb to trasa trudna, niebieski kwadrat średnia, a zielone koło łatwa. Christian jest narciarzem.

- Narciarzem - powtarzam. - Widzisz? Nie miałam pojęcia. To znaczy wiem, że jest leworęczny, używa wody Obsession, a kiedy się nudzi na lekcji, bazgrze na marginesie. Ale nie znam go. Ani on tak naprawdę nie zna mnie.

- To się zmieni - zapewnia mama.

- Czyżby? I czy w ogóle mam go poznać? Albo ocalić? Wciąż się zastanawiam dlaczego. Dlaczego jego? To znaczy, wiesz, ludziom zdarza się zginąć w pożarze. Może nie tak wielu, ale co roku kilku na pewno. Więc dlaczego wysłano mnie tutaj, żebym ocaliła akurat jego? A jeśli mi się nie uda? Co wtedy?

- Posłuchaj, Claro. - Mama pochyla się i ujmuje moją dłoń. Jej oczy już wcale nie lśnią. Tęczówki ma ciemne, prawie fioletowe. - Nie wysłano cię tu z misją, której nie dasz rady wypełnić. Musisz znaleźć w sobie siłę i ją wzmocnić. Zostałaś stworzona, żeby wykonać to zadanie. A Christian nie jest jakimś przypadkowym chłopcem, na którego natknęłaś się bez powodu. Nic nie dzieje się bez powodu.

- Myślisz, że Christian może być kimś ważnym? Że na przykład któregoś dnia zostanie prezydentem albo wynajdzie lekarstwo na raka?

Uśmiecha się.

- Jest okropnie ważny - podkreśla. - Tak jak i ty. Naprawdę chciałabym jej wierzyć.

6. *Hej ho, Hej ho, na narty by sie szlo*

W niedzielę rano jedziemy do Teton Village, dużego słynnego kurortu narciarskiego kilka kilometrów od Jackson. Jeffrey przysypia na tylnym siedzeniu. Mama wygląda na zmęczoną, to pewnie efekt zbyt wielu pracowitych wieczorów i poważnych rozmów z córką prowadzonych bladym świtem.

- Mamy skręcić przed Wilson, tak? - pyta, ściskając kierownicę w pozycji za dziesięć drugą. Mruży oczy, spoglądając przez przednią szybę, jakby raziło ją słońce.

- Tak. Droga numer 380 czy coś w tym rodzaju po prawej.

- Trzysta dziewięćdziesiąt - mówi Jeffrey z zamkniętymi oczami.

Mama ściska nasadę nosa, mruga kilka razy, po czym poprawia pozycję rąk na kierownicy.

- Co się dzisiaj z tobą dzieje? - pytam.

- Boli mnie głowa. Jeden projekt nie wychodzi tak, jak zaplanowałam.

- Strasznie dużo pracujesz. Co to za projekt? Ostrożnie skręca w drogę numer 390.

- I co teraz? - pyta.

Sprawdzam wskazówki na mapie, którą wydrukowałam z Internetu.

- Jedź prosto około ośmiu kilometrów, dopóki nie natrafimy na miejscowość po lewej. Nie powinniśmy jej przeoczyć.

Jedziemy jakieś pięć minut, mijamy restauracje, tereny przemysłowe i kilka gospodarstw agroturystycznych, gdy raptem z boku otwiera się przed nami widok

na kurort. Między drzewami widać białe fragmenty stoku i wagoniki zmierzające na sam szczyt. Góra sprawia wrażenie obłąkańczo stromej. Niczym Mount Everest. Jeffrey siada, żeby mieć lepszy widok.

- Ale fantastyczna góra - cieszy się, jakby nie mógł się doczekać, aż się z niej rzuci. Patrzy na zegarek.

- Ej, mamó, musisz jechać jak staruszka?

- Potrzebujesz pieniędzy? - pyta mama, ignorując jego uwagę. - Clara już dostała swoją działkę na lekcje.

- Niepotrzebne mi lekcje. Ale chciałbym się tam dostać jeszcze w tym tysiącleciu.

- Przestań - przerywam mu. - Dotrzemy, kiedy dotrzemy. Zostało nam już niecałych piętnaście kilometrów.

- Może powinniście mnie tu wyrzucić. Szybciej będę na piechotę.

- Oboje przestań... - zaczyna mama, ale wpada w poślizg.

Wciska hamulec, lecz zarzuca nas na boki i przyspieszamy. Obie z mamą krzyczymy, kiedy samochód przechyliła się, zjeżdża z drogi i wbija się w zaspę. Zatrzymujemy się na granicy niewielkiego pola.

Mama bierze głęboki, urywany wdech.

- Ej, to ty nam mówiłaś, że uwielbiasz tutejszą zimę - przypominam jej.

- Super. - Głos Jeffrey'a ocieka sarkazmem. Odpina pas i otwiera drzwi. Samochód zarył się jakieś pół metra w śniegu. - Po prostu super.

- A co, masz jakieś ważne spotkanie? - pytam. Rzuca mi pełne odrazy spojrzenie.

- Och, już łapię - mówię. - Umówiłeś się z kimś. Jak ma na imię?

- Nie twój interes.

Mama wzdycha i wrzuca wsteczny. Samochód cofa się jakieś trzydzieści centymetrów, po czym opony zaczynają obracać się w miejscu. Rusza w przód i próbuje cofnąć znowu. Bez powodzenia. Utknęliśmy. W zaspie. Z widokiem na stok. Naprawdę trudno o większe upokorzenie.

- Mogę wysiąść i popchnąć - oferuje się Jeffrey.

- Poczekaj - uspokaja go mama. - Ktoś będzie jechał. Jak na zawołanie z drogi zjeżdża półciężarówka.

Ze

środką wysiada jakiś facet i brnie do nas przez śnieg. Mama opuszcza szybę.

- Proszę, proszę, co my tu mamy - mówi. Otwieram usta ze zdumienia. Przez okno zagląda Tucker, szczerząc się od ucha do ucha. A więc upokorzenie może być jeszcze większe.

- Cześć, Karotko - rzuca. - Jeff.

Kiwa głową mojemu bratu, jakby byli najlepszymi kumplami. Jeffrey odpowiada mu tym samym.

Mama się uśmiecha.

- Chyba jeszcze nie zdążyliśmy się poznać - mówi. - Maggie Gardner.

- Tucker Avery.

- Brat Wendy?

- Tak, proszę pani.

- Przydałaby się nam pomoc. - Mama mówi słodkim głosem, kiedy ja osuwam się na siedzeniu, chcąc umrzeć.

- Pewnie. Po prostu się nie ruszajcie.

Biegnie do samochodu i wraca z holem, który sprawnie zaczepia u podwozia, jakby to robił milion razy. Cofa się do swojego wozu i przymocowuje linę, po czym gładko odholowuje nas na drogę. Cała operacja trwa jakieś pięć minut.

Mama wysiada z auta. Gestem woła mnie, żebym zrobiła to samo. Patrzę na nią, jakby oszalała, ale się upiera.

- Musisz mu podziękować - mruczy pod nosem.

- Mamo.

- Bez gadania.

- No dobra.

Wysiadam z samochodu. Tucker klęczy w śniegu obok swojej półciężarówki, odczepiając linę. Patrzy na mnie i znowu się uśmiecha. W lewym policzku robi mu się dołeczek.

- Na wypadek gdybyś nie zauważyła, to moja zardzewiała gabłota właśnie wyciągnęła was z zasy.

- Bardzo dziękujemy. - Mama patrzy na mnie znacząco.

- Tak, bardzo - syczę przez zaciśnięte zęby.

- Nie ma sprawy - mówi serdecznie Tucker i w tym momencie spostrzegam, że jeśli chce, potrafi być czarujący-

- I przekaz Wendy pozdrowienia - dodaje mama.

- Przekazę. Miło było panią poznać. - Gdyby miał kowbojski kapelusz, na pewno by go uchylił.

Wsiada do ciężarówki i odjeżdża bez słowa.

Patrzę na zbocze, w ślad za znikającym Tuckerem, raz jeszcze zastanawiając się nad całym tym narciarstwem.

Ale przecież Christian jest narciarzem, napominam się. Hej ho, hej ho, na narty by się szło.

- Ten Tucker wydaje się całkiem miłym młodym człowiekiem - zauważa mama, kiedy wracamy do samochodu. - Jak to możliwe, że nigdy o nim nie wspomniałaś?

Piętnaście minut później stoję w miejscu, gdzie adepci sztuki narciarskiej mają się spotkać ze swoimi instruktorami. Pełno tu rozwrzeszczanych maluchów w kaskach i goglach. Czuję się nieswojo, jak astronauta, który właśnie zamierza postawić stopę na obcej planecie. Mam na sobie wypożyczone narty i buty - cudaczne i dość ciasne - które sprawiają, że stawiam śmieszne kroki, a poza tym tyle narciarskiego sprzętu, ile mamie udało się na mnie wcisnąć. Ściągnęłam taśmę z gogli i schowałam nietwarzową wełnianą czapkę do kieszeni, ale od szyi w dół każdy centymetr mojego ciała jest opatulony i usztywniony. Nie mam pojęcia, czy w ogóle uda mi się poruszyć, nie wspominając o jeździe. Instruktor, który miał się pojawić punkt dziewiąta, spóźnia się już pięć minut. Właśnie widziałam, jak mój upierdliwy braciszek wskoczył na wyciąg, jakby to nie było nic wielkiego, i kilka minut później pomknął w dół w towarzystwie blondynki, jakby się urodził na snowboardzie. Życie jest do kitu. A poza tym zimno mi w stopy.

- Przepraszam za spóźnienie - słyszę za plecami grzmiący głos. - Musiałem wyciągnąć Kalifornijczyków z zasy.

To nie może być prawda. Los nie jest aż tak okrutny. Odwracam się i napotykam niebieskie oczy Tuckera.

- Mieli szczęście - mówię.

Usta mu drgają, jakby próbował się nie roześmiać. Nastrój ma znakomity.

- A więc krążysz po okolicy, wyciągając tumanów ze śniegu i ucząc ich jazdy na nartach - zagaduję. Wzrusza ramionami.

- W sezonie to się opłaca.

- A jesteś w tym dobry?

- W wyciąganiu tumanów ze śniegu? Najlepszy.
- Ha, ha, bardzo zabawne. Nie, w uczeniu ich jazdy na nartach.
- Sama się przekonasz.

I od razu przechodzi do rzeczy - pokazuje, jak utrzymać równowagę, jaką pozycję mam przyjąć, jak skręcać i się zatrzymywać. Traktuje mnie jak każdego innego nowicjusza, i bardzo dobrze. Nawet się trochę rozluźniam. Wszystko wydaje się całkiem proste, kiedy już się człowiek przełamie.

Ale właśnie wtedy Tucker każe mi skorzystać z wyr-wiraczki.

- To nic trudnego. Po prostu trzymaj się liny i pozwól, żeby cię wciągnęła na górę. A jak już się znajdziesz na szczycie, puść ją.

Najwyraźniej uważa mnie za kretynkę. Niezgrabnie przedzieram się do wyciągu, z trudem wspinam się pod górę, gdzie śliska czarna lina ciągnie się po śniegu. Chwytam ją, czuję szarpnięcie, lecę do przodu i omal się nie wywalam, ale jakimś cudem udaje mi się ustawić równo narty i wyprostować plecy. Pozwalam, żeby lina pociągnęła mnie w górę. Rzucam okiem przez ramię na Tuckera, żeby sprawdzić, czy się śmieje. Twarz ma poważną. Wygląda jak sędzia olimpijski gotowy do wystawienia oceny. Albo jak gość, który za chwilę zostanie świadkiem straszliwego wypadku.

Na szczycie wzgórza puszczam linę i z trudnością przedzieram się w bok, zanim wjedzie na mnie następny dzieciak. A potem stoję przez chwilę i spoglądam w dół. Tucker czeka u podnóża. Stok nie jest stromy, nie ma tu drzew, o które mogłabym się rozbić, co jest pocieszające. Ale za Tuckerem zbocze opada dalej, a za wyciągiem,

chatką narciarską i rzędem sklepików widać parking. Nagle widzę siebie pod kołami samochodu.
- Dawaj! - woła Tucker. - Śnieg nie gryzie. Myśli, że się boję. No dobra, boję się, ale myśl o tym, że Tucker uważa mnie za tchórza, sprawia, że z determinacją zaciskam zęby. Ostrożnie ustawiam narty w literę „V”, tak jak mi pokazał. A potem się odpycham.

Zimne powietrze owiewa mi twarz, wplątuje się we włosy i sprawia, że trzepoczą mi za plecami niczym chorągiew. Kładę większy nacisk na jedną stopę i posuwistym krokiem prześlizguję się w lewo. Próbuję znowu, tym razem zataczając łuk w prawo. I tak ślizgając się raz w jedną, raz w drugą stronę, zjeżdżam w dół zbocza. Przez chwilę jadę prosto, nabierając prędkości, a potem próbuję znowu. Łatwizna. Kiedy zbliżam się do Tuckera, rozkładam ciężar równomiernie na obu stopach i robię szersze „V”, tak jak mnie nauczył. Zatrzymuję się. Kaszka z mlekiem.

- Może powinnam spróbować w inny sposób. Z prostymi nartami.

Patrzy na mnie, marszcząc brwi, dobry nastrój najwyraźniej prysł.

- Pewnie chcesz, żebym uwierzył, że to twój pierwszy raz na nartach.

Zaskoczona patrzę na jego zachmurzoną twarz. Chyba nie spodziewał się, że się przewrócę na tej maleńkiej górce. Zerkam na innych początkujących. Przypominają stado zdezorientowanych kaczek, próbując nie wpaść jeden na drugiego. Może nie tyle przewracają się, ile przez siebie koziółkują. Powinnam skłamać Tuckerowi, powiedzieć, że już kiedyś jeździłam. Tego wymagałaby dyskrecja. Ale nie

chcę kolejny raz w tym tygodniu oszukiwać następnego Avery'ego.

- Spróbować znowu?

- Tak - mówi Tucker. - Myślę, że powinnaś spróbować jeszcze raz.

Tym razem jedzie na górę razem ze mną, a kiedy zjeżdżam, jest tuż obok. Jego obecność sprawia, że się denerwuję i kilka razy omal nie upadam, ale myśl o upokorzeniu, jakim byłaby wywrotka przed nosem Tucke-ra, pomaga mi utrzymać się w pionie. Kiedy lądujemy u podnóża, każe mi zjechać znowu, tym razem stylem równoległym, który podoba mi się bardziej. Jest dużo zgrabniejszy. Sama przyjemność.

- Od dwóch lat uczę początkujących - dziwi się Tucker, kiedy kończymy piątą już pewnie kolejkę - i pierwszy raz widzę, żeby ktoś przez całą godzinę ani razu się nie wywrócił.

- Mam dobrą równowagę - tłumaczę. - W Kalifornii dużo tańczyłam. Balet.

Patrzy na mnie zwąszonymi oczami, jakby nie potrafił zrozumieć, z jakiego innego powodu mogłabym kłamać poza chęcią popisania się. Albo może zatkało go, bo nie sądził, że jakaś kalifornijska japiszonka będzie dobra w czymś innym niż zakupy.

- No dobra, to byłoby tyle - kończy nagle. - Koniec lekcji.

Odwraca się w stronę chatki.

- Co powinnam zrobić teraz? - wołam w ślad za nim.

- Spróbuj wyciągu krzeselkowego - odpowiada i odjeżdża.

Przez chwilę stoję przed kolejką do wyciągu krzeselkowego dla początkujących i patrzę, jak ludzie wsiadają. Sprawiają wrażenie, jakby nie było to szczególnie trudne. Wszystko jest kwestią wyczucia czasu. Szkoda, że Tucker jest takim palantem. Przydałoby się kilka instrukcji.

Postanawiam spróbować. Ustawiam się w kolejce. Kiedy jestem już na przodzie, pracownik obsługi kasuje mi bilet.

- Jesteś sama? - pyta.

- Tak.

- Jedyńka! - krzyczy głośno do tyłu. - Mamy wolne miejsce!

Ale żenada. Nagle wołałabym mieć gogle.

- W porządku - Gość od kolejki macha do kogoś ręką. Kiedy gestem wskazuje na mnie, przesuвам się w kierunku narysowanej na śniegu linii, ustawiam narty, oglądam się przez ramię i nerwowo zerkam na ławeczkę, która kołysząc się, zmierza w moją stronę. Wali mnie mocno po nogach. Siadam, a ona unosi mnie w powietrze. Szybko wznoszę się w górę zbocza, delikatnie się huśtając. Z ulgą wypuszczam powietrze.

- Aż tak źle?

Odwracam się, żeby zobaczyć, kto siedzi obok. W jednej chwili tracę oddech.

Jadę wyciągiem z Christianem Prescottem.

- Cześć-mówię.

- Cześć, Claro.

Pamięta moje imię. To był tylko sen. Zwyczajny głupi sen.

- Niezła pogoda na narty, nie? - zagaduje mnie.

- Tak.

Serce wali mi jak oszalałe, czuję dudnienie krwi w uszach. Christian sprawia wrażenie, jakby na wyciągu czuł się jak w domu. W leśnozielonej narciarskiej kurtce, czarnych spodniach, czarnej czapce, goglach podciągniętych na czoło i w puchatym ocieplaczu na szyi wygląda jak chłopak z plakatu reklamującego sporty zimowe. Jego szmaragdowe oczy na tle kurtki wyglądają olśniewająco. Jest tak blisko, że czuję ciepło jego ciała.

- Ej, czy to nie ciebie widziałem ostatnio w Pizza Hut? - pyta.

Musiał o tym wspomnieć. Gorąco napływa mi do twarzy. Może patrzy teraz na moje włosy i myśli sobie: Wiewóra, Gorąca Wiewióra. Dlaczego, och dlaczego nie włożyłam tej głupiej czapki na moje głupie włosy?

- Tak, może. To znaczy byłam tam i... może mnie widziałeś - jąkam się. - Bo rozumiem, że mnie widziałeś, tak? To znaczy ja ciebie widziałam.

- Szkoda, że nie podeszłaś, żeby się przywitać.

- Szkoda.

Spoglądam w dół, na przemykającą pod nami ziemię, szukając jakiegoś tematu do rozmowy. Narty Christiana, czarne, wymyślne, lekko zaokrąglone, znacznie różnią się od moich.

- Nie jeździsz na desce? - pytam.

- Jeżdżę - mówi. - Ale wolę narty. Jestem w drużynie narciarskiej. Chcesz jolly ranchera?

- Co takiego?

Wsuwa kijki pod udo i ściąga rękawiczki, po czym rozpina suwak przy kieszeni kurtki, wsadza rękę do środka i wyciąga garść twardych cukierków.

- Zawsze zabieram je na narty.

Czuję, że nagle straszliwie zaschło mi ustach.

- Pewnie. Chętnie się poczęstuję.

- Rozgrzewający czy wiśniowy?

- Rozgrzewający.

Rozwija cukierek i wrzuca go sobie do ust, a potem podaje jednego mnie. W swoich grubych rękawicach nie mogę go nawet wziąć.

- Ja to zrobię.

Rozwija cukierek i przechyla się do mnie. Próbuje odgarnąć włosy z twarzy.

- Otwórz usta - mówi, trzymając cukierek.

Bardzo ostrożnie kładzie mi cukierek na języku. Nasze oczy spotykają się na moment. Gdy zamykam usta, przesuwają się z powrotem na swoje miejsce.

- Dzięki - mamrocę z cukierkiem w buzi. Zanoszę się kaszlem. Cukierek okazuje się wyjątkowo palący. Żałuję, że nie poprosiłam o wiśniowy.

- Nie ma sprawy. - Wkłada rękawiczki.

- Pewnie musisz trenować co weekend, skoro jeździsz w drużynie narciarskiej - zagajam.

- W weekendy przychodzę zwykle pojeździć dla przyjemności. I żeby się pościgać, jeśli są zawody. W tygodniu ćwiczę wieczorami w Snow King.

- O rany, jeździsz po nocy? Śmieje się.

- Pewnie. Trasy są oświetlone. Prawdę mówiąc, uwielbiam jeździć wieczorami. Nie ma wtedy takich tłumów. I jest cicho. Widać światła miasta. Naprawdę pięknie.

- Brzmi, jakby rzeczywiście tak było.

Oboje przez chwilę milczymy. Christian delikatnie stuknął o siebie nartami, posyłając w dół fontannę śniegu. To absolutnie nierzeczywiste - wisieć z nim w powietrzu nad stokiem, oglądać go z bliska, słuchać jego głosu.

- Snow King to ten ośrodek narciarski w Jackson Hole, tak? - zagaduję.
- Tak. Jest tam tylko pięć torów, ale to dobre miejsce na treningi. No i podczas mistrzostw stanowych dzieciaki ze szkoły mogą nas oglądać z parkingu.
- Mam właśnie powiedzieć coś na temat tego, że chętnie zobaczyłabym, jak się ściga, kiedy zauważam, że ławeczka zbliża się do niewielkiej budki na zboczu, a narciarze zeskakują.
- O kurczę.
- Co takiego? - pyta Christian.
- Nie wiem, jak się z tego schodzi.
- Nie wiesz...
- To mój pierwszy dzień na nartach - wyjaśniam, czując, jak w panice żołądek podchodzi mi do gardła. Budka jest coraz bliżej. - Co mam robić?
- Trzymaj czubki nart w górze - instruuje mnie szybko Christian. - Podjedziemy pod górkę. Kiedy zrobi się równo, wstań i przesun się na bok. Musisz to zrobić dość szybko, żeby zejść z drogi ludziom za tobą.
- O człowieku. Nie wiem, czy to był taki dobry pomysł.
- Wyluzuj - rzuca Christian. - Pomogę ci. Ławeczkę od budki dzielą już tylko sekundy. Czuję, że mam napięte wszystkie mięśnie.
- Ustaw kijki - rzuca.
- Dasz radę, mówię sobie, wpasowując palce i ściskając mocno kijki. W twoich żyłach płynie anielska krew. Jesteś silniejsza, szybsza, bystrzejsza niż inni. Choć raz to wykorzystaj.
- Czubki w górę - przypomina Christian.

Unoszę narty. Przelatujemy ponad niewielkim nasypem, a potem, tak jak mówił, zjeżdżamy do poziomego gruntu.

- Wstawaj! - rozkazuje.

Zrywam się na nogi. Ławeczka wali mnie po łydkach, popychając do przodu.

- A teraz przesun się na bok - komenderuje Christian, odjeżdżając na prawo.

Chcę ruszyć za nim - stawiam kijki na śniegu i odpycham się z całej siły. Zbyt późno zdaję sobie sprawę, że chodziło mu o to, żebym pojechała w lewo. Odwraca się, żeby sprawdzić, jak sobie radzę, akurat w chwili, gdy tracę równowagę i lecę w jego stronę. Wjeżdżam na jego narty i przewracam się, chwytając go za ramię.

- Powoli! - krzyczy, próbując utrzymać równowagę, ale nie ma szans. Ześlizgujemy się kawałek, po czym oboje wpadamy w zaspę.

- Przepraszam - mamroczę, leżąc na nim. Mój rozgrzewający jolly rancher ląduje w śniegu obok jego głowy. Czapka i gogle Christiana zniknęły. Moje narty wypięły się, kijków też nigdzie nie widać.

Próbuję się podnieść, ale najwyraźniej nie potrafię zmusić swoich stóp do posłuszeństwa.

- Nie ruszaj się - mówi stanowczym głosem Christian. Zamieram. Obejmuje mnie ramionami i delikatnie

przetacza na bok. A potem odpina nartę, którą wciąż mam pod nogą, i odsuwa ją. Leżę na plecach w śniegu, marząc, żeby wykopać sobie dziurę, wczłgać się do środka i zostać tam do końca roku szkolnego. A może nawet do końca życia. Zamykam oczy.

- Nic ci nie jest? - pyta Christian.

Otwieram oczy. Pochyla się nade mną nisko. Czuję zapach wiśniowego cukierka w jego oddechu. Za jego plecami chmury przesuwają się, odsłaniając słońce, i niebo rozjaśnia się tak, jakby się otwierało. Nagle czuję się świadoma wszystkiego, co się dzieje wokół: serca pompującego krew w moich żyłach, śniegu, który topnieje pod moim ciałem, igieł na drzewach poruszających się w podmuchu wiatru, mieszanki zapachu sosny, wody koloń-skiej Christiana i czegoś, co mogłoby być woskiem do nart, stukania ławeczek mijających słupki wyciągu.

I Christiana z włosami zgniecionymi od czapki, patrzącego na mnie roześmianymi oczami, zapierającego dech w piersi.

Nie myślę o ogniu ani o swoim zadaniu. Nie myślę o tym, że mam go ocalić. Zastanawiam się, co by było, gdybym go pocałowała.

- Wszystko w porządku.

Odgarnia mi kosmyk włosów z twarzy, jego dłoń muska mój policzek.

- To było niezłe - mówi. - Dawno mi się nie zdarzyło.

W pierwszym odruchu sędzę, że chodzi mu o to coś z moimi włosami, ale po chwili orientuję się, że ma na myśli upadek.

- Zdaje się, że będę musiała poćwiczyć trochę z wyciągiem - stwierdzam.

Pomaga mi usiąść.

- Może odrobinę. Chociaż świetnie sobie poradziłaś jak na nowicjuszkę. Gdybym nie stanął ci na drodze, na pewno byś dała radę.

- Jasne. To twoja wina.

- Wyłącznie. - Zerka na faceta w budce, który rozmawia właśnie przez telefon, prawdopodobnie wzywając narciarską policję, żeby mnie ściągnęła ze zbocza. - Nic jej nie jest, Jim! - woła do niego, a potem odnajduje moje narty i kijki, które na szczęście nie odjechały zbyt daleko. - Miałaś czapkę? - pyta, kiedy udaje mu się odszukać własną. Wkłada ją i poprawia gogle. Kręcę głową, po czym ostrożnie dotykam włosów, które znów odmówiły współpracy z gumką i teraz swobodnie opadają mi na ramiona, pozlepiane śniegiem.

- Nie. Ja nie... nie miałam czapki.

- Podobno dziewięćdziesiąt procent ciepła człowiek traci przez głowę.

- Postaram się o tym pamiętać.

Ustawia moje narty i przykleka, żeby pomóc mi je przypiąć. Żeby nie stracić równowagi, łapię go za ramię.

- Dzięki - mrużę, spoglądając na niego z góry.

I znów jest moim bohaterem. A to podobno ja go mam ocalić.

- Nie ma sprawy. - Christian patrzy w górę, mrużąc oczy, jakby studiował moją twarz. Płatek śniegu ląduje mu na policzku i topnieje. Nagle, jak gdyby o czymś sobie przypomniał, wyraz jego twarzy się zmienia. Podnosi się i w pośpiechu przypina narty. - Tam jest trasa dla początkujących, niezbyt stroma

- mówi, wskazując zjazd za moimi plecami. - Nazywają ją trasą Kubusia Puchatka.

- Och, super. - Mój znak to zielone kółko.

- Zostałbym, żeby ci pomóc, ale jestem już spóźniony na wyścig wyżej w górach - tłumaczy się. - Myślisz, że dasz radę zjechać?

- Pewnie - odpowiadam pośpiesznie. - Całkiem nieźle mi szło na oślej łączce. Ani razu się nie wywaliłam. To znaczy aż do teraz. A jak się dostaniesz wyżej?

- Tam jest drugi wyciąg. - Wskazuje ręką miejsce, gdzie rzeczywiście buczy kolejny, większy wyciąg, tym razem krzeselkowy, wiozący ludzi w górę niewiarygodnie stromo wyglądającego wzniesienia. - A dalej następny.

- To szaleństwo - stwierdzam. - W ten sposób moglibyśmy dostać się na sam szczyt.

- Ja bym mógł. Ale to nie jest trasa dla początkujących.

Niezwykła chwila stanowczo minęła.

- Jasne. No cóż, jeszcze raz wielkie dzięki - dodaje zakłopotana. - Za wszystko.

- Nie ma o czym mówić. - I odjeżdża w stronę drugiego wyciągu. - Do zobaczenia, Claro! - krzyczy przez ramię.

Patrzę, jak podjeżdża i z wdziękiem sadowi się na krzeselku, które, chwiejąc się w przód i w tył, unosi się przez zaśnieżone powietrze w górę stoku. Patrzę, dopóki nie zniknie zielona kurtka.

- Do zobaczenia - szepczę.

To wielki krok do przodu, nasza pierwsza prawdziwa rozmowa. Na tę myśl wzbiera mi w sercu uczucie tak silne, że aż łzy pieką mnie w oczach. To żenujące.

To coś w rodzaju nadziei.

7. *Swój do swego*

W poniedziałek koło wpół do ósmej jadę do Różowej Podwiązki spotkać się z Angelą Zerbino. W kabarecie jest ciemno. Pukam, ale nikt nie podchodzi do drzwi. Wyciągam komórkę i orientuję się, że nie znam numeru telefonu Angeli. Znowu pukam, tym razem mocniej. Drzwi otwierają się tak szybko, że aż podskakuję. Spogląda z nich niska, żylasta kobieta z długimi czarnymi włosami. Sprawia wrażenie poirytowanej.

- Zamknięte - rzuca.

- Przyszłam do Angeli. Jej brwi wędrują do góry.

- Jesteś jej koleżanką?

- Eee...

- Proszę, wejdź - zaprasza kobieta, przytrzymując drzwi otwarte.

W środku panuje nieprzyjemna cisza, pachnie popcornem i trocinami. Rozglądam się dookoła. Na szklanej ladzie obok ułożonych rzędem słodczy stoi staromodna kasa. Ściany ozdobiono oprawionymi w ramki plakatami ze starych przedstawień, w większości o Dzikim Zachodzie.

- Miłe miejsce - mówię i wpadam na słupek, omal nie wywracając wszystkich połączonych aksamitną liną. Na szczęście, zanim nastąpi reakcja łańcuchowa, udaje mi się go chwycić. Zażenowana oglądam się na kobietę, która obserwuje mnie z dziwnym, nieodgadnionym wyrazem twarzy. Z wyjątkiem oczu - ciemnobrązowych, nie bursztynowych - wygląda jak Angela. Wokół ust ma głębokie zmarszczki, przez które sprawia wrażenie

starszej, niż wskazywałaby na to jej sylwetka. Przypomina Cyganekę ze starych filmów.

- Nazywam się Clara Gardner - przedstawiam się nerwowo. - Robimy z Angielką projekt do szkoły.

Kiwa głową. Na jej szyi dostrzegam ogromny złoty krzyż z postacią Chrystusa.

- Możesz zaczekać tutaj. Powinna się niedługo pojawić.

Idę za matką Angeli korytarzem w głąb teatru. Wokoło panują nieprzeniknione ciemności. Słyszę, jak kobieta odsuwa się i raptem na scenie pojawia się krąg światła.

- Siadaj, gdzie chcesz.

Kiedy wzrok mi się przyzwyczaja, widzę, że w sali stoją okrągłe stoliki przykryte białymi obrusami.

Podchodzę do najbliższego i siadam przy nim.

- Jak pani myśli, kiedy Angielka się zjawi? - pytam, ale kobiety już nie ma.

Czekam może pięć minut - wystarczająco długo, żeby spanikować - gdy w końcu Angielka wpada przez boczne drzwi.

- Oj, przepraszam. Próba się przeciągnęła.

- Na czym grasz?

- Na skrzypcach.

Nietrudno ją sobie wyobrazić z instrumentem wetkniętym pod brodę, rzępolącą jakąś rzewną rumuńską melodię.

- Mieszkasz tutaj?

- Tak. Na górze jest mieszkanie.

- Tylko ty i mama? Spogląda na swoje dłonie.

- Tak - odpowiada. - Tylko mama i ja.

- Ja też nie mieszkam z tatą - mówię. - Tylko z mamą i bratem.

Podnosi wzrok i przez kilka sekund przygląda mi się badawczo.

- Dlaczego się tu przeprowadziliście? - pyta. Siada na krześle naprzeciwko i patrzy na mnie poważnie miodowymi oczami. - Podejrzewam, że w rzeczywistości wcale nie podpałałaś swojej szkoły.

- Słucham?

Spogląda na mnie współczująco.

- Krążą takie słuchy. Nie wiedziałaś, że twoja rodzina musiała zwiewać z Kalifornii z powodu twoich niecnym postępów?

Roześmiałybym się, gdyby nie ogarniająca mnie zgroza

- Nie martw się - pociesza Angela. - To przycichnie. Plotki Kay zawsze przycichają. To imponujące, jak szybko udało ci się zrobić sobie z niej wroga.

- Aha, dzięki. - Uśmiecham się znacząco. - A pomijając moje nieczne postęпки, przeprowadziłyśmy się z powodu mojej mamy. Miała dość Kalifornii. Uwielbia góry i uznała, że chce, żebyśmy dorastali gdzieś, gdzie niekoniecznie musimy codziennie oglądać powietrze, którym oddychamy.

Uśmiecha się, słysząc mój żart, ale tylko z grzeczności. To taki litościwy uśmieszek. Znowu zapada milczenie.

- Dobra, dość tego gadania - rzucam nerwowo. - Porozmawiajmy lepiej o projekcie. Myślałam o czasach królowej Elżbiety. Mogłybyśmy opowiedzieć, co to wtedy znaczyło być kobietą, nawet kobietą u władzy. Taki lekko feministyczny projekt.

- Prawdę mówiąc, mam inny pomysł.
- Dobra, strzelaj.
- Mogłybyśmy przygotować prezentację o aniołach z Mons.
- Omam się nie dławie. Gdybym piła wodę, mogłabym opluć stół.
- Co to takiego anioły z Mons? - pytam.
- To historia z czasów I wojny światowej. Doszło wtedy do bitwy między Niemcami i Anglikami i ci ostatni, choć dużo mniej liczni, wygrali. Krążyły słuchy, że Brytyjczykom pomogły widma, tajemniczy mężczyźni, którzy strzelali do Niemców z łuków. Według jednej z wersji mężczyźni stali między walczącymi armiami w powodzi niezemskiego światła.
- Ciekawe. - Tylko tyle udaje mi się wydusić.
- To oczywiście mistyfikacja. Całą historię wymyślił jakiś pisarz, a potem wymknęła się spod kontroli. Coś w rodzaju opowieści o UFO, zwariowana historia, którą przekazuje się z ust do ust.
- W porządku - mówię, wciągając powietrze. - Wygląda na to, że odrobiłaś pracę domową. Wyobrażam sobie wyraz twarzy mamy, kiedy powiem jej, że przygotowuję projekt o aniołach.
- Pomyślałam, że to może być ciekawe dla reszty klasy - ciągnie Angela. - Określony moment w czasie, tak jak sugerował pan Erikson. I mogłybyśmy odnieść to do współczesności. Mój mózg pracuje na pełnych obrotach, próbując wymyślić jakiś taktowny sposób na ucięcie jej koncepcji.
- Tak, no cóż... Wprawdzie pomysł z Elżbietą naprawdę mi się podobał, ale... - płaczę się. Angela się uśmiecha.

- Co takiego?
 - Powinnaś zobaczyć swoją twarz - pokpiwa. - Wyglądasz na nieźle spanikowaną.
 - Co? Wcale nie. Pochyla się nad stołem.
 - Chciałam się zająć aniołami - mówi. - Ale to musi mieć związek z Wielką Brytanią. A to najlepsza historia o aniołach i Wielkiej Brytanii, jaką znalazłam. Pomyśl, jak obłądnie by było, gdyby to była prawda.
- Serce ciąży mi tak, jakby zaraz miało wpaść do żołądka.
- Zdaje się, że mówiłaś, że to mistyfikacja.
 - No tak. Przecież chodzi o to, żeby wszyscy tak myśleli. Tego by chcieli, prawda?
 - Kto taki?
 - Anielici - odpowiada Angela. Wstaje.
 - Ej, Claro, usiądź. Wyluzuj. - A potem dodaje. - Ja wiem.
 - Co takiego wi...
 - Usiądź - odzywa się Angela. W języku aniołów. Szczeka mi opada. Dosłownie.
 - Skąd...?
 - A co, myślałaś, że jesteś jedyna? - pyta kąśliwie, oglądając sobie paznokcie.
- Opadam na krzesło. Myślę, że można to uznać za prawdziwe, najprawdziwsze objawienie. Nigdy w życiu nie spodziewałabym się natknąć na innego anielitę w Liceum Jackson Hole. Jestem ogłuszona. Angela natomiast jest tak pobudzona, że właściwie mogłaby strzelać iskrami. Przygląda mi się przez chwilę, po czym podskakuje.
- Chodź!

Wpada na scenę z uśmiechem kota, który właśnie zjadł kanarka. Macha niecierpliwie ręką, żebym do niej dołączyła. Wstaję i powoli wdrapuję się na schody wiodące na podest, rozglądając się po pustej sali.

- Co takiego?

Zdejmuje płaszcz i rzuca w ciemność. A potem cofa się kilka kroków i staje na wyciągnięcie ręki.

Odwraca się do mnie twarzą.

- No dobra - mówi. Zaczynam się naprawdę niepokoić.

- Co ty wyprawiasz?

- Ukaż mi się - prosi Angela w języku aniołów. Ciemność rozcina nagły błysk światła, jak z flesza.

Mrugam i zataczam się pod nieoczekiwanym ciężarem skrzydeł wyrastających mi z łopatek. Angela uśmiecha się do mnie promiennie, swoje skrzydła ma szeroko rozpostarte.

- A więc to prawda! - woła podniecona. W jej oczach błyszczą łzy. Leciutko marszczy brwi i jej skrzydła znikają z furkotem. - Teraz ty powiedz.

- Ukaż mi się! - krzyczę.

Znowu pojawia się błysk i oto Angela stoi ze skrzydłami na widoku. Klaszcze w dłonie z zachwytem. Ja wciąż jestem zaszokowana.

- Skąd wiedziałaś? - pytam.

- Naprowadziły mnie ptaki. To, co mówiłaś wtedy na lekcji.

I to tyle, jeśli chodzi o incognito. Mama mnie zabije.

- Mnie też ptaki doprowadzają do szaleństwa. Ale nie wiedziałam, czy to nie zwykły zbieg okoliczności. A potem usłyszałam, że wymiatasz na francuskim - daje. - Ja sama wybrałam hiszpański. Jestem dobra, bo

płynnie mówię po włosku. To dzięki rodzinie mojej mamy i wakacjom we Włoszech. Hiszpański i włoski są podobne, to języki romańskie i w ogóle. Tak w każdym razie to wygląda, jeśli chodzi o mnie. Nie mogę przestać gapić się na jej skrzydła. Szokuje mnie, że widzę je u kogoś, kogo nie znam. To naprawdę szalone zestawienie: z jednej strony Angela ze swoimi błyszczącymi czarnymi włosami, które zgarnia na jedną stronę twarzy, w czarnej koszulce na ramiączkach i szarych dżinsach z dziurami na kolanach, z oczami obwiedzionymi ciemną kredką, pomalowanymi ustami i fioletowymi paznokciami u rąk, a z drugiej oślepiająco białe skrzydła rozpostarte za jej plecami, odbijające światła sceny, tak że cała Angela promienieje niebiańską jasnością.

- Choć tak naprawdę nie byłam pewna, dopóki twój brat nie pokonał całej drużyny zapaśniczej - mówi.

- Całej drużyny? - Nie tę wersję usłyszałam od Jef-freya.

- Nie słyszałaś? Poszedł do trenera i poprosił, żeby przyjął go do drużyny, a trener powiedział, że nie, eliminacje były w listopadzie, więc życzy mu szczęścia w przyszłym roku. A wtedy Jeffrey powiedział: „Jestem gotów walczyć z najlepszymi zawodnikami z każdej kategorii wagowej. Jeśli mnie pokonają, to w porządku, spróbuję za rok. A jeśli ja ich pokonam, wchodzę do drużyny”. Taka wersja krąży po szkole. Miałam gimnastykę na pierwszej lekcji, więc akurat byłam na miejscu, ale nie zwracałam zbytnio uwagi na to, co się dzieje, do połowy walki z najlepszym zawodnikiem wagi średniej. Praktycznie cała szkoła zebrała się, żeby zobaczyć pojedynek między twoim bratem a Tobym Jamesonem, mistrzem wagi ciężkiej. Ten gość to monstrum. Ich walka

była zadziwiająca. Jeffrey powalił go i nawet się nie zasapał. Kiedy to zobaczyłam, wiedziałam, że niemożliwe, żeby był zwykłym człowiekiem. A potem włożyłam koszulkę z aniołami na historię i widziałam, jak twarz ci stężała, kiedy na nią spojrzałaś. Więc byłam właściwie pewna, że mam rację.

- To było tak oczywiste?

- Dla mnie tak. - Ale się cieszę. Nie znam nikogo takiego jak ja.

Wybucha śmiechem i zanim dotrze do mnie, co właśnie powiedziała, ugina nogi i startuje ze sceny, bez trudu wzbijając się aż pod krokwie ginącej w mroku sali.

- No, dalej! - woła mnie.

Patrzę na nią, myśląc o zniszczeniach, jakie prawdopodobnie spowodowałabym, próbując.

- Nie sądzę, żeby ubezpieczenie Podwiązki obejmowało szkody wyrządzone przez moje próby wzbicia się w powietrze.

Lekko opada z powrotem na scenę.

- Nie potrafię latać - przyznaję bez bicia.

- Na początku jest trudno - mówi. - Cały zeszły rok spędziłam, wspinając się nocami po górach, żeby skakać ze skał i złapać trochę wiatru w skrzydła. Miesiącami trwało, zanim załapałam, o co w tym chodzi.

Po raz pierwszy ktoś powiedział o lataniu coś, co sprawiło, że poczułam się lepiej.

- Mama cię nie uczyła? - pytam.

Kręci gwałtownie głową, jakby ten pomysł wydawał się jej komiczny.

- Moja mama jest człowiekiem z krwi i kości. No wiesz, jaka anielitka dałaby swojemu dziecku na imię Angela?

Z trudem powstrzymuję uśmiech.

- Podejrzewam, że brak jej wyobraźni - mówi Angela. - Choć zawsze mogę na nią liczyć.

- A więc to twój tata.

W mgnieniu oka twarz jej poważnieje.

- Był aniołem.

- Aniołem? To znaczy, że jesteś półkrwi, dimidiusem. Kiwa głową. Czyli jest dwa razy potężniejsza ode

mnie. I potrafi latać. I jej włosy mają normalny kolor. Zżera mnie zazdrość.

- A więc twoja mama nie jest człowiekiem - mówi. - To znaczy, że ty...

- Jestem tylko ąartariusem. Moja mama jest półkrwi aniołem, a tata normalnym facetem.

Stojąc tak na scenie z rozpostartymi skrzydłami, czuję się nagle obnażona. Składam je więc i każę im zniknąć. Angela robi to samo. Przez chwilę przyglądamy się jedna drugiej.

- Wtedy w szkole powiedziałaś, że nigdy nie spotkałaś ojca - przypominam.

Przybiera starannie obojętną minę.

- Oczywiście, że nie - oznajmia rzeczowym tonem. - Jest Czarnym Skrzydłem.

Kiwam głową, jakbym rozumiała, co to znaczy, choć nie mam zielonego pojęcia. Odwraca się i, opuszczając krąg światła, wędruje w mroczny koniec sceny.

- Moja mama była kiedyś mężatką, ale jej mąż zmarł na raka, zanim skończyła trzydzieści lat. Był aktorem, a ona nieśmiałą projektantką kostiumów. Ten kabaret należał do niego. Nie mieli dzieci.

Kiedy zmarł, moja mama pojechała na pielgrzymkę do Rzymu. Jest katoliczką, więc Rzym to dla niej ważne miejsce, no i ma tam

rodzinę. Pewnej nocy, kiedy wracała do domu po wieczornej mszy, zorientowała się, że idzie za nią mężczyzna. Początkowo próbowała go zignorować, ale miała złe przeczucia. Przyspieszył kroku, a wtedy ona zaczęła biec. Nie zatrzymywała się, dopóki nie dotarła do domu.

Angela siada na krawędzi sceny, nogi dyndają jej nad kanałem dla orkiestry. Kiedy opowiada, oczy ma opuszczone, twarz odrobinę odwróconą, ale głos pewny.

- Myślała, że jest bezpieczna - ciągnie. - Ale tamtej nocy śnił się jej mężczyzna stojący w nogach łóżka. Mówiła, że miał twarz jak posąg. Jak *Dawid* Michała Anioła, beznamiętną, a w oczach smutek. Zaczęła krzyczeć, ale wtedy on powiedział coś w języku, którego nie rozumiała. Jego słowa ją sparaliżowały, nie mogła się ruszyć ani wydać z siebie dźwięku. Nie była w stanie się obudzić. Siadam obok Angeli.

- A potem ją zgwałcił - szepcze. - A ona zorientowała się, że to nie był sen.

Podnosi wzrok skrepowana. Jeden kącik ust ma uniesiony.

- Tak więc minusem całej tej historii jest to, że niekoniecznie zostałam poczęta z miłości - mówi. - Ale za to mam te wszystkie niesamowite zdolności.

- Jasne - zgadzam się, kiwając głową. Nigdy o niczym podobnym nie słyszałam. Anioł gwałcący człowieka? Nie umiem sobie tego nawet wyobrazić. Atmosfera zaczyna się robić jak w *Strefie mroku*. Przyszłam popracować nad projektem do szkoły, a wylądowałam na krawędzi sceny z anielitką opowiadającą mi historię swojego życia. Czysty surrealizm.

- Przykro mi, Angelo. To... naprawdę kiepsko.

Zamyka oczy na chwilę, jakby wszystko to rozgrywało się teraz w jej głowie.

- Ale jeśli twoja mama jest człowiekiem, a ty nigdy nie spotkałaś taty, to skąd się dowiedziałaś, że jesteś anielitką? - pytam.

- Od mamy. Powiedziała, że pewnej nocy, kilka dni przed moim urodzeniem, pojawił się inny anioł i opowiedział jej o anielitach. Przez jakiś czas myślała, że to jakiś zwariowany sen. Ale kiedy tylko zorientowała się, że różnię się od innych dzieciaków, powiedziała mi o tym. Miałam dziesięć lat. To nie jest historia, którą chcielibyście usłyszeć od własnej matki. Przypominam sobie, jak zaledwie dwa lata temu dowiedziałam się od mamy, że w moich żyłach płynie anielska krew, i jak trudno było mi to zaakceptować. W głowie mi się kręci na myśl o tym, co bym zrobiła, gdyby powiedziała mi o tym, kiedy byłam dzieckiem. Albo o tym, że ktoś ją zgwałcił.

- Sporo czasu mi zajęło, zanim dowiedziałam się czegoś więcej - ciągnie Angela. - Mama nie wiedziała o aniołach nic ponad to, co można znaleźć w Biblii. Powiedziała, że jestem nefilimem, o których mowa w Księdze Rodzaju, i że mogę wyrosnąć na takiego herosa, jacy żyli w czasach Samsona.

- Czyli żadnego ścinania włosów.

Angela wybucha śmiechem i przeczesuje palcami długie czarne włosy.

- Ale przecież wiesz o dimidi i ąartari, i w ogóle -mówię.

- Pozbierałam informacje z różnych źródeł. Myślę, że jestem trochę takim angelologiem.

Przez chwilę obie milczymy.

- Łał - mówię w końcu.

- Wiem.

- Mimo to uważam, że powinniśmy zrobić projekt o królowej Elżbiecie.

Śmieje się. A potem odwraca się do mnie i siada po turecku tak blisko, że aż dotyka mnie kolanami.

- Będziemy przyjaciółkami, zobaczysz - zapewnia. Myślę, że ma rację.

Muszę być w domu przed dziesiątą, więc nie mamy zbyt wiele czasu na rozmowę. Nie wiem, od czego zacząć, pytania padają w zawrotnym tempie. Jedno jest pewne od początku - Angela ma na temat aniołów ogromną wiedzę, wie mnóstwo o ich historii, o mocach, którymi ponoć dysponują, zna nazwy i stopnie aniołów, które pojawiają się w tekstach literackich i religijnych. Ale pewne obszary wiedzy o aniołach i anielitach są dostępne tylko dla nich i tu ma poważne braki. Dochodzę do wniosku, że obie możemy się od siebie wiele nauczyć, bo moja mama mówi mi tylko to, co uzna za absolutnie konieczne.

- Szukałaś informacji w Rzymie? - pytam.

- Głównie. To dobre miejsce, żeby się czegoś dowiedzieć o aniołach. Mnóstwo wiedzy historycznej. Choć w zeszłym roku w Mediolanie spotkałam *intangere* i od niego dowiedziałam się więcej niż ze wszystkich innych źródeł.

- Chwileczkę. Co to takiego *intangere*?

- Głuptasie - mówi Angela, jakbym powinna była się domyślić. - To łacińska nazwa anioła czystej krwi. Dosłownie znaczy całość, coś nietkniętego, kompletnego. No wiesz, istnieją *intangere*, *dimidi* i *quartari*.

- Jasne - mówię, jakby mi to po prostu wypadło z głowy. - Czyli spotkałaś prawdziwego anioła.
 - Tak. Zobaczyłam go, choć zdaje się, że nie powinnam była. Byliśmy w małym kościółku w jakiejś zapadłej dziurze i zauważyłam go, jak stał i świecił, więc go pozdrowiłam w języku aniołów. Spojrzał na mnie, złapał za ramię i nagle byłam gdzie indziej, ale równocześnie wciąż staliśmy w kościele.
 - Brzmi jak niebo.
- Marszczy brwi i pochyła się, jakby źle mnie usłyszała.
- Co takiego?
 - Brzmi, jakby cię zabrał do nieba.
- Oczy jej się rozszerzają, gdy nagle to do niej dociera.
- Co wiesz o niebie? - pyta. Czerwienie się. '
 - Niezbyt wiele. Wiem, że to wymiar, który pokrywa Ziemię. Mama mówi, że to coś w rodzaju kurtyny albo zasłony. Sama była tam raz, to znaczy zabrał ją tam anioł.
 - Ale z ciebie szczęściara, że masz taką mamę. - Angela patrzy na mnie z zazdrością. - Ja muszę ciężko pracować, żeby się czegoś dogrzebać, a ty wystarczy, że zapytasz.
 - To prawda, że mogę zapytać - przyznaję lekko zawstydzona - ale to nie znaczy, że mama mi odpowie.
 - Dlaczego?
 - Nie wiem. Mówi, że pewne rzeczy muszę odkryć sama, przez doświadczenie. Albo jakieś inne podobne bzdury. Na przykład powiedziałaś, że twój ojciec był Czarnym Skrzydłem. Nie mam pojęcia, co to takiego. Zakładam, że chodzi o kogoś w rodzaju złego anioła, ale moja mama nigdy o nikim takim nie wspomniała.
- Angela zastanawia się przez chwilę.

- Czarne Skrzydło to upadły anioł - mówi w końcu. - Podejrzewam, że ten upadek nastąpił dawno temu, bliżej początku.

- Początku czego?

- Czasu.

- Ach. No tak. I upadłe anioły naprawdę mają czarne skrzydła?

- Tak myślę - stwierdza. - W ten sposób można je rozpoznać. Białe Skrzydło równa się dobry anioł, Czarne zły.

To szaleństwo, że nic o tym nie wiedziałam. Czuję się przez to jak głupek. Nieznośnie zaciekawiony głupek. I wystraszony.

- I co, trzeba po prostu podejść do anioła i grzecznie poprosić, żeby pokazał skrzydła?

- Możesz mu kazać w języku aniołów.

- I wtedy musi? - pytam.

- A miałaś wrażenie, że masz wybór, kiedy ci kazałam?

- Nie, to się po prostu stało.

- Z aniołami też tak jest. To coś w rodzaju narzędzia do natychmiastowej identyfikacji. Tak zostały zaprogramowane. Przydatne, nie?

- Skąd to wszystko wiesz?

- Phen mi powiedział. To ten anioł, którego spotkałam w kościele. Ostrzegł mnie przed Czarnymi Skrzydłami.

Milknie gwałtownie i opuszcza wzrok.

- Co takiego? - naciskam łagodnie. - Co powiedział? Na chwilę zamyka oczy, po czym otwiera je znowu.

- Powiedział, że któregoś dnia mogą spróbować mnie odnaleźć.

- Dlaczego? Podnosi wzrok.
 - Dlatego że mój ojciec był jednym z nich. I dlatego że nas potrzebują. Jej złote oczy nagle stają się groźne. -Tworzą armię.
 - Mamo! - krzyczę w chwili, gdy tylko zamykają się za mną drzwi.
- Wybiega z gabinetu zaniepokojona.
- Co? Co się stało? Coś złego ci się przytrafiło?
 - Dlaczego mi nie powiedziałaś, że między aniołami trwa wojna?
- Staje jak wryta.
- Co takiego?
 - Angela Zerbino jest anielitką - wyrzucam z siebie spazmatycznie. - I powiedziała mi, że między dobrymi a złymi aniołami toczy się wojna.
 - Angela Zerbino jest anielitką?
 - Półkrwi. Nie odpowiedziałaś na moje pytanie.
 - No cóż, kochanie - mówi wciąż oszołomiona. -Przypuszczałam, że o tym wiesz.
 - Skąd miałabym wiedzieć, skoro mi nie powiedziałaś? Nigdy nic mi nie mówisz!
 - Na tym świecie jest nie tylko dobro, ale i zło - odzywa się po chwili milczenia. - O tym ci mówiłam.
- Widzę, że nawet teraz starannie dobiera słowa. Doprowadza mnie tym do szału.
- Tak, ale nigdy nie mówiłaś o Czarnych Skrzydłach! - krzyczę. - Nigdy nie mówiłaś, że krążą po świecie i werbują albo zabijają napotkanych anielitów.
- Wzdraga się.
- A więc to prawda.

- Tak - mówi mama. - Choć myślę, że bardziej interesują ich *dimidi*.
- Jasne, bo *quartań* nie mają zbyt wielkiej mocy - zauważam sarkastycznie. - Rozumiem, że powinno mi ulżyć.

Mama wciąż przetwarza informacje.

- Więc Angela Zerbino powiedziała ci, że jest anie-litką. Tak po prostu?
- Aha. Pokazała mi skrzydła i w ogóle.
- Jaki miały kolor?
- Jej skrzydła? Były białe.
- Jak bardzo białe? - pyta dociekliwie mama.
- Nieskazitelnie białe, tak białe, że aż oczy bołą. Czy to ma jakieś znaczenie, mamo?
- Odcień skrzydeł pokazuje, jaką zajmujesz pozycję wobec światła - wyjaśnia mama. - Białe Skrzydła mają, rzecz jasna, białe skrzydła, a Czarne czarne. Większość z nas, potomków, ma skrzydła w różnych odcieniach szarości.
- Twoje skrzydła zawsze wydawały mi się całkiem białe - mówię.

Natychmiast mam ochotę wezwać swoje skrzydła, żeby zobaczyć, jaki mają odcień, i zorientować się, w jakim stanie jest moja dusza. Bo, do diabła, nie mam bladego pojęcia.

- Moje skrzydła są dość jasne - przyznaje mama -ale nie tak jak świeży śnieg.
- No cóż, Angeli były białe - stwierdzam. - Rozumiem, że to znaczy, że ma czystą duszę.

Mama podchodzi do kredensu i wyjmuję szklankę. Nalewa wody z kranu i powoli wypija. Ze spokojem.

- Jej mama została zgwałcona przez Czarne Skrzydło. - Sprawdzam, jaką wywołam reakcję. Nie ma żad-

nej. - Boi się, że któregoś dnia po nią przyjdą. Powinnaś była zobaczyć jej twarz, kiedy o tym mówiła. Była przerażona. Naprawdę przerażona.

Mama odstawia szklanę i patrzy na mnie. Wygląda, jakby moje rewelacje w ogóle jej nie poruszyły. Co sprawia, że ja sama czuję się poruszona bardziej. I wtedy to do mnie dociera.

- Wiedziałaś o Angeli - mówię. - Skąd?

- Mam swoje źródła. Prawdę mówiąc, nie starała się zbyt wiele ukryć swoich umiejętności. Jak na kogoś, kto się tak przejmuje Czarnymi Skrzydłami, nie wykazała się szczególną ostrożnością. I tak po prostu ujawniła się przed tobą. To bardzo lekkomyślne z jej strony.

Patrzę na mamę. Z całą ostrością dociera do mnie, ilu rzeczy mi nie powiedziała.

- Oszukiwałaś mnie - rzucam. - Ja mówię ci wszystko, a ty mnie oszukujesz.

Spogląda mi w oczy zaskoczona.

- Nie, wcale nie. Po prostu pewnych rzeczy...

- Czy w Jackson Hole jest wielu anielitów? Wygląda, jakby to pytanie ją zabolowało. Nie odpowiada.

Podnoszę plecak z podłogi w kuchni i idę do swojego pokoju.

- Ej - zatrzymuje mnie mama. - Wciąż z tobą rozmawiam.

- Nie, najwyraźniej wcale nie.

- Claro! - woła zdenerwowana. - Jeśli nie mówię ci wszystkiego, to dla twojego dobra. Żeby cię chronić.

- To bez sensu. Jakim cudem niewiedza ma mnie chronić?

- Co jeszcze powiedziała ci Angela?

- Nic.

Idę do swojego pokoju, z trzaskiem zamykam drzwi, zdejmuję płaszcz i rzucam na łóżko. Z całych sił staram się nie wrzeszczeć ani nie płakać. A może jedno i drugie. Potem podchodzę do lustra i przywołuję skrzydła. Zbieram je z przodu, żeby obejrzeć z bliska pióra. Całkiem białe, myślę, przesuwając po nich dłonią. Nie jak świeży śnieg, jak mówiła mama, ale białe.

Choć nie aż tak białe jak Anieli.

Słyszę kroki mamy na korytarzu. Zatrzymuje się przed moimi drzwiami. Czekam, aż zapuka albo wejdzie i powie, że nie chce, żebym się kolegowała z Angielą. Dla mojego dobra. Ale tego nie robi. Po prostu stoi tam przez chwilę. A potem słyszę, jak odchodzi.

Czekam, póki nie zyskam pewności, że zeszła na dół, po czym przekradam się do pokoju Jeffreya. Siedzi przy biurku ze swoim laptopem i stuka w klawisze. Wygląda, jakby z kimś czatował. Kiedy mnie widzi, wystukuje coś z naprawdę zawrotną prędkością, a potem zrywa się i staje przede mną. Ściszę trochę muzykę, żeby móc słyszeć własne myśli.

- Powiedziałaś jej, że zaraz wracasz? - mówię, uśmiechając się znacząco. - Jak w ogóle ma na imię? I nie zaprzeczaj, to bez sensu. Bardziej krępujące będzie, jak popytam w szkole.

- Kimber - przyznaje się natychmiast. - Ma na imię Kimber.

Wyraz twarzy ma obojętny, ale widzę rumieniec oblewający mu uszy.

- Nieźle. To ta blondynka, tak?

- Chyba nie przyszłaś tu po to, żeby się ze mnie naśmiewać, co?

- Hm, to wprawdzie przyjemne, ale nie. Chciałam ci coś powiedzieć. - Zsuwam stertę brudnych rzeczy i siadam na pufie. Na chwilę wstrzymuję oddech. Mam wrażenie, jakbym łamała jakąś regułę. Bardzo ważną zasadę mamy, żeby niczego nie mówić dzieciakom. Ale dość już mam życia w niewiedzy. No i jestem wkurzona. Wkurzona na wszystko, na całe to moje gówniane życie i na wszystkich ludzi dookoła. Muszę się wyładować.

- Angela Zerbino jest anielitką - oznajmiam. Jeffrey mruga.

- Kto?

- Z mojego rocznika. Wysoka, długie czarne włosy, trochę w stylu emo. Złote oczy. Odludek. Spogląda w zamyśleniu w sufit, jakby próbował sobie przypomnieć jej twarz.

- Skąd wiesz?

- Powiedziała mi. Ale to niewłaściwe pytanie, Jeffrey.

- Co to znaczy?

- Powinieneś być zapytać, dlaczego Angela Zerbino powiedziała mi, że w jej żyłach płynie anielska krew. Bo gdybyś to zrobił, mogłabym odpowiedzieć, że to dlatego, że wiedziała, że ja też jestem anielitką.

- Co? Skąd wiedziała?

- O widzisz? To jest właściwe pytanie - mówię, pochylając się do przodu. - Wiedziała, bo widziała, w jaki sposób dostałeś się do drużyny zapaśniczej. Oglądała twoją walkę z Tobym Jamesonem, który waży pewnie z dziewięćdziesiąt kilo, a ty się nawet nie spociłeś. Powiedziała sobie: o matko, z tego gościa jest tak dobry zapaśnik, że pewnie jest aniołem.

Twarz mojego brata robi się biała jak ściana, co sprawia, że czuję umiarkowaną satysfakcję. Oczywiście resztę kłopotliwych szczegółów - takich jak głupia uwaga o ptakach, lekcje francuskiego czy też sposób, w jaki gapiłam się na jej koszulkę z aniołami, dając się złapać w pułapkę - pomijam. To Jeffrey był katalizatorem wszystkiego. Angela zyskała pewność, że jesteśmy kimś więcej niż ludźmi, dopiero kiedy zobaczyła go na macie.

- Powiedziałaś mamie? - Na myśl o tym lekko zielenieje. Bo gdybym powiedziała, dla niego byłby to koniec. Żadnych zapasów, bejsbolu wiosną, futbolu jesienią, niczego, o czym śni. Byłby pewnie uziemiony aż do studiów.

- Nie - mówię. - Choć prędzej czy później musi zadać właściwe pytanie. - Jak się zastanowić, to w sumie dziwne, że mnie jeszcze nie zapytała. Może o tym też wie ze swoich źródeł.

- A zamierzasz jej powiedzieć? - pyta tak miękko, że ledwo go słyszę. Wygląda naprawdę żałośnie i czuję, jak złość, która gotowała się we mnie jeszcze kilka chwil temu, ustępuje miejsca wyczerpaniu i smutkowi.

- Nie. Po prostu chciałam ci o tym powiedzieć. Nie wiem dlaczego. Chciałam, żebyś wiedział.

- Dzięki - rzuca. Z jego ust wydobywa się krótki, pozbawiony wesołości śmiech. - To znaczy tak myślę.

- Tylko nie wspominaj o tym. Nigdy. Naprawdę. - Podnoszę się do wyjścia.

- Czuję się, jakbym oszukiwał - odzywa się wtedy mój brat. - Wszystkie te medale i puchary, które zdobyłem w Kalifornii, nic nie znaczą. Tak, jakbym był na dopingu, tylko że o tym nie wiedziałem.

Dobrze rozumiem, o co mu chodzi. Właśnie dlatego rzuciłam balet, choć go uwielbiałam, i nigdy nie próbowałam wrócić do tańca w Jackson. Czułam, że to nieuczciwe, że przychodzi mi z taką łatwością, tak naturalnie, podczas gdy inne dziewczyny muszą ciężko pracować, żeby coś osiągnąć.

Pomyślałam, że to nie fair, żeby cała uwaga zamiast na nich, skupiała się na mnie. Przecież miałam nad nimi ogromną przewagę. Dlatego to zostawiłam.

- Ale gdybym dawał im fory, czułbym się jak oszust - stwierdza Jeffrey. - A to jest jeszcze gorsze.

- Wiem.

- Nie chcę tego robić - mówi. Spoglądam w śmiertelnie poważne szare oczy. Przełyka ciężko, ale wytrzymuje mój wzrok. - Nie będę nikomu dawał forów. Nie zamierzam udawać, że jestem gorszy, niż jestem.

- Nawet gdyby to miało na nas ściągnąć niebezpieczeństwo? - pytam, uciekając wzrokiem.

- Jakie niebezpieczeństwo? Angela Zerbino jest niebezpieczna?

To jest ten moment, kiedy powinnam mu powiedzieć o Czarnych Skrzydłach. O tym, że istnieją złe anioły, anioły, które nas ścigają i czasami nawet zabijają. Że istnieją odcienie szarości, o których wcześniej nie wiedzieliśmy. Powinnam, bo ta wiedza jest mu potrzebna. Ale w jego oczach widzę błaganie, żeby niczego więcej mu nie odbierać.

Mama powiedziała, że jesteśmy wyjątkowi. Ale co to za „dar”, który wiąże się z wojną między aniołami? Może ja też chcę, żeby już niczego więcej mi nie odbierano. Może nie chcę być niezwykłą, nie chcę latać ani mówić w żadnym cudacznym anielskim języku. Może

wcale nie chcę ocalić świata i pewnego przystojniacz-ka za jednym zamachem. Chcę po prostu być człowiekiem.

- Uważaj na siebie, dobra? - mówię do Jeffreya.

- Dobra. - A potem dodaje: - Dzięki... Czasami jesteś całkiem w porządku, wiesz?

- Pamiętaj o tym następnym razem, kiedy będziesz mnie wyciągał z łóżka o piątej rano. - W moim głosie słychać znużenie. - I przy okazji pozdrów ode mnie Kimber.

A potem umykam do swojego pokoju i leżę w ciemnościach, obracając w myślach słowa „Czarne Skrzydło” na wszystkie strony.

8. Dziewczyna spod znaku niebieskiego kwadratu

Tego ranka słońce świeci tak jasno, że mam wrażenie, jakbym się znajdowała na zamarzniętej chmurze. Stoję na górze, przy trasie o nazwie Szerokie Otwarcie. Oznaczono ją podwójnym niebieskim kwadratem, czyli jest trochę trudniejsza niż te z zielonym kółkiem, ale nie tak jak te z czarnym rombem. Posuwam się naprzód. Dolina jest tak biała i spokojna, że aż trudno uwierzyć, że to pierwszy tydzień marca.

Poprawiam gogle, chwytam kijki i poruszam butami, żeby sprawdzić wiązania. Wszystko gra. Odbijam się i sunę w dół. Zimne powietrze smaga nieosłonięte części twarzy, ale cieszę się jak wariatka. To takie przy-

jemne, najbliższe latania. W takich chwilach niemal czuję swoje skrzydła, nawet jeśli ich nie widać. Po jednej stronie trasy jest odcinek z muldami, który wypróbowuję, wznosząc się i opadając. Sprawia, że uświadamiam sobie siłę swoich kolan, swoich nóg. Coraz lepiej radzę sobie z muldami. I z sypkim śniegiem, przez który człowiek przeciska się dosłownie jak przez chmurę, wzbijając aż do kolan puszyste kłęby. Lubię wyruszyć na trasę rano, kiedy śnieg jest jeszcze świeży, i na białym puchu zostawić własny ślad.

Zupełnie mi odbiło na punkcie nart. Szkoda, że sezon prawie się skończył.

Szerokie Otwarcie prowadzi na Trawers Południowej Przełęczy, szlak, który niemal horyzontalnie przecina górę. Prostuję narty i odpycham się, żeby nabrać rozpędu i przecisnąć się między drzewami. Gdzieś w pobliżu śpiewa ptak. Milknie, kiedy przejeżdżam obok. Szlak otwiera się na kolejny nieskazitelny Stok Wenera, jeden z moich ulubionych. Zatrzymuję się na skraju. Na wzgórzu ludzie stawiają ogromne bramki do slalomu. Dziś są zawody.

A to znaczy, że pojawi się Christian.

- O której wyścig? - wołam do jednego z gości przy bramkach.

- W samo południe! - odkrzykuje.

Zerkam na zegarek. Kilka minut przed jedenastą. Powinnam iść coś zjeść, a potem przytaskać składane krzeselko i obejrzeć zawody.

Przy chatce spostrzegam Tuckera Avery'ego. Je lunch z dziewczyną. To odkrycie. Niemal wszystkie weekendy tej zimy spędziłam w dolinie Teton (na szczęście mama nie robiła głupich uwag na temat absurdałnie drogiego

karnetu) i prawie zawsze popołudniami spotykałam Tuckera, który rano dawał lekcje na oślej łączce. Choć wcale nie natykałam się na niego w górze. Tucker woli jazdę przełajową, trzyma się z dala od wytyczonych tras. Sama jeszcze czegoś takiego nie próbowałam, bo najwyraźniej potrzebny jest partner, żeby w razie wypadku ktoś mógł wezwać pomoc. Dolina Teton jest zabawna, pełno tu tabliczek, które przypominają: „Nigdy wcześniej nigdzie nie doświadczyliście niczego podobnego”, a jeśli nie będziecie uważać, „możecie umrzeć”. Z kolei znaki w terenie informują: „Powyżej tego punktu panują trudne warunki, z którymi wiąże się wiele zagrożeń, między innymi lawiny, urwiska oraz ukryte przeszkody. Turysto! Pamiętaj, że koszty akcji ratunkowej mogą obciążyć twoje konto”. Nie, dziękuję, myślę sobie. Wybieram życie.

Czy ta dziewczyna, która rozmawia z Tuckerem, to jego partnerka do jazdy na przełaj? Przesuwam się dyskretnie, żeby zobaczyć jej twarz. To Ava Peters, chodzi ze mną na chemię i z całą pewnością należy do grona pięknych ludzi: nieco biuściasta, o wyjątkowo jasnych, prawie białych włosach. Jej tata jest właścicielem firmy organizującej spływy górskimi potokami. Wcale mnie nie dziwi, że widzę Tuckera w towarzystwie popularnej dziewczyny, choć on sam nie należy do grona posiadaczy. Zauważyłam, że jest jednym z tych, którzy żyją w dobrych stosunkach ze wszystkimi. To znaczy ze wszystkimi poza mną.

Ava ma zbyt mocno umalowane oczy. Ciekawe, czy Tuckerowi się to podoba. Zerka w moją stronę i uśmiecha się znacząco, nim zdążę uciec wzrokiem. Odpowiadam mu takim samym uśmiechem, po czym próbuję

podejść do lady z jedzeniem, ale nie mogę ruszyć. W butach narciarskich nie sposób chodzić. Razem z kilkoma widzami stoję obok trasy Wernera i patrzę, jak Christian rzuca się przez bramki, czasami ocierając się o nie ramionami. Z wielkim wdziękiem zakręca między przeszkodami, jedzie niemal na krawędzi nart, kolanami prawie ociera się o śnieg. Wszystkie jego ruchy są staranne i zdecydowane. Zacisnął wargi w wyrazie koncentracji.

Gdy wpada na linię mety, drepczę niczym pingwin w miejsce, gdzie stanął, by obserwować pozostałych zawodników. Chcę się przywitać.

- Wygrałeś? - pytam.

- Zawsze wygrywam. Z wyjątkiem tych okazji, kiedy przegrywam. Tak jak tym razem. - Wzrusza ramionami, jakby go to nie obchodziło, ale po twarzy znać, że jest niezadowolony ze swojego wyniku.

- Jak dla mnie wypadłeś dobrze. To znaczy jechałeś szybko.

- Dzięki - mówi.

Bawi się numerem przymocowanym do piersi. To dziewiątka - sprawia, że myślę o jego tablicy rejestracyjnej: 99CX.

- Chcesz wziąć udział w olimpiadzie? Kręci głową.

- Nie. Jestem w drużynie narciarskiej, a nie w klubie. - Pewnie wyglądam na zdeorientowaną, bo uśmiecha się i mówi:

- Drużyna narciarska to oficjalna reprezentacja szkoły, walczymy tylko z innymi drużynami z Wyoming.

Klub to miejsce dla twardzieli, narciarzy, którzy mają sponsorów, zyskali uznanie w kraju i tym podobne.

- Nie chcesz zdobywać złotych medali?

- Przez pewien czas byłem w klubie. Ale jak dla mnie to trochę zbyt poważne. Za duża presja. Wcale nie chcę być zawodowcem. Po prostu lubię jeździć. Lubię się ścigać. - Na jego twarzy nagle pojawia się uśmiech. - Prędkość uzależnia.

O tak. Uśmiecham się.

- Ja wciąż próbuję dostać się na dół w jednym kawałku.

- I jak ci idzie? Powoli łapiesz?

- Z każdym dniem lepiej.

- Niedługo będziesz gotowa na tor wyścigowy.

- No ba. A wtedy, wiesz, lepiej uważaj. Śmieje się.

- O, jestem pewien, że mnie zniszczysz.

- Otóż to.

Rozgląda się, jakby się kogoś spodziewał. Czuję się niezręcznie, jakby w każdej chwili Kay mogła się zmaterializować znikąd i powiedzieć mi, żebym się odczepiła od jej chłopaka.

- Kay też jeździ na nartach? - pytam. Wybuchą krótkim śmiechem.

- Co ty, to prawdziwy piecuch. Jeśli w ogóle przyjdzie, siedzi w chatce. Umie jeździć, ale mówi, że jej za zimno. Nie znosi sezonu narciarskiego, bo nie ma mnie całe weekendy.

- O, to kiepsko. Znów się rozgląda.

- Tak - mówi.

- Chodzę z Kay na angielski. Nigdy się nie odzywa. Zawsze się zastanawiam, czy w ogóle czyta książki.

No dobra, między moimi ustami a mózgiem kompletnie nie ma łączności. Patrzę na twarz Christiana, żeby sprawdzić, czy go nie obraziłam. Ale on tylko się śmieje, tym razem dłużej, serdecznie.

- Wybrała poziom rozszerzony, bo to będzie dobrze wyglądało w papierach do college'u, ale tak naprawdę książki nie są jej konikiem.

Nie chcę myśleć, co może być jej konikiem. W ogóle nie chcę myśleć o Kay, ale skoro już o niej mówimy, ciekawość bierze górę.

- Kiedy zaczęliście ze sobą chodzić?

- Na jesieni w drugiej klasie - odpowiada. - Kay jest czirliderką, a ja wtedy grałem w futbol. W czasie meczu z okazji zjazdu absolwentów miała wypadek przy robieniu swobodnego obrotu. Chyba tak to się nazywa, zwykle to Kay opowiada tę historię. W każdym razie upadła i uraziła sobie kostkę.

- Poczekaj, niech zgadnę. Zniosłeś ją z boiska. A potem żyliście długo i szczęśliwie?

Odwraca wzrok zakłopotany.

- Coś w tym guście - mówi. Zapada niezręczna cisza.

- Kay sprawia wrażenie... - chcę powiedzieć „miłej”, ale nie sądzę, żeby mi to przeszło przez gardło
-...naprawdę zaangażowanej w wasz związek.

Christian przez chwilę nic nie mówi, tylko patrzy w górę toru, którym ktoś akurat jedzie na desce.

- To prawda - odzywa się w zamyśleniu raczej do siebie niż do mnie. - Kay jest naprawdę dobrym człowiekiem.

- To super - udaje mi się wydusić. Nieszczególnie zależy mi na tym, żeby Kay była dobrym człowiekiem.

W zupełności wystarczy mi, kiedy myślę o niej jako o podłej wiedźmie.

Christian kaszle zmieszany, a ja orientuję się, że gapię się na niego swoimi wielkimi sowimi oczami.

Czerwienię się i spoglądam w górę, gdzie snowboardzista właśnie przekracza linię mety.

- Niezły zjazd! - krzyczy Christian. - Aż się kurzyło!

- Dzięki, stary - odpowiada gość na desce. Zdejmuje gogle. To Shawn Davidson, snowboardzista Shawn, chłopak, który w Pizza Hut nazwał mnie Wiewiórą. Spogląda to na mnie, to na Christiana. Czuję, jakby omiatał mnie reflektorem.

- Muszę lecieć - rzuca Christian. - Koniec zawodów. Trener będzie chciał z nami wszystko przeanalizować, obejrzeć zapis wideo i w ogóle.

- Jasne - mówię. - Miło było...

Ale jego już nie ma. Pognał w dół na złamanie karku, a mnie czeka samotny zjazd.

Pod koniec marca nadchodzi fala ciepła i w ciągu dwóch dni śnieg w dolinie topnieje. W lasach pełno teraz czerwonych i fioletowych kwiatów. Gałązki osiki pokryły się jaskrawozielonymi listkami.

Okolicę, która przez całą zimę była cicha i nieskazitelnie biała, wypełniają kolory i dźwięki. Lubię stanąć na ganku z tyłu domu, żeby posłuchać, jak wiatr miarowo szumi wśród drzew, strumień, który przecina naszą ziemię, bulgocze radośnie, ptaki śpiewają (czasami się na mnie rzucając), a tamiasy chroboczą. Powietrze pachnie kwiatami i rozgrzaną sosną. Góry za domem wciąż wprawdzie pokrywa śnieg, ale to już wiosna.

Wraz z wiosną z całą mocą powraca moja wizja. Na zimę to szczególne mrowienie w głowie przycichło, tak naprawdę zdarzyło się tylko dwa razy od czasu, kiedy pierwszego dnia szkoły zobaczyłam na korytarzu Christiana. Myślałam, że może niebiosa zrobiły mi małą przerwę, teraz jednak najwyraźniej się skończyła. Jestem akurat w połowie drogi do szkoły, gdy ni stąd, ni zowąd (bach!) nagle znajduję się w znajomym lesie i idę między drzewami w stronę Christiana.

Wołam go po imieniu. Odwraca się do mnie, w świetle późnego popołudnia jego oczy są złotozielone.

- To ty - mówi schrypniętym głosem.

- To ja - odpowiadam. - Jestem.

- Clara!

Mrugam. Pierwszą rzeczą, jaką widzę, jest ręka Jef-freya na kierownicy priusa. Stopę wciąż trzymam lekko opartą na gazie. Samochód powoli zjeżdża na pobocze.

- Przepraszam. - Gwałtownie wypuszczam powietrze. Natychmiast się zatrzymuję. - Jeffrey, okropnie przepraszam.

- W porządku - mruczy. - To wizja, tak?

- Tak.

- Czyli nie możesz kontrolować tego, kiedy się pojawia?

- Nie. Ale nie sądzisz, że nie powinna się przytrafić w czasie, kiedy naprawdę może mnie zabić? Co by się stało, gdybym się rozbiła? Wtedy byłby koniec pieśni, nie?

- Ale się nie rozbiłaś - mówi mój brat. - Ja byłem obok.

- Dzięki Bogu. Uśmiecha się szelmowsko.

- Czy to znaczy, że mogę prowadzić przez resztę drogi?

Kiedy mówię mamie, że wizja wróciła, ona zaczyna nalegać na lekcje latania. Używa przy tym słów „szkolenie” i „treningi” tak często, że mam wrażenie, jakby nasz dom zamienił się w coś w rodzaju obozu dla rekrutów. Przez całą zimę mama miała dziwny nastrój, większość czasu spędzała zamknięta w gabinecie, popijając herbatę skulona pod szydełkową narzutą. Za każdym razem, kiedy do niej pukam albo wsadzam głowę w drzwi, patrzy z napięciem, dając do zrozumienia, że nie chce, żeby jej przeszkadzano. Prawdę mówiąc, ja sama w pewnym sensie jej unikałam od tego pierwszego dnia w Różowej Podwiązce, kiedy zrozumiałam, że celowo trzymała mnie w niewiedzy. Popołudniami często spotykam się z Angelą w kabarecie. Mamie to się nie podoba, ale ponieważ, formalnie rzecz biorąc, spotykamy się w związku ze szkołą (w końcu pracujemy nad projektem o królowej Elżbiecie), nie może się sprzeciwić. W weekendy z kolei jeżdżę na narty. Co - twierdzę z uporem - ma związek z Christianem, a więc i z moim celem. Dlatego, technicznie rzecz biorąc, jest to coś w rodzaju treningu, prawda?

Tylko że pokrywa śniegu w górach robi się straszliwie cienka.

Wiosenna pogoda służy Wendy za pretekst, żeby mnie namówić na jazdę konną. W ten sposób trafiam na ranczo Leniwy Pies i ląduję na grzbiecie czarno-białej klaczy o imieniu Pyskata. Wendy mówi, że Pyskata to dobry koń do nauki, bo ma koło trzydziestki i nie jest już zbyt waleczna. Jak dla mnie nie ma sprawy, choć

od razu czuję się w siodle, jakbym spędziła w nim całe życie.

- Świetnie sobie radzisz - chwali mnie Wendy, obserwując z płotu, jak powoli okrążam pastwisko. - Jesteś urodzonym jeźdźcem.

Pyskata strzyże uszami. W oddali widzę dwóch mężczyzn na koniach galopujących w kierunku dużej czerwonej stajni na końcu pastwiska. Dobiega nas ich śmiech.

- To tata i Tucker - mówi Wendy. - Zaraz będzie obiad. Lepiej odprowadźmy Pyskatą.

Delikatnie uderzam kobyłę w bok, a ona rusza w kierunku stajni.

- Hej! - woła pan Avery, kiedy się zbliżamy. - Całkiem nieźle.

- Dziękuję. Jestem Clara.

- Wiem, wiem - odpowiada pan Avery. Z wyglądu bardzo przypomina Tuckera. - Wendy od miesiąca nie przestaje o tobie mówić. - Rozciąga usta w uśmiechu, co sprawia, że jeszcze bardziej upodobnia się do syna.

- Tato - mruczy Wendy. Podchodzi do konia ojca i głaszcze go pod brodą.

- O matko - śmieje się Tucker. - Ona dała ci starą Pyskatą.

Obiecałam sobie, że ze względu na Wendy nie dam się dziś wyprowadzić Tuckerowi z równowagi, choćby nie wiem jak się starał. Żadnych niegrzecznych uwag. Żadnego odgryzania. Zamierzam zachowywać się wzorowo.

- Lubię ją. - Pochyłam się i gładzę kobyłę po karku.

- To koń, na którego wsadzamy dzieci.

- Tucker, zamknij się.

- Ale kiedy to prawda. Pyskatej już pewnie z pięć lat nie zdarzyło się pokonać kawałka drogi szybciej niż wąż. Siedzieć na niej to właściwie tak jak siedzieć w fotelu.

Dobra, pokażemy mu.

- Grzeczna dziewczynka - mówię do Pyskatej miękko. W języku aniołów. Nadstawia uszy. - Biegiem - szepczę.

Sama jestem zaskoczona, jak szybko mnie usłuchała. W mgnieniu oka przechodzimy w pełny galop, pędzimy na drugi koniec pastwiska. Na moment czas zwalnia. Oświetlone zachodzącym słońcem góry na horyzoncie lśnią złotem. Rozkoszuję się chłodnym wiosennym powietrzem, które pieści mi skórę, i zakurzonym grzbietem konia. Pyskata wyciąga nogi, uderzając w biegę ziemię, jej oddech pachnie sianem. Jest cudownie.

A wtedy podmuch wiatru zwiewa mi włosy na twarz i przez jedną straszliwą chwilę nic nie widzę, wszystko dzieje się zbyt szybko. Wyobrażam sobie, jak wylatuję z siodła i ląduję twarzą w stercie gnoju, a Tucker tarza się ze śmiechu. Odrzucam gwałtownie głowę i nagle moich oczu nie przykrywają już włosy. Oddech mi zamiera. Płot pędzi na nasze spotkanie, a Pyskata wcale nie wygląda, jakby miała zwolnić.

- Dasz radę przeskoczyć? - pytam wciąż szeptem. W końcu to tylko stara kobyła.

Czuję, jak zbiera się w sobie. Odmawiam krótką modlitwę i pochylam się nad jej karkiem. A potem nagle jesteśmy w powietrzu, ledwie pokonując przeszkodę. Lądujemy tak ciężko, że aż dzwonią mi zęby. Zawracam kobyłę w stronę stajni, ściągając lejce, żeby odrobinę zwolniła. Kłusem podjeżdżam do Tuckera, Wendy

i pana Avery'ego, którzy gapią się na nas z otwartymi szeroko ustami.

To tyle, jeśli chodzi o wzorowe zachowanie.

- Prr - mówię, ściągając wodze, póki Pyskata się nie zatrzyma.

- O do licha! - Wendy wypuszcza powietrze. - Co to było?

- Nie mam pojęcia. - Zmuszam się do śmiechu. - Głównie pomysł konia.

- Niewiarygodne!

- Zdaje się, że mimo wszystko Pyskata wciąż potrafi się odgryźć. - Zerkam triumfalnie na Tuckera, któremu tym razem odebrało mowę.

- To było coś - stwierdza pan Avery. - Nie sądziłem, że staruszka ma w sobie jeszcze tyle życia.

- Od jak dawna jeździsz? - pyta Tucker.

- To jej pierwszy raz! Niewiarygodne, prawda? - woła Wendy. - Urodzony z niej jeździec!

- Prawda - przyznaje Tucker, przyglądając mi się bacznie. - Niewiarygodne.

- Zaprosiłaś już Jasona Lovetta na bal? - pytam Wendy, kiedy kilka minut później szcztokujemy Pyskatą w stajni.

Jej twarz natychmiast przybiera kolor buraka.

- To szkolny bal - mówi z wymuszoną lekkością. - To on powinien mnie zaprosić, nie sądzisz?

- Wszyscy wiedzą, że to typ płochliwca. Prawdopodobnie onieśmiela go twoja zniewalająca uroda.

Dlatego to ty powinnaś go zaprosić.

- Ale może ma dziewczynę w Kalifornii?

- Związek na odległość. Niewypał. Poza tym wcale tego nie wiesz. Zaproś go. To się dowiesz.

- Nie wiem...

- Daj spokój, Wen. Lubi cię. Na angielskim cały czas się na ciebie gapi. I wiem, że on też ci się podoba. A tak w ogóle to o co chodzi z tymi Kalifornijczykami?

Przez chwilę panuje cisza, jedyny dźwięk, jaki słycać, to miarowy oddech konia.

- A o co chodzi z tobą i moim bratem? - pyta Wendy. Zupełnie ni stąd, ni zowąd.

- Z twoim bratem? Co masz na myśli?

- Wygląda, jakby między wami coś było.

- Żartujesz, prawda? Po prostu lubimy sobie dokuczać, przecież wiesz.

- Ale lubisz go, prawda? Szczeka mi opada.

- Nie, ja... - milknę.

- Lubisz Christiana Prescottta - kończy za mnie, unosząc brew. - No tak, mogłam się domyślić. Ale Christian jest jak bóg. Bogów się czci, a nie z nimi chodzi. Tego typu facetów można lubić tylko na odległość.

Nie wiem, co powiedzieć.

- Wendy...

- Słuchaj, nie wpycham ci swojego brata. Prawdę mówiąc, myśl, że moja najlepsza przyjaciółka miałaby się umawiać z moim bratem, przyprawia mnie o gęsią skórkę. Ale chciałam ci powiedzieć, na wypadek gdybyś była zainteresowana, że nie ma problemu. Dam sobie z tym radę. Gdybyś chciała z nim chodzić...

- Ale przecież Tucker nawet mnie nie lubi - wyrzucam z siebie.

- Lubi.
- Akurat.
- Nie zdarzyło ci się w podstawówce, żeby jakieś chłopak walnął cię w ramię?
- Ale Tucker jest w liceum.
- Uwierz mi, wciąż nie wyrósł z podstawówki - zapewnia Wendy.

Wpatruję się w nią.

- Czyli mówisz, że Tucker zachowuje się jak kretyn, dlatego że mnie lubi?
- I to bardzo.
- To niemożliwe. - Kręcę głową z niedowierzaniem.
- Nigdy ci to nie przyszło do głowy?
- Nigdy!
- Phi! - parska Wendy. - W każdym razie ja nie będę wam stała na drodze ani nic z tych rzeczy. Jeśli o mnie chodzi, nie ma sprawy.

Serce mi wali. Przetykam ślinę.

- Wendy, nie lubię twojego brata. Nie w ten sposób. Właściwie to w żaden sposób, naprawdę. Bez urazy.
- Żadna tam uraza - mruczy, wzruszając niedbale ramionami. - Po prostu chciałam, żebyś wiedziała, że nie mam nic przeciwko tobie i Tuckerowi. Gdyby kiedykolwiek do czegoś doszło.
- Nie ma mnie i Tuckera, jasne? Możemy porozmawiać o czymś innym?
- Pewnie - mówi, ale zamyślony wyraz jej twarzy sugeruje, że chciała powiedzieć coś więcej.

9. *Niech żyje królowa*

Mam to włożyć na siebie sama? - pytam.

- Włóż tyle, ile się da! - woła Angela. - Pomogę ci z resztą.

Przyglądam się szacie - wszystkim jej częściom -wiszącej na wieszaku w garderobie za kulisami Różowej Podwiązki. Sprawia wrażenie skomplikowanej konstrukcji. Może jednak trzeba było wybrać anioły z Mons?

- Jak długo mam to jutro nosić? - pytam głośno, naciągając jedwabne pończochy i zawiązując pod kolanem wstążkę.

- Niedługo - odpowiada Angela. - Pomogę ci włożyć kostium przed lekcją, a potem będziesz go miała na sobie podczas prezentacji.

- Gdybyś nie wiedziała, to ta szata może mnie zabić. Dobry stopień z projektu może nas kosztować moje życie.

- To bardzo szlachetne z twojej strony - kpi Angela. Wbijam się w gorset i krynolinę, po czym łapię wieszak z suknią i wmaszerowuję na scenę.

- Chyba powinnaś mi zawiązać gorset, zanim włożę resztę.

Podskakuje, żeby mi pomóc. Jeśli chodzi o Angelę, jedno jest pewne: niczego nie robi połowicznie. Szarpie koronki.

- Nie tak mocno! Pamiętaj, że mam w tym jeszcze oddychać?

- Przestań jęczeć. Masz szczęście, że nie udało nam się znaleźć prawdziwych fiszbin.

Gdy w końcu przeciąga mi suknię przez głowę, czuję się, jakbym miała na sobie całą garderobę Różowej Podwiązki. Angela okrąża mnie, obciągając materiał u dołu, żeby wszystko wyglądało, jak należy. Robi krok w tył.

- Łał, całkiem nieźle. Z makijażem i odpowiednią fryzurą będziesz wyglądała jak prawdziwa królowa Elżbieta.

- No to świetnie - mówię bez entuzjazmu. - Będę wyglądała jak wielka beza.

- Oj, zapomniałam o kryzie!

Zeskakuje ze sceny i podbiega do kartonowego pudła na podłodze. Wyciąga sztywny okrągły kołnier, który wygląda jak to coś, co się zakłada psom na szyję, żeby się nie lizały. Są jeszcze dwa na nadgarstki.

- Nikt nie wspominał o kryzie.

Przyskakuje do mnie. Jej skrzydła pojawiają się w jednym błysku, uderzają kilka razy, z łatwością przenosząc Angelę na scenę, po czym znikają.

- Szpanerka.

- Stój spokojnie. - Mocuje ostatnią kryzę przy końcu rękawa. - Moja mama jest geniuszem.

Jak na zawołanie Anna Zerbino wkracza z foyer z naręczem obrusów. Na mój widok zatrzymuje się w przejściu.

- Czyli pasuje. - Taksuje mnie od góry do dołu pozbawionym wesołości wzrokiem.

- Jest wspaniała - mówię. - Wielkie dzięki za to, że włożyła pani w to tyle pracy.

Kiwa głową.

- Kolacja na stole. Lasagne.

- Dobra, koniec przymiarki - oznajmiam Angeli. - Teraz mnie z tego wydostań.

- Nie tak szybko - szepcze Angela, zerkając na mamę przez ramię. - Nie zdążyliśmy się jeszcze zająć naszą drugą sprawą.

Jest taka przewidywalna. Zawsze tylko anioły jej w głowie.

- Daj spokój - szepczę w odpowiedzi. - Lasagne czeka.

- Zaraz przyjdziemy, mamó - mówi Angela. Udaje, że majstruje przy moim kołnierzu, dopóki mama nie wyjdzie. Gdy tylko zostajemy same, zaczyna: - A jednak odkryłam coś ciekawego.

- Co takiego?

- Anioły, to znaczy pełnej krwi anioły, wszystkie są mężczyznami.

- Wszystkie?

- Nie ma żadnej kobiety, która byłaby *intangere*.

- Ciekawe. A teraz pomóż mi pozbyć się sukienki.

- Ale myślę, że anioły, jeśli zechcą, mogą się pojawiać w kobiecej postaci. Podejrzewam, że potrafią zmieniać formę. Tak jak zmiennokształtni - wyjaśnia Angela, jej złote oczy lśnią z podniecenia.

- To znaczy, że mogą stać się kotami, ptakami i tak dalej?

- Tak, ale nie tylko. Mam inną teorię.

- No proszę - jęczę.

- Myślę, że wszystkie te historie o istotach nadprzyrodzonych, wampirach, wilkołakach, duchach, syrenach, ufoludkach, co tam chcesz, mogą mieć związek z aniołami. Ludzie nie wiedzą, co widzą, a to mogą być anioły przybierające inną postać.

Angela miewa takie szalone teorie, ale zawsze fajnie się nad nimi zastanowić.

- Niezłe - mówię. - A teraz chodźmy jeść.
- Poczekaj - przerywa mi. - Znalazłam też coś na temat twoich włosów.
- Moich włosów?
- No tego lśnienia, o którym mówiłaś. - Podchodzi do stołu, bierze notes i zaczyna przerzucać kartki. - To się nazywa *comae caelestis*. Rzymianie określali w ten sposób „oślepiające promienie emanujące z włosów na głowie, znak istoty niebiańskiej”.
- Co takiego? Znalazłaś to w Internecie? - Śmieję się zaszokowana. Kiwa głową. Jak zwykle samorodek, który jej dałam, zamieniła w żyłę złota.
- Chciałabym, żeby mi też się coś takiego przytrafiło - rzuca tęsknie, owijając pasmo swoich lśniących czarnych włosów wokół palca. - Założę się, że to fantastyczne uczucie.
- Raczej przytłaczające, wiesz? I musiałybyś ufar-bować włosy. Wzrusza ramionami, jakby to wcale nie wydawało się jej takie złe.
- Dobra, to co masz dla mnie w tym tygodniu? - zagaduje.
- Co powiesz na ideę misji? - To naprawdę wielka rzecz, coś, o czym pewnie powinnam była powiedzieć jej dużo wcześniej. Tylko że nieszczególnie chciałam rozmawiać o zadaniach, bo wtedy musiałabym jej opowiedzieć o swoim. Ale przekazałam jej już dosłownie wszystkie informacje, jakie miałam. Przyniosłam nawet swój anielski pamiętnik i pokazałam stare notatki. W skrytości ducha mam nadzieję, że w swojej nieskończonej mądrości Angela wie wszystko na temat zadań.

- Co rozumiesz przez misję? - pyta. Niestety, nie wie.
 - Najpierw pomóż mi się tego pozbyć. - Wskazuję na suknię.
- Porusza się szybko, luzując i rozwiązując wszystkie koronki i troczki. Idę do garderoby i przebieram się w swoje normalne ciuchy. Gdy wracam do sali, Angela siedzi przy jednym ze stolików, stukając ołówkiem w notes.
- No dobra. Mów. Siadam naprzeciwko.
 - Każdy anielita ma do wypełnienia na Ziemi zadanie. Zazwyczaj poznaje je, doświadczając wizji. Jak szalona zapisuje wszystko w swoim notatniku.
 - Kiedy pojawiają się te wizje? - dąży.
 - Z każdym jest inaczej, ale zazwyczaj gdzieś między trzynastym a dwudziestym rokiem życia. Kiedy zaczyna się przejawiać twoja moc. Ja swoje zadanie dostałam w zeszłym roku.
 - I ma się tylko jedną taką misję?
 - Z tego, co wiem, tak. Mama zawsze mówi, że to jest powód, dla którego znalazłam się na świecie.
 - A co się stanie, jeśli nie wypełnisz swojego zadania.
 - Nie wiem.
 - A co się stanie, kiedy je już wypełnisz? Będiesz mogła prowadzić normalne, szczęśliwe życie?
 - Nie wiem - powtarzam. Proszę, jaki ze mnie znawca tematu. - Mama nie chciała mi nic na ten temat powiedzieć.
 - I jaka jest twoja misja? - wypytuje, wciąż notując. Podnosi wzrok, kiedy nic nie mówię.
 - Och, to ma być tajemnica?

- Nie wiem. To po prostu bardzo osobiste.
 - W porządku, nie musisz mi mówić.
- Ale chcę. Chcę powiedzieć o tym komuś innemu niż mama.
- To ma związek z Christianem Prescottem. Odkłada ołówek z takim zdumieniem, że omal nie wybucham śmiechem.
 - Z Christianem Prescottem? - powtarza, jakbym właśnie zastrzeliła ją puentą strasznie głupiego dowcipu.
 - W swojej wizji widzę pożar lasu, a potem Christiana stojącego wśród drzew. Myślę, że mam go ocalić.
 - O rany!
 - No właśnie. Milczy przez chwilę.
 - Dlatego się tu przeprowadziliście? - pyta w końcu.
 - Tak. Zobaczyłam samochód Christiana i odcyfrowałam numer tablicy rejestracyjnej, i stąd wiedzieliśmy, że mamy tutaj przyjechać.
 - O rany!
 - Już możesz przestać powtarzać „o rany”.
 - Kiedy to ma się zdarzyć?
 - Sama chciałabym wiedzieć. Wiem tylko, że w sezonie pożarów.
 - Nic dziwnego, że masz obsesję na jego punkcie.
 - Ange!
 - Oj, daj spokój. Na historii cały czas ślinisz się na jego widok. Myślałam, że po prostu cię urzekł, tak jak zdaje się wszystkich w szkole. Cieszę się, że istnieje lepszy powód.
 - No dobra, dość tych anielskich pogaduszek - mówię, wstając i kierując się w stronę drzwi. Pewnie jestem już czerwona jak burak. - Lasagne stygnie.

- Ale ty nie spytałaś o moje zadanie - mówi Angela. Zatrzymuję się.
- Znasz swoje zadanie?
- No cóż, aż do teraz nie wiedziałam, że to moje zadanie. Ale od trzech lat wciąż mi się zdarza taki sen na jawie.
- I co w nim jest? Jeśli możesz powiedzieć. Nagle poważnieje.
- Mogę, pewnie. Wielki dziedziniec, idę szybko, prawie biegnę, jakbym była spóźniona. Dookoła pełno ludzi z plecakami i kubkami kawy, więc myślę, że to może jakiś kampus uniwersytecki czy coś w tym rodzaju. Jest rano. Wbiegam po kamiennych schodkach, na których szczycie stoi mężczyzna w szarym garniturze. Kładę mu dłoń na ramieniu, a on się odwraca. Milknie, wpatrując się w mroczną salę, jakby widziała tę scenę rozgrywającą się przed jej oczami.
- I? - dopytuję się.
- Zerka na mnie zażenowana.
- Nie wiem. Zdaje się, że mam mu przekazać wiadomość. Mam o czymś opowiedzieć, wypowiedzieć jakieś słowa, ale nigdy ich nie pamiętam.
- Pojawią się, kiedy przyjdzie pora - mówię. Jakbym słyszała własną mamę. Pocieszające jest to, myślę, kiedy tej nocy szykuję się do snu, że dzięki Angeli wiem, że nie jestem sama. Może nie powinnam była czuć się samotna, skoro mam mamę i Jeffreya, ale jednak się czułam. Jakbym była jedyną osobą na świecie, która ma do wypełnienia boską misję. Teraz nie jestem już sama. W dodatku Angela, mimo całej swojej mądrości, wie na temat swojego zadania

niewiele więcej niż ja i żadne szperanie po bibliotekach i snucie teorii jej nie pomoże. Po prostu musi poczekać na odpowiedź. Ta świadomość sprawia, że czuję się lepiej. Jakbym odrobinę mniej nawaliła.

- Hej - mówi mama, wsadzając głowę do mojego pokoju. - Dobrze się bawiłaś z Angelą?

Jej twarz ma starannie neutralny wyraz, jak zawsze, gdy pojawia się temat Angeli.

- Tak, skończyliśmy projekt. Jutro go przedstawiamy. Pewnie potem nie będziemy się aż tak często spotykać.

- To dobrze, będziemy mieć czas na naukę latania.

- Super - stwierdzam z kamienną twarzą. Marszczy brwi.

- Cieszę się z twojej znajomości z Angelą. - Wchodzi do pokoju i siada obok mnie na łóżku. - Myślę, że to bardzo dobrze, że znalazłaś przyjaciółkę, która jest anielitką.

- Naprawdę?

- Naprawdę. Musisz być tylko ostrożna, to wszystko - odpowiada.

- Jasne, bo wszyscy wiedzą, jakim Angela jest bandziorem.

- Przy niej czujesz, że możesz być sobą - mówi mama. - Rozumiem to. Ale anielici są różni. Nie tacy jak twoi normalni przyjaciele. Nigdy nie wiadomo, jakie są ich prawdziwe zamiary.

- Lekka paranoja?

- Po prostu bądź ostrożna.

A przecież nie zna Angeli. Ani jej misji. Nie ma pojęcia, jaka jest zabawna i bystra ani ilu odlotowych rzeczy się od niej dowiedziałam.

- Mamo - mówię z wahaniem w głosie. - Ile czasu zajęło ci dowiedzenie się wszystkiego na temat swojej misji? Kiedy zyskałaś absolutną pewność, co masz zrobić?

- Nie zyskałam. - Przez kilka sekund w jej oczach lśni smutek, zaraz jednak przybiera powściągliwy wyraz twarzy, sztywnieje. Uważa, że już i tak powiedziała za dużo. Nie zamierza zdradzić mi nic więcej.

Wzdycham.

- Mamo, dlaczego nie możesz mi po prostu powiedzieć?

- To znaczy - ciągnie dalej, jakby nie usłyszała mojego pytania - nigdy nie miałam pewności. A w każdym razie absolutnej. Wszystko to jest bardzo intuicyjne.

Słyszymy ryk muzyki z pokoju Jeffreya i tupot jego ogromnych stóp biegnących korytarzem do łazienki. Kiedy spoglądam na mamę, znów jest pogodna.

- Niektóre rzeczy trzeba przyjąć na wiarę - mówi.

- Tak, wiem - odpowiadam z rezygnacją. W gardle rośnie mi gula. Chciałabym zapytać ją o tyle rzeczy. Ale ona nigdy nie chce odpowiadać. Nigdy nie dopuszcza mnie do swojego sekretnej anielskiego świata, a ja nie rozumiem dlaczego. - Powinnam iść spać - oznajmiam. - Jutro wielki dzień, prezentacja na historii.

- Jasne - przytakuje mama.

Wygląda na wyczerpaną. Pod oczami ma sińce. Spostrzegam nawet kilka nowych zmarszczek w kącikach. Teraz może uchodzić za kobietę po czterdziestce, co i tak nie jest złe, bo przecież ma sto osiemnaście lat. Ale nigdy dotąd nie widziałam jej tak zmarnowanej.

- Wszystko w porządku? - pytam. Kładę rękę na jej dłoniach. Skórę ma zimną i wilgotną, co mnie niepokoi.

- Nic mi nie jest. - Zabiera ręce. - To był długi tydzień.

Wstaje i idzie do drzwi.

- Gotowa? - Sięga do kontaktu.

- Tak.

- Dobranoc. - Gasi światło.

Przez chwilę stoi w drzwiach, zarys postaci obramowanej światłem wpadającym z korytarza.

- Kocham cię, Claro - szepcze. - Nie zapominaj o tym, dobrze?

Chce mi się płakać. Jak to możliwe, żeby w tak krótkim czasie powstała między nami tak ogromna przepaść?

- Ja też cię kocham, mamo.

Wychodzi, zamykając drzwi, a ja zostaję sama w ciemności.

- Jeszcze jedna warstwa - mówi Angela. - Twoje włosy są takie... nieznośne!

- Mówiłam ci.

Rozpyła kolejną trującą chmurę wokół mojej głowy. Kaszlę. Gdy oczy przestają mi łzawić, patrzę w lustro. Spogląda z niego królowa Elżbieta. Nie wygląda na rozbawioną.

- Myślę, że możemy dostać nawet szóstkę.

- Znasz kogoś, kto kiedyś w to wątpił? - pyta Angela, poprawiając okulary na nosie. - Pamiętaj, ja mówię, a ty po prostu stoisz i ładnie wyglądasz.

- Łatwo ci mówić - mruczę. - Całe to przebranie waży pewnie ze sto kilo.

Wywraca oczami.

- Sekunda - rzucam. - Skąd te okulary? Przecież masz świetny wzrok.

- To moje przebranie. Ty odgrywasz rolę królowej, a ja pilnej, szóstkowej uczennicy, która wie wszystko na temat epoki elżbietańskiej.

- Łał. Jesteś chora, wiesz?

- Daj spokój - mówi Angela. - Zaraz będzie dzwonek.

Ludzie rozstępują się, żeby mnie przepuścić, kiedy idę za nią korytarzem. Próbuję się uśmiechać, gdy sobie mnie pokazują i szepczą. Stajemy przed drzwiami pracowni historycznej. Angela odwraca się i zaczyna majstrować przy mojej sukni.

- Niezły kołnierzyk - śmieje się ze mnie.

- Jesteś moją dłużniczką!

- Zaczekaj tutaj. - Sprawia wrażenie odrobinę zdenerwowanej. - Zapowiem cię.

Kiedy wślizguje się do klasy, stoję w korytarzu, nasłuchując, i nagle serce zaczyna mi walić mocniej. Słyszę, jak Angela coś mówi, pan Erikson odpowiada, a klasa wybucha śmiechem. Zerkam przez maleńkie prostokątne okienko w drzwiach. Angela stoi z przodu, wskazując na przygotowany przez nas plakat z wykresem obejmującym lata życia królowej Elżbiety. Ma mnie zapowiedzieć zaraz po śmierci królowej Marii. To może nastąpić w każdej chwili. Biorę głęboki wdech i prostuję się, na ile mogę pod przygniatającym ciężarem sukni.

W środku jest Christian. Przez szybę widzę, że usiadł w pierwszym rzędzie, a głowę oparł na dłoni. Ma wyjątkowo ładny profil.

- A więc bez zbędnych ceregieli - stwierdza w końcu głośno Angela - przedstawiam państwu jej wysokość królową Elżbietę I z dynastii Tudorów, władczynię Anglii i Irlandii... Tucker, otwórz drzwi.

Drzwi się otwierają, a ja wkraczam do klasy z całą gracją, na jaką mnie stać. Uważając, żeby nie potknąć się o suknię, dostojnym krokiem przechodzę przed klasą i staję obok Angeli. Słyszę, jak wszyscy robią głęboki -wdech.

Rzecz jasna, nie udało nam się odtworzyć w całości żadnej z sukni, które znalazłyśmy na portretach Elżbiety w Wikipedii, zdobionych szafirami i rubinami, wykonanych z kilometrów niezwykle kosztownej tkaniny, ale mama Angeli zrobiła fantastyczną kopię. Suknia jest w kolorze starego złota, z wytłaczanym srebrnym wzorem i białą jedwabną koszulką, która wygląda z rękawków. Do krawędzi przykleiliśmy sztuczne perły i szklane świecidełka. Gorset ma z przodu maleńki trójkącik - niżej spódnica rozszerza się i opada aż do ziemi. Kryzę przy szyi i nadgarstkach zrobiłyśmy ze sztywnej koronki, którą też przyozdobiłyśmy sztucznymi perłami. Wreszcie moją twarz pomalowałyśmy prawie na biało (symbol czystości Elżbiety), a usta na czerwono. Angela rozdzieliła mi włosy pośrodku, zwinęła w dwa skomplikowane koki z tyłu i przymocowała do głowy maleńką tiarę z pereł nanizanych na drucik, z jedną maleńką perełką dyndającą tuż nad środkiem czoła. Z pleców zwisa mi długi biały aksamitny tren niczym welon panny młodej.

Cała klasa gapi się na mnie, jakbym była prawdziwą królową Elżbietą, która przeniosła się w czasie. Nagle czuję się piękna i potężna, jakby rzeczywiście w moich żyłach płynęła królewska krew. Już nie jestem żadną Wiewiórą.

- Królowa Maria nie żyje - mówi Angela. - Niech żyje królowa Elżbieta.

Teraz moja kolej. Zamykam oczy i nabieram tyle powietrza, na ile pozwala mi gorset, po czym podnoszę głowę i spoglądam na wszystkich w klasie, jakby teraz to byli moi wierni poddani.

- Moi panowie, prawem natury czuję smutek z powodu śmierci siostry - mówię z najlepszym brytyjskim akcentem, na jaki mnie stać. - Brzemie, które złożono na moich barkach, napawa mnie zdumieniem, ale zważywszy na to, że jestem stworzeniem Bożym, zobligowanym do posłuszeństwa, nakazy Jego wypełnię, pragnąc z głębi serca, by łaska Pana wspomogła mnie w przekazywaniu Jego niebiańskiej woli na tym urzędzie, który mi powierzono.

W klasie panuje cisza. Zerkam na Christiana, który patrzy na mnie, jakby nigdy wcześniej mnie nie widział. Napotykam jego wzrok. Uśmiecha się.

Nagle w powietrzu wyczuwam woń dymu.

Nie teraz, myślę, jakby wizja była osobą, kimś, komu mogę rozkazywać. Następna linijka przemówienia wylatuje mi z głowy. Spostrzegam kontury drzew.

Proszę, mówię w myślach desperacko. Idź sobie.

Nic z tego. Jestem razem z Christianem w lesie. Spoglądam w jego poznaczone złotymi plamkami oczy. Tym razem stoi tak blisko, że mogę wyczuć tę cudowną mieszaninę mydła i chłopca, którą pachnie. Wystarczyłoby, żebym wyciągnęła rękę, a mogłabym go dotknąć. Tego właśnie chcę. Nie sądzę, żebym czegokolwiek w życiu pragnęła równie mocno. Ale czuję też smutek, żal tak potężny i bolesny, że w jednej chwili oczy napełniają mi się łzami. Niemal zapomniałam o tym smutku.

Opuszczam głowę i właśnie wtedy widzę, że trzyma mnie za rękę - długie palce Christiana otaczają moje. Kciukiem

wodzi po moich knykciach. Zaszokowana gwałtownie wciągam powietrze. Co to znaczy? Podnoszę wzrok. Znowu jestem w klasie, gapię się na Christiana. Ktoś parska śmiechem. Wszyscy patrzą na mnie wyczekująco. Wyczuwam falę rosnącego napięcia Angeli. Jest wkurzona. Chciała, żebym miała kartkę. Może to wcale nie był taki zły pomysł.

- Wasza Wysokość? - przynagła mnie pan Erikson. Nagle przypominam sobie następną linijkę.
- Nie lękajcie się - mówię szybko, nie mogąc oderwać wzroku od Christiana. Znowu się uśmiecha, jakbyśmy prowadzili prywatną rozmowę. - Wiem, że moje ciało to ciało słabej i ułomnej kobiety - mówię. - Ale serce i żołądek mam iście królewskie.
- Niech żyje królowa! - woła Angela, w okularach jej oczy wydają się ogromne.
- Niech żyje królowa! - powtarza pan Erikson, a za nim cała klasa.

Nie potrafię powstrzymać uśmiechu. Angela, która sprawia wrażenie, jakby po skończeniu mojej części jej ulżyło, zaczyna szczegółowo opowiadać o panowaniu królowej Elżbiety. Ja mam teraz już tylko stać i ładnie wyglądać, jak to ujęła. I spróbować uspokoić walące serce.

- Oczywiście przez długi czas wszyscy w Anglii starali się znaleźć Elżbiecie odpowiedniego męża - opowiada Angela, zerkając na pana Eriksona, jakby właśnie dowiodła swoich racji. - Nikt nie wierzył, że królowa poradzi sobie z rządzeniem sama. Tymczasem okazała się najlepszym i najbardziej szanowanym władcą w historii. To ona zapoczątkowała w Anglii złoty wiek.

- No tak, ale czy przypadkiem nie umarła jako dziewczica? - pyta Tucker z tyłu klasy.

Angela nie waha się ani chwili. Natychmiast przechodzi do tematu dziewictwa królowej i tego, jak Elżbieta wykorzystwała je, żeby uatrakcyjnić swoje panieństwo.

Tucker opiera się o ścianę, uśmiechając się ironicznie.

- Sir Tuckerze - odzywam się nagle, przerywając Angele.

- Tak?

- Zdaje się, że właściwa odpowiedź to „tak, Wasza Wysokość” - mówię najwynioślej, jak potrafię. Nie mogę przecież pozwolić, żeby wyśmiewał się ze mnie przed całą klasą, prawda?

- Tak, Wasza Wysokość. - Jego głos ocieka sarkazmem.

- Liczcie się ze słowami, sir Tuckerze, jeśli nie chcecie skończyć w dybach.

Parska szyderczo i spogląda na pana Eriksona.

- Nie może tego zrobić, prawda? To nie ona rządzi w klasie, tylko Brady.

- Dzisiaj to ona jest królową - przypomina pan Erikson, opierając się na krześle. - Na twoim miejscu bym się zamknął.

- Możesz go pozbawić tytułu - sugeruje Brady. Najwyraźniej nie ma nic przeciwko temu, że uzurpuję sobie prawo do tronu. - Zrobić z niego chłopca.

- Tak - wtrąca Christian. - Zrób z niego chłopca. Bycie chłopcem jest do kitu.

Jako chłop pańszczyźniany Christian już kilka razy został zabity w czasie lekcji. Poza epidemią czarnej ospy pierwszego dnia raz umarł z głodu, raz ucięto mu rękę-

ce za kradzież bochenka chleba i raz został stratowany przez konia swojego pana. Teraz występuje już chyba w swoim piątym wcieleniu.

- Albo w ogóle się go pozbadź. Wtrąć go do londyńskiego Tower. Każ go włóczyć i ćwiartować. Może łamać kołem. Albo rozkaż zrobić mu gorącą lewatywę - mówi pan Erikson ze śmiechem. Nie sposób nie lubić nauczyciela, który sugeruje wykonanie kary śmierci za pomocą gorącej lewatywy.

- Może powinniśmy głosować - proponuję, spoglądając chłodno na Tuckera. Pamiętam, jak omal przez niego nie spłonęłam oskarżona o czary. Zemsta jest słodka.

- Wszyscy, którzy są za śmiercią heretyka sir Tuckera, ręka do góry - komenderuje szybko Angela. Patrzę na podniesione dłonie. Klasa jest jednomyślna. Poza Tuckerem, który trzyma ręce skrzyżowane na piersi.

- Zatem gorąca lewatywa - decyduję.

- Zaraz zanotuję. - Pan Erikson zaciera ręce.

- A teraz, skoro to już ustalone - zaczyna Angela, spoglądając na mnie surowo - pozwólcie, że przejdę do zwycięstwa Anglii nad hiszpańską armadą.

Spoglądam na Tuckera triumfalnie. Kącik jego ust unosi się w półśmiechu. Skłania głowę, jakby mówił: *touché*.

Kto zdobył punkt? Clara!

Trafiony, zatopiony.

- Co to było? - syczy Angela, kiedy po lekcji idziemy prosto do toalety.

- To z Tuckerem? Nie wiem! Po prostu nie potrafię go rozgryźć.

- Nie, to, kiedy odplynęłaś w połowie mowy i zostawiłaś mnie samą przed całą klasą.
- Przepraszam. Miałam wizję. Jak długo to trwało?
- Jakieś dziesięć sekund. Ale to było najdłuższe dziesięć sekund na świecie. Myślałam, że będę musiała cię spoliczkować.
- Przepraszam - powtarzam. - Nie umiem tego kontrolować.
- Wiem. W porządku.

Wpadamy do damskiej toalety i wchodzimy do kabiny dla niepełnosprawnych. Angela demontuje suknię, a ja się z niej wyswobadzam. Rozwiązuje mi gorset i oddycham z ulgą - nareszcie mogę nabrać pełną pierś powietrza.

- Widziałaś pożar lasu? - pyta, wyglądając na zewnątrz, żeby się upewnić, że jesteśmy same.
- Nie tym razem.

Uśmiecha się złośliwie, podając mi bluzę.

- Widziałaś Christiana.

Czuję, jak rumieniec wypełza mi na policzki.

- Tak. - Ostrożnie zdejmuję tiarę i wręczam ją Angeli, po czym wciągam bluzę przez głowę.
- To znaczy, że patrzyłaś na Christiana w klasie, a potem zobaczyłaś go w przyszłości? To szaleństwo.
- Tak? Mów do mnie jeszcze. - Wkładam dzinsy i podchodzę do lustra, żeby sprawdzić, jaką tragedię mam na głowie. - Faj, muszę umyć włosy.
- A w tej przyszłości co się wydarzyło?
- Nic - mówię szybko. - To trwało sekundy, pamiętasz? Nie było czasu, żeby coś się wydarzyło.

Odwracam się do zlewu i pochylam głowę, żeby ochlapać twarz. Patrzę, jak biały makijaż rozpuszcza się i spływa, wirując. Dobrze jest poczuć zimną wodę na

rozpalonej skórze. Angela podaje mi papierowy ręcznik, a ja osuszam twarz i ścieram czerwoną szminkę. Wyciąga z plecaka szczotkę i zaczyna wyjmować mi szpilki z włosów.

- Nic nowego? - pyta. Napotyka mój wzrok w lustrze. - Żadnego nowego elementu?

Wzdycham. Równie dobrze mogę jej powiedzieć. Angela ma swoje sposoby, żeby wywęszyć prawdę. A w każdym razie na pewno jest spostrzegawcza i wytrwała.

- On... - zaczynam lekko. - My... trzymaliśmy się za ręce.

- Nie mów! - woła. - Więc byliście parą?

- Nie! - protestuję. - To znaczy może. Nie wiem. Trzymaliśmy się za ręce i co z tego? To wcale nie musi nic znaczyć.

- Och, jasne. - Patrzy na mnie z niedowierzaniem, szarpiąc szczotką pozlepiane lakierem włosy. - Daruj sobie. Dobrze wiesz, że jesteś w nim zakochana po uszy.

- Nawet go dobrze nie znam. Auć! Ostrożnie!

- No cóż, ja go znam od przedszkola - oznajmia Angela, rozczesując mi włosy i ignorując protesty. - Więc uwierz mi, że Christian Prescott jest dokładnie taki, jaki się wydaje. Bystry, zabawny, miły, a, i jeszcze gorętszy niż piekło w lipcu.

- Brzmi, jakbyś sama była w nim zakochana - zauważam.

- Ósma klasa - mówi Angela. - Urodziny Avy Peters. Graliśmy w butelkę. Zakręciłam i wskazała na Christiana, więc wyslizgnęliśmy się na ganek z tyłu, żeby się pocałować.

- I? - dopytuję.

- Było w porządku. Ale żadnego iskrzenia. Żadnej chemii. Nic. Jakbym całowała się z bratem. Nie martw się, C, jest cały twój.

- Ej, pamiętaj, że wizja oznacza zadanie - mówię. -A nie randkę. A ponieważ przypuszczam, że Christian jest cały Kay, to darujmy sobie te bzdury.

Angela prycha kpiąco.

- Kay jest ładna. I na tyle bystra, żeby utrzymać zainteresowanie Christiana. Ale to zwykła dziewczyna. A ty jesteś istotą anielską. Jesteś od niej mądrzejsza i bardziej atrakcyjna pod każdym względem. Masz nad nią genetyczną przewagę. No dobra, włosy stanowią pewien problem. Mają nieodpowiedni kolor, śmieszą ludzi, cokolwiek. Ale ogólnie rzecz biorąc, jesteś gorącą laską. Masz to wszystko co Scarlett Johansson z wyjątkiem cycków. Możesz mi zaufać, że każdy chłopak w szkole o tym wie. - A potem dodaje: - Poza tym Christian i Kay są o krok od zerwania.

- Jak to? Coś słyszałaś?

- Nic - rzuca nonszalancko. - Po prostu przyszła pora. Tego typu związki mają określony czas przydatności.

- Jakiego typu związki? Patrzy na mnie ze spokojem.

- Oparte na pociągu fizycznym. A co, myślałaś, że Christian jest z Kay ze względu na jej fantastyczne poczucie humoru?

Kiedy nic nie odpowiadam, dodaje:

- Okres przydatności tego związku właśnie dobiega końca. - Kącik jej ust wygina się w diabolicznym uśmiechu. To niewiarygodne, że ma skrzydła bielsze od moich.

- Jesteś niesamowita - mówię, kręcąc głową. - Niesamowita.
 - Poczekaj tylko - ciągnie. - Sama zobaczysz. Już niedługo cały będzie twój. W końcu to twoje przeznaczenie. - Trzepocze rękami.
 - Daj spokój, naprawdę myślisz, że moje zadanie polega na zdobyciu chłopaka? Pewnie, że byłoby miło, bo z pewnością przydałaby mi się pomoc na froncie romantycznym, ale nie wydaje ci się, że świat to coś więcej niż ja, Christian i nasze życie uczuciowe?
 - Może. - Trudno stwierdzić, czy mówi to serio. -Nigdy nie wiadomo.
- Po szkole czekam na parkingu na Wendy. Mamy pojechać do mnie do domu, żeby się pouczyć do egzaminu z Jane Austen na zajęcia pana Phibbsa. Nie umiem się powstrzymać i szukam wzrokiem avalanche'a Christiana. Jak zwykle stoi zaparkowany z tyłu.
- Wendy podchodzi i uderza mnie w żartach w ramię.
- Tucker mówił, że byłaś dziś królową. Odrywam wzrok od samochodu Christiana.
 - Tak, rządziłam. I to dosłownie.
 - Szkoda, że cię nie widziałam w przebraniu - żałuje Wendy. - Trzeba było przyjść do mnie w czasie lunchu. Pomogłabym ci się przygotować.
 - Och nie, nie trzeba - mówię, jakbym nie chciała się narzucać. Tymczasem prawda jest taka, że nie wiedziałam, jak miałabym się zachować, mając obok siebie i Angełę, i Wendy. Dziwnie byłoby rozmawiać na zwykłe tematy, takie jak szkoła czy chłopcy, skoro przywykłam, że z Angielą obgadujemy sprawy aniołów. Przez ostatnich kilka tygodni Wendy widywałam tylko na lekcjach

i w stołówce, gdzie wciąż siedzę przy stoliku niewidzialnych. Po szkole większość czasu byłam zajęta pracą nad projektem.

- Gotowa na Jane Austen? - pytam.

- Wiesz przecież, że sławetny pan Darcy to moja namiętność - mówi Wendy.

- Ach, no tak - zgadzam się nieprzytomnie, bo właśnie spostrzegam Christiana i Kay.

Stoją obok srebrnej półciężarówki i rozmawiają. Kay uśmiecha się i opiera, a właściwie wręcz uwieszą się na Christianie. Nie wydaje się, żeby miał coś przeciwko. Całują się i nie jest to szybkie cmoknięcie, tylko długi, powolny pocałunek, kiedy to ona obejmuje go ramionami za szyję, a on łapie ją w pasie i przyciąga bliżej. A potem Christian robi krok do tyłu i muska dłonią jej policzek, zakładając za ucho kosmyk włosów. Mówi coś, ona kiwa głową. Otwiera drzwi od strony kierowcy i Kay wsiada do środka. Wskakuje za nią i zamyka drzwi. Nie widzę, co się dzieje potem, ale avalanche nie rusza z miejsca. Nigdzie się nie wybierają.

Wcale nie wyglądają na parę, której termin przydatności właśnie dobiega końca. Sprawiają wrażenie szczęśliwych.

- Wcale mnie nie słuchasz, prawda? - mówi Wendy.

Podskakuję przestraszona i spoglądam w jej stronę. Przekrzywiła lekko głowę w jedną stronę, niebieskie oczy ma zwężone.

- Przepraszam - rzucam szybko, a potem się uśmiecham. - Tucker mówił ci, że skazałam go na śmierć? Dobrze jest być królową.

Liczyłam, że się rozchmurzy, zrobi jakąś dowcipną uwagę, ale ona tylko kręci głową.

- Co takiego?
- Christian ma dziewczynę, gdybyś nie zauważyła -mówi. - Radzę ci, żebyś dała sobie z tym spokój. Otwieram usta, zamykam, a potem znowu otwieram.
- Ej, przyjemniaczko! - wypalam w końcu.
- To prawda.
- Nie masz o niczym pojęcia.
- Może bym miała, gdyby ci się jeszcze chciało czasem ze mną porozmawiać - oświadcza, krzyżując ręce na piersi.
- Och, rozumiem, jesteś zazdrosna. Stąd ta nie-uprzejmość. Odwraca wzrok, tylko potwierdzając, że chodzi o Angelę i czas, jaki z nią spędzam.
- Po prostu mam już dość patrzenia, jak ślinisz się na widok Christiana Prescottta, jakby był kawałkiem mięsa, to wszystko. To był naprawdę długi dzień. Dlatego tracę nad sobą panowanie.
- Co ci do tego, Wen? To moje życie. Może zajmiesz się w końcu swoim i przestaniesz być niewidzialna? Patrzy na mnie przez dłuższą chwilę, jej twarz powoli pokrywa się czerwienią, a w oczach błyszczą łzy. Jest zbyt twarda, by pozwolić im popłynąć. Odwraca się. Widzę, że zaczynają jej się trząść ramiona.
- Wen...
- Nie ma o czym mówić. - Bierze plecak i zarzuca go na ramię. - Myślałam, że jesteśmy przyjaciółkami. Naprawdę, a nie tylko dopóki nie znajdziesz sobie kogoś lepszego. Mój błąd.
- Wendy, co ty?! Przecież jesteś moją przyjaciółką -mówię, wycofując się. - Ja...

- Bez obrazy, Claro, ale świat nie kręci się wokół ciebie.
Patrzę na nią.
- Idę złapać autobus do domu - mówi, przeciskając się obok.

10. *Lekcja latania*

Chciałam miło spędzić wiosenne ferie, pojechać na jakąś szaloną wyprawę do Miami albo po prostu wybrać się dokądś z przyjaciółmi. Ale Wendy wciąż się do mnie nie odzywała (ludzie, ta to potrafi chować urazę!), a Angela akurat pomagała mamie robić wiosenne porządki w Różowej Podwiązce. Dlatego siedem wolnych dni spędziłam w domu z Jeffreyem, który był uziemiony, bo wygrał regionalne zawody zapaśnicze. Dwa tygodnie bez telewizji, telefonu i Internetu. Uważam, że to lekka przesada. Jeffrey był wściekły, a mama wciąż gderła i żadne wygrzewanie się na skąpanym w słońcu ganku nie było w stanie przegnać chłodu panującego w domu.

Powrót do szkoły to prawdziwa ulga. Podczas przerwy na lunch siedzę, czekając na Angelę. Serwetką zbieram nadmiar tłuszczu z kawałka pizzy z pepperoni, gdy Wendy praktycznie w podskokach wpada do stołówki. Ustawia się w kolejce po rybę i podniecona macha do dziewczyn przy stoliku niewidzialnych. Po jej minie można poznać, że nie może się doczekać, aż im coś powie. Podejrzewam, że ma to związek ze szkolnym balem.

Biorę duży kęs rozmoczonej pizzy i napominam się, że wcale nie chcę iść na bal. Wolę zostać w domu z pudełkiem lodów i poskakać po kanałach razem z mamą, której potrzebny jest porządny wypoczynek.

Dlaczego ta wizja tak bardzo mnie przygnębia?

- Nigdy nie zgadniecie, co się stało - dobiega mnie głos Wendy, która opada na krzesło przy stoliku niewidzialnych kilka metrów dalej. Przez chwilę patrzymy sobie w oczy i wiem, że obie byśmy chciały, żeby ta głupia kłótnia już się skończyła, żebyśmy się pogodziły i żeby mogła mi przekazać swoją ekscytującą wiadomość.

- Umówiłaś się na bal? - zgaduje Emma. Niebieskie oczy Wendy błyszczą. Ciekawe, czy kwik radości najlepszej przyjaciółki w tej sytuacji byłby pożądanym.

- Nie - mówi Wendy. - To znaczy tak, idę z Jasonem Lovettem. Ale to nie jest moja wielka nowina. Dostałam się na staż!

- Na staż? - powtarza osłupiała Lindsey.

No pewnie! Staż w Montanie, o którym mówiła non stop, odkąd się tylko o nim dowiedziała! Robili go wszyscy weterynarze z Uniwersytetu Waszyngtońskiego. Ej, dziewczyny! I wy siebie nazywacie jej przyjaciółkami?

- W klinice Ali West - tłumaczy Wendy.

- Och, racja - odzywa się niepewnie Lindsey. - Ten w Bozeman?

- Tak. - Wendy brzmi tak, jakby brakło jej tchu. - Byłam gotowa za niego zabić. Robili go właściwie wszyscy weterynarze, który skończyli Uniwersytet Waszyngtoński, wiecie, mój wymarzony.

Zerka na mnie znowu. Uśmiecham się do niej nieśmiało. Odwraca wzrok.

- Gratulacje! - mówią niemal jednym głosem dziewczyny przy jej stoliku.
- Dzięki. - Sprawia wrażenie naprawdę szczęśliwej, dumnej i podekscytowanej, i to mimo braku kwiku radości.
- Poczekaj, czy to znaczy, że nie będzie cię całe lato? - pyta Audrey, marszcząc brwi.
- Lipiec i sierpień.
- To cudownie - wtrąca Emma. - A teraz opowiedz o tym, jak Jason Lovett zaprosił cię na bal. Niemal słyszę, jak Wendy się czerwieni.
- Prawdę mówiąc, to ja go zaprosiłam. Pochyliłam się i opieram podbródek na dłoni, jakbym była strasznie znudzona i wcale ich nie słuchała. Cieszę się z powodu Wendy. Jason wydaje się dobrym facetem: jest dość niski, ma duże, pełne nadziei brązowe oczy, mówi miękkim tenorem, który oby - dla jego dobra - pogłębił się z wiekiem. Ale jest miły. I będzie dobrze traktował Wendy. W końcu pojawia się Angela. Rzuca swoją papierową torebkę z lunchem na stół przed moim nosem i wślizguje się na krzesło. Jej wzrok intuicyjnie mknie do stolika niewidzialnych, gdzie Wendy razem z przyjaciółkami wciąż omawia sprawę zaproszenia Jasona.
- Powinnaś się z nią pogodzić - stwierdza Angela. - Cokolwiek to było, ona nic już do ciebie nie ma. A swoją drogą, dlaczego tak się wkurzyła?
- Myślę, że była zazdrosna o czas, jaki spędzałam z tobą - mówię znacząco.
- No cóż, w tym ci nie pomogę. Bo wiesz, naprawdę jestem niesamowita. Uśmiecham się szeroko.
- Wiem.

- Och! A skoro o niesamowitości mowa, to muszę ci coś powiedzieć. - Pochyla się, oczy wciąż błyszczą jej szelmowsko. - Słyszałam, że Christian i Kay mieli poważne kłopoty w czasie ferii - szepce teatralnie.

Szybko lustruję wzrokiem stołówkę. Chwilę to trwa, ale w końcu znajduję Christiana siedzącego samotnie z tyłu sali. Ani śladu Kay. Ani przyjaciół. Ciekawe.

- Jakiego rodzaju problemy?

- Potężna awantura z krzykami przed jakąś setką ludzi na imprezie. Tego typu problemy. Krążą niezbyt przyjemne plotki o tym, że Christian obściskiwał się z dziewczyną z drużyny Cheyenne podczas mistrzostw stanu.

Angela uśmiecha się, patrząc na mnie irytująco znaczącym wzrokiem.

- Mówiłam ci, nie? Plotki czy nie plotki, to była tylko kwestia czasu...

I właśnie wtedy Kay Patterson wchodzi do stołówki.

Ma na sobie spódnicę, która, jak sędzę, stanowi wykroczenie przeciwko szkolnemu regulaminowi, i dużo mocniejszy niż zwykle makijaż - oczy umalowała tak, że przypomina szopa pracza, a na usta nałożyła krzykliwą czerwoną szminkę. Natychmiast odnajduje wzrokiem Christiana, który sprawia wrażenie, jakby był całkowicie pochłonięty swoimi kulkami ziemniaczanymi. Nie podnosi wzroku, ale mowa ciała zdradza, że jest świadom jej obecności. A ona wie, że on wie. Przez chwilę mam wrażenie, że Kay wybuchnie płaczem. Zaraz jednak rozkołysanym krokiem rusza w stronę grupy pierwszo- i drugoklasistów w rogu sali. Patrzy na nią cała sala. Ostentacyjnie wybiera na chybił trafił jednego chłopaka i mówi coś do niego niskim głosem operatorki sekstele-fonu, przeczesując mu palcami włosy.

A potem odwraca się i siada Jeffreyowi na kolanach.

Myślę, że mniej więcej w tej samej chwili szczęki wszystkich zgromadzonych opadają do podłogi. To coś znacznie poważniejszego niż „Christian i Kay mają problemy”. Kay pochyla się, napierając na klatkę Jeffrey'a, i mówi mu coś do ucha z takiej odległości, że właściwie równie dobrze mogłaby go polizać. Szare oczy mojego brata odrobinę się rozszerzają, choć najwyraźniej próbuje zachować spokój. Nie rusza się.

Wstaję.

- Przepraszam na momencik - mówię grzecznie do Angeli, jakbym właśnie zamierzała przypudrować sobie nos. Ale świat przesłania mi czerwona mgła. Mam zamiar podejść tam i wykorzystać swoją nadludzką moc, żeby strzelić Kay Patterson w ten jej zadarty nos. I to naprawdę z wielu powodów. Z których ten, że wykorzystuje mojego małego braciszka do swoich pokrętnych intryg, jest najmniej istotny. Nikt nie będzie wciągał Jeffrey'a w swoje brudne sprawy!

- Poczekaj. - Angela łapie moją rękę w żelazny ucisk. - C, uspokój się. Twój brat jest już dużym chłopcem i sam potrafi o siebie zadbać.

Jeffrey wygląda, jakby miał połknąć jabłko Adama.

- Gdzie jest Christian? - chrypi.

- Nie mam pojęcia - mruczy Kay, jakby nic ją to nie obchodziło. - A ty?

Odrywam wzrok od tego nowego, zdirowatego wcielenia Kay. Christian przestał jeść i właśnie zbiera naczynia na tacę. Wstaje, podchodzi do stojaka, odwraca się, rzuca w kierunku Kay spojrzenie pełne pogardy i rusza do wyjścia.

Bardzo dobrze, myślę, kiedy szarpnięciem otwiera drzwi. Zamykają się za nim z trzaskiem. Widzę przez szybę, jak zmierza korytarzem do głównego wyjścia, a wściekłość unosi się za nim wyraźna niczym ślad dymu w powietrzu. A potem znika.

- Teraz masz szansę - szepcze Angela. - Idź za nim. Mogłabym mu coś powiedzieć. Tylko co?

- Chce być sam - mówię przyjaciółce. - Ty byś nie chciała?

- Tchórz.

Patrzę na nią z gniewem.

- Nie. - Jestem nagle tak wściekła, że z trudem wydobywam słowa przez zaciśnięte zęby. - Nazywaj. Mnie. Tchórzem.

Strząsam jej rękę i maszeruję prosto do Kay. Klepię ją w ramię.

- Przepraszam - mówię. - Ale co ty sobie myślisz? Kay patrzy w górę, w jej oczach lśni wyrachowanie. Uśmiecha się.

- Masz jakiś problem, Pippi?

Pippi. Pippi Langstrumpf. Przez jadalnię przetacza się fala śmiechu. Ale mama miała rację. To mnie nie peszy. Słyszałam to przezwisko już wcześniej.

- Łał. Co za oryginalność. A teraz, bardzo proszę, zejdz z mojego brata.

Ktoś chwyta mnie za rękę i delikatnie ściska. Zerkam przez ramię, obok stoi Wendy.

- Kay, zachowujesz się jak nie ty - mówi Wendy. Ma rację. Nawet gdybym chciała wierzyć, że Kay jest

wcielonym złem, nawet jeśli część mnie chciałaby uznać to widowisko za manifestację jej prawdziwej natury,

Kay nie jest tego typu dziewczyną. To po prostu oczywista, żalosna zagrywka. Tak jak atak ранego zwierzęcia. Jest to dla mnie tak jasne, że czuję, jak pragnienie, żeby jej porządnie przyłożyć, przygasa.

- Kay, wiem, że jesteś zdenerwowana, ale... - zaczynam.

- Nic nie wiesz. - Rozluźnia uścisk ośmiornicy, którym oplotła mojego brata, i obrzuca mnie wściekłym spojrzeniem czekoladowych oczu. Oczy Jeffreya mówią natomiast: Przestań. Zawstydzasz mnie. Idź sobie.

- Christiana już nie ma - ciągnę. - Wyszedł. Więc jaki jest sens obśliniać cudzego chłopaka? Chcesz nam wszystkim zepsuć apetyt?

Jeśli Kay wygląda na zawstydzoną czy niepewną, trwa to tylko ułamek sekundy. Odwraca się do mojego brata.

- Masz dziewczynę? - pyta ociekającym słodyczą głosem.

Mój brat patrzy w groźnie obwiedzione czarną kredką oczy Kay, po czym jego wzrok wędruje w stronę Kim-ber, która, kiedy to wszystko się zaczęło, stała w kolejce po pizzę. Kimber z tymi swoimi białymi włosami splecionymi w warkocz owinięty dokoła głowy przypomina mi chochlika Keeblera*. Ale wygląda na zdrowo wkurzoną. Twarz ma bladą, na policzkach czerwone plamy, jej oczy rzucają iskry.

Może mimo wszystko to nie ja będę osobą, która spuści Kay lanie.

- Tak - mówi Jeffrey, jego usta rozciągają się w lekkim uśmiechu. - Kimber Lane jest moją dziewczyną.

*** Jedna z najbardziej znanych rysunkowych postaci reklamowych w Stanach Zjednoczonych (przyp. tłum.).**

Spojrzeniu, które zaraz potem wymieniają z Kimber, brakuje tylko ckliwej muzyczki w tle. Aj, myślę sobie. Mały braciszek się zakochał. Trochę to obrzydliwe.

- Dobra - rzuca Kay z wymuszoną lekkością. Wstaje i obciąga spódniczkę, a potem podnosi głowę i wybucha sztucznym śmiechem, jakby to wszystko było zabawą, która ją w końcu znudziła.

- Do zobaczenia - rzuca do Jeffrey'a, po czym oddala się niespiesznie. Natychmiast okrąża ją jej paczka. Wychodzą ze stołówki i w sali natychmiast robi się głośno, bo wszyscy zaczynają mówić naraz.

Wendy puszcza moją rękę.

- Ej - zaczynam, odwracając się do niej. - Przepraszam za te głupoty, które wtedy powiedziałam.

- Ja też.

- Masz czas po szkole? Uśmiecha się.

- Pewnie. Całe mnóstwo.

Razem z Wendy zaszywamy się w moim pokoju i odrabiamy pracę domową. Pochylone nad książkami nie mówimy zbyt wiele, tylko czasami podnosimy wzrok i uśmiechamy się albo któraś zadaje jakieś pytanie. Rzecz jasna, wcale nie myślę o swoich zajęciach z aerodynamiki i trzech teoriach fizycznych tłumaczących siłę nośną. Pełno tam liczby i kątów, nie ma natomiast nic, co przypominałoby rzeczywiste latanie. Jak na ironię jednak jestem w tym dobra.

Nie potrafię przestać myśleć o Christianie. Nie pojawił się na historii Wielkiej Brytanii.

- Słyszałam, że idziesz na bal z Jasonem Lovettem -mówię, zamykając książkę. Nie wytrzymam ani chwili

dłużej tego uwięzienia we własnej głowie. - Cieszysz się?

- Tak. - Uśmiecha się radośnie.

- Co włożysz?

Przygryza wargi. Najwyraźniej na froncie ubraniowym występują niedobory.

- Nie masz jeszcze sukienki?

- Coś tam mam - mówi, starając się brzmieć pogodnie. - Noszę ją do kościoła, ale myślę, że może da się odrobinę przerobić.

- O nie. Żadnej sukienki na niedzielę. - Podskakuję, rzucam się na tył garderoby, chwytam dwie eleganckie suknie, które nosiłam na tańcach w Kalifornii, i maszeruję z powrotem do Wendy. Wyciągam je przed siebie. - Wybierz, która ci się podoba.

Wendy nagle ma problem, żeby spojrzeć mi w oczy.

- A co z tobą? - zająkuje się.

- Ja nie idę.

- Nie wierzę, że nikt cię jeszcze nie zaprosił. Wzruszam ramionami.

- Dlaczego sama kogoś nie zaprosisz? To znaczy wiesz, co za pożytek z emancypacji, skoro kobiety nie mogą zaprosić faceta na bal? Ja zaprosiłam Jasona.

- Nie ma nikogo, z kim chciałabym pójść.

- Akurat.

- No co?

- Udam, że nie słyszałam.

- W każdym razie Jason Lovett będzie tego wieczoru twoim księciem z bajki, a więc potrzebujesz sukni Kopciuszka. Wybierz jedną.

Wendy pożera wzrokiem bladą różową, którą trzymam w lewej ręce.

- Myślę, że będzie ci w niej bosko - mówię, podając jej suknię.

- Serio? Nie uważasz, że będę wyglądała głupio?

- Przymierz.

Chwyta sukienkę i biegnie do garderoby, żeby przymierzyć.

- Jesteś za wysoka - jęczy zza drzwi.

- Po to są właśnie wysokie obcasy.

- I masz większe cycki.

- Niemożliwe.

Drzwi się otwierają i Wendy staje w nich niepewnie. Długie złotobrazowe włosy spadają jej na kark i ramiona. Suknia zawija się jej w nogach, ale wystarczy ją podłożyć, żeby było dobrze.

- Wyglądasz niewiarygodnie. - Grzebię w szkatułce z biżuterią w poszukiwaniu naszyjnika, który by pasował. - Powinniśmy wybrać się jutro do Jackson i znaleźć jakieś kolczyki. Szkoda, że najbliższe centrum handlowe jest w Idaho Falls. Kawał drogi. Najlepsze rzeczy na bal są w Claire. Pewnie ze dwie godziny stąd?

- Dwie i pół - mówi. - Ale ja nie mam przekłutych uszu.

- Myślę, że uda mi się znaleźć ziemniaka i jakąś ostrą igłę.

Wypuszcza powietrze i podnosi ręce, żeby przykryć małżowiny.

- Czy ty kiedykolwiek dobrze się bawiłaś, zanim ja się pojawiłam?

- Tak, przy wywracaniu krów.

Rozlega się gwałtowne pukanie i w drzwiach pokazuje się głowa mojej mamy. Wendy natychmiast oblewa się rumieńcem aż po korzonki włosów i wycofuje się

w kierunku drzwi garderoby, ale mama pakuje się do środka, żeby na nią popatrzeć.

- Co takiego? Przebieranki? Dlaczego mnie nie zawołałyście?

- To na bal. W przyszłą sobotę. Mówiłam ci, pamiętasz?

- A tak - przytakuje. - I ty nie idziesz. - Sprawia wrażenie rozczarowanej.

- Chciałaś czegoś, mamó?

- Tak, chciałam ci przypomnieć, że umówiliśmy się dziś wieczorem na jogę.

Chwilę trwa, zanim załapie, o co jej chodzi. Trochę się boję.

- Nie możemy kiedy indziej? Jestem zajęta...

- Wiem, że się dobrze bawicie, ale ja też chcę trochę czasu spędzić ze swoją córeczką.

- I tak miałam już iść - mamrocze Wendy. - Muszę dokończyć pracę domową.

- Ślicznie wyglądasz, Wendy. - Mama uśmiecha się do niej promiennie. - A co z butami?

- Myślę, że wystarczą moje czarne czółenka. Mama kręci głową.

- Żadnych czarnych czółenek do tej sukienki.

- Wybieramy się jutro do Jackson, żeby obejrzeć kolczyki - mówię. - Mogłybyśmy się też rozejrzeć za butami.

Słyszając to, Wendy zaczyna kręcić się niespokojnie. W Jackson nie ma sklepów, w których nie byłoby cen jak dla turystów.

- Albo - zastanawia się mama - mogłybyśmy darować sobie Jackson i wytoczyć cięższe działa. Co powiecie na wycieczkę do Idaho Falls w ten weekend?

Nie umiem stwierdzić, czy podsłuchiwała, czy też po prostu nadajemy na tych samych falach.

- Czasami - oznajmiam z uśmiechem - mam wrażenie, że potrafisz czytać mi w myślach.

- Wendy nie ma za dużo pieniędzy, wiesz? - mówię do mamy, kiedy Wendy jest już w bezpiecznej odległości. Słońce zachodzi za góry. Stoję na podwórku z tyłu domu w koszulce na ramiączkach i spodniach od dresu. Dygocząc, próbuję okręcić szyję wełnianym szalikiem. -Więc jak pojedziemy do Idaho Falls po buty, nie wciągaj nas do jakichś fikuśnych sklepów. Bo będzie się czuła zakłopotana.

- Myślałam o dyskoncie w rodzaju Payless - wyjaśnia nadąsana. - Pomyślałam, że byłoby miło, gdybyście mogły spędzić trochę czasu w dziewczynskim towarzystwie. Nie miałaś zbyt wielu takich okazji, odkąd się tu sprowadziłyśmy.

- No dobra.

- Pomyślałam, że mogłabyś też zabrać Angelę. Ma z kim iść na bal?

Przestaję mocować się z szalikiem i spoglądam na mamę.

- Tak. Ma.

- Więc też może z nami jechać.

- Dlaczego?

- Chcę znać twoich przyjaciół, Claro. Wendy przyprowadzasz do domu, ale Angela nigdy tu nie była. Chciałabym ją poznać. Myślę, że nadszedł czas.

- Tak, ale...

- Wiem, że się denerwujesz. Nie powinnaś - uspokaja mnie mama. - Będę grzeczna.

Tak naprawdę to wcale nie o mamę się martwię. Albo może i o nią.

- Dobra, spytam ją.

- To cudownie. Zostaw ten szalik - mówi mama.

- Jest lodowato!

- Możesz się zaczepić.

Ma rację. Pozbywam się szalika.

- Musimy to robić teraz? Przecież wiesz, że chodzę na lekcje aerodynamiki. I tak przy okazji, jestem w tym świetna.

- Tamto dotyczy latania samolotem. To dotyczy ciebie. Potrzebujesz praktyki, Claro. Miałaś całą zimę, żeby się zaadaptować. Teraz musisz się skupić na swoim zadaniu, żebyś była gotowa, kiedy zacznie się sezon pożarów. Zostało już tylko kilka miesięcy.

- Wiem - przyznaję ponuro.

- Proszę.

- No dobra, w porządku.

Przywołuję skrzydła. Minęło trochę czasu, odkąd ostatni raz je widziałam. Przynajmniej wzywianie ich przychodzi mi teraz z większą łatwością. Już nie muszę wypowiadać rozkazu w języku aniołów. Wciąż uważam, że są piękne - miękkie i białe, idealne jak u sowy. W tej chwili jednak wydają się olbrzymie i śmieszne, jak jakiś tandetny rekwizyt w kiepskim filmie.

- Dobrze, rozłóż je - instruuje mama. Rozpościeram skrzydła szeroko, jak tylko się da, aż w końcu czuję ich ciężar na ramionach.

- Żeby oderwać się od ziemi, musisz stać się lżejsza. Wciąż to powtarza, a ja nie mam pojęcia, jak to zrobić.

- Następnym razem pewnie posypiesz mnie magicznym proszkiem i każesz pomyśleć o czymś przyjemnym - gderam.
 - Oczyszczyć umysł.
 - Zrobione.
 - Zaczynaj od odpowiedniego nastawienia. Wzdycham.
 - Spróbuj się rozluźnić. Patrzę na nią bezradnie.
 - Spróbuj zamknąć oczy - mówi mama. - Weź głęboki wdech nosem i wypuść powietrze ustami. Wyobraź sobie, że stajesz się lżejsza, a twoje kości tracą ciężar.
- Zamykam oczy.
- To naprawdę jest jak joga - stwierdzam.
 - Musisz oczyścić umysł, wyrzucić wszystkie myśli, które ściągają cię w dół.
- Próbuję to zrobić. Zamiast tego widzę twarz Christiana. Nie tę z wizji, otoczoną przez dym i płomień, ale tę zapierającą dech w piersi, jak wtedy, gdy pochylił się nade mną na stoku. Ciemne, grube rzęsy. Oczy z plamkami złota. Pełne ciepła. Zmarszczki w kącikach, kiedy się uśmiecha. Moje skrzydła wcale nie wydają się ciężkie.
- Dobrze, Claro - kontynuuje mama. - Teraz spróbuj się unieść.
 - Jak?
 - Zamachaj nimi.
- Wyobrażam sobie, że moje skrzydła łapią wiatr jak wtedy na Buzzards Roost. Myślę, żeby wystrzelić w niebo jak rakietą, przemknąć obok chmur, muskając czubki drzew. Cudownie byłoby tak się wzbić, prawda? Odpowiedzieć na zew nieba.

Udało mi się ledwie drgnąć.

- Może lepiej ci pójdzie, jeśli otworzysz oczy - śmieje się mama.

Otwieram oczy. Zatrzepoczcie, nakazuję moim skrzydłom w myślach w języku aniołów.

- Nie mogę - sapię po minucie. Mimo zimna jestem cała spocona.

- Za dużo myślisz. Pamiętaj, że twoje skrzydła są jak ręce. Nie musisz myśleć o rękach, żeby nimi ruszać. Po prostu nimi ruszasz.

Spoglądam na nią gniewnie. Sfrustrowana zaciskam zęby. I wtedy moje skrzydła powoli zaczynają poruszać się w przód i w tył.

- O to chodzi - mówi mama. - Udało ci się!

Tylko że wcale mi się nie udało. Stopami wciąż mocno stoję na ziemi. Moje skrzydła wprawdzie się poruszają, młóćąc powietrze i zwiewając mi włosy na twarz, ale ja się nie unoszę.

- Jestem za ciężka.

- Musisz stać się lżejsza.

- Wiem!

Znów próbuję pomyśleć o Christianie, jego oczach, uśmiechu, o czymś namacalnym, ale jedyny obraz, jaki teraz widzę, to obraz z wizji, kiedy stoi odwrócony do mnie plecami. Nadciąga pożar. A co, jeśli mi się nie uda? Co, jeśli wszystko zależy od mojej umiejętności latania? Co, jeśli on umrze?

- No dalej! - krzyczę, napinając wszystkie mięśnie. - Leć!

Uginam nogi, podskakuję i robię kilka kroków nad ziemią. Przez jakieś pięć sekund myślę, że może się udało. A potem opadam ciężko, pod kątem, wykręcając

kostkę. Tracę równowagę i uderzam o trawnik z kończynami zaplątanymi w skrzydła.

Leżę przez chwilę w nasiąkniętej wodą trawie, próbując złapać oddech.

- Claro - odzywa się mama.

- Nic nie mów.

- Jesteś ranna?

Tak, jestem zraniona. Chcę, żeby moje skrzydła zniknęły.

- Nie poddawaj się. Uda ci się - mówi mama.

- Nie. Nie dzisiaj.

Powoli wstaję na nogi, otrzepując spodnie z piachu i trawy. Unikam wzroku mamy.

- Przywykłaś, że wszystko przychodzi ci z łatwością. A nad tym będziesz musiała popracować.

Wolałabym, żeby przestała to powtarzać. Za każdym razem jej twarz przybiera taki wyraz, jakbym ją zawiodła, jakby spodziewała się więcej. To sprawia, że czuję się jak jedna wielka tłusta porażka. I to zarówno jako człowiek, bo powinnam być niezwykła - piękna, szybka, silna, pewna, gotowa zrobić wszystko, o co się mnie poprosi - jak i jako anioł. Jako zwykła dziewczyna wcale nie wydaję się szczególnie wspaniała. Jako anioł jestem koszmarna.

- Claro. - Mama podchodzi do mnie, otwierając ramiona, jakby wystarczyło, żebyśmy się uściskały, a wszystko będzie w porządku. - Musisz spróbować znowu. Uda ci się.

- Przestań tak naciskać, dobra? Po prostu zostaw mnie w spokoju.

- Kochanie...

- Zostaw mnie w spokoju! - krzyczę, patrząc na jej zaskoczoną twarz.

- W porządku - mówi.

Odwraca się i szybkim krokiem wraca do domu. Trzaskają drzwi. Słyszę Jeffreya w kuchni i głos mamy, niski, pełen cierpliwości. Pocieram piekące oczy. Chciałabym uciec, ale nie mam dokąd. Dlatego stoję z obolałym karkiem, ramionami i kostką i jest mi siebie żal. Aż w końcu zapada zmrok i nie pozostaje mi nic innego, jak tylko, kulejąc, wejść do środka.

sobotę rano Angela pojawia się w naszym domu godzinę wcześniej i w chwili gdy widzę ją na ganku, wiem, że cały ten pomysł z dziewczynskim dniem to jedna wielka pomyłka. Wygląda jak dziecko w Boże Narodzenie. Jest zarazem przerażona i podekscytowana na myśl o spotkaniu z moją mamą.

- Tylko wyluzuj, dobra? - mówię, zanim wpuszczę ją do środka. - Pamiętaj, co ustaliłyśmy. Ma być zwyczajnie. Żadnych rozmów o aniołach.

- Dobra.

- Mówię serio. Żadnych pytań na temat aniołów.

- Słyszałam to już ze sto razy.

- Spytaj ją o Pearl Harbor albo coś w tym stylu. To się jej powinno spodobać.

Angela przewraca oczami.

Zdaje się, że nie rozumie, że nasza przyjaźń w dużej mierze zależy od tego, jak bardzo nieświadoma wyda się mojej mamie. Jeśli mama odkryje, o czym ga-

dałyśmy przez cały ten czas, zorientuje się w naszych anielskich badaniach i pozna zwariowane teorie Angeli, prawdopodobnie zabroni mi chodzić do Różowej Podwiązki.

- Może najlepiej, gdybyś w ogóle się nie odzywała. -Kładzie dłoń na biodrze i piorunuje mnie wzrokiem. -No dobra, dobra. Chodź.

W kuchni mama stawia właśnie ogromny talerz z naleśnikami na stole. Uśmiecha się.

- Cześć, Angelo.

- Dzień dobry, pani Gardner - wita się Angela z nabożną czcią w głosie.

- Mów mi Maggie - odpowiada na to mama. - Miło w końcu poznać cię osobiście.

- Ja mam wrażenie, jakbym cię już znała. Clara tyle mi o tobie mówiła.

- Mam nadzieję, że same dobre rzeczy.

Zerkam na mamę. Od czasu nieudanej lekcji latania zamieniłyśmy ze sobą raptem kilka zdań.

Uśmiecha się, nie pokazując zębów. To jej służbowy uśmiech.

- Natomiast o tobie nie wspominała zbyt wiele.

- Och - mówi Angela - bo też nie ma zbyt wiele do wspomnienia.

- No dobra, czas na naleśniki - wtrącam. - Założę się, że Angela umiera z głodu.

Mama odwraca się, żeby wyciągnąć talerze z kredensu, a ja rzucam Angeli ostrzegawcze spojrzenie.

- Co takiego? - szepcze.

Jest całkowicie zafascynowana moją mamą. Gapi się na nią całe śniadanie. Co nie stanowiłoby problemu -zachowanie może trochę dziwaczne, ale ujdzie w tłumie - gdyby nie to, że po jakichś dwóch gryzach wypala:

- Jak wysoko mogą wznieść się anielicy? Myślisz, że możemy latać w przestrzeni kosmicznej? Mama wybucha śmiechem i mówi, że wprawdzie brzmi nieźle, ale wydaje jej się, że potrzebowalibyśmy tlenu.

- Żadnych wycieczek na Księżyc - dodaje. Uśmiechają się do siebie, co mnie wkurza. Gdybym ja zadała takie pytanie, mama powiedziałaaby, że nie wie albo że to nieważne, albo zmieniłaby temat. Wiem, co stara się zrobić: próbuje rozpracować Angelę. Chce wiedzieć, co Angela wie. A to stanowczo nie jest coś, czego ja bym chciała.

Angeli jednak nie da się powstrzymać.

- A co ze świeceniem? - pyta.

- Ze świeceniem?

- No wiesz, kiedy anioły promieniują niebiańskim światłem. O co w tym chodzi?

- To się nazywa chwała - mówi mama.

- Więc po co to jest? - pyta Angela.

Mama odstawia szklankę z mlekiem i zachowuje się tak, jakby to było bardzo głębokie pytanie, które wymaga poważnego namysłu.

- Ma wiele zastosowań - odpowiada w końcu.

- No pewnie, że jest przydatne - stwierdza Angela. - To coś w rodzaju osobistej latarki. No i oczywiście sprawia, że się wygląda jak anioł. Nikt przecież nie będzie wątpił, kiedy zobaczy skrzydła i chwałę.

Ale nie powinno się w ten sposób postępować, prawda?

- Nie powinniśmy się ujawniać - przyznaje mama i przez chwilę spogląda na mnie - choć zdarzają się wyjątki. Ludzie dziwnie reagują na chwałę.

- To znaczy?

- Przeraza ich.

Prostuję się odrobinę. Nie wiedziałam o tym. Angela też nie.

- Och, rozumiem - mówi Angela. Jest naprawdę podekscytowana. - Ale czym jest ta chwała? To pewnie coś więcej niż światło, skoro wywiera taki efekt, prawda?

Mama odchrząkuje. To dla niej niewygodny temat, nigdy o niczym takim mi nie wspominała.

- Zawsze powtarzasz, że w stanie chwały byłoby mi dużo łatwiej latać - odzywam się słabym głosem, nie pozwalając jej tego tak zostawić. - Jakby to było jakieś źródło energii.

Wydaje ledwo słyszalne westchnięcie.

- W ten sposób łączymy się z Bogiem.

Razem z Angellą zastanawiamy się nad tym, co właśnie usłyszałyśmy.

- Jak? - pyta Angela. - Tak jak ludzie, kiedy się modlą?

- Kiedy jesteś w stanie chwały, masz łączność ze wszystkim. Możesz usłyszeć oddech drzew. Możesz policzyć pióra na skrzydle ptaka. Wiesz, czy będzie padać. Jesteś częścią siły, która wiąże wszystko, co żyje.

- Nauczysz nas tego? - pyta Angela. Cała ta rozmowa najwyraźniej robi na niej ogromne wrażenie.

Korci ją, żeby wyciągnąć notatnik i zapisać najważniejsze informacje.

- Tego nie można kogoś nauczyć. Każdy musi nauczyć się sam. Trzeba wyzbyć się wszystkiego, tak żeby zostało tylko to, co sprawia, że ty to ty. Chodzi nie o myśli, tylko o uczucia. O jaźń, która się pod nimi kryje.

- Dobra, zdaje się, że to nie jest łatwe.

- Ja się tego nauczyłam porządnie dopiero po czterdziestce - zwierza się mama. - Niektórym nigdy się nie udaje. Choć chwałę mogą wywołać pewne szczególne wydarzenia albo silne emocje.

- Tak jak wtedy z włosami Clary, prawda? Mówiłaś, że to z powodu emocji - dopytuje Angela.

Mama wstaje od stołu i podchodzi do okna.

- O. Mój. Boże. Zamknij się - mówię bezgłośnie do Angeli.

- Na dróżce widać niebieską półciężarówkę - odzywa się po chwili mama. - Jest Wendy.

Zostawiam mamę i Angelę i biegnę na spotkanie Wendy, która w swojej nieświadomości stanowi moje ocalenie przed dalszą rozmową na anielskie tematy.

Wendy przywiózł Tucker. Opiera się teraz o stojącego na podjeździe Hiacynta i wpatruje w drzewa.

Mam wrażenie, jakby był tu nie na swoim miejscu. Jakby nie wolno mu było patrzeć na moje drzewa, słuchać szemrzącego strumienia i śpiewu moich ptaków.

- Hej, Karotko! - woła, kiedy mnie widzi. Rozglądam się za Wendy, która grzebie w samochodzie, gorączkowo czegoś szukając. - Piękny dzień na zakupy - dodaje.

Podejrzewam, że ze mnie kpi. Nie przychodzi mi do głowy żadna cięta riposta.

- Tak - odpowiadam.

Wendy zatrzaskuje drzwi i wchodzi na ganek akurat w chwili, kiedy Angela wychodzi z domu.

- Cześć, Angelo - mówi pogodnie. Najwyraźniej zamierza być miła dla mojej drugiej najlepszej przyjaciółki. - Jak leci?

- Świetnie - rzuca Angela.

- Strasznie się cieszę na tę wyprawę do Idaho Falls. Wieki tam nie byłam.

- Ja też.

Tucker nie odjeżdża. Znow patrzy na moje drzewa. Wbrew rozsądkowi schodzę z ganku i podchodzę do niego.

- Wyprawa po sukienkę na bal, co? - pyta, kiedy stoję obok.

- Ee, coś w tym rodzaju. Wendy potrzebuje butów, Angela dodatków, bo jej sukienkę szyje mama. A ja chyba po prostu wybieram się na przejażdżkę.

- Nie idziesz na bal?

- Nie. - Zażenowana uciekam wzrokiem w stronę domu, gdzie Wendy nagle wydaje się pogrążona w rozmowie z Angelą.

- Dlaczego nie?

Rzucam mu spojrzenie, które mówi: „A jak myślisz?”

- Nikt cię nie zaprosił? - Spogląda na mnie. Kręcę głową.

- Szokujące, prawda?

- No cóż, prawdę mówiąc, tak.

Pociera kark, po czym zerka na drzewa. Odchrząku-je. Przez chwilę mam wrażenie, że zamierza mnie zaprosić, i na myśl o tym serce głupio podskakuje mi w piersi. Z czystego przerażenia. Bo musiałabym mu odmówić przed Wendy i Angelą, które sprawiają wrażenie, jakby rozmawiały, ale jestem pewna, że tak naprawdę nas obserwują. A to byłoby dla niego poniżające. Wcale nie mam ochoty poniżyć Tuckera.

- Idź sama - mówi w końcu. - Ja tak zrobię. Omal nie wybucham śmiechem z ulgi.

- Domyślam się.

Odwraca się i woła Wendy:

- Muszę się zbierać. Chodź na moment.

- Clara zawiezie mnie do domu, więc Jan nie będzie potrzebny - mówi Wendy, jakby był jej szoferem.

Tucker kiwa głową, podchodzi, łapie ją za rękę, odciąga na bok, po czym odzywa się przyciszonym głosem:

- Nie wiem, ile kosztują buty na bal, ale to może ci się przyda.

- Tuckerze Avery - odpowiada Wendy. - Wiesz, że nie mogę tego przyjąć.

- Nie, nie wiem. Wendy parska.

- Jesteś słodki. Ale to pieniądze z rodeo. Nie mogę ich wziąć.

- Jeszcze mi zostało.

Pewnie wciąż je wciska, bo Wendy mówi stanowczo:

nie.

- Dobra, w porządku - mruczy. Ścisną ją na pożegnanie, wsiada do samochodu, zatacza koło, zatrzymuje się i opuszcza szybę.

- Bawcie się dobrze w Idaho. I nie prowokujcie żadnych hodowców ziemniaków - dorzuca.

- Jasne, bo to byłoby niegrzeczne.

- A... i Karotko...

- Tak?

- Jeśli jednak przyjdiesz na bal, zarezerwuj dla mnie taniec, dobra?

I odjeżdża, zanim zdąży do mnie dotrzeć jego prośba.

- Mężczyźni - prychnęła Angela.

- Myślę, że to było miłe - zauważyła Wendy. Wzdycham zmieszana.

- Lepiej chodźmy.

Wtem Wendy robi gwałtowny wdech i z kieszeni bluzy wyciąga pięćdziesięciodolarowy banknot.

- A to skunks - rzuca z uśmiechem.

Zakochuję się w niej od pierwszego wejrzenia. Gdybym szła na bal, to byłoby to. Ta jedyna. Z sukienkami tak jest, że czasami po prostu się wie. Najzwyczajniej w świecie przemawiają do człowieka. Ta jest w stylu greckim, bez ramiączek, z wysoką talią i pasem materii, który z przodu przerzuca się przez ramię. Ciemnoniebieska, w odcieniu nieco jaśniejszym od granatu.

- No dobra - mówi Angela, kiedy z napięciem gapię się na nią jakieś pięć minut. - Musisz ją przymierzyć.

- Co? Nie. Nie wybieram się na bal.

- Czy to ważne? Ej, Maggie, Wendy! - woła w głąb sklepu, gdzie w dziale z obuwem Wendy i moja mama oglądają buty na wyprzedaży. - Chodźcie zobaczyć sukienkę dla Clary.

Rzucają wszystko i idą. A kiedy ją widzą, gwałtownie wypuszczają powietrze. I nalegają, żebym przymierzyła.

- Ale ja się nie wybieram na bal - protestuję z przymierzami, ściągając koszulkę przez głowę.

- Niepotrzebna ci para - odzywa się Angela zza drzwi. - Mogłabyś pójść sama, wiesz?

- Jasne, sama na szkolny bal. Żebym mogła stać i patrzeć, jak wszyscy tańczą. Świetny pomysł.

- No cóż, znamy przynajmniej jedną osobę, która z tobą zatańczy - przypomina nieśmiało Wendy.

- Właśnie zerwał z dziewczyną, przecież wiesz - odpowiada mama.

- Tucker? - pyta zdezorientowana Wendy.

- Christian - odpowiada mama.

Serce bije mi mocniej, a kiedy Wendy i Angela nic nie mówią, wystawiam głowę przez drzwi.

- Skąd wiesz, że Christian zerwał z Kay?

Wymieniają spojrzenie z Angellą. Zostawiłam je same dziś rano raptem na pięć minut i Angela zdążyła już zapoznać mamę z hipotezą, że „Christian i Clara to pokrewne dusze”. Ciekawe, czy mama też tak uważa.

- Gdybym była Christianem, nie zaciągnęłabyś mnie na tańce wołami - mówi Wendy. - Przecież to będzie prawdziwe kłębowisko żmij.

To prawda. Przez ostatni tydzień Christian sprawiał wrażenie wyłączzonego. Nie żeby to się rzucało w oczy, ale ponieważ go obserwowałam, to zauważyłam. Na historii nie żartował tak jak zwykle. Nie robił notatek. A potem nie było go dwa dni z rzędu, co wcześniej nigdy się nie zdarzyło. Spóźnienia owszem, ale nieobecność nigdy. Podejrzewam, że ta sprawa z Kay mocno go przygnębiła.

Wciągam sukienkę przez głowę. Pasuje. Jakby uszyta dla mnie. To nie fair.

- Chodź, pokaż się - żąda Angela. Wychodzę i staję przed ogromnym lustrem.

- Szkoda, że mam pomarańczowe włosy - marudzę, odsuwając z twarzy niesforne kosmyki.

- Powinnaś ją kupić.

- Ale przecież nie idę na bal - powtarzam.

- Powinnaś iść na bal, żeby móc włożyć tę sukienkę - stwierdza Wendy.

- Absolutnie - popiera ją Angela.

- Jesteś taka śliczna - mówi mama i ku mojemu kompletnemu zdumieniu grzebie w torebce w poszu-

kiwaniu chusteczki, żeby wytrzeć sobie oczy. A potem stwierdza: - Kupuję ją. Jeśli w tym roku nie pójdziesz na bal, to będziesz mogła ją włożyć w przyszłym. Naprawdę jest idealna, Claro. Sprawia, że twoje oczy mają zachwycający chabrowy odcień.

Nie mam szansy ich przekonać. Dlatego piętnaście minut później wymaszerowuję ze sklepu z sukienką zwisającą z ramienia. Na zewnątrz rozdzielamy się i -jak to ujmuje mama - ruszamy na podbój. Angela i ja idziemy na obchód sklepów z biżuterią, a mama i Wendy zmierzają do sklepów z butami, bo niczego na świecie moja mama nie kocha tak bardzo jak nowych butów. Mamy się spotkać przy wejściu do centrum za godzinę.

Jestem w dziwnym nastroju. Uważam, że to ironia losu, że choć to Angela i Wendy idą na bal, jedyną rzeczą, jaką dotąd kupiłyśmy, jest sukienka dla mnie. Bo przecież ja się na bal nie wybieram. Irytuje mnie też, że nie mogę nosić prawdziwych kolczyków, bo moich uszu nie da się przekłuć - ranki za szybko się goją. A żadne klipsy mi się nie podobają. Na te tańce, na które się nie wybieram, chcę czegoś wiszącego, teatralnego.

Ni stąd, ni zowąd robi mi się niedobrze i czuję zawroty głowy, zatrzymujemy się więc z Angielą przy stoisku z ciastkami, gdzie kupujemy po preclu z cynamonem. Mam nadzieję, że odrobina jedzenia pomoże mojemu żołądkowi. W centrum jest tłoczno, nie ma gdzie usiąść, więc opieramy się o ścianę i jemy nasze precle, obserwując rzekę ludzi przepływających przez wejście do Barnes & Noble.

- Jesteś na mnie zła? - pyta Angela.

- Co? Nie.

- Od śniadania zamieniłaś ze mną może dwa słowa.

- No cóż, miałaś nie wspominać o aniołach, pamiętasz? Obiecałaś.
- Przepraszam.
- Po prostu wyluzuj trochę, dobra? Przestań się tak gapić na moją mamę i wciąż ją o wszystko wypytywać.
- A gapię się? - Angela się czerwieni.
- Masz oczy jak spodki.
- Przepraszam. To jedyny *dimidius*, jakiego kiedykolwiek spotkałam. Chciałam wiedzieć, jaka jest.
- Mówiłam ci. Trochę jak nowoczesna trzydziesto-parolatka, trochę jak łagodna anielska istota, a trochę jak zrzedliwa wiekowa dama.
- Tej wiekowej damy nie zauważyłam.
- Zaufaj mi, gdzieś tam jest. Ty natomiast jesteś trochę zwariowaną nastolatką, trochę bytem anielskim, a trochę prywatnym detektywem.

Uśmiecha się.

- Postaram się być grzeczna.

I właśnie wtedy go spostrzegam. Mężczyznę, który obserwuje mnie, stojąc w wejściu do GNC. Jest wysoki, czarne włosy ma związane w kucyk, który opada mu na plecy. Ma na sobie wypłowiałe džinsy i brązową zamszową kurtkę, która wisi na nim luźno. W tym tłumie ludzi przepływających przez zatłoczone centrum nie zauważyłabym go, gdyby nie to, że tak intensywnie się nam przygląda.

- Angela - mówię słabym głosem, precel wypada mi z rąk.

Zalewa mnie fala straszliwego smutku. Rozpaczliwie walczę, żeby pod wpływem nagłych emocji nie zgiać się wpół. Ręce zaciskają mi się w pięści, paznokcie boleśnie wbijają w dłonie. Zaczynam płakać.

- Ej, C, co się stało? - pyta Angela. - Przysięgam, że będę grzeczna.

Próbuję odpowiedzieć. Próbuję przedrzeć się przez smutek i wydobyć z siebie jakieś słowa. Po twarzy ciekną mi łzy.

- Ten człowiek - szepczę.

Angela podąża za moim wzrokiem. A potem gwałtownie wciąga powietrze i odwraca wzrok.

- Chodź - mówi. - Poszukajmy twojej mamy. Obejmuje mnie ramieniem i szybko prowadzi przez hol. Wpadamy na ludzi, przebijamy się przez całe rodziny i grupy nastolatków. Angela się ogląda.

- Idzie za nami? - z trudem wydobywam z siebie głos. Czuję się, jakbym musiała walczyć, żeby utrzymać głowę ponad taflą ciemnej wody, lodowatej tak, że przemarzam do szpiku kości i z każdym krokiem czuję się coraz bardziej znużona. Nie daję rady. Chcę opaść na dno i żeby pochłonęła mnie ciemność.

- Nie widzę go - denerwuje się Angela.

I wtedy, jakby w odpowiedzi na modlitwę, znajdujemy mamę. Razem z Wendy wychodzą z Payless, trzymając w dłoni torby z zakupami.

- Ej, wy dwie - odzywa się mama. Spozstrzega nasze twarze. - Co się stało?

- Możemy zamienić dwa słowa? - Angela łapie mamę za rękę i odciąga ją od Wendy, która sprawia wrażenie zaskoczonej i trochę obrażonej, kiedy się odsuwamy. - Był tam mężczyzna - szepcze Angela.

- Patrzył na nas i Clara po prostu... Ona...

- Jest taki smutny - udaje mi się wydusić.

- Gdzie jest? - chce wiedzieć mama.

- Za nami - mówi Angela. - Zgubiłam go, ale na pewno jest gdzieś z tyłu.

Mama rozsuwa kaptur i naciąga go na głowę. Podchodzi do Wendy. Próbuje się uśmiechnąć.

- Wszystko w porządku? - pyta Wendy.

- Clara źle się czuje - wyjaśnia mama. - Musimy iść.

Nie kłamie. Z trudem stawiam kroki, kiedy pośpiesznie zmierzamy w kierunku sklepu, od którego zaczęliśmy zakupy.

- Nie oglądaj się, Claro - szepcze mi do ucha mama. - Po prostu idź, ruszaj nogami.

Szybkim krokiem przechodzimy przez działły z kosmetykami, bielizną i strojami wieczorowymi. Po chwili jesteśmy na parkingu. Kiedy mama spostrzega nasz samochód, rzuca się pędem, ciągnąc mnie za sobą.

- Co się dzieje? - pyta Wendy, biegnąc z nami.

- Wsiadajcie do środka - rozkazuje mama, a my, nie zwlekając, pakujemy się do samochodu.

Wystrzelamy z parkingu jak z procy. Dopiero kilka kilometrów za Idaho Falls smutek zaczyna się rozwiewać. Jakby powoli unosiła się zasłona. Biorę głęboki spazmatyczny wdech.

- Dobrze się czujesz? - pyta Wendy, wciąż zdezorientowana.

- Po prostu muszę wrócić do domu.

- W domu ma lekarstwo - wtrąca Angela. - Na swoją chorobę.

- Na swoją chorobę? - powtarza Wendy. - Jaką chorobę?

- Ee...

Mama patrzy na Angelę zirytowana.

- To rzadka odmiana anemii - ciągnie gładko Angela. - Czasami robi jej się słabo i uginają się pod nią nogi.

Wendy kiwa głową, jakby rozumiała.

- Tak jak wtedy, kiedy zemdląca w szkole.

- Właśnie. Potrzebuje lekarstwa.

- Dlaczego mi nie powiedziałaś? - pyta Wendy. Zerka na Angelę, a potem znowu na mnie, jakby naprawdę chciała zapytać: „Dlaczego powiedziałaś Angeli, a nie mnie?” Wygląda na zranioną.

- To nic wielkiego - mruczę. - Już czuję się dużo lepiej. Wymieniamy z Angelą spojrzenia. Biorąc pod uwagę

reakcję mojej mamy, obie wiemy, że sprawa jest naprawdę poważna.

Kiedy trzy godziny później podjeżdżamy pod dom, wcześniej podrzuciwszy Wendy do Leniwego Psa, mama mówi:

- No dobrze. A teraz idźcie do pokoju. I poczekajcie na mnie. To zajmie trochę czasu.

Wchodzimy do domu. Wprawdzie nie jest jeszcze ciemno, ale po drodze do pokoju zapalam wszystkie światła. Siadamy razem z Angelą na łóżku.

Słyszymy, że mama puka do drzwi pokoju Jeffreya.

- Hej - mówi, kiedy odzywa się mój brat. - Pomyślałam, że podrzucę cię do kina w Jackson, skoro przez cały dzień rozpieszczęłam twoją siostrę. Tak będzie sprawiedliwie.

Kiedy odjeżdżają, Angela obejmuje mnie ramionami i otula nas kocem, bo nie mogę przestać się trząść. Czekamy. Jakaś godzinę później słychać na podjeździe samochodu mamy. Trzaskają drzwi.

Słyszymy skrzyp ostrożnych kroków na schodach. A potem ciche pukanie.

- Proszę - udaje mi się wychrypieć. Uśmiecha się, widząc nas obie skulone.
- Nie powinnaś była zabierać Jeffreya - mówię. -Co, jeśli ten facet tam jest?
- Nie chcę, żebyście się bały, jasne? Tutaj jesteśmy bezpieczni.
- Kto to był? - pyta Angela.

Mama wzdycha z rezygnacją, zmęczona.

- Czarne Skrzydło. Możliwe, że to przypadek.
 - Upadły anioł kręcący się po centrum handlowym w Idaho Falls? - dziwi się Angela.
 - Kiedy go zobaczyłam... - Zaczynam się dławić na samo wspomnienie.
 - Poczułaś smutek.
 - Jego smutek? - pyta Angela.
 - Anioły nie mają wolnej woli tak jak wy czy ja. Kiedy występują przeciwko swojej naturze, wiąże się to dla nich ze straszliwym fizycznym i psychicznym bólem. Wszystkie Czarne Skrzydła go czują.
 - A dlaczego ty i Angela go nie wyczułyście? - dopytuję.
 - Niektórzy z nas są bardziej wyczuleni na ich obecność niż inni - tłumaczy mama. - Prawdę mówiąc, to zaleta. Wiesz, kiedy nadchodzą.
 - A co powinniśmy zrobić, jeśli zobaczymy Czarne Skrzydła?
 - To co dzisiaj. Uciekać.
 - Nie możemy z nimi walczyć? - chce wiedzieć Angela. Jej głos jest odrobinę wyższy niż zazwyczaj.
- Mama kręci przecząco głową. - Nawet ty?
- Nie. Potęga aniołów jest niemal nieskończona. Najlepsze, co można zrobić, to uciekać. Jeśli ma się

szczęście, a my dziś miałyśmy, anioł uzna, że nie jest się kimś, na kogo warto tracić czas. Milczymy przez chwilę.

- Najlepszą ochroną jest pozostać niezauważonym - mówi mama.

- To dlaczego nie chciałaś, żebym się o nich dowiedziała? - Nie potrafię się powstrzymać przed oskarży-cielskim tonem. - Dlaczego nie chcesz, żeby Jeffrey wiedział?

- Bo twoja świadomość je przyciąga, Claro. Jeśli jesteś świadoma ich istnienia, łatwiej im cię odkryć. Patrzy uważnie na Angełę, która przez chwilę wytrzymuje jej wzrok, po czym odwraca oczy, zaciskając palce na krawędzi kapy. To ona powiedziała mi o Czarnych Skrzydłach.

- Przepraszam - szepcze.

- W porządku - mówi mama. - Nie wiedziałaś.

Nieco później wślizguję się do łóżka mamy. Chcę się poczuć bezpieczna, potrzebuję promieniującego z niej ciepła, ale mama jest zimna. Twarz ma bladą i ściągniętą, jakby wyczerpały ją próby chronienia nas, bycia dzielną i mądrą. Stopy ma jak kostki lodu. Przykładam swoje w nadziei, że ją rozgrzeję.

- Mamo - mówię w ciemności. - Zastanawiałam się.

- Hm?

- W mojej wizji, kiedy tak nagle czuję się smutna, czy chodzi o Czarne Skrzydło?

Cisza. A potem kolejne westchnienie.

- Kiedy mówiłaś o smutku, który czułaś, kiedy go opisywałaś, no cóż, to możliwe. - Mama łapie mnie za nadgarstek i przyciąga bliżej. - Nie martw się, Claro.

Zamartwianie się nie pomoże. Jeszcze nie znasz swojego zadania. Wciąż masz tylko kilka maleńkich kawałków. Nie chcę, żebyś nabijała sobie głowę jakimiś pomysłami, zanim się wszystkiego nie dowiesz. Przechodzi mnie dreszcz.

12. Zamknij się i tańcz

Do poniedziałku wszystko powoli wraca do normy. W szkole spaceruję korytarzami, widząc te same twarze co zwykle, chodzę na te same nudne zajęcia (wyjątkiem jest, rzecz jasna, historia Wielkiej Brytanii, na której oglądam prezentację Christiana i Brady'ego poświęconą Williamowi Wallace'owi i zabawiam się fantazjowaniem na temat Christiana w kilcie) i niebawem Czarne Skrzydło wydaje się tylko złym snem, a ja znowu czuję się bezpieczna.

Mimo to dochodzę do wniosku, że muszę poważniej potraktować całą tę sprawę z zadaniem. Żadnego udawania, że jestem zwyczajną dziewczyną. Nie jestem. Jestem anielitką. Mam do wykonania misję. Koniec z jękami, graniem na zwłokę, ciągłymi pytaniami. Trzeba wziąć się do roboty.

Dlatego w środę po lekcjach dopadam Christiana przy szafce. Idę prosto do niego i kładę mu dłoń na ramieniu. Przeszywa mnie coś w rodzaju prądu. Christian odwraca się i wpatruje we mnie tymi swoimi zielonymi oczami. Nie wygląda, jakby był w nastroju do rozmowy.

- Cześć, Claro - mówi. - Mogę ci w czymś pomóc?

- Pomyślałam, że to raczej ja mogłabym pomóc tobie. Zauważyłam, że cię nie było na lekcjach w zeszłym tygodniu.
 - Wuj zabrał mnie na biwak.
 - Chcesz pożyczyć notatki z historii?
 - Pewnie, byłoby super - mówi, jakby historia nic a nic go nie obchodziła, ale chciał mi zrobić przyjemność. Zachowuje się zupełnie jak nie on: żadnych żartów, ani śladu pewności siebie, całkiem zniknął gdzieś dumny krok. Pod oczami ma cienie.
- Wręczam mu swój zeszyt. Akurat kiedy go bierze, mija nas grupa dziewczyn, tych popularnych, przyjaciółek Kay. Szepczą między sobą i obrzucają go nieprzyjaznym wzrokiem. Ramiona Christiana sztywnieją.
- Zapomną - mówię. - Teraz jesteś tematem z pierwszej strony, ale poczekaj tydzień. Wszystko się uspokoi.
 - Tak? Skąd ta pewność?
 - Och, no wiesz. W końcu jestem ulubionym obiektem plotkarzy. Odkąd się pojawiłam, mam wrażenie, że co tydzień są pogłoski na mój temat. Podejrzewam, że tak to jest z nowymi. Nie słyszałeś, że ponoć uwiodłam trenera koszykówki? To moja ulubiona historia.
 - Plotki na mój temat nie są prawdziwe - oznajmia Christian z ożywieniem. - To ja zerwałem z Kay, a nie odwrotnie.
 - Och, z doświadczenia wiem, że plotki zwykle nie...
 - Chciałem postąpić właściwie. Nie byłem w stanie dać jej tego, czego potrzebuje, więc chciałem postąpić właściwie. Ma rozgorączkowany wzrok, a jego twarz przypomina twarz z wizji. To samo połączenie napięcia i bezradności, które sprawia, że jest tak niewiarygodnie pociągający.

- To naprawdę nie moja sprawa - mówię.

- Nie wiedziałem, że to się tak skończy.

Stoimy w korytarzu, mijają nas ludzie. Z sufitu właściwie tuż nad głową Christiana zwisa transparent zapraszający na bal. Jasnoniebieski napis głosi: „Mityczna miłość” . Sobota, od siódmej do północy.

Mój mózg zaczyna nagle wirować z prędkością miliona kilometrów na godzinę. Jakby był kołem z Koła Fortuny. A potem się zatrzymuje.

- Chcesz iść ze mną na bal?

- Co takiego?

- Nie jestem z nikim umówiona. Ty też. Więc może wybralibyśmy się razem?

Gapi się na mnie. Gdyby serce przyspieszyło mi jeszcze odrobinę, mogłabym zejść śmiertelnie.

Próbuję zachowywać się zwyczajnie, jak gdyby odmowa z jego strony nie stanowiła problemu.

- Nikt cię nie zaprosił? - pyta. Dlaczego wszyscy wciąż się dziwią?

- Nikt.

Jego oczy się rozjaśniają.

- Pewnie, dlaczego nie? Randka z królową Elżbietą. - Uśmiecha się.

Nie umiem się powstrzymać i uśmiecham się w odpowiedzi.

- Najwyraźniej bal jest w sobotę. Od siódmej do północy. - Wskazuję na transparent. Odwraca się i patrzy w górę.

- Nawet nie wiem, gdzie po ciebie przyjechać - mówi. Recytuję pośpiesznie adres i zaczynam tłumaczyć,

jak trafić. Powstrzymuje mnie, parszkając po swoim śmiechem. Kręci głową, sięga do szafki i wyjmuje pióro.

A potem łapie mnie za nadgarstek i natychmiast czuję mrowienie w karku.

- Prześlij mi swój adres mejlem. - Rozprostowuje mi palce i zielonym tuszem zapisuje swojego mejla na mojej dłoni.

- W porządku - odpowiadam nagle śmiesznie wysokim i drżącym głosem. Kosmyk włosów spada mi na twarz, więc zakładam go za ucho.

Zamyka pióro i zarzuca plecak na ramię.

- O siódmej, tak?

- W porządku - mówię znowu. Jakby jego dotyk zredukował mnie do trzech sylab. Może Angela ma rację. Może to przyprawiające o słabość kolan trzymanie się za ręce w wizji oznacza, że częścią mojej misji jest zdobycie naprawdę gorącego chłopaka. Nie byłoby źle.

- Dobra, muszę lecieć - rzuca, wyrывая mnie z zadumy.

Rozchyła usta w tym swoim półuśmiechu, którym czaruje wszystkie dziewczyny, i nagle znów wydaje się sobą, sprawa z Kay na moment odeszła w zapomnienie.

- Do zobaczenia w sobotę.

- Do zobaczenia.

Kiedy odchodzi, zaciskam dłoń z adresem w pięść. Jestem geniuszem, myślę. To był genialny pomysł. Idę na bal z Christianem Prescottem.

Mama znowu płacze. W sobotni wieczór stoję przed sięgającym ziemi lustrem w jej sypialni, do siódmej brakuje kilka minut, a ona płacze. Nie łka ani nic w tym stylu, bo to byłoby poniżej jej godności, ale łzy ciekną jej po policzkach. To niepokojący znak. Najpierw pomaga mi wpleść dwie srebrne wstążki we włosy, bo to, jak

twierdzi, w greckim stylu, a po chwili siedzi na krawędzi łóżka i bezgłośnie płacze.

- Mamo - mówię bezradnie.

- Jestem taka szczęśliwa. - Pociąga nosem zawstydzona.

- Jasne. Szczęśliwa. - Nie potrafię pozbyć się niepokojącego uczucia, że ostatnio mama się sypie. -

Musisz się pozbierać. Christian zaraz tu będzie.

Uśmiecha się.

- Srebrny avalanche na podjeździe! - woła z dołu Jeffrey.

Mama wstaje.

- Zostań tutaj - radzi, ocierając oczy. - Zawsze lepiej, żeby poczekał.

Podchodzę do okna i ukradkiem obserwuję Christiana zatrzymującego się przed domem. Zanim podejdzę do drzwi, poprawia krawat i przeczesuje dłońmi potargane ciemne włosy. Po raz ostatni zerkam w lustro. Motyw mitycznej miłości ma przywodzić na myśl mitycznych bogów i boginie, Herkulesa, tego typu sprawy, więc moja grecka suknia pasuje idealnie. Zostawiłam włosy rozpuszczone, bo nie zamierzam walczyć, żeby ułożyć je w jakąś fryzurę. Niedługo znowu będę musiała je ufarbować. Przy skórze widać złote odrosty.

- Oto i ona - oznajmia mama, kiedy pojawiają się u szczytu schodów. Razem z Christianem spoglądają w górę. Uśmiecham się i ostrożnie schodzę.

- Łał - mówi Christian, kiedy przed nim stoję. Lustruje mnie wzrokiem od stóp do głów. - Piękna.

Nie jestem pewna, czy ma na myśli mnie, czy sukienkę. Tak czy owak, komplement przyjęty.

On sam ma na sobie lśniąca czarna marynarkę ze srebrną kamizelką i krawatem, białą koszulę ze spinkami i w ogóle. Jednym słowem, wygląda apetycznie. Nawet mama nie może oderwać od niego wzroku.

- Świetnie wyglądasz - mówię.

- Christian właśnie opowiadał, że mieszka niedaleko. - Oczy mamy błyszczą, na jej twarzy nie widać ani śladu łez. - Pięć kilometrów na wschód, tak?

- Mniej więcej - ocenia Christian, wciąż patrząc na mnie. - W linii prostej.

- Masz jakichś braci albo siostry? - pyta mama.

- Nie, nie mam rodzeństwa.

- Będziemy się zbierać - mówię, bo wyczuwam, że mama próbuje dojść, jak dopasować do siebie wszystkie kawałki mojej wizji, i boję się, że spłoszy Christiana.

- Tak wspaniale razem wyglądacie - zachwyca się mama. - Mogę wam zrobić zdjęcie?

- Pewnie - przytakuje Christian.

Mama biegnie do gabinetu po aparat. Czekamy na nią w milczeniu. Christian fantastycznie pachnie, tą cudowną mieszaniną mydła, wody kolońskiej i czegoś osobistego. Feromonów, jak sądzę. Ale mam wrażenie, że to coś więcej niż zwykła chemia.

Uśmiecham się.

- Dzięki za cierpliwość. Wiesz, jakie potrafią być mamy.

Nie odpowiada, a ja zastanawiam się, czy istnieje szansa, żeby dzisiejszego wieczoru nastąpił przełom. A potem wraca mama, ustawia nas na wprost drzwi i robi zdjęcie. Christian delikatnie kładzie mi dłoń na środku pleców. Przechodzi mnie delikatny dreszcz. Coś się dzieje, kiedy się dotykamy, coś, czego nie potrafię

wyjaśnić, ale co sprawia, że czuję się zarazem słaba i silna, świadoma krwi krążącej mi w żyłach i powietrza w płucach. Tak jakby moje ciało rozpoznawało jego ciało. Nie wiem, co to znaczy, ale raczej mi się podoba.

- Och, zapomniałam - mówię, kiedy błyska flesz. - Mam dla ciebie kwiatek do butonierki.

Pędzę do kuchni i wyciągam roślinkę z lodówki.

- Proszę.

Podchodzę, żeby przypiąć mu do klapy białą różę z odrobiną zielonego przybrania, i natychmiast kaleczę się szpilką w palec.

- Oj! - woła Christian, wzdrygając się, jakbym to jego ukłuła, a nie siebie. Podnoszę palec do góry, widać na nim kroplę krwi.

Bierze mnie za rękę, żeby się przyjrzeć. Wstrzymuję oddech. Mogłabym do tego przywyknąć.

- Myślisz, że przeżyjesz? - pyta, zaglądając mi w oczy. Muszę je zamknąć, żeby uspokoić oddech.

- Pewnie. Już nawet nie krwawi. - Biorę od mamy chusteczkę i przykładam do ranki, starając się nie pobrudzić sukienki.

- Spróbujmy jeszcze raz - proponuję.

Tym razem Christian pochyla się, a kiedy ostrożnie przymocowuję kwiatek, nasze oddechy się mieszają. Czuję się jak wtedy, gdy leżeliśmy w górach na śniegu i dzieliła nas tylko odległość oddechu. Jakbym mogła pochylić się i pocałować go tuż przed mamą i w ogóle. Szybko wycofuję się i myślę, że dziś wieczorem albo wszystko pójdzie znakomicie, albo wręcz katastrofalnie.

- Dzięki. - Spogląda na moje dzieło. - Ja też mam dla ciebie bukiet, ale w samochodzie. - Odwraca się do mamy. - Miło było panią poznać, pani Gardner.

- Proszę, mów mi Maggie. Christian kiwa serdecznie głową.
- Bądź w domu przed północą - dodaje mama. Patrzę na nią. Nie może mi tego zrobić. Tańce będą trwały aż do dwunastej.
- Idziemy? - pyta Christian, zanim zdążę wymyślić jakiś sensowny argument. Podaje mi ramię, a ja wsuwam pod nie rękę.
- Idziemy - mówię i zabieramy się w diabły.

Przy drzwiach muzeum sztuki w Jackson, gdzie odbywa się szkolny bal, dziewczynom wręczają delikatne wieńce laurowe z liści pomalowanych na srebrno farbą w spreju, a chłopcom długie pasy materiału, żeby mogli je zarzucić na ramię niczym togi. Teraz, kiedy już oficjalnie wyglądamy jak starożytni Grecy, pozwalają nam wejść do holu, gdzie bal trwa w najlepsze.

- Najpierw zdjęcie? - pyta Christian. - Kolejka nie jest długa.
- Pewnie.

Gdy idziemy w miejsce, gdzie robią zdjęcia, zaczynają akurat grać wolny kawałek. Patrzę, jak Jason Lovett prosi Wendy do tańca. W mojej różowej sukience wygląda jak prawdziwa księżniczka. Kiwa głową, obejmują się i zaczynają niezdarnie kołysać w rytm muzyki. Urocze. Spostrzegam też Tuckera w kącie sali. Tańczy z rudowłosą dziewczyną, której nie znam. Widzi mnie i już chce zamachać, gdy nagle zauważa Christiana. Obrzuca nas wzrokiem, jakby próbował zrozumieć, co takiego się wydarzyło od ostatniej soboty, kiedy to mówiłam, że nie mam z kim iść na bal.

- W porządku. Wy dwoje, teraz wasza kolej - mówi fotograf.

Wdrapujemy się na przygotowany podest. Christian staje za mną i obejmuje mnie lekko, jakby to była najnaturalniejsza rzecz na świecie. Ja się uśmiecham. Błyska flesz.

- Chodź tańczyć - mówi Christian.

Nagle czuję się szczęśliwa. Idę za nim na parkiet, który spowija mgła i ozdabiają białe róże. Ujmuje mnie za dłoń i obraca, a potem łapie w ramiona, wciąż lekko trzymając za rękę. Zalewa mnie fala elektryzującej świadomości, która buzuje w mojej głowie, jakbym właśnie strzeliła sobie espresso.

- A więc potrafisz tańczyć - zagajam, kiedy zręcznie manewruje przez tłum.

- Trochę. - Uśmiecha się. Naprawdę umie prowadzić. Rozluźniam się i pozwalam zawieść tam, gdzie chce, starając się spoglądać na jego twarz zamiast na nasze stopy prześlizgujące się wśród dymu i róż albo na ludzi, którzy nas obserwują.

Nadeptuję mu na nogę. Dwa razy. I to ja siebie nazywam tancerką.

Próbuję się na niego nie gapić. Czasami wciąż czuję zaskoczenie, kiedy patrzę mu w twarz.

Przypomina mi to historię mamy o rzeźbiarzu, którego posąg nagle ożył. Tak właśnie rzecz się ma z Christianem - jest żywy, choć to wydaje się niemożliwe. Jakbym stworzyła go ze szkiców, które zrobiłam, po tym jak pierwszy raz miałam wizję. Jakbym ulepiła go ze snów.

Tylko że to nie jest bajka, przypominam sobie. Jestem tu w związku z zadaniem. Muszę zrozumieć, co sprawi, że oboje znajdziemy się w lesie.

- Wspominałeś, że twój wuj zabrał cię na biwak. Daleko stąd? - pytam.

Sprawia wrażenie zmieszanego.

- Eee, w Teton. W takim jednym odludnym miejscu.

- Czyli nie pojechaliście samochodem?

- Nie, wybraliśmy się na wędrowkę. - Ten temat wciąż wprawia go w zakłopotanie.

- Pytam, bo sama zamierzam wybrać się latem na wycieczkę. Też chciałabym trochę powędrować.

Spać pod gołym niebem. W Kalifornii nigdy tego nie robiliśmy.

- To znaczy, że przeprowadziłaś się w odpowiednie miejsce - stwierdza Christian. - Na temat miejsc, gdzie w okolicy można by obozować, napisano całe tomy.

Ciekawe, czy w jednym z nich będziemy, kiedy wybuchnie pożar.

Tańczymy blisko, gdy piosenka dobiega końca, a gdy milknie, odsuwamy się niezręcznie.

- Wiesz, na co mam ochotę? - mówię, żeby przerwać ciszę. - Na poncz.

Przeciskamy się w stronę stołu z napojami, kupką greckich oliwek, krakersów i odrobiną fety na maleńkich plastikowych talerzykach. Nie biorę zbyt wiele, bo nie jestem pewna, jaki wpływ te specjały będą miały na mój oddech. Znajdujemy wolny stolik i siadamy. Spostrzegam Angelę wirującą w tańcu z wysokim blondynem, którego kilka razy widziałam na korytarzu. Zdaje się, że ma na imię Tyler Jakiśtam. Krwistoczerwona sukienka, którą uszyła jej mama, wygląda fantastycznie. Angela obrysowała złote oczy grubą czarną kredką i pociągnęła linię ku górze jak u starożytnej Egipcjanki. Napotyka moje spojrzenie, szybko unosi kciuk w górę, a potem wyraziście porusza się wokół blondyna, który po prostu stoi i kiwa się w rytm muzyki.

- Przyjaźnisz się z Angelą? - pyta Christian.
- Tak.
- Jest dość emocjonalna.
- Nie ty pierwszy mi to mówisz. - Wybucham śmiechem, bo przecież nie ma pojęcia, jak emocjonalna potrafi być Angela. Nie słyszał jej rozprawiającej na temat umiejętności czytania w myślach przez *intangere*. - Myślę, że ludzi onieśmiela jej inteligencja. Tak jak onieśmiela ich twoja... - milknę.
- Co? Myślisz, że ja onieśmielałam ludzi? Jakim cudem?
- Bo jesteś... chodzącym ideałem. Popularny i dobry we wszystkim, do czego się weźmiesz.
- Chodzący ideał - prycha drwiąco. Sprawia wrażenie naprawdę zażenowanego. Urocze.
- Prawdę mówiąc, to irytujące.

Wybucha śmiechem. A potem sięga przez stół i chwyta mnie za rękę, wprawiając wszystkie moje nerwy w drzenie.

- Uwierz mi, że wcale nie jestem ideałem - mówi.

Od tego momentu wszystko idzie gładko. Modelowa randka. Christian jest czarujący, uważny, troskliwy. Nie wspominając o tym, że stanowi uosobienie atrakcyjności fizycznej. Przez chwilę zupełnie zapominam o swojej misji. Po prostu tańczę. Pozwalam, żeby jego magnetyzm wypełnił mnie, wypierając wszystko inne. Naprawdę świetnie się bawię.

Dopóki nie pojawia się Kay. Oczywiście wygląda wspaniale w lawendowej koronkowej sukni, która otula jej ramiona i podkreśla wąską talię. Ciemne włosy upięła wysoko, opadające kaskadą loki muskają jej kark. Jest w nich coś, co błyszczy, odbijając światło. Gdy wchodzi,

ręką okrytą sięgającą łokcia białą atlasową rękawiczką obejmuje w pasie swojego partnera. Uśmiecha się, unosząc ku niemu twarz, jakby cudownie się bawiła. Nawet nie patrzy w naszą stronę. Gdy tylko zaczynają grać kolejny wolny utwór, wciąga swojego partnera na parkiet.

Christian przyciąga mnie bliżej. Nasze ciała się dotykają. Moja głowa idealnie pasuje w zagłębienie przy jego ramieniu. Nie potrafię się powstrzymać - zamykam oczy i wdycham jego zapach. I nagle znów mam wizję, silniejszą niż kiedykolwiek wcześniej.

Idę piaszczystą drogą przez las. Samochód Christiana stoi zaparkowany na poboczu. Czuję dym. Mam wrażenie, jakby zasnuwał mi głowę. Schodzę w las, zagłębiam się w nim. Nie jestem zaniepokojona. Dobrze wiem, gdzie go znajdę. Nogi same mnie niosą. Kiedy spostrzegam go stojącego do mnie plecami, w czarnym polarze, z rękami w kieszeniach, przepelnia mnie znajomy smutek. Rozpacz tak wielka, że aż trudno mi oddychać. W tej chwili jestem tak słaba, że mogłabym się rozpaść na milion kawałków.

- Christian!-wołam.

Odwraca się. Patrzy na mnie z mieszaniną smutku i ulgi.

- To ty - mówi.

Rusza w moim kierunku. Za nim ogień dociera na szczyt wzgórza. Zmierza w naszą stronę, ale nie czuję lęku. Idziemy do siebie i stajemy twarzą w twarz.

- To ja - odpowiadam. - Jestem.

Wyciągam dłoń i ujmuję jego rękę, co przychodzi mi bez trudu, jakbym znała go całe życie. Podnosi drugą i dotyka mojego policzka. Jego skóra jest gorąca, pali,

ale się nie cofam. Przez chwilę stoimy tak, jakby czas się zatrzymał, jakby wcale nie szedł po nas ogień. A potem nagle obejmujemy się, ściskamy z całych sił, ciało przy ciele, jakbyśmy byli jedną istotą, i ziemia ucieka nam spod stóp.

Jestem z powrotem na parkiecie i z trudem łapię powietrze. Spoglądam w rozszerzone zielone oczy Christiana. Zatrzymaliśmy się i stoimy pośrodku, patrząc jedno na drugie. Serce bije mi tak mocno, że mam wrażenie, jakby za chwilę miało wyskoczyć z piersi. Czuję zawroty głowy i zataczam się na drżących nagle nogach. Christian mnie podtrzymuje.

- Wszystko w porządku? - Rozgląda się dookoła, żeby sprawdzić, czy się nam nie przyglądają.

Owszem, wszyscy się gapią. Ponad jego ramieniem widzę Kay, która spogląda na mnie z jawną nienawiścią.

- Potrzebuję powietrza. - Wrywam się, pędzę do drzwi prowadzących na balkon i wystrzelam w zimną noc. Opieram się o ścianę i zamykam oczy, próbując uspokoić galopujące serce.

- Claro?

Otwieram oczy. Christian stoi przede mną. Jest równie wstrząśnięty jak ja, w świetle latarni jego twarz sprawia wrażenie bladej.

- Nic mi nie jest - mówię, uśmiechając się na dowód. - Po prostu zrobiło mi się duszno.

- Powinienem przynieść ci coś do picia - stwierdza, ale nigdzie się nie rusza.

- Nic mi nie jest.

Czuję się głupio. A potem zalewa mnie fala gniewu. O nic takiego nie prosiłam. A więc mam odlecieć z Chri-

stianem w ramionach. I potem co? Cudowny Christian Prescott ulotni się, żeby ocalić świat, a moja rola będzie skończona? Misja wypełniona? Słucham i jestem posłuszna?

Czuję się, jakbym była wspornikiem w cudzym życiu.

- Pójdę po poncz - proponuje Christian. Kręcę głową.

- To był zły pomysł.

- Co takiego?

- Nie chcesz być tutaj ze mną - zgaduję, patrząc mu w oczy. - Wciąż chodzi o Kay.

Nie odpowiada.

- Myślałam, że coś nas łączy... Chciałam, żebyś mnie lubił, to wszystko. Naprawdę lubił. To, co było... jest... cokolwiek... między tobą a Kay... Ja nigdy czegoś podobnego nie doświadczyłam. - Ku mojemu przerażeniu w oczach stają mi łzy.

- Przykro mi - odzywa się w końcu Christian, opierając się o ścianę obok. Patrzy na mnie poważnie. - Naprawdę cię lubię, Claro.

Czuję, jakby ta emocjonalna huśtawka, na której spędziłam cały wieczór, przyprawiła mnie o uraz kręgosłupa. Zaczyna mnie też boleć głowa.

- Nawet mnie nie znasz - szepczę.

- Ale chciałbym poznać.

Gdyby tylko wiedział, jakie to ważne. Ale zanim zdążę odpowiedzieć, drzwi się otwierają i na balkon wychodzi Brady Hunt.

- Ogłaszają, kto został królem balu. - Patrzy znacząco na Christiana.

Christian się waha.

- Powinieneś iść - mówię.

Brady patrzy na mnie z zaciekawionym wyrazem twarzy, po czym wraca do środka. Christian idzie do drzwi i przytrzymuje je otwarte, ale kręcąc głową.

- Jeszcze chwileczkę, dobrze?

Zamykam oczy i czekam, aż usłyszę odgłos zamykanych drzwi. Nagle robi się zimno. Pan Erikson przedstawia jury, w którego wchodzi niemal sami sportowcy.

- Królem balu zostaje... - mówi pan Erikson. W sali panuje absolutna cisza. - ...Christian Prescott.

Wchodzę do środka akurat w chwili, kiedy panna Colbert, nauczycielka francuskiego, wręcza Christianowi złote berło. Christian uśmiecha się uprzejmie. Radzi sobie z ludzką uwagą tak dobrze, jakby był gwiazdą filmową albo politykiem. Może któregoś dnia faktycznie zostanie prezydentem. Panna Colbert okazuje może nadmierną przyjemność, każąc Christianowi uklęknąć, żeby włożyć mu koronę ze złotych liści na głowę. Dziękuje jej i wstaje, żeby pomachać tłumowi, który wiwatuje szalenie.

Staje z boku, kiedy pan Erikson wyczytuje skład jury przyznającego tytuł królowej, i właśnie wtedy zaczynam się denerwować. Oczywiście mnie nie wymienia. Nie byłam nawet nominowana. Jestem w końcu rudą Wiewiórą. Rzecz w tym, że wszystkie dziewczyny z jury przyjaźnią się z Kay. Co może znaczyć tylko jedno.

- A teraz królowa balu - ogłasza pan Erikson. - Kay Patterson.

Sala rozbrzmiewa gromkimi brawami uczniów, którzy na nią głosowali. Kay podchodzi do sceny z nieskończonym wdziękiem i elegancją. Przyjmuje bukiet białych róż i pochyla się, kiedy pan Erikson zdejmuje jej małe srebrne wieniec i zamienia go na duży złoty.

- A teraz, jak nakazuje tradycja, król zatańczy z królową - oznajmia nauczyciel.

Przychodzi mi na myśl potok całkiem nieanielskich przekleństw. Kay spogląda na Christiana wyczekująco. On spuszcza wzrok, jakby podejmował jakąś decyzję, po czym unosi głowę i uśmiecha się znowu. Kiedy muzyka zaczyna grać, podchodzi do Kay i ujmuje jej dłoń. Ona wolną ręką obejmuje go za ramię. Ruszają do tańca. Wszyscy wokół zaczynają paplać w podnieceniu, patrząc, jak królewska para porusza się idealnie w rytm muzyki. Christian i Kay. Znowu razem.

Mam wrażenie, jakby mnie strącono do piekieł.

- Ej, Karotko - słyszę. Wzdragam się.

- Nie teraz, Tucker. Nie mogę się teraz z tobą użerać.

- Zatańcz ze mną - prosi.

- Nie.

- No chodź. Wyglądasz żałośnie, stojąc tak i patrząc, jak twój partner tańczy z kimś innym.

Odwracam się i rzucam mu gniewne spojrzenie. Jedno przemawia na jego korzyść: porządnie się ogarnął. Biała koszula podkreśla opaleniznę. W marynarce jego szerokie ramiona wyglądają na silne. Krótkie jasne włosy ma przyczesane i przycięte. W tym oświetleniu jego niebieskie oczy zdają się płonąć. Wyczuwam nawet zapach wody kolońskiej.

- Niech ci będzie - mówię.

Wyciąga rękę, a ja ją ujmuje, po czym przechodzimy na skraj parkietu. Obejmuję go za szyję. Nic nie mówi, po prostu przesuwam nogi raz w jedną, raz w drugą stronę, spoglądając na mnie. Wyparowuje ze mnie cała złość. Wyświadcza mi przysługę albo takie w każdym razie

sprawia wrażenie. Spoglądam w górę w poszukiwaniu wiadra ze świńską krwią, którą zamierza mnie oblać.

- A gdzie twoja partnerka? - pytam.

- Hm, to trudne pytanie. Zależy, co przez to rozumiesz.

- Z kim dziś przyszedłeś?

- Z nią - mówi Tucker, wskazując głową na rudowłosą dziewczynę, która stoi obok stolika z ponczem.

- I z nią. - Spogląda w kierunku stanowiska didżeja, gdzie brunetka, której nie znam, pewnie z ostatniej klasy, prosi o następny utwór. - I z nią. - Wskazuje na koniec na blondynkę, która tańczy w objęciach zdobywcy drugiego miejsca w konkursie na króla balu.

- Przyszedłeś z trzema dziewczynami?

- Należą do drużyny rodeo - tłumaczy, jakby to wszystko wyjaśniało. - Żadna nie miała partnera, i uznałem, że tylko ja poradzę sobie ze wszystkimi trzema.

- Jesteś niewiarygodny.

- A ty przyszłaś z Christianem Prescottem. Spełniło się twoje marzenie.

W tej chwili to raczej koszmar. Zerkam przez ramię na Christiana i Kay. Jak można się było spodziewać, Kay płacze. Kurczowo uczepona ramienia Christiana zanosi się szlochem.

Tucker podąża za moim wzrokiem.

Christian pochyla się nad Kay i szepcze jej coś do ucha. Cokolwiek powiedział, nie zostało to dobrze przyjęte. Kay płacze teraz jeszcze mocniej.

- Rany, choćby mi płacili, nie chciałbym być teraz na jego miejscu - stwierdza Tucker.

Piorunuję go wzrokiem.

- Przepraszam. Powinienem się zamknąć.

- Powinieneś.

Tłumi śmiech i do końca piosenki nie zamieniamy ani słowa.

- Dzięki za taniec - mówi Tucker.

- Dzięki, że mnie poprosiłeś - odpowiadam, spoglądając wciąż na Christiana. Obejmuje Kay ramieniem, ona schowała twarz na jego piersi. Nie wiem, co robić. Po prostu stoję i patrzę. Christian robi krok do tyłu i mówi do Kay coś łagodnie, po czym prowadzi ją do stolika i odsuwa krzesło, żeby mogła usiąść. Idzie nawet po poncz, ale Kay macha ręką, że nie chce. Na twarzy zasycha jej rozmazany tusz. Sprawia wrażenie wyczerpanej. W pierwszej chwili można by pomyśleć, że to sztuczka, gra jak w tym numerze ze zdziwą. Ale kiedy człowiek spojrzy na nią, jak osuwa się na krzesło, nie sposób nie wierzyć, że naprawdę jest załamana.

Christian podchodzi do mnie. Wyraźnie widać, że jest zdenerwowany.

- Przykro mi. Nie wiedziałem, że coś takiego się wydarzy.

- Wiem - odpowiadam cicho. - W porządku. Gdzie partner Kay?

Niech on ją pociesza, myślę sobie.

- Poszedł - odpowiada Christian.

- Poszedł? - powtarzam z niedowierzaniem.

- Więc pomyślałem - ciągnie Christian czerwony na twarzy - że to ja powinienem odwieźć Kay do domu.

Patrzę na niego jak ogłuszona.

- Zaraz po ciebie wrócę - dodaje szybko. - Pomyślałem, że zawiozę ją do domu, a potem przyjadę po ciebie.

- Ja odwiozę Clare do domu - włącza się Tucker, który przez cały ten czas stał obok.

- Nie, to zajmie tylko chwilę - protestuje Christian.
- Tańce kończą się za dziesięć minut - wtrąca Tucker. - Chcesz, żeby czekała na ciebie na parkingu? Czuję się jak Kopciuszek stojący na środku drogi z dynią i parą myszy, podczas gdy księżę z bajki wyrusza, żeby uratować jakąś inną laskę.

Christian wygląda, jakby go mdliło z poczucia winy.

- Idź i zawieź Kay do domu - mówię, niemalże dławiąc się tymi słowami. - Ja pojedę z Tuckerem.

- Tak będzie w porządku?

- Jasne. Muszę być w domu przed północą, pamiętasz?

- Wynagrodzę ci to - obiecuje Christian. Przysięgam, że widzę, jak Tucker przewraca oczami.

- Dobrze. - Spoglądam na Tuckera. - Możemy już iść?

- Pewnie.

Odszukuję Wendy i Angełę, żeby się z nimi pożegnać, a potem czekam przy drzwiach na Tuckera, który zgarnia swoje partnerki. Patrzą na mnie z czymś na kształt współczucia w oczach i przez chwilę naprawdę nienawidzę Christiana Prescottta. Pakujemy się do zardzewiałego pikapa Tuckera - cztery dziewczyny w wieczorowych strojach - i jedziemy ściśnięte w szoferce. Najpierw odwozimy blondynkę, bo mieszka w Jackson. Potem rudą. Potem brunetkę.

- Cześć, Bra!

Teraz w szoferce zostaliśmy tylko my dwoje. Milczymy, kiedy Tucker wyjeżdża na Spring Creek Road.

- Więc... Bro, tak? - Zaczynam droczyć się z nim po chwili, bo nie mogę znieść tej ciszy. - Skąd to?

- Hm... - Kręci głową, jakby wciąż nie mógł tego zrozumieć. - W podstawówce nazywali mnie Braciszek

Tuck. Teraz zostało tylko Bra. Ale dobrzy przyjaciele nazywają mnie Tuck.

Kiedy wjeżdżamy na dróżkę, jest już piętnaście minut po godzinie zero. Otwieram drzwi, a potem zatrzymuję się i patrzę na Tuckera.

- Czy mógłbyś... nie wspominać o tej kompromitacji w szkole?

- Wszyscy wiedzą - mówi. - Jeśli chodzi o Liceum Jackson Hole, jedno jest pewne: wszyscy o wszystkich wszystko wiedzą.

Wzdycham.

- Nie martw się.

- Bo co? Zapomną do poniedziałku, tak?

- Tak-mruczy.

Nie umiem stwierdzić, czy się ze mnie nabija.

- Dzięki za podwiezienie, Bra.

Wydaje z siebie jęk, a potem się uśmiecha.

- Cała przyjemność po mojej stronie.

Jest taki dziwny. Z każdą chwilą coraz dziwniejszy.

- Do zobaczenia. - Wyskakuję z samochodu, zatrząskuję drzwiczki i idę do domu.

- Ej, Karotko! - woła za mną nagle. Odwracam się.

- Pewnie lepiej by się między nami układało, gdybyś przestał mnie tak nazywać.

- Przecież ci się podoba.

- Nie.

- Co ty widzisz w takim facecie jak Christian Prescott? - pyta.

- Nie wiem - odpowiadam ze znużeniem. - Coś jeszcze?

W policzku robi mu się dołeczek.

- Nie.

- To dobranoc.

- Dobranoc - rzuca i znika w ciemności.

Kiedy skradam się po schodach, na ganku zapala się światło. W drzwiach staje mama.

- To nie był Christian - mówi.

- Trafne spostrzeżenie.

- Co się stało?

- Jest zakochany w innej dziewczynie - odpowiadam, zdejmując z głowy srebrny wieniec.

Później, w najmroczniejszej godzinie nocy, moja wizja zamienia się w koszmar. Jestem w lesie. Ktoś mnie obserwuje. Czuję na sobie bursztynowe oczy Czarnego Skrzydła. Powala mnie, przyciskając do zimnej ziemi, jego ciało przesłania światło. Sosnowe igły wbijają mi się w plecy. Krzyczę i wymachuję rękoma. Jedną uderzam w jego skrzydło i wyrywam garść czarnych piór, które rozwiewają mi się w palcach. Dalej ciągnę anioła za skrzydła, każde pióro to część jego zła, aż nagle on sam zamienia się w chmurę gryzącego dymu i zostawia mnie kaszlącą i ciężko sapiącą na ziemi. Budzę się gwałtownie, zaplątana w koc. Ktoś nade mną stoi. Wciągam powietrze, żeby znów zacząć krzyczeć, ale czyjaś dłoń zakrywa mi usta.

- Claro, to ja - mówi Jeffrey. Zabiera rękę i siada na skraju łóżka. - Usłyszałem twój krzyk. Jakiś zły sen, tak?

Serce wali mi tak mocno, że mam wrażenie, że to taraban. Kiwam głową.

- Chcesz, żebym poszedł po mamę?

- Nie, nic mi nie jest.

- Co ci się śniło?

Jeffrey wciąż nic nie wie o Czarnych Skrzydłach. Jeśli mu powiem, narażę go na niebezpieczeństwo. Tak twierdzi mama. Przełykam ślinę.

- Na balu nie wszystko poszło tak, jak sobie zaplanowałam.

Marszczy brwi.

- Miałaś koszmar związany z balem?

Przygląda mi się, jakby nie wierzył, ale jestem zbyt zmęczona, żeby mu tłumaczyć, że wygląda na to, że moje życie rozłązi się w szwach.

13. Dzwoneczek *gota* Stajla

Moja komórka brzęczy. Wyciągam ją z kieszeni, patrzę na wyświetlacz, wciskam: „Odrzuć” i z powrotem chowam do kieszeni. Po drugiej stronie stołu mam unosi brew.

- Znowu Christian?

Odkrawam kawałek francuskiego tostu i wkładam do ust. Jestem tak wściekła, że ledwo czuję jego smak. Co sprawia, że moja wściekłość rośnie. Zwykle uwielbiam francuskie tosty.

- Może powinnaś z nim porozmawiać. Dać mu szansę, żeby to naprawił - mówi mama.

Odkładam widelec.

- Jedyne sposoby, żeby to naprawić, to wsiąść w wehikuł czasu, przenieść się w ostatnią noc i...

Milknę. I co? Odwrócić się plecami do załamanej Kay? I zamiast tego zabrać mnie do domu? I pocałować na progu?

- Po prostu muszę się jeszcze przez chwilę powście-kać, dobrze? Wiem, że to może niezbyt dojrzałe, ale trudno.

Zaczyna dzwonić telefon w kuchni. Patrzymy na siebie.

- Ja odbiorę - mówi mama, zsuwa się z krzesła i podnosi słuchawkę ze ściany. - Halo? Obawiam się, że nie chce z tobą rozmawiać.

Osuwam się za stół. Mój tost jest zimny. Biorę talerz i idę do kuchni. Mama opiera się o blat i kiwa głową, słuchając Christiana. Jakby była całkowicie po jego stronie.

Zakrywa dłonią słuchawkę.

- Naprawdę myślę, że powinnaś z nim porozmawiać.

Wrzucam tost do kosza, opłukuję talerz w zlewie, wkładam go do zmywarki i wycieram ręce w kuchenny ręcznik. Wyciągam dłoń po słuchawkę. Podaje mi ją zaskoczona. Przykładam telefon do ucha.

- Clara? - pyta Christian z nadzieją w głosie.

- Może zrozumiesz aluzję? - mówię i się rozłączam. Wręczam słuchawkę mamie. Jest dość inteligentna,

żeby nic nie mówić, kiedy mijam ją i idę do swojej sypialni. Zatraskuję drzwi i rzucam się na łóżko. Mam ochotę krzyknąć do poduszki.

Nie będę dziewczyną, która pozwala facetowi traktować się jak śmieć, a potem dalej się do niego przymila. Poszłam na bal z Christianem Prescottem. Wcale nie miało być magicznie, mówię sobie. Ani romantycznie. Po prostu interesy. Ale też wcale nie miałam skończyć jak kukułcze jajo w samochodzie Tuckera.

Dlatego koniec, postanawiam. Od tej chwili z Christianem łączą mnie wyłącznie sprawy zawodowe. Idę

do lasu, łapię go, odlatuję i najwyraźniej podrzucam, gdzie będzie chciał, i to wszystko. Nie muszę się z nim przyjaźnić ani nic w tym rodzaju. Żadnego trzymania za ręce. Żadnego spoglądania z zachwytem w jego oczy. Wspomnienie wizji jest tak sugestywne, że ściska mi się serce. Jego gorąca dłoń na moim policzku. Zamykam oczy. Przeklinam gorąco, które zalewa mi żołądek. Przeklinam wizję za to, że - sama nie wiem - zwodzi mnie? Dzwoni komórka. To Angela. Odbieram.

- Nic nie mów - odzywam się pierwsza. Po drugiej stronie słuchawki panuje cisza.

- Jesteś tam?

- Powiedziałaś, żebym nic nie mówiła.

- Chodzi mi o wczorajszy wieczór.

- Dobra. Co my tu mamy. Moja mama postanowiła, że na jesieni wystawią w Podwiązce *Oklahoma!* Próbuję ją przekonać, żeby tego nie robiła. Kto słyszał, żeby wystawiać *Oklahoma!* w Wyoming?!

- Wszyscy o tym mówili? - pytam. - Jak wyszliśmy? Milczy przez chwilę, po czym posłusznie zmienia temat.

- Ładna dziś pogoda. Prawie jak w lecie.

- Angela. Wzdycha.

- Tak - przyznaje. Wydaję z siebie jęk.

- Uważają mnie za kompletną kretynkę?

- No cóż, mogę mówić tylko za siebie. - Niemal słyszę, jak szczyrzy zęby w uśmiechu. Sama zaczynam uśmiechać się wbrew woli. - Przyjdź do nas na obiad - mówi. - Mama robi fettucine alfredo. Znajdę ci jakiś worek treningowy.

Ciężar spada mi z serca. Dosłownie. Niech żyje Angela! Nie zniosłabym całego dnia w domu z dzwoniącym wciąż telefonem i oddechem mamy na karku.

- Kiedy mam być?

- A jak szybko uda ci się przyjechać? - pyta Angela.

Idziemy na podwójny seans do kina Teton. Horror i film sensacyjny, czysta bezmyślna rozrywka, jak pan doktor przykazał. Resztę czasu spędzamy na pustej scenie w Podwiązce. Powoli zaczynam kochać to miejsce. Jakby należało do Angeli i do mnie, potajemna kryjówka, w której nikt nie może nas znaleźć. No i Angela jest świetna w odwracaniu uwagi.

- Mam tu coś, co ci poprawi nastrój - mówi, kiedy siadamy na skraju sceny z nogami dyndającymi nad kanałem dla orkiestry. Wstaje i wzywa swoje skrzydła. Zamyka oczy. Na ramieniu siada mi mucha. Natychmiast ją zganiam. Muchy w kabarecie są straszne. Lecą do światła, przypalają sobie skrzydełka, spadają i bzyząc, krążą po scenie wciąż żywe. Spoglądam znów na Ange-lę. Nic się nie zmieniło.

- Mam coś zobaczyć? - pytam po chwili. Marszczy brwi.

- Poczekaj.

Przez minutę nic się nie dzieje. A potem jej skrzydła zaczynają migotać jak powietrze nad rozgrzanym asfaltem w słoneczny letni dzień. Powoli ich kształt ulega zmianie - rozkładają się, przybierając inną postać. Angela otwiera oczy. Jej skrzydła przypominają skrzydła ogromnej ćmy. Wciąż są nieskazitelnie białe, ale tym razem gładsze, posegmentowane, jakby zrobione z łusek -tak jak u motyla, jeśli przyjrzeć mu się z bardzo bliska.

Opada mi szczęka.

- Jak to zrobiłaś? Uśmiecha się.

- Nie potrafię zmienić koloru - mówi. - Myślałam, że fajnie byłoby mieć fioletowe, ale nic z tego.

Mogę za to sprawić, żeby wyglądały w dowolny sposób, jeśli tylko naprawdę się postaram.

- I jak to jest, kiedy mają taki kształt? - pytam, patrząc, jak olbrzymie motyle skrzydła składają się i rozkładają za jej plecami. Poruszają się zupełnie inaczej niż upierzone. Angela wygląda jak Dzwoneczek - ta wróżka z Disneya - tylko gota Stajla.

- Są delikatniejsze. I podejrzewam, że inaczej się na nich lata. W ogóle nie wiem, czy potrafiłabym na nich latać. Ale to kwestia ograniczeń mojego umysłu. Myślę, że nasze skrzydła mogą mieć taki kształt, jaki zechcemy. Widzimy je upierzone, bo tak wyobrażamy sobie anioły. Ale tak naprawdę skrzydła są tylko narzędziem. Sami wybieramy formę.

Wpatruję się w nią uważnie. Nigdy w życiu nie przy-szłoby mi do głowy, żeby zmienić kształt swoich skrzydeł.

- Lał - bąkam oniemiała.

- Prawda?

- Co miałaś na myśli, mówiąc, że są tylko narzędziem? Naprawdę mam wrażenie, że są częścią mnie -mówię, myśląc o ciężarze skrzydeł wyrastających mi z łopatek, o masie mięśni, piór i kości.

- Zastanawiałaś się kiedyś, gdzie są nasze skrzydła, kiedy ich nie widać?

Mrugam zdezorientowana.

- Nie.

- Myślę, że mogą się znajdować między wymiarami. - Strzepuje trociny ze spodni. - Popatrz na to. Znów zamyka oczy. Motyle skrzydła rozpływają się, zamieniają w mglistą chmurę, która unosi się nad jej głową i wokół ramion.

- Myślisz, że ja też bym mogła?

Podnoszę się i niezgrabnie przywołuję swoje skrzydła. Nie potrafię powstrzymać nagłego przebłysku zazdrości. Jest o tyle potężniejsza ode mnie. O tyle mądrzejsza. W jej żyłach płynie dwa razy więcej anielskiej krwi.

- Nie wiem - zamyśla się. - Być może odziedziczyłam umiejętność zmiany kształtu. Ale bardziej sensowne wydaje mi się wytłumaczenie, że wszyscy potrafimy to robić.

Zamykam oczy.

- Motyl - szepczę.

Otwieram oczy. Wciąż widzę pióra.

- Musisz wyzwolić swój umysł - radzi Angela.

- Brzmisz jak Mistrz Yoda.

- Wyzwolić swój umysł musisz ty - mówi, naśladując Yodę.

Unosi ręce nad głowę i się przeciąga. Jej skrzydła znikają.

- To niewiarygodne. Superfajne - zachwycam się.

- Wiem.

W tej właśnie chwili kolejna mucha spada mi na koszulkę i gdzieś między piskami, próbą strząśnięcia jej a histerycznym napadem śmiechu czuję wdzięczność, że mam taką przyjaciółkę jak Angela.

Przypomina mi, jak fajnie jest być anielitą w chwilach, gdy czuję się jak wybryk natury. I potrafi sprawić, że na chwilę zapominam o Christianie Prescottcie.

Kiedy wracam do domu, Christian siedzi na schodach przed drzwiami. Światło na ganku otacza jego postać miękką aureolą niczym sceniczny reflektor. Trzyma kubek z czymś, co jak podejrzewam, jest malinową herbatą mojej mamy. Natychmiast odstawia go na podłogę i zrywa się na nogi. Bardzo chciałabym zniknąć.

- Przepraszam - mówi szczerze. - Byłem tępakiem. Byłem głupi. Byłem idiotą.

Muszę przyznać, że wygląda zachwycająco, kiedy stoi tak z nieprzytomnym wzrokiem i mówi, jakim jest głupkiem. To nie fair.

Wzdycham.

- Jak długo już tu siedzisz? - pytam.

- Niedługo - odpowiada. - Jakieś trzy godziny. - Wskazuje na kubek. - Dzięki darmowej dolewce tak jakby dwie.

Nie pozwalam sobie na uśmiech i przeciskam się obok do środka. Mama gwałtownie zrywa się z kanapy i bez słowa pędzi do swojego gabinetu. Za co jestem jej wdzięczna.

- Wejdz! - wołam do Christiana, kiedy jasne staje się, że w najbliższym czasie nigdzie nie zamierza się ruszyć.

Wchodzi za mną do kuchni.

- Dobra - ciągnę. - Umowa jest taka. Nigdy, ale to przenigdy nie będziemy rozmawiać na temat balu.

W jego oczach widzę błysk ulgi. Biorę jego kubek i stawiam obok zlewu. Potrzebuję chwili, żeby się uspokoić.

- Zaczniemy wszystko od nowa - dodaje, stojąc do niego plecami.

Byłoby miło, myślę, zacząć od nowa. Żadnych wizji, żadnych oczekiwań, żadnych upokorzeń. Po prostu chłopak poznaje dziewczynę. On i ja.

- Dobra.

- Mam na imię Clara. - Odwracam się i wyciągam rękę.

Kącik ust unosi mu się w tłumionym uśmiechu.

- A ja Christian - mruczy, ujmując moją dłoń i ściskając ją delikatnie.

- Miło cię poznać - mówię, jakby był zwyczajnym chłopakiem. Jakbym, kiedy zamknę oczy, nie widziała go w środku płonącego lasu. Jakby jego dotyk nie sprawiał, że wszystko w środku ściska mi się z tęsknoty, i jakby wcale nie zalewała mnie fala świadomości, że znam go od zawsze.

- Mnie też.

Wracamy na ganek. Robię więcej herbaty, biorę koc dla niego i dla siebie i siadamy na schodach, patrząc na rozgwieżdżone niebo.

- W Kalifornii gwiazdy nigdy nie świecą tak jasno. Właśnie pomyślałam to samo.

Zanim mama przyjdzie z gabinetu i grzecznie (i jak sądzę, bardzo zadowolona) poinformuje nas, że już późno, jutro szkoła i lepiej, żeby Christian wrócił do domu, wiem o nim dużo, dużo więcej. Wiem, że mieszka ze swoim wujem, który jest właścicielem Banku Jackson Hole i kilku nieruchomości w mieście. Że tak naprawdę nie wnika, gdzie są jego rodzice, choć ma nieodparte wrażenie, że nie żyją, i to od długiego czasu. Że jest bardzo przywiązany do gospodyni imieniem Marta, która jest z nimi, odkąd skończył dziesięć lat. Że uwielbia meksykańskie jedzenie i, rzecz jasna, jazdę na nartach i że gra na gitarze.

- Dość o mnie - mówi po jakimś czasie. - Porozmawiajmy o tobie. Dlaczego tu przyjechaliście? - pyta.

- Och, eee... - Przeszukuję mózg w poszukiwaniu odpowiedzi. - Z powodu mojej mamy. Chciała się wyrwać z Kalifornii i przenieść gdzieś, gdzie nie ma takich tłumów, za to jest świeże powietrze.

Uznała, że tu będzie nam lepiej.

- I rzeczywiście tak jest? To znaczy lepiej wam tu?

- W pewnym sensie. W szkole nie jest zbyt łatwo, to znaczy, jeśli chodzi o przyjaźnie i tego typu sprawy. - Czerwienię się i odwracam wzrok, zastanawiając się, czy myśli teraz o przyzwisku Gorąca Wiewióra tak popularnym wśród jego kumpli. - Ale podoba mi się... Czuję, jakby to było moje miejsce.

- Wiem, jak to jest.

- Słucham?

Teraz jego kolej, żeby sprawiać wrażenie zakłopotanego.

- Po prostu chodzi mi o to, że kiedy się tu przeprowadziłem, też przez pewien czas było mi trudno. Nie pasowałem tu.

- Przecież miałeś wtedy ile? Pięć lat?

- Tak, pięć, ale mimo to. To z wielu względów dziwne miejsce, kiedy się człowiek tu przeniesie.

Zwłaszcza z Kalifornii. Pamiętam pierwszą burzę śnieżną. Myślałem, że wali się na nas niebo.

Śmieję się i, zmieniając pozycję, dotykam jego ramienia. Bzyt. Nawet przez ubranie. Odsuwam się.

Interesy, Claro, interesy, mówię sobie. Nie wolno ci stracić głowy dla tego gościa. Odchrząkuję delikatnie.

- Ale teraz czujesz się tu jak u siebie? Kiwa głową.

- Tak, jasne. Nie mam wątpliwości, że to moje miejsce na Ziemi.

A potem mówi mi, że latem zamierza wybrać się do Nowego Jorku na coś w rodzaju stażu ekonomicznego dla uczniów liceów.

- Nie żeby jakoś szczególnie mnie to pociągało, ale lato w Nowym Jorku brzmi jak przygoda. Więc pewnie pojedę.

- Na całe lato? - pytam odrobinę spanikowana. „Ale przecież pożar!”, mam ochotę zawołać. „Nie możesz wyjechać”.

- Mój wuj - zaczyna, po czym milknie na moment. -Chce, żebym skończył studia ekonomiczne i któregoś dnia przejął bank. Ma wobec mnie oczekiwania, wiesz. Uważa, że powinienem coś zrobić, żeby się przygotować. Tego typu brednie. Ja sam nie wiem, co chcę robić.

- Rozumiem - szepczę, myśląc, że jest zielony jak szczypiorek na wiosnę. - Moja mama też taka jest, zawsze się po mnie wiele spodziewa. Mówi, że moje życie ma cel, że urodziłam się, żeby ten cel osiągnąć, muszę go tylko odkryć. Zero presji, co nie? Boję się ją zawieść.

- No cóż. - Odwraca się do mnie i uśmiecha w sposób, który sprawia, że serce mi przyspiesza. - Zdaje się, że oboje mamy kłopoty.

Ostatnie tygodnie szkoły mijają tak szybko, że niewiele z nich pamiętam. Christian dzwoni do mnie co kilka dni i gawędzimy przez telefon. W szkole siada koło mnie i cały czas żartuje. Kilka razy nawet je lunch przy moim stoliku, co niewidzialne doprowadza do ekstazy. Tydzień wystarczy, żeby cała szkoła zaczęła się zastanawiać, czy przypadkiem nie jesteśmy najgorętszym newsem. Sama się nad tym głowię.

- Mówiłam ci - stwierdza Angela, kiedy jej o tym opowiadam. - A ja się nigdy nie mylę, C.
 - To pocieszające. Możesz się skupić? Wciąż nic nie wiem na temat pożaru. Nie wiem, dlaczego Christian miałby się tam znaleźć tego dnia. Nie wiem, gdzie to ma być. Myślałam, że jeśli poznam go lepiej, to może się czegoś dowiem, ale...
 - Masz jeszcze czas. Po prostu ciesz się miłym towarzystwem - odpowiada mi na to. Wendy z kolei ledwo skrywa dezaprobatę, jaką budzi w niej cała ta sprawa z Christianem. Ale też nigdy jej się ten pomysł nie podobał.
 - Mówiłam ci - przypomina sztywno. - Christian jest jak bóg. A bogowie to nie jest dobry materiał na chłopaków.
 - Jeśli znowu próbujesz mi wcisnąć Tuckera, to sobie oszczędź. Choć to miłe z jego strony, że odwiózł mnie po balu do domu.
 - Ej, jestem po twojej stronie. Jeśli tego chcesz, życzę tobie i Christianowi wszystkiego najlepszego.
 - Dzięki - rzucam.
 - Nawet jeśli to duży błąd. Wspaniałe przyjaciółki mam.
- Ta nagła bliskość z Christianem sprawia, że czuję się zdezorientowana. Akurat kiedy postanowiłam, że nasza znajomość będzie miała charakter czysto zawodowy i że w grę będą wchodziły wyłącznie kwestie anielskie, on sprawia wrażenie zainteresowanego mną w sposób, który przyprawia o zawroty głowy. Ale nie umówił się ze mną dotąd ani mnie nie dotknął. Wmawiam sobie, że nie powinno mnie to obchodzić.

- Srebrny avalanche na podjeździe! - krzyczy Jeffrey z góry.
- A ty co? Strażnik? - wołam w odpowiedzi.
- Coś w tym rodzaju.
- Dzięki za ostrzeżenie.

Staję na ganku, kiedy Christian zatrzymuje się przed domem.

- Hej, nieznajomy - mówię. Uśmiecha się.
- Hej.
- Co tu robisz?
- Chciałem się pożegnać. Jutro wyprawiam się do Nowego Jorku. - W jego ustach podróż do Nowego Jorku brzmi jak zesłanie do szkoły z internatem.
- Daj spokój, w Wielkim Jabłku czeka cię mnóstwo przygód. Mój tata tam mieszka, wiesz? Byłam tam raz. Cały czas miał mnóstwo pracy, więc przez tydzień siedziałam na kanapie i oglądałam telewizję.
- Twój tata? Nigdy o nim nie wspominałaś.
- E tam, bo nie ma o czym. Wzrusza ramionami.
- To tak samo jak z moim tatą.

Widać, że to drażliwy temat. Ciekawe, czy moja twarz też tak wygląda, kiedy mówię o tacie. Jakbym nie miała z tym żadnego problemu i jakby w ogóle mnie nie obchodziło, że moi rodzice tak naprawdę mają mnie gdzieś.

Udaję, że się dąsam.

- Ale kicha. Szkoła skończyła się raptem dwa dni temu, a już wszyscy stąd zwiewają - jęcę. - Ty, Wendy, Angela, nawet moja mama. W przyszłym tygodniu jedzie do Kalifornii. Czuję się jak głupi szczur, jedyny, który nie opuszcza tonącego statku.

- Przykro mi - mówi Christian. - Będę pisał eseme-sy, dobra?

- Dobra.

Komórka dzwoni mu w kieszeni. Wzdycha. Nie odbiera, tylko robi krok w moją stronę. Mam wrażenie, jakby to była wizja. Jakby zamierzał wziąć mnie za rękę.

- Claro... - Moje imię w jego ustach brzmi jakoś inaczej. - Będę za tobą tęsknił.

Naprawdę? - myślę.

- Hiacynt na podjeździe! - dobiega głos Jeffreya z okna na górze.

- Dzięki! - krzyczę w odpowiedzi.

- Kto to? Twój brat? - pyta Christian.

- Tak. Najwyraźniej obserwuje okolicę.

- Kto to taki Hiacynt?

- Eee... - Zardzewiała niebieska półciężarówka Tuckera zatrzymuje się za avalanche'em Christiana. Ze środka wysiada Wendy. Twarz ma zachmurzoną, jakby czuła się niezręcznie, widząc mnie z Christianem. Mimo to próbuje się uśmiechnąć.

- Cześć, Christian - rzuca.

- Cześć - odpowiada Christian.

- Pomyślałam, że wpadnę po drodze - mówi Wendy. - Tucker odwozi mnie na lotnisko.

- Dzisiaj? Myślałam, że to dopiero jutro. - Ogarnia mnie przerażenie. - Nie zdążyłam zapakować pożegnego prezentu. Poczekaj chwilę. - Biegnę do domu i wracam z iPodem, którego wręczam Wendy.

- Nie mogłam wymyślić nic, co ci się przyda na stażu. Poza parą dodatkowych skarpetek. Ale chyba pozwolą ci słuchać muzyki w czasie pracy, co?

Sprawia wrażenie tak zaszokowanej, że wcale mi się to nie podoba. Uśmiech wciąż ma nieco zbyt wysilony.

- Claro, to za...

- Wgrałam kilka piosenek, które ci się spodobają. I znalazłam muzykę do *Zaklinacza koni*. Wiem, że znasz ten film właściwie na pamięć.

Przez chwilę patrzy na iPoda, a potem zaciska na nim palce.

- Dziękuję.

- Proszę bardzo.

Tucker wali w klakson. Wendy odwraca się do mnie ze zmartwioną miną.

- Przepraszam, ale nie mam czasu. Muszę lecieć. Obejmujemy się.

- Będę za tobą strasznie tęskniła - szepczę.

- W sklepie jest automat telefoniczny. Będę dzwonić - obiecuje.

- Koniecznie. Zaczynam czuć się opuszczona. Tucker wystawia głowę przez okno.

- Sorki, siostra, ale musimy jechać. Bo spóźnisz się na samolot.

- Dobrze, już dobrze. - Wendy obejmuje mnie po raz ostatni i pędzi do samochodu.

- Cześć, Chris - mówi Tucker do Christiana przez okno.

Christian się uśmiecha.

- Jak leci, Braciszku Tuck?

Tucker nie sprawia wrażenia szczególnie zachwyconego.

- Blokujesz mi wyjazd. Mógłbym cię okrążyć, ale nie chcę rozjechać trawy.

- Okej, nie ma sprawy. - Christan spogląda na mnie. - Ja też powinienem lecieć.
- Och, może zostaniesz jeszcze chwilę? - Staram się, żeby nie zabrzmiało to jak błaganie.
- Nie, naprawdę muszę lecieć.

Obejmuje mnie i przez pierwszych kilka sekund czujemy się niezręcznie, jakbyśmy nie wiedzieli, co zrobić z rękami, ale potem znajoma magnetyczna siła bierze górę i nasze ciała idealnie się do siebie dopasowują. Opieram mu głowę na ramieniu i zamykam oczy, przez co ta część mojego mózgu, która odpowiada za interesy, ulega chwilowemu upośledzeniu.

Tucker podkręca silnik. Odsuwam się gwałtownie.

- Dobra, zadzwoń do mnie.
- Wracam w pierwszym tygodniu sierpnia - mówi Christian. - I wtedy będziemy mieć dla siebie więcej czasu, dobra?
- Brzmi jak plan.

Mam nadzieję, że żadne, no nie wiem, pożary lasu nie wybuchną, zanim Christian wróci. Nie mogą, prawda? Dopóki go nie będzie, nic przecież nie może się wydarzyć. Czy to możliwe, że nie wypełnię swojego zadania, bo obiekt nie zechce współpracować?

- Do widzenia, Claro - szepcze Christian.

Kiwa głową Tuckerowi i wsiada do avalanche'a, który z rykiem budzi się do życia. Hiacynt wygląda przy nim na jeszcze bardziej zardzewiałego i zdezelowanego. Macham, kiedy oba samochody odjeżdżają i znikają w lesie, zostawiając mnie w chmurze dymu. Wzdycham. Myślę o tym, że pożegnanie z Christianem brzmiało naprawdę ostatecznie.

Kilka dni później pomagam Angeli pakować się przed wyjazdem do Włoch, gdzie co roku spędza wakacje u rodziny mamy.

- Pomyśl o tym jako o chwili wytchnienia - mówi Angela, kiedy snuję się nieszczęśliwa po jej pokoju.

- Chwili wytchnienia? Od czego? Nie mam dwóch lat, żeby się tak wszystkim ekscytować, wiesz?

- Jako o czasie na zastanowienie się. I na naukę latania, na litość boską. I na ćwiczenie chwały, i odkrywanie innych fajnych rzeczy, które potrafisz.

Wzdycham i wrzucam jej do walizki kolejną parę skarpetek.

- Nie jestem taka jak ty, Ange. Nie potrafię tego co ty.

- Nie wiesz, co potrafisz - stwierdza rzeczowym tonem. - I nie dowiesz się, dopóki nie spróbujesz.

Zmieniam temat, podnosząc czarną jedwabną nocną koszulkę, którą przygotowała do zabrania.

- A to po co? - pytam, spoglądając na nią. Wrywa mi koszulkę i z kamienną twarzą wpycha na spód walizki.

- Czyżby był jakiś seksowny Włoch, o którym nigdy mi nie wspomniałaś?

Nie odpowiada, ale jej blade policzki oblewają się rumieńcem. Wpuszczam gwałtownie powietrze.

- Rzeczywiście jest jakiś seksowny Włoch, o którym nic nie wiem!

- Muszę się dziś wcześniej położyć. Czeka mnie jutro długi lot.

- Giovanni. Alberto. Marcello... - wymieniam wszystkie włoskie imiona, jakie przychodzą mi do głowy, patrząc, jak zareaguje.

- Przestań.

- Twoja mama wie?

- Nie. - Łapie mnie za rękę i ciągnie na łóżko. - A ty jej nie powiesz, dobrze? Wkurzyłaby się.

- Dlaczego miałabym powiedzieć twojej mamie? Przecież się nie przyjaźnimy ani nic.

To nowina. Angela zwykle tylko dużo gada na temat chłopaków, nic więcej. Wyobrażam ją sobie z ciemnowłosym Włochem, jak trzymając się za ręce, przemykają wąskimi uliczkami Rzymu i całują się pod arkadami. Natychmiast robię się dziko zazdrosna.

- Po prostu nie mów, dobra? - Mocno ściska moją dłoń. - Obiecuj, że nikomu nie powiesz.

- Obiecuję - mówię. Wydaje mi się to trochę melodramatyczne.

Angela nie chce nic więcej powiedzieć na ten temat i zamyka się niczym ślimak w skorupie. Pomagam jej spakować resztę rzeczy. Wyjeżdża wcześniej rano - musi się dostać do Idaho Falls, żeby złapać samolot o jakiejś nieludzkiej porze, więc żegnam się z nią już dziś. Obejmujemy się mocno przy drzwiach do kabaretu.

- Za tobą będę tęskniła najbardziej.

- Nie martw się - pociesza mnie Angela. - Wrócę, zanim się zorientujesz. I przywiozę mnóstwo nowych informacji do przetrawienia.

- Dobra.

- Miej oczy otwarte. - Klepie mnie w ramię. - I naucz się wreszcie latać.

- Nauczę się. - Pociągam nosem. To będzie okropnie samotne lato.

Po kolacji jadę do Parku Narodowego Teton. Zostawiam samochód nieopodal jeziora Jenny. To niewielkie,

spokojne jezioro otoczone drzewami. Dookoła wznoszą się góry. Przez chwilę stoję na brzegu, a zachodzące słońce migocze w wodzie, nim w końcu schowa się za horyzontem. Patrzę, jak biały pelikan sunie ponad taflą wody. Daje nura w głąb, a potem wyłania się z rybą. To piękne.

Gdy robi się ciemno, rozpoczynam wędrówkę.

Panuje niewiarygodna cisza. Jakby nikogo więcej nie było na świecie. Próbuję się rozluźnić, wciągając głęboko zimne, pachnące sosnami powietrze w płuca, pozwalając, żeby mnie wypełniło. Chcę, żeby całe moje życie zniknęło, chcę po prostu cieszyć się siłą mięśni. Wdrapuję się wyżej i wyżej, poza linię drzew, coraz bliżej ogromnego, otwartego nieba. Wspinam się, póki nie zrobi mi się gorąco, a wtedy szukam odpowiedniego miejsca, żeby się zatrzymać. Znajduję występ skalny, miejsce, gdzie ziemia pionowo opada w dół. Według mapy to Punkt Inspiracji. Nazwa brzmi, jakby to było znakomite miejsce na moje eksperymenty.

Wdrapuję się na półkę i spoglądam w dół. Wysoko. Widzę jezioro lśniące w świetle księżyca.

- Do dzieła. - Wyciągam ręce. Przywołuję i rozkładam skrzydła. Znów patrzę w dół. Co za pomyłka.

Ale zamierzam polecieć, choćbym miała zginać. Muszę latać. Widziałam to w wizji.

- Potrzebna jest lekkość - mówię, pocierając o siebie dłońmi. - Nic trudnego. Lekkość.

Robię kolejny głęboki wdech. Przypomina mi się pelikan, którego widziałam nad jeziorem.

Wydawało się, jakby po prostu unosiło go powietrze. Rozpościeram skrzydła.

I skaczę.

Spadam jak kamień. Czuję pęd powietrza na twarzy, oddech wycieka mi z płuc, tak że nawet nie mogę krzyczeć. Drzewa wyciągają po mnie korony. Próbuję przygotować się na uderzenie, choć nie mam pojęcia, jak w ogóle można się na coś takiego przygotować. Trochę za późno dochodzę do wniosku, że wcale tego wszystkiego dobrze nie przemyślałam. Nawet jeśli jakimś cudem nie zginę w wyniku upadku, mogę złamać nogę i nikt nie będzie wiedział, że tu jestem, nikt mnie nie znajdzie.

Po prostu skoczyć z urwiska, rugam się w duchu. Świetny pomysł, Claro!

Ale właśnie wtedy moje skrzydła łapia wiatr i się rozkładają. Czuję szarpnięcie, moje ciało zachowuje się jak ciało spadochroniarza, któremu w końcu rozłożył się spadochron. Niezgrabnie chybocę się w powietrzu, próbując złapać równowagę. Z wielkim trudem, ale jednak skrzydła utrzymują mój ciężar. Wiatr porywa mnie i unosi z dala od Punktu Inspiracji.

- Fruwam - udaje mi się wyszeptać. I nagle czuje się niewiarygodnie lekka. Czuję ulgę, że jeszcze nie umieram, adrenalinowego kopa i dreszcz rozkoszy na myśl o tym, że chłodne powietrze trzyma mnie i unosi. To absolutnie najwspanialsze doznanie w moim życiu. - Ja fruwam!

Rzecz jasna, nie tyle frunę, ile unoszę się ponad koronami drzew jak lotniarz albo cierpiąca na gigantyzm latająca wiewiórka. Podejrzewam, że okoliczne ptaki umierają ze śmiechu, obserwując moje wysiłki, żeby się nie rozbić. A więc nie mam wrodzonego talentu, nie jestem jedną z tych przepięknych anielskich istot unoszących się na skrzydłach pod niebiosa. Ale też wciąż żyję, co zapisuję sobie na plus.

Jeszcze raz uderzam skrzydłami, próbując wzbić się wyżej. Zamiast tego pikuję w dół ponad drzewami, aż w końcu stopami niemal muskam najwyższe gałęzie. Próbuję sobie przypomnieć cokolwiek z lekcji aerodynamiki, ale nie potrafię przełożyć całej tej wiedzy na temat samolotów - siły nośnej, ciągu i oporu - na to, co moje skrzydła robią w tej chwili. Prawdziwy lot to nie matematyczne równanie. Za każdym razem, kiedy próbuję zmienić kierunek, przesadzam, za bardzo się przechylam i zanim zdążę odzyskać kontrolę nad swoim ciałem, widzę całe życie. Najlepsze, co na razie mogę zrobić, to co jakiś czas machnąć skrzydłami i ustawić je pod kątem, żeby utrzymać się w powietrzu. Zbliżam się do jeziora. Kiedy nad nim przelatuję, moje odbicie wygląda jak rozmyta lśniąca plama bieli na muśniętej księżycem powierzchni. Przez chwilę widzę siebie pod postacią pelikana szybującego nad wodą. Obniżam lot i czuję chłód jeziora na palcach. Tańczę w blasku księżyca. Śmieję się.
Zrobię to, mówię sobie. Uratuję go.

14. *Skaczące drzewo*

Moje siedemnaste urodziny wypadają dwudziestego czerwca. Tego ranka budzę się w pustym domu. Mama wyjechała na tydzień do Kalifornii w związku z pracą, a Jeffrey wciąż gdzieś znika. Właśnie zdał egzamin i dostał dzienne prawo jazdy (kiedy dowiedział się, że w Wyoming piętnastolatki mogą prowadzić auta w ciągu

dnia, jego tęsknota za Kalifornią jeszcze bardziej zmaląła), a ja od tego czasu nieczęsto go widuję - jest zbyt zajęty rozbijaniem się po Jackson w swojej nowej pół-ciężarówce (z pozdrowieniami od drogiego staruszka). Jediną wskazówką, że wciąż żyje, jest rosnąca sterta naczyń w zlewie. Pierwszy raz, odkąd sięgam pamięcią, nie będę miała urodzinowego przyjęcia. Żadnego tortu. Żadnych podarków. Mama dała mi prezent, zanim wyjechała do Kalifornii - żółtą szeleszczącą sukienkę na ramiączkach. Bardzo mi się podoba, ale kiedy tak stoję w sypialni i widzę ją na wieszaku - taką słodką, idealną na urodzinowe przyjęcie, randkę albo imprezę - ogarnia mnie przygnębienie. Schodzę na dół i siadam przy blacie w kuchni. Przeżuwając płatki i czując jeszcze większy smutek, bo nie ma banana, którego mogłabym do nich wkroić, włączam małe telewizor, żeby obejrzeć wiadomości.

Reporterka mówi, że tego roku w Jackson Hole jest wyjątkowo sucho. Zimą, informuje, spadło dwie trzecie tyle śniegu co zwykle i poziom wody po wiosennych roztopach jest wyjątkowo niski. Zbiorniki wysychają. Kobieta stoi na tle jeziora i gestem wskazuje na niedobór. Wyraźnie widać, do jakiego poziomu zwykle dochodzi woda, bo skała w tym miejscu jest jaśniejsza.

- Susza w tej chwili może jeszcze nie dawać nam się we znaki - mówi reporterka, spoglądając poważnym wzrokiem w obiektyw kamery - ale wraz z upływem lata ziemia będzie wysychała coraz bardziej. Pożary zaczną się w tym roku prawdopodobnie wcześniej, a ich skutki będą bardziej niszczycielskie niż zwykle.

Ostatniej nocy znów próbowałam latać, tym razem z workiem marynarskim w objęciach. Nie udało mi się

znaleźć nic, co bardziej przypominałoby ludzkie ciało. Wepchnęłam do środka kupę puszek z zupą i parę baniaków z wodą, do tego kilka koców i mat, zaciągnęłam to wszystko na podwórko i próbowałam wzbić się w górę. Nic z tego. Całość w najlepszym wypadku ważyła pewnie połowę tego co Christian. A ja nie zdołałam oderwać się z tym od ziemi. Całe skupienie potrzebne, żeby uczynić się lekką na tyle, by mogły mnie unieść skrzydła, zdaje się psu na budę, kiedy próbuję trzymać coś ciężkiego. Jestem za słaba.

Teraz, kiedy gapię się w telewizor, w którym puszczają materiał na temat pożarów w okolicach Jackson, przebiegają mnie ciarki, jakby reporterka zwracała się bezpośrednio do mnie. Rozumiem. Mam starać się bardziej. Zbliża się pożar. Muszę być gotowa.

Cały ranek spędzam na malowaniu paznokci u stóp i oglądaniu telewizji. Powinnam wyjść, powtarzam sobie, ale nie potrafię wymyślić miejsca, w którym nie czułabym się jeszcze bardziej żałośnie samotna.

Koło południa rozlega się pukanie do drzwi. Nie spodziewałam się Tuckera Avery'ego na progu. Ale oto stoi z pudełkiem po butach pod pachą. Prześwietlony słońcem.

Otwieram drzwi.

- Cześć.

- Cześć. - Widzę, jak zaciska usta, żeby powstrzymać uśmiech. - Dopiero wstałaś?

Uświadamiam sobie, że mam na sobie idiotyczną piżamę w różową kratkę z napisem „Księżniczka” wyhaftowanym na lewej piersi. Może nie jest najpiękniejsza, ale ciepła i wygodna. Cofam się i staję w progu.

- W czym mogę pomóc? - pytam. Wyciąga przed siebie pudełko.

- Wendy chciała, żebym ci to dał - mówi. - Dzisiaj. Ostrożnie wyjmuję mu pudełko z rąk.
- Nie ma w środku węża, prawda? Rozchyła usta w uśmiechu.
- Myślę, że musisz się sama przekonać. Odwracam się, ale Tucker się nie rusza. Spoglądam na niego z niepokojem. Na coś czeka.
- Co, czekasz na napiwek? - pytam.
- Pewnie.
- Nie mam drobnych. Wejdiesz do środka?
- Myślałem, że nigdy nie zapytasz. Przesuwam się, żeby mógł wejść.
- Poczekaj tutaj.

Stawiam pudełko na blacie w kuchni i biegnę na górę, żeby włożyć dzinsy i żółto-niebieską flanelową koszulę. Zerkam w lustro i nagle się zatrzymuję. Wyglądam, jakbym miała gniazdo na głowie. Rzucam się do łazienki, żeby rozczesać tę plątaninę, a potem splatam włosy w warkocz, który zarzucam na plecy. Nakładam na policzki trochę różu. Jeszcze tylko odrobina błysz-czyka i znowu mogę pokazać się ludziom.

Kiedy wracam, Tucker siedzi na kanapie w salonie z nogami na stoliku do kawy. Wygląda przez okno, za którym wiatr targa gałęziami ogromnej osiki. Całe drzewo jest w ruchu, każdy, nawet najmniejszy listek drży. Uwielbiam to drzewo. I kiedy widzę, jak Tucker przygląda mi się z zachwytem, wytrąca mnie to z równowagi. Chciałabym schować go do szkatułki, żeby się zorientować, czego chce, ale pewnie nie zgodziłby się w niej pozostać.

- Ładne drzewo - stwierdza.

W tym chłopaku kryje się niespodziewana głębia.

- Otwórz - nalega, nie patrząc na mnie ani na pudełko na blacie.

Biorę je i unoszę pokrywkę. W środku owinięta w papier leży para butów do wspinaczki. Widać ślady używania, krawędzie i podeszwy mają gdzieś lekko poprzecierane, ale są czyste i dobrze utrzymane. To drogie buty. Ciekawe, czy mimo że jestem wyższa, Wendy i ja mamy ten sam rozmiar. Ciekawe też, jakim cudem mogła sobie pozwolić na tak wspaniałe buty i dlaczego, u licha, chce się ich teraz pozbyć.

- Jest też liścik - mówi Tucker.

Wewnątrz jednego buta znajduję karteczkę zapisaną z obu stron pochyłym pismem Wendy. Zaczynam czytać.

Droga Claro, okropnie mi przykro, że nie mogę być z Tobą w twoje urodziny. Kiedy czytasz ten list, ja akurat prawdopodobnie przerzucam gnój albo robię coś jeszcze gorszego, więc nie użalaj się zbytnio nad sobą! Buty nie są Twoim urodzinowym prezentem. To pożyczka, więc dbaj o nie. Twoim urodzinowym prezentem jest Tucker. A teraz, zanim zrobisz wściekłą minę, posłuchaj. Ostatnim razem, kiedy rozmawialiśmy, miałam wrażenie, że czujesz się samotna i nie wychodzisz zbyt często. Nie mogę pozwolić, żebyś snuła się po domu, kiedy mieszkasz w najpiękniejszej okolicy na świecie. Nikt nie zna jej tak dobrze jak mój brat. To najlepszy przewodnik, jaki mógłby ci się trafić. Dlatego buty na nogi, Claro, i do dzieła. Daj Tuckerowi kilka dni, żeby pokazał Ci okolicę. To naprawdę najlepszy prezent, jaki mogę Ci ofiarować. Ściskam mocno! Kochająca Wendy

Podnoszę wzrok. Tucker wciąż patrzy na drzewo. Nie wiem, co powiedzieć.

- Chciała też, żebym ci zaśpiewał. Wymyśliła sobie coś w rodzaju śpiewających telegramów. - Zerka na mnie przez ramię, unosząc w górę kącik ust. - Powiedziałem, gdzie może sobie wsadzić ten pomysł.

- Pisze, że...

- Wiem.

Wzdycha, jakby czekał go wyjątkowo niemiły obowiązek, po czym wstaje. Lustruje mnie wzrokiem od stóp do głów, jakby nie był pewien, czy dam radę sprostać jego planom.

- Co takiego? - pytam z zawziętością.

- Wszystko w porządku. Ale musisz wrócić na górę i włożyć kostium.

- Kostium? - Nie brzmi to zbyt prawdopodobnie.

- Kostium kąpielowy - wyjaśnia.

- Idziemy się kąpać? - pytam.

Nie jestem pewna, czy pomysł z Tuckerem ma sens, bez względu na zamiary Wendy. Zerkam na niego. Wiem, że mnóstwo dziewczyn byłoby zachwyconych, gdyby dostały Tuckera Avery'ego w prezencie. Z tymi jego chmurnymi niebieskimi oczami, opaloną na złoto skórą, płowymi włosami i dołeczkiem w lewym policzku. Przemyka mi przed oczami zawstydzający obraz Tuckera, który nie ma na sobie nic poza czerwoną kokardką.

Wszystkiego najlepszego, Claro.

Nagle policzki zaczynają mnie palić.

Tucker nie odpowiada na moje pytanie. Podejrzewam, że chodzi o niespodziankę. Wskazuje za to na schody. Uśmiecham się i biegnę na górę, zastanawiając się gorączkowo, które z moich kalifornijskich plażowych bikini będzie w tej sytuacji najmniej upokarzające. Decyduję się na ciemnoszafirowe, tylko dlatego

że zakrywa najwięcej ciała. A potem pośpiesznie wkładam džinsy i flanelową koszulę, wyciągam ręcznik z bieliźniarki i schodzę do Tuckera. Każe mi włożyć buty Wendy.

A gdy już jestem wyekwipowana zgodnie z jego oczekiwaniami, prowadzi mnie do swojego samochodu, otwiera drzwi, po czym okraża maskę i wdrapuje się na siedzenie kierowcy. Odjeżdżamy w milczeniu, podskakując na wyboistej drodze. We flanelowej koszuli jest mi za gorąco. Oto lato w pełnym rozkwicie, z bezchmurnym, idealnie niebieskim niebem. I choć nie jest tak gorąco jak w Kalifornii, pogodę mamy wspaniałą. Ciekawe, czy czeka nas długa wędrówka.

- Czy to coś ma klimatyzację? - Koszula zaczyna lepić mi się do pleców.

Tucker wrzuca wyższy bieg. A potem sięga przeze mnie i odkręca okno.

- Sama mogłam to zrobić - mówię przekonana, że chciał po prostu mnie popchnąć. Uśmiecha się i jest to spokojny, luzacki uśmiech, który sprawia, że jakimś cudem sama przestaję czuć się spięta.

- Ta szyba potrafi sprawiać niespodzianki - mówi tylko.

Wystawiam rękę przez okno i zimne górskie powietrze przepływa mi przez palce. Tucker zaczyna cicho gwizdać jakąś melodię. Rozpoznaję w końcu *Danny Boy*, piosenkę, którą Wendy śpiewała na wiosennym koncercie. Gwizdże bardzo ładnie, z dużą wprawą, idealnie czysto.

Skrećamy na szosę prowadzącą do szkoły.

- Dokąd jedziemy? - pytam.

- Do Hoback.

Słyszałam tę nazwę w liceum i widziałam znaki przy drodze. Jest kanion Hoback, przełęcz Hoback i, o ile dobrze pamiętam, także skrzyżowanie o tej nazwie. Nie umiem powiedzieć, o które miejsce mu chodzi. Mijamy szkołę i jedziemy dalej jeszcze jakieś pół godziny, aż w końcu ostatnie budynki znikają i teraz znowu widać tylko góry i las. Raptem docieramy do maleńkiego miasteczka o nazwie Hoback. Zaraz za Hoback General Sotre droga się rozwidła. Tucker wybiera odnogę prowadzącą w lewo i znowu zmierzamy w stronę gór. Po prawej mamy rwącą zieloną rzekę.

- Czy to Snake? - pytam.

Okno wciąż mam otwarte i kiedy samochód nabiera prędkości, czuję na rękę pęd powietrza. Chowam łokieć do środka.

- Nie - odpowiada Tucker. - To Hoback.

Wyczuwam zapach rzeki, małych sosen przycupniętych na zboczu wzgórza i bylicy, która porasta obie strony drogi.

- Uwielbiam zapach bylicy - mówię, wciągając powietrze.

Tucker prychnął.

- Bylica to szkodnik. Błyskawicznie porasta całą okolicę, wysysając z ziemi wodę i substancje odżywcze, dopóki wszystko inne nie wymrze. Zgoda, że to żywotne bydlę. Ale szare i brzydkie i uwielbiają w nim siedzieć kleszcze. Widziałaś kiedyś kleszcza? - Zerka w moją stronę. Minę muszę mieć naprawdę przerażoną, bo nagle kaszle zmieszany i mówi cicho: - Bylica ma bardzo przyjemny zapach.

A potem gwałtownie skręca i wjeżdża w niewielką, porośniętą trawą zatoczkę.

- Jesteśmy na miejscu - mówi, odwracając się do mnie.

Parkujemy obok nadgryzionego zębem czasu ogrodzenia, tuż przy pomarańczowym znaku, na którym napis głosi: „Własność prywatna. Do intruzów strzelamy”. Tucker unosi wyzywająco brew.

Przeskakuje przez dziurę w płocie i wyciąga rękę. Ujmuję ją, a on pomaga mi przedostać się przez ogrodzenie. Po drugiej stronie teren stromo opada ku rzece. W bylicy leży pełno puszek po piwie.

Wciąż trzymając mnie za rękę, Tucker rusza krętą ścieżką w stronę ogromnego drzewa nad wodą.

Nagle bardzo się cieszę, że mam na nogach solidne buty.

Na dole kładzie ręcznik pod drzewem i zaczyna zrzucać ubranie. Odwracam się i powoli rozpinam flanelową koszulę. To naprawdę uroczy kostium, przekonuję sama siebie. Przecież nie jestem pruderyjna. Robię głęboki wdech i zsuwam koszulę z ramion, a potem szybko zdejmuję spodnie i buty. Odwracam się z powrotem do Tuckera. Ku mojej uldze patrzy na rzekę, choć z tego, co się orientuje, może mnie widzieć kątem oka. Ma na sobie czerwono-czarne kąpielówki do kolan. Całą skórę ma złotobrazową. Szybko odrywam od niego wzrok i kładę ubrania i ręcznik na kupce obok jego rzeczy.

- Co teraz? - pytam.

- Teraz włączymy na drzewo.

Spoglądam na gałęzie, które leciutko kołyszą się na wietrze. Kilka przybitych do pnia desek tworzy coś w rodzaju drabiny. Na ogromnym konarze, który sięga nad wodę, ktoś przymocował długi czarny sznur.

Będziemy skakać na tym sznurze do wody.

Spoglądam na rzekę, która wydaje się niewiarygodnie wąska i głęboka.

- Zamierzasz zabić mnie w moje urodziny - żartuję, mając nadzieję, że nie dostrzeże błysku strachu w moich oczach. Anielici toną. Potrzebujemy tlenu tak samo jak zwykli ludzie, choć pewnie możemy dłużej utrzymać oddech.

W policzku Tuckera pojawia się dołeczek.

- Dlaczego nie miałbym być pierwszy? - Bez słowa wdrapuje się na drzewo, jego ręce i stopy poruszają się tak, jakby robił to już tysiące razy wcześniej, co jest odrobinę uspokajające. Kiedy dociera na najwyższą gałąź, ledwo go widać, gdzieś tylko przebłysk opalanej nogi albo lśniących w słońcu włosów między liśćmi. A potem nie widzę go już w ogóle, dostrzegam tylko nagle szarpnięcie liny.

- Właż na górę. Jest dość miejsca dla dwojga. Niezgrabnie zaczynam wdrapywać się na drzewo. Po drodze udaje mi się zetrzeć kolano i wbić drzazgę w dłoń, ale się nie skarżę. Ostatnia rzecz, jakiej bym chciała, to żeby Tucker Avery uznał mnie za dzieciucha. Jego dłoń pojawia się tuż przed moim nosem, ujmuję ją, a on wciąga mnie na najwyższą gałąź.

Widać stąd spory kawałek rzeki. Szukam miejsca, gdzie jej nurt by się uspokajał albo zwalniał, ale nic takiego nie ma. Obok Tucker łapie linę, która sprawia wrażenie rozciągliwej niczym bungee. Odwraca twarz do słońca i na chwilę zamyka oczy.

- Nazywają to miejsce solarium - mówi.

- To tutaj, gdzie stoimy? Na czubku drzewa?

- Tak. - Otwiera oczy. Jestem tak blisko, że widzę, jak jego źrenice zwężają się pod wpływem światła.

- Jest znane w szkole od pokoleń - dodaje.

- I stąd ten znak - domyślam się, zwracając wzrok w stronę drogi.

- Zdaje się, że właściciel mieszka w Kalifornii - zauważa cierpko Tucker.
- Hura! Nie dostanę kulki w łeb w siedemnaste urodziny.
- Nie. - Tucker poprawia uchwyt. Ugina kolana. - Ale za to trochę się zmoczysz - mówi, rzucając się z drzewa.

Lina leci pod kątem w wodę. Tucker puszcza ją i z krzykiem wpada do rzeki. Wyciągam rękę i łapię sprężynującą linę, a potem spoglądam w dół, w miejsce, gdzie głowa Tuckera, podskakując, unosi się w wodzie. Odwraca się do mnie i macha, prąd znosi go w dół rzeki.

- Dawaj! - krzyczy. - Spodoba ci się. Oddycham głęboko, chwytam linę mocniej obiema rękami i skaczę.

Różnica między spadaniem a lataniem jest zdumiewająca, a ja przecież mam doświadczenie i w jednym, i w drugim. Lina wychyla się w stronę rzeki i rozciąga pod moim ciężarem. Zaciskam zęby, żeby powstrzymać skrzydła, tak silne jest pragnienie latania. A potem krzyczę i puszczam linę, bo wiem, że jeśli tego nie zrobię, pociągnie mnie z powrotem i rozbiję się o drzewo.

Woda jest tak zimna, że w jednej chwili tracę oddech. Kaszląc, wynurzam się na powierzchnię. Przez chwilę nie wiem, co mam robić. Dość dobrze pływam, ale nie jestem mistrzynią. Do tej pory zresztą zwykle pływałam w basenie albo u wybrzeży Pacyfiku. Nic jednak nie mogło przygotować mnie na to, jak rzeka chwyta mnie i ciągnie ze sobą. Znowu opijam się wody. Jest brudna, lodowata, wyczuwam w niej coś jeszcze, coś, czego nie potrafię rozpoznać, coś mineralnego. Charcząc, wyłaniam się na powierzchnię, po czym zaczynam płynąć do brzegu, zanim rzeka porwie mnie na dobre i zaginę bez

śladu. Nigdzie nie ma Tuckera. W gardle rośnie mi gula strachu. Już widzę relację w wiadomościach, zmartwioną twarz mamy, Angeli i Wendy, która zdaje sobie sprawę, że to wszystko jej wina.

Nagle czyjaś ręka obejmuje mnie w pasie. Odwracam się i niemal zderzam głową z Tuckerem.

Zacieśnia uścisk i z całych sił przedziera się w stronę brzegu. Jest dobrym pływakiem. Muskularne ręce na pewno mu w tym pomagają. Ja mogę tylko uwiesić mu się u ramienia i młócić nogami wodę w odpowiednim kierunku. Po chwili oboje łapiemy powietrze na piaszczystym brzegu. Przewracam się na plecy i patrzę na pierzaste obłoki przepływające po niebie.

- Bardzo dobrze - chwali Tucker. - Jesteś dzielna. Rzucam mu gniewne spojrzenie. Woda skapuje mu z włosów na kark. Zerkam w jego niewiarygodnie błękitne oczy, w których czai się śmiech. Mam ochotę go uderzyć.

- To było głupie. Mogliśmy oboje utonąć.

- Nie - mówi. - Rzeka wcale nie jest teraz aż tak rwąca. Bywało gorzej.

Siadam i spoglądam na drzewo. Wydaje się, jakby było prawie kilometr stąd.

- Rozumiem, że następny krok to powrót? Tucker tłumy śmiech, słysząc irytację w moim głosie.

- Tak.

- Na bosaka?

- Nie będzie tak źle, droga jest piaszczysta. Zimno ci? - pyta, a ja w chwili przebłysku wiem, że jeśli powiem, że tak, to chętnie obejmie mnie ramieniem.

Tylko że tak naprawdę wcale nie jest mi zimno, nie teraz, w pełnym słońcu, kiedy już prawie wyschła mi

skóra. Może odrobinę wilgotno i chłodno. Próbuję nie myśleć o tym, jak blisko jest Tucker z tą swoją nagą klatką, promieniujący ciepłem, ani o sobie w maciupieńkim dwuczęściowym kostiumiku, z gęsią skórką na brzuchu.

Zrywam się na nogi i ruszam w górę rzeki. Tucker podskakuje i idzie obok.

- Przepraszam - mówi. - Może powinienem był cię ostrzec przed prądem.

- Może - zgadzam się, ale mam już dość wkurzania się na Tuckera. W końcu to on przyszedł mi z pomocą na szkolnym balu. Nie zapomniałam o tym. No i jest ze mną teraz. - W porządku, nie ma sprawy.

- Chcesz spróbować jeszcze raz? - pyta, a kiedy się uśmiecha, w policzku robi mu się dołeczek. - Za drugim razem jest łatwiej.

- Naprawdę chcesz mnie zabić. - Kręcę głową z niedowierzaniem. - Jesteś szalony.

- Latem pracuję dla szalonej firmy raftingowej. Na rzece jestem pięć razy w tygodniu, może więcej. To znaczy, że wiedział, że uda mu się mnie wyciągnąć, bez względu na to jak kiepską się okażę pływaczką. A co, gdybym od razu poszła na dno?

- Tucker! - krzyczy ktoś przed nami. - Jak woda? Przy drzewie stoi teraz pewnie z pięć osób, które patrzą, jak wędrujemy wzdłuż brzegu. Tucker macha.

- W porządku! - odkrzykuje. - Przyjemna i spokojna.

Kiedy docieramy na miejsce, dwie osoby zdążyły już się wdrapać i skoczyć do rzeki. Żadna nie ma problemów z dotarciem do brzegu. To sprawia, że znowu chcę się znaleźć na górze. Tym razem, skacząc, wydaję okrzyk tak jak Tucker i ruszam w stronę brzegu, gdy tylko znaj-

dę się w wodzie. Za czwartym razem już w ogóle się nie boję. Czuję się niezwyciężona. I to, jak rozumiem, stanowi przyczynę atrakcyjności takich miejsc.

- Ty jesteś Clara Gardner, prawda? - pyta dziewczyna, która czeka w kolejce, żeby się wdrapać na górę. Kiwam głową. Mówi, że nazywa się Ava Peters, choć przecież chodzimy razem na chemię. To ją widziałam tamtego dnia przy chatce narciarskiej.

- W sobotę robię imprezę, gdybyś miała ochotę wpaść - mówi. Jakbym nagle została przyjęta do jej klubu.

- Och - odpowiadam zaskoczona. - Pewnie. Dzięki. Uśmiecham się z wdzięcznością do Tuckera, który kiwa głową, jakby uchylał kapelusza. Po raz pierwszy mam wrażenie, jakbyśmy mogli, ale tylko mogli, zostać przyjaciółmi.

Tego wieczoru Tucker zabiera mnie na kolację do Bubba's i choć jest to zwyczajny grill bar, na tyle przypomina to randkę, że jestem nieco podenerwowana. Ale kiedy pojawia się jedzenie, jest tak pyszne, że rozluźniam się i pożeram wszystko. Poza płatkami rano nic do tej pory nie jadłam i dawno nie byłam aż tak głodna. Tucker przygląda mi się, kiedy obgryzam udko kurczaka, jakby to była najsmaczniejsza rzecz na świecie. Sos jest obłędny. Dopiero kiedy pochłaniam jedną czwartą kurczaka, fasolkę i ogromną porcję sałatki ziemniaczanej, ośmielam się na niego spojrzeć.

Spodziewam się, że zrobi jakąś złośliwą uwagę na temat mojego obżarstwa, i już nawet przygotowuję ripostę, coś, żeby zwrócić uwagę na to, że może powinnam nabrać trochę ciała.

- Zamów tartę waniliową - radzi Tucker, nie próbując mnie osądzać. W jego oczach dostrzegam nawet cień

podziwu. - Podają ją z plasterkiem cytryny i kiedy ugryziesz cytrynę, a potem zabierzesz się do tarty, smakuje dokładnie tak jak cytrynowa beza.

- Dlaczego po prostu nie wziąć cytrynowej bezy?

- Zaufaj mi - nalega, a ja naprawdę mu ufam.

- Dobra. - Macham na kelnera, żeby zamówić tartę. Która, powinnam była wiedzieć, smakuje bosko.

- O matko, ale się najadłam - mówię. - Będziesz mnie musiał odtoczyć do domu.

Przez chwilę oboje milczymy, słowa wiszą między nami w powietrzu.

- Dziękuję za dziś - odzywam się w końcu, nie patrząc mu w oczy.

- Przyjemne urodziny?

- Tak. Dzięki też, że nie wspomniałeś w restauracji i że nie przyszli mi zaśpiewać *Sto lat*.

- Wendy mówiła, że to by ci nie przypadło do gustu.

Ciekawe, w jakim stopniu ten dzień jest dziełem Wendy.

- Co robisz jutro? - pyta Tucker.

- Hę?

- Mam jutro wolne, więc gdybyś chciała, mógłbym cię zabrać do Yellowstone i pokazać ci okolicę.

- Nigdy nie byłam w Yellowstone.

- Wiem.

Jest po prostu prezentem o przedłużonym działaniu. Yellowstone brzmi dużo lepiej niż siedzenie w domu przed telewizorem, martwienie się o Jeffrey'a i próby wzbicia się w powietrze z workiem marynarskim wielkości Christiana.

- Chętnie zobaczę Old Faithful.

- W porządku. - Wygląda na podejrzenie zadowolonego z siebie. - Od tego zaczniemy.

15. Wakacje z *Tuckerem*

Wycieczkę do Yellowstone psuje tylko incydent z koreańską turystką, do której nieopatrznie odzywam się w jej języku, bo gdzieś jej się zawieruszył pięcioletni synek. Pomagam kobiecie porozumieć się ze strażnikiem i dziecko się odnajduje. Uroczą historyjką, prawda? Poza tą częścią, kiedy Tucker gapi się na mnie, jakbym była mutantem, dopóki nie wytłumaczę mu, że w Kalifornii miałam przyjaciółkę z Korei i mam talent do języków. Po tej przygodzie nie spodziewam się zobaczyć go więcej, bo zakładam, że prezent Wendy uległ wyczerpaniu. Ale w sobotę rozlega się pukanie do drzwi i widzę go znowu, a w godzinę później rozdęta do olbrzymich rozmiarów w obowiązkowym jaskrawopomarańczowym kapoku ląduję na ogromnej dmuchanej tratwie wraz z grupą turystów spoza stanu. Tucker siada na rufie i wiosłuje w stronę bystrzy, podczas gdy drugi przewodnik na dziobie wykrzykuje polecenia. Patrzę, jak silne brązowe ramiona Tuckera napinają się przy pracy. Docieramy do pierwszych bystrzy. Tratwę szarpie, wszędzie chlapie woda, a ludzie krzyczą, jakby siedzieli w górskiej kolejce. Tucker uśmiecha się do mnie. Odpowiadam mu tym samym. Tego wieczoru zabiera mnie na imprezę do domu Avy Peters i przez cały czas stoi obok, przedstawiając

ludziom, którzy nie znają mnie nawet z imienia. Zdumiewające, jak obecność Tuckera wszystko zmienia, towarzysko rzecz biorąc. W liceum ludzie patrzyli na mnie z wystudiowaną obojętnością, nie całkiem wrogo, ale na pewno jak na intruza. Nawet zainteresowanie Christiana w ciągu ostatnich kilku tygodni niewiele zmieniło - wciąż gadali o mnie, a nie ze mną. Teraz, kiedy tak stoję z Tuckerem u boku, ludzie faktycznie ze mną rozmawiają. Ich uśmiechy nagle stają się prawdziwe. Łatwo zauważyć, że wszyscy, bez względu na to, do jakiej grupy należą i ile zarabiają ich rodzice, rzeczywiście lubią Tuckera. Chłopcy wykrzykują: „Bra!” i stukają się z nim pięściami albo ramionami, a dziewczyny obejmują go i szepczą: „Cześć”, spoglądając na mnie z przyjaznym zaciekawieniem.

Gdy Tucker idzie do kuchni po drinka dla mnie, Ava Peters łapie mnie za rękę.

- Od jak dawna jesteście z Tuckerem? - pyta z przebiegłym uśmiechem.

- My się tylko przyjaźnimy - bąkam.

- Och. - Lekko marszczy brew. - Przepraszam, myślałam...

- Co myślałaś? - pyta Tucker, który nagle pojawia się z boku, trzymając po czerwonym plastikowym kubku w każdej ręce.

- Myślałam, że jesteście parą - mówi Ava.

- Tylko przyjaciółmi - odpowiada, patrząc mi przez moment w oczy, po czym wręcza kubek.

- Co to?

- Cola z rumem. Mam nadzieję, że lubisz rum kokosowy.

Nigdy nie piłam rumu. Ani tequilli, ani wódki, ani whisky, ani niczego poza odrobiną wina do kolacji od

czasu do czasu. Mama przeżyła czasy prohibicji. Teraz jednak jest ponad tysiąc kilometrów stąd i prawdopodobnie śpi twardo w hotelowym pokoju w Mountain View całkowicie nieświadoma tego, że jej córka bawi się na imprezie bez dorosłych i zamierza właśnie wyłopać pierwszego mocnego drinka.

Czego oczy nie widzą, tego sercu nie żal. Zdrówko!

Upijam łyk i nie wyczuwam nawet najlżejszego śladu kokosu czy alkoholu. Drink smakuje jak stara dobra zwyczajna coca-cola.

- Bardzo dobre, dziękuję - mówię.

- Fajna impreza - chwali Tucker Ave. - Naprawdę się postarałaś.

- Dzięki - odpowiada Ava pogodnie. - Cieszę się, że przyszedłeś. I ty też, Claro. Fajnie nareszcie móc cię poznać.

- Tak - szepczę. - Fajnie, kiedy nareszcie cię znają.

Tucker tak bardzo różni się od Christiana, myślę, wracając do domu. Jego popularność ma zupełnie inny charakter. Nie bierze się stąd, że jest bogaty (bo z całą pewnością nie jest, i to mimo wielu prac dorywczych -nie ma nawet komórki) czy przystojny (to bez dwóch zdań, choć raczej w typie seksownego twardziela, podczas gdy Christian jest w typie seksownego marzyciela). Christian jest popularny, bo - jak powtarza Wendy - jest kimś w rodzaju boga. Piękny, doskonały i nieco odległy. Stworzony, żeby go wielbić. A Tucker jest popularny dlatego, że sprawia, że w jego towarzystwie ludzie czują się swobodnie.

- O czym myślisz? - pyta, bo przez dłuższy czas nic nie mówię.

- Jesteś inny, niż myślałam.

Wciąż patrzy na drogę, ale w jego policzku pojawia się dołeczek.

- A myślałaś, że jaki jestem?

- Prymitywny burak.

- Jezu, co za szczerłość! - Śmieje się.

- Przecież wiedziałeś. Sam chciałeś, żebym tak myślała.

Nie odpowiada. Może powiedziałam za dużo? Nie potrafię trzymać przy nim języka za zębami.

- Ty też jesteś inna, niż myślałem - wyznaje.

- A co, myślałeś, że jestem zepsutą kalifornijską laską?

- Wciąż myślę, że jesteś zepsutą kalifornijską laską. - Walę go mocno w ramię. - Auć. Widzisz?

- No to w jakim sensie jestem inna? - pytam, próbując ukryć podenerwowanie.

To zadziwiające, jak nagle zależy mi na tym, co o mnie myśli. Wyglądam przez szybę, wystawiając rękę za okno, kiedy jedziemy między drzewami do mojego domu. Nocne letnie powietrze jest ciepłe i aksamitne, księżyc w pełni zalewa las srebrną poświatą. Grają świerszcze. Chłodny wietrzyk szeleści w liściach, niosąc zapach sosen. Cudowna noc.

- Ej, w jakim sensie jestem inna? - powtarzam pytanie.

- Trudno to wyjaśnić. - Pociera kark. - Po prostu strasznie dużo kryje się pod powierzchnią.

- Hm, brzmi tajemniczo - mówię, próbując nadać swojemu głosowi lekki ton.

- A tak. Jesteś jak góra lodowa.

- Jezu, dzięki. Myślę, że problem w tym, że po prostu mnie nie doceniasz.

Podjeżdżamy pod dom, który sprawia wrażenie ciemnego i pustego, a ja wcale nie chcę wysiadać. Nie chcę, żeby ta noc już się skończyła.

- Nieprawda - mówi Tucker. Zatrzymuje wóz i odwraca się, patrząc na mnie posepnie. - Wcale by mnie nie zdziwiło, gdybyś wstała teraz i poleciała do księżyca.

Gwałtownie wciągam powietrze.

- Masz ochotę wybrać się ze mną jutro na jagody? -pyta.

- Na jagody?

- Sprzedają je w mieście po pięćdziesiąt dolców za galon. Znam miejsce, gdzie rośnie ich pełno.

Zwykle latem chodzę tam kilka razy. Jest jeszcze wcześniej, ale już powinno być ich trochę, bo ostatnio było gorąco. Niezła kasa.

- Dobra - odpowiadam, zaskakując sama siebie. -Idę z tobą.

Wyskakuje z samochodu, obchodzi maskę i otwiera drzwiczki. Podaje mi rękę i pomaga wydostać się ze środka.

- Dzięki - mruczę.

- Dobranoc, Karotko.

- Dobranoc, Tuck.

Opiera się o samochód i czeka, aż wejdem do środka. Pstrykam światło na ganku i patrzę za nim, stojąc przy oknie w salonie, dopóki tył zardzewiałej półciężarówki nie zniknie wśród drzew. A potem biegnę na górę do sypialni i patrzę na tylne światła, które gładko pokonują długi podjazd prowadzący z naszego domu do głównej drogi.

Patrzę w wysokie lustro w drzwiach szafy. Wygląda z niego sponiewierana przez rozszalałą rzekę dziewczyna

z pomarańczowymi włosami, które luźnymi falami okalają jej twarz. Zdażyła się już trochę opalić, mimo że skóra anielitów niełatwo łapie słońce. A jutro wybiera się w góry zbierać jagody z najprawdziwszym w świecie kowbojem.

- Co ty wyprawiasz? - pytam dziewczynę w lustrze. Nie odpowiada, tylko spogląda na mnie błyszczącym wzrokiem, jakby wiedziała coś, czego ja nie wiem.

Nie jestem całkowicie odcięta od świata. Od czasu do czasu Angela pisze do mnie mejle, w których opowiada o Rzymie i, używając swojego szczególnego kodu, o tym, jakich fantastycznych rzeczy dowiedziała się o aniołach. Pisze na przykład: „Na dworze robi się ciemno, zamierzam włączyć światło”, co oznacza, że znalazła mnóstwo informacji na temat Czarnych Skrzydeł. A kiedy pisze: „Jest tak gorąco, że muszę wciąż zmieniać ubrania”, podejrzewam, że chodzi o trenowanie zmiany kształtu skrzydeł. Nie pisze wiele więcej. Ani słowa o tajemniczym włoskim ukochanym. Ale sprawia wrażenie szczęśliwej. Jakby podejrzanie dobrze się bawiła.

Mam też wieści od Wendy, dzwoni do mnie, kiedy tylko uda jej się dorwać do automatu. Brzmi, jakby była zmęczona, ale zadowolona. Całe dni spędza z końmi i uczy się od najlepszych. Nie wspomina o Tuckerze ani o czasie, który spędzamy razem, ale podejrzewam, że wie wszystko na ten temat.

Kiedy dostaję esemes od Christiana, uświadamiam sobie, że dawno o nim nie myślałam. Byłam zbyt zajęta włóczęństwem z Tuckerem. Nawet wizji ostatnio nie miałam. Przez ten tydzień niemal zapomniałam, że jestem anielitką, i po prostu pozwoliłam sobie być zwy-

czajną dziewczyną, która najnormalniej w świecie ma wakacje. To miłe. Ale czuję się winna, bo powinnam się skupić na swoim zadaniu.

Esemes od Christiana brzmi tak:

Byłaś kiedyś w miejscu, które powinnaś pokochać, a tymczasem nie potrafisz przestać myśleć o domu?

Zagadkowe. I jak zwykle, kiedy chodzi o Christiana, nie wiem, co odpowiedzieć.

Słyszę samochód na podjeździe, a potem odgłos otwierania drzwi do garażu. Wróciła mama. Robię szybki obchód, żeby sprawdzić, czy wszystko jest w porządku. Naczynia pozmywane, pranie poskładane, a Jeffrey w stanie poobiedniej śpiączki w swoim pokoju. W domu Gardnerów wszystko gra. Kiedy mama wchodzi do środka, taszcząc wielgachną walizkę, siedzę przy blacie w kuchni z dwiema wysokimi szklankami mrożonej herbaty.

- Witaj w domu - mówię radośnie.

Odstawia walizkę i wyciąga ręce. Zeskakuję ze stoika i podchodzę lekko zażenowana, żeby ją uściskać. Obejmuje mnie mocno, a ja znowu czuję się jak dziecko. Bezpiecznie. Dobrze. Jakby dopiero wraz z jej powrotem wszystko wróciło na swoje miejsce.

Cofa się i obrzuca mnie wzrokiem od stóp do głów.

- Wyglądasz na starszą - mówi. - Siedemnastka ci służy.

- Czuję się starsza. I silniejsza, choć nie mam pojęcia dlaczego.

- Wiem. Teraz, kiedy twoja misja jest coraz bliżej, z każdym dniem powinnaś czuć się silniejsza.

Twoje moce rosną.

Zapada niezręczne milczenie. Bo co to, tak dokładnie, za moce?

- Umiem latać - rzucam ni stąd, ni zowąd. Od skoku z Punktu Inspiracji dzielą mnie już dwa tygodnie, setka obić i otarć, nareszcie jednak załapałam. Mam wrażenie, że powinna o tym wiedzieć. Podnoszę nogawkę spodni, żeby pokazać jej zadrapanie na goleni, którego dorobiłam się, przelatując zbyt blisko czubka sosny.

- Claro! - woła, próbując zachowywać się, jakby ją to cieszyło, ale widzę, że czuje się rozczarowana, że jej przy tym nie było. Jakbym była dzieckiem, które robi pierwszy krok, a ona to przegapiła.

- Łatwiej mi, kiedy nie patrzysz - tłumaczę. - Chyba chodzi o mniejszą presję.

- Wiedziałam, że ci się uda.

- Strasznie mi się podoba ta sukienka, którą mi dałaś - mówię, próbując zmienić temat. - Może wybrałybyśmy się dziś na kolację, żebym mogła ją włożyć.

- Dobry pomysł.

Uwalnia mnie z objęć, bierze walizkę i taszczy ją do sypialni. Idę za nią.

- Jak praca? - pytam, kiedy kładzie walizkę na łóżku, otwiera górą szufladę komody i zaczyna starannie układać bieliznę i skarpetki. Aż kręcę głową na widok jej pedanterii, wszystkie majtki ma poskładane, ułożone zgodnie z kolorami w idealnie równe rzędkie. Aż trudno uwierzyć, że jesteśmy spokrewnione. - Udało ci się wszystko pozałatwiać?

- Tak. W każdym razie jest lepiej. Ten wyjazd był naprawdę niezbędny. - Teraz druga szuflada. - Ale bardzo mi przykro, że nie byłam na twoich urodzinach.

- Nic się nie stało.

- Co porabiałaś?

Z jakiegoś powodu mam opory, żeby jej opowiedzieć o Tuckerze, skaczącym drzewie i całym tygodniu, który spędziłam w jego towarzystwie, zbierając jagody, pływając tratwą i rozmawiając tuż przed jego nosem po ko-reańsku z przypadkowymi osobami. Może boję się, że uzna Tuckera za to, czym w głębi duszy wiem, że jest -za przeszkodę, coś co mnie odciąga od zadania. Uzna, że powinnam wracać do misji ocalenia Christiana. A ja będę jej musiała powiedzieć, że choć czuję się silniejsza i nareszcie nauczyłam się latać, wciąż nie potrafię unieść ciężkiego worka z ziemi. A ona wtedy popatrzy na mnie w ten swój sposób i zacznie mówić o lekkości i sile, i o tym, że dam radę, jeśli tylko się przyłożę. Nie mam ochoty tego słuchać. W każdym razie nie teraz. Ale coś jej powiedzieć muszę.

- Wendy pożyczyła mi swojego brata i parę butów do wspinaczki, a on zabrał mnie w takie jedno miejsce, gdzie dzieciaki skaczą do Hobacku - wyrzucam na jednym oddechu.

Przygląda mi się podejrzliwie.

- Wendy pożyczyła ci brata?

- Tuckera. Poznałaś go, kiedy samochód zjechał nam z drogi, pamiętasz?

- To ten chłopak, który przywiózł cię z balu - mówi zamyślona.

- Tak. I wielkie dzięki, że mi przypomniałaś. Przez chwilę żadna z nas się nie odzywa.

- Przywiozłam ci coś - przerywa w końcu ciszę mama. - Prezent.

Rozsuwa kieszeń walizki i wyciąga coś ciemno-fioletowego. To sztruksowa marynarka w takim samym

kolorze jak afrykańskie zasłanki w kuchni. Pasuje i do moich pomarańczowych włosów, i do niebieskich oczu. Jest idealna.

- Wiem, że masz swoją parkę - mówi mama - ale pomyślałam, że przyda ci się też coś lżejszego. Poza tym w Wyoming nigdy dość wierzchnich okryć.

- Dzięki. Śliczna.

Wyciągam po nią rękę i w chwili, gdy moje palce dotykają miękkiej aksamitnej tkaniny, przenoszę się w świat wizji i maszeruję wśród drzew.

Potykam się i przewracam, kalecząc w dłoń. Nie miałam wizji już od kilku tygodni, od czasu szkolnego balu, kiedy to widziałam, jak uciekam przed ogniem na skrzydłach z Christianem w objęciach. Teraz, kiedy idę ku niemu pod górę, nic nie wydaje się znajome. Wciąż jednak tam jest i na mnie czeka. Kiedy go widzę, wołam go po imieniu. Odwraca się, a ja do niego biegnę. Orientuję się, że za nim tęskniłam, choć nie wiem, czy to uczucie z teraz, czy z przyszłości. Christian sprawia, że czuję się kompletna. Chodzi o sposób, w jaki na mnie patrzy. Jakby mnie potrzebował. Mnie, a nie kogoś innego.

Ujmuję go za rękę. Jest też smutek zmieszany z innymi emocjami: radością, strachem, zdecydowaniem, a nawet porcją starego dobrego pożądania. Czuję to wszystko naraz, ale żal, poczucie, że utraciłam coś najważniejszego na świecie, jest najpotężniejsze i mam wrażenie, że wciąż rośnie. Pochylam głowę i patrzę na nasze złączone ręce. Dłoń Christiana ma tak idealną budowę jak dłoń chirurga. Paznokcie starannie przycięte, skóra miękka i niemal gorąca w dotyku. Kciukiem gładzi moje kłytkie, przyprowadzając mnie o dreszcz. I wtedy to spostrzegam.

Mam na sobie fioletową marynarkę.

Wracam do siebie. Mama siedzi obok na łóżku, otaczając ręką moje ramię. Uśmiecha się ze współczuciem, ale w jej oczach widać troskę.

- Przepraszam - mówię.

- Ależ skąd, głuptasie - odpowiada. - Wiem, jak to jest.

Czasami zapominam, że dawno, dawno temu ona też miała swoje zadanie. Pewnie minęło już ze sto lat, jeśli była wtedy w moim wieku. A to znaczy (szybko liczę w myślach), że zdarzyło się to jakoś między rokiem 1907 a 1914. Co oznacza kobiety w długich białych sukniach, mężczyzn w cylindrach i z bujnymi wąsami, powozy zaprzężone w konie, gorsety i Leonarda DiCaprio, który właśnie zdobywa bilet na „Titanica”. Próbuję wyobrazić sobie mamę w tamtych czasach, jak ugina się pod brzemieniem swojej wizji i leży w ciemności, starając się poskładać razem wszystkie kawałki i zrozumieć, co takiego ma właściwie zrobić.

- Dobrze się czujesz? - pyta.

- Będę nosiła tę marynarkę - mówię drżącym głosem. Leży na podłodze obok łóżka. Musiała wyslizgnąć mi się z rąk, kiedy dopadła mnie wizja.

- I dobrze - stwierdza mama. - Myślę, że będzie ci w niej do twarzy.

- Nie, chodzi o wizję. Będę miała na sobie tę marynarkę.

Oczy rozszerzają się jej leciutko.

- Zaczęło się. - Spokojnie zakłada mi kosmyk włosów za ucho. - Wszystkie kawałki wpadają na swoje miejsce. To się wydarzy w tym roku, podczas tego sezonu pożarów, jestem pewna.

Sezon pożarów jest za kilka tygodni. Zostało już tylko kilka tygodni.

- A co, jeśli nie jestem gotowa?

Uśmiecha się, jakby wiedziała lepiej. W jej oczach znowu lśni to dziwne wewnętrzne światło.

Wyciąga ręce i przeciąga się, ziewając. Wygląda dużo lepiej - nie jest tak zmęczona, wypruta, sfrustrowana. Unosi jak dawna mama, jakby miała zaraz zerwać się na równe nogi, gotowa zabrać się do mojego szkolenia. Jakby była podekscytowana zadaniem, które mnie czeka, i zamierzała zrobić wszystko, żeby mi się udało.

- Będiesz gotowa.

- Skąd wiesz?

- Po prostu wiem - mówi pewnym głosem.

Następnego ranka przekradam się po cichu na dół, nasypuję pośpiesznie muesli do miski i zjadam, stojąc na środku kuchni. Czekam na znajomy odgłos samochodu Tuckera na podjeździe. Mama przyłapuje mnie w trakcie nalewania soku pomarańczowego do szklanki.

- Wcześniej wstałaś. - Przygląda się mojemu nowemu, leśnemu wcieleniu, butom do wspinaczki, wodoodpornym krótkim spodenkom, sportowej koszulce i plecakowi przewieszonemu przez ramię. Pewnie wyglądam jak wyjęta żywcem z reklamy Eddie Bauer¹. - Dokąd się wybierasz?

- Na ryby - mówię, przełykając szybko sok. Unosi brwi. Nigdy w życiu nie byłam na rybach, w ogóle niewiele miałam z nimi do czynienia. No może poza marynowanym łososiem na kolację.

- Z kim?

¹Amerykańska marka ubrań sportowych (przyp. tłum.).

- Z ludźmi ze szkoły - mówię, krzywiąc się w duchu. To przecież nie do końca kłamstwo, przekonuję sama siebie. W końcu Tucker chodzi ze mną do szkoły.

Przekrzywia głowę.

- Co to za zapach? - pyta, marszcząc nos.

- Sprej przeciwko owadom. - Wprawdzie mnie komary nie gryzą, ale gdyby Tucker zapomniał się spryskać, pewnie zjadłyby go żywcem. Pryskam się więc w geście solidarności. - Wszyscy tego używają - tłumaczę mamie. - Mówią, że Wyoming ma komara w herbie.

- Naprawdę się zintegrowałaś.

- No wiesz, to nie tak, że wcześniej nie miałam przyjaciół - rzucam nieco zbyt ostro.

- Oczywiście. Ale myślę, że to coś nowego, coś innego.

- Nie-e.

Wybuchają śmiechem.

- Nie-e? Czerwienię się.

- No dobra, mówię tak jak dzieciaki ze szkoły - przyznaję. - Sama to słyszysz i podłapujesz. Jeffrey też. Wciąż mi powtarzają, że i tak mówię za szybko jak na Wyoming.

- Ale to dobrze - stwierdza mama. - Dobrze, że się integrujesz.

- Na pewno lepiej, niż gdybym miała odstawać - mówię nerwowo. Zardzewiała niebieska półciężarówka właśnie mignęła mi między drzewami przed domem. - Muszę lecieć, mamó.

Ściskam ją w pośpiechu i już jestem za drzwiami. Pędzę w dół podjazdu i w biegu wskakuję do samochodu Tuckera. Wydaje okrzyk zaskoczenia i wciska hamulec.

- Jedziemy. - Uśmiecham się niewinnie. Oczy mu się zwężają.

- Co z tobą?

- Nic.

Marszczy brwi. Zawsze wie, kiedy kłamię. To irytujące, skoro tyle muszę przed nim ukrywać.

Wzdycham.

- Moja mama wróciła - przyznaję.

- I nie chcesz, żeby cię widziała ze mną? - pyta. Czuje się urażony. Zerkam przez ramię i wyraźnie widzę twarz mamy we frontowym oknie. Macham jej, a potem spoglądam na Tuckera.

- Nie bądź głupi - beształ go. - Po prostu nie mogę się doczekać wędkowania. To wszystko.

Wciąż mi nie wierzy, ale daje spokój. Uchyła swojego stetsona, kłaniając się mamie przez szybę. Jej twarz znika z okna. Oddycham z ulgą. To nie tak, że nie chcę, żeby mama widziała mnie z Tuckerem. Po prostu wolę, żeby nie miała okazji go wypytać. Ani mnie o to, co właściwie z nim robię. Bo, prawdę mówiąc, nie mam pojęcia, co ja właściwie robię z Tuckerem Averym.

- Łowienie na muchę jest proste - zapewnia mnie Tucker jakieś dwie godziny później, kiedy już pokazał mi wszystko na stosunkowo bezpiecznym trawiastym brzegu rzeki Snake. - Po prostu musisz myśleć jak ryba.

- Jasne. Myśleć jak ryba.

- Nie przedrzeźniaj mnie - ostrzega. - Spójrz na rzekę. Co widzisz?

- Wodę. Kamienie, patyki i muł.

- Przyjrzyj się uważniej. Rzeka to cały świat. Są miejsca, gdzie przyspiesza, i takie, gdzie zwalnia, są głębiny i płycizny, odcinki nasłonecznione i zacienione. Je-

śli popatrzysz na nią jak na scenerię życia ryb, łatwiej ci będzie je złapać.

- Ładnie powiedziane. Jesteś kimś w rodzaju kowbojskiego poety?

Czerwieni się, co uznają za urocze.

- Po prostu patrz.

Zerkam w górę rzeki. Jest jak w raju. Powietrze przecinają złote drobinki słońca, wzdłuż brzegów kładą się głębokie cienie, osiki i topole szumią na wietrze. Ale nade wszystko rzeka skrzy się i tętni życiem, jej zielone odmęty pełne są tajemnic. I prawdopodobnie też fantastycznych, smakowitych ryb.

- Do roboty. - Unoszę wędkę z muchą. - Przyrzekam, że myślę jak ryba.

Tucker prycha i przewraca oczami.

- No dobra, rybo. - Wskazuje na rzekę. - Tam jest łacha, na której możesz stanąć.

- Poczekaj, niech się upewnię, czy dobrze zrozumiałam. Chcesz, żebym stanęła na środku rzeki?

- Tak - mówi Tucker. - Będzie trochę chłodno, ale myślę, że dasz radę. Nie mam woderów w twoim rozmiarze.

- I to nie jest żadna kolejna sztuczka, żeby móc wyruszyć mi na ratunek? - Przekrzywiam głowę i mrużę oczy, patrząc na niego pod słońce.

- Nie-e. - Szczyrzy zęby w uśmiechu.

- No dobra.

Wchodzę do rzeki i gwałtownie wypuszczam powietrze, taka jest zimna. Robię krok, a potem jeszcze jeden i jeszcze, aż w końcu woda sięga mi tuż ponad kolano. Wchodzę na skraj wąziutkiej łachy, którą wskazał Tucker, próbując znaleźć solidną podstawę wśród gładkich

kamieni. Woda jest zimna, a nurt wartki. Prostuję się i poprawiam uchwyt na wędce, tak jak mi wcześniej pokazał. Przeciągam linkę przez przelotki i czekam, aż Tucker dotrze do mnie i umocuje muchę.

- To jedna z moich ulubionych. - Jego ręce poruszają się szybko i z wdziękiem. Odrobina kłaczków na haczyku ma wyglądać jak owad na wodzie. - Trzepią zielona.

- Fajna - mówię, choć nie mam pojęcia, co to takiego. Dla mnie przynęta wygląda jak zwykła ważka. Rybie najwidoczniej przypomina schaboszczaka.

- Gotowe. - Puszczam linkę. - A teraz spróbuj zrobić tak, jak ćwiczyliśmy na trawie. Dwa szarpnięcia do tyłu na godzinę drugą, a potem jedno do przodu na dziesiątą. Luzujesz trochę linkę, a potem znowu ściągasz. Kiedy zrzucisz wędkę, poluzuj linkę na godzinie dziewiątej.

- Dziesiąta i druga - powtarzam. Podnoszę wędkę i zrzucam do tyłu, mając nadzieję, że to godzina druga, a potem przerzucam do przodu.

- Delikatnie - poucza Tucker. - Spróbuj wycelować koło tamtej kłody, żeby ryba pomyślała, że to smaczne, soczyste śniadanko.

- Racja, myśleć jak ryba - mówię, wydając z siebie zenujący chichot.

Próbuję znowu. Dziesiąta i druga, dziesiąta i druga, wciąż i wciąż, linka zakręca dookoła. Myślę, że w końcu łapię, o co w tym chodzi, ale przez jakieś dziesięć minut żadna ryba nawet nie spojrzała na moją trzepię.

- Nie sądzę, żeby sięabrały.

- Masz za bardzo naciągniętą linkę i twoja przynęta za mocno się szarpie. Spróbuj nie machać wędką, jakby

to była wycieraczka - instruuje Tucker. - Musisz się zatrzymać, kiedy zarzucasz ją do tyłu.

Zapominasz o przerwie.

- Przepraszam.

Czuję, jak mi się przygląda, i szczerze mówiąc, to mnie dekoncentruje.

Dochodzę do wniosku, że jestem w tym kiepska. I to wcale nie dlatego, że staram się ukrywać talent.

Po prostu jestem w tym kiepska.

- Ale zabawa. Dzięki, że mnie zabrałeś.

- Tak, to właściwie moje ulubione zajęcie. Nie uwierzyłabyś, jakie ryby złapałem w tej rzece: pstrąga źródlanego, pstrąga tęczowego, łososia Clarka i kilka pstrągów potokowych. Rodzime łososie są coraz rzadsze. Wypierają je sprowadzone pstrągi tęczowe.

- Wrzucasz je z powrotem? - pytam.

- Zazwyczaj. W ten sposób rosną większe i sprytniejsze. Warto je później złapać. Zawsze wypuszczam łososie. Ale pstrągi tęczowe zabieram do domu. Mama robi z nich fantastyczną kolację. Po prostu smaży na maśle z dodatkiem soli i pieprzu, czasami ze szczyptą pieprzu kajeńskiego, a one rozpływają się w ustach.

- Brzmi bosko.

- Może któregoś dnia się załapiesz.

- Może.

- Jutro mam wolne - mówi. - Chcesz się spotkać przed świtem i obejrzeć wschód słońca z najlepszego miejsca w Teton? To dla mnie szczególny dzień.

- Pewnie. - Muszę przyznać, że jeśli chodzi wynajdywanie rozrywek, Tucker jest bezkonkurencyjny.

Wciąż pyta, czy chcę coś zrobić, a ja wciąż odpowiadam, że tak. -Nie do wiary, jak to lato szybko mija. A ja myślałam, że

będzie się ciągnęło w nieskończoność. Ooo, chyba widzę rybę!

- Poczekaj - jęczy Tucker. - Po prostu machaj w miejscu.

Podchodzi do mnie akurat w chwili, kiedy zarzucam wędkę do tyłu. Przynęta zahacza o jego kapelusz i zrzuca mu go z głowy. Klnie pod nosem i rzuca się, żeby go pochwycić. Za późno.

- Ups! Przepraszam. - Ściągam linkę. Udaje mi się złapać kapelusz i odczepić go z haczyka. Podaję go Tu-ckerowi, próbując nie chichotać. Patrzy na mnie, udając, że się krzywi, i wyrywa mi go z rąk.

Oboje wybuchamy śmiechem.

- Całe szczęście, że to był mój kapelusz, a nie ucho -mówi. - Stój spokojnie przez chwilę, dobra?

Wchodzi do wody i, chlapiąc, zachodzi mnie w sięgających bioder woderach od tyłu. Nagle jest tak blisko, że czuję jego zapach: filtr przeciwsłoneczny, z jakiegoś tajemniczego powodu ciastka oreo, mieszanina spreju przeciwko owadom i rzecznej wody, a także odrobina piźmowej wody kolońskiej.

Uśmiecham się, nagle spięta. Wyciąga dłoń i ujmuje kosmyk moich włosów w palce.

- Tak naprawdę wcale nie są rude, prawda? - pyta, a mnie oddech więźnie w gardle.

- Co masz na myśli? - udaje mi się wykrztusić. W razie wątpliwości odpowiadaj pytaniem na pytanie, tego nauczyłam się od mamy.

- Twoje brwi. Mają złoty odcień.

- Gapisz się teraz na moje brwi?

- Patrzę na ciebie. Dlaczego zawsze starasz się ukryć, jaka jesteś śliczna?

Mam wrażenie, jakby przejrzał mnie na wskroś. Jakby zobaczył mnie taką, jaka naprawdę jestem. I w tej właśnie chwili mam ochotę powiedzieć mu prawdę. To szaleństwo, wiem. Głupota. Błąd. Próbuję się cofnąć, ale stopa mi się ześlizguje i omal nie padam twarzą do rzeki, on jednak mnie łapie.

- Dokąd to? - pyta, przytrzymując mnie obiema rękami w pasie. Przyciąga mnie bliżej, żeby stawić opór prądowi. Stoimy tak przez kilka bardzo wolno płynących chwil, by odzyskać równowagę, a lodowata, niepowstrzymana woda opływa nas, szarpiąc i ciągnąc za sobą. - Stoisz pewnie? - szepcze z ustami tuż przy moim uchu.

Czuję, jak na rękach pojawia mi się gęsia skórka. Odwracam się lekko i z naprawdę bliska patrzę na jego dołeczek. Na szyi widzę pulsującą żyłkę, na plecach czuję ciepło jego ciała. Zamyka w uścisku moje dłonie na wędce.

- Tak - chrypię. - Wszystko w porządku.

Co ja tutaj robię? - zastanawiam się oszołomiona. To coś więcej niż dystrakcja. Nie wiem, co to jest. Powinnam... Nie wiem, co powinnam. Mój mózg nagle się wyłącza.

Tucker odchrząkuje.

- Tym razem uważaj na kapelusz.

Unosimy razem wędkę i kołyszymy nią do tyłu, a potem do przodu, ręka Tuckera kieruje ruchem.

- Jak zamach młotem - mówi. - Powoli do tyłu, przerwa, a potem - wyrzuca wędkę do przodu, tak że linka ze świstem przelatuje nad naszymi głowami, i delikatnie opuszcza ją do wody - szybki zamach do przodu. Jak rzut w bejsbolu.

Ważka delikatnie ląduje na powierzchni i przez chwilę waha się, nim porwie ją prąd. Teraz, kiedy tak płynie z nurtem, naprawdę przypomina owada, a ja stoję zachwycona, patrząc na jej igraszki z wodą. Szybko jednak linka ściąga ją w nienaturalny sposób i wtedy czas powtórzyć rzut.

Próbujemy kilka razy, do tyłu i do przodu, Tucker wyznacza rytm. To hipnotyzujące zajęcie: powoli do tyłu, pauza, a potem naprzód, wciąż i wciąż. I kiedy tak zarzucamy wędkę i czekamy, aż ryba wynurzy się, żeby złapać przynętę, rozluźniam się, opierając się o Tuckera.

- Uważasz, że jestem ładna? - pytam.

- Nie możemy teraz rozmawiać - mówi nieco szorstko. - Wystraszymy ryby.

- Dobra, w porządku. - Przygryzam wargi, a potem się uśmiecham.

Przez chwilę łowimy w milczeniu, jedynym odgłosem jest plusk wody i szum drzew. Tuckerowi udaje się złapać i wypuścić trzy ryby. Wykorzystuje okazję, żeby pokazać mi łososia Clarka ze szkarłatnym rozcięciem pod skrzelami. Mnie natomiast nie udaje się złowić nic poza jakąś drobnicą, zanim zmarznięta wychodzę z wody. Siadam na brzegu i rozcieram nogi, próbując przywrócić czucie. Muszę stawić czoło przykrej prawdzie: jestem koszmarnym wędkarzem.

Wiem, że zabrzmiało to dziwnie, ale to dobrze. Cieszę się, że przynajmniej raz nie jestem w czymś świetna. Obserwowanie, jak Tucker łapie ryby, sprawia mi przyjemność. Patrzę, jak skanuje wzrokiem cienie i bystrza, a potem zarzuca wędkę, kreśląc w powietrzu idealną, elegancką pętlę. Wygląda, jakby rozmawiał z rzeką. To uspokaja.

No i uważa, że jestem śliczna.

Później, po powrocie, taszcze stary dobry worek marynarski na podwórko i kolejny raz próbuję dźwignąć go z ziemi. Powrót do rzeczywistości, mówię sobie. Powrót do obowiązków. Mama siedzi w swoim gabinecie przy komputerze, popijając herbatę, jak zwykle, kiedy próbuje się odstresować. Wystarczył jeden dzień w domu, żeby znowu zaczęła wyglądać na zmęczoną.

Wyciągam ręce i rozkładam skrzydła. Zamykam oczy. Lekkość, napominam siebie. Bądź lekka. Stań się częścią nocy, drzew, wiatru. Próbuję sobie wyobrazić twarz Christiana, ale zaciera się w mojej pamięci. Staram się przywołać jego oczy, błysk zieleni i złota, ale to też nie działa.

Zamiast tego widzę twarz Tuckera. Wysmarowane na granatowo usta jak wtedy, kiedy przykucnięci na zboczu napełnialiśmy jagodami kubelki po lodach. Gardłowy śmiech. Ręce przytrzymujące mnie w pasie, żebym nie straciła równowagi w rzece, przyciągające mnie bliżej. Oczy - ciepłe niebieskie - wciągające mnie w głąb.

- Kurczę - szepczę.

Otwieram oczy. Jestem tak lekka, że dotykam ziemi tylko czubkami palców. Unoszę się.

Nie, myślę sobie, tak być nie może. To Christian ma sprawiać, że będę czuła się w ten sposób. Jestem tu z powodu Christiana. Kurczę!

Ta myśl przytłacza mnie i z powrotem opadam na ziemię. Ale nie potrafię wyrzucić z głowy Tuckera. Wciąż na nowo przeżywam chwile, które spędziliśmy razem.

„Co ty widzisz w takim facecie jak Christian Prescott?“, zapytał mnie tamtej nocy, kiedy odwoził mnie z balu. A przecież gdybym nie była taka ślepa, dotarłoby do mnie, że tak naprawdę pytał:

„Dlaczego nie dostrzegasz mnie?“

Znam to uczucie.

Weź się w garść, mówię sobie. I marsz do latania.

Mocniej chwytam worek, unoszę skrzydła i wyciągam je ku niebu. Napinam wszystkie mięśnie, wkładając w to całą siłę, jaką wypracowałam przez miesiące ćwiczeń. Moje ciało wystrzela kilkadziesiąt centymetrów w górę i udaje mi się utrzymać worek.

Wznoszę się wyżej, niemal na wysokość linii drzew. Ledwo widać srebrny nów. Ruszam w jego kierunku, ale worek wytrąca mnie z równowagi. Przechylam się na bok, rozpaczliwie machając skrzydłami, i pakunek leci w dół. Mam wrażenie, jakby mi ręce wyrwało ze stawów. A potem spadam, uderzając w sosnę na obrzeżu podwórka i klnąc całą drogę.

Jeffrey stoi przy zlewie w kuchni, kiedy tarabanię się przez tylne drzwi podrapana, posiniaczona i bliska łez.

- Nieźle - mówi, uśmiechając się krzywo.

- Zamknij jadaczkę. Śmieje się.

- Ja też tego nie potrafię.

- Czego nie potrafisz?

- Latać z obciążeniem. Tracę równowagę.

Nie wiem, czy czuję się lepiej, bo Jeffreyowi też nie wychodzi, czy gorzej, bo najwyraźniej mnie podglądał.

- A próbowałaś? - pytam.

- Mnóstwo razy.

Sięga do moich włosów i wyciąga sosnową igłę. Patrzy przyjaźnie, ze współczuciem. Jest jedyną osobą, jaką znam, która naprawdę potrafi zrozumieć, przez co przechodzę. On też przez to przechodzi. A w każdym razie będzie, kiedy otrzyma swoje zadanie.

- Czy ty... - waham się. Spoglądam ponad jego ramieniem na korytarz, który prowadzi do gabinetu mamy. Ogląda się, a potem patrzy na mnie zaciekawiony.

- Co takiego?

- Chciałbyś, żebyśmy spróbowali razem? Przygląda mi się przez chwilę.

- Pewnie - odzywa się w końcu. - Spróbujmy.

Na podwórku jest tak ciemno, że na skraju trawnika niewiele już widać.

- Za dnia byłoby łatwiej - stwierdzam. - Zaczynam nienawidzić tych nocnych ćwiczeń.

- A dlaczego nie ćwiczysz w dzień?

- Ee... bo ludzie mogliby zobaczyć? Uśmiecha się łobuzersko.

- Kto by się tym przejmował.

- Jak to?

- Ludzie tak naprawdę wcale nas nie widzą. Przecież nie patrzą w górę.

- Co? To szaleństwo - mówię, kręcąc głową.

- Naprawdę. A jeśli w ogóle coś zauważą, będą myśleli, że to ptak albo coś w tym rodzaju. Pelikan.

- Niemożliwe.

Natychmiast jednak przypominam sobie lot na jeziorze Jenny i moje odbicie, które wyglądało jak plama bieli. Jakbym była ptakiem.

- To nic wielkiego. Mama robi to cały czas.

- Mama?

- Lata prawie co rano. Jak tylko wszędzie słońce.

- Jakim cudem tego nie zauważyłam? Wzrusza ramionami.

- Wstaję rano.

- Nie mogę uwierzyć, że o tym nie wiedziałam!

- No więc możemy fruwać za dnia. Problem rozwiązany. A teraz zajmijmy się workiem, dobra? Mam coś do zrobienia.

- Jasne, jak zwykle. No dobra, uważaj. Ukaż mi się! - ryczę.

W mgnieniu oka pojawiają się jego skrzydła.

- Co to było? - sapie.

- Trik, którego nauczyłam się od Angeli.

Skrzydła Jeffreya są jasnoszare, kilka odcieni ciemniejsze od moich. Pewnie nie ma się czym martwić. Mama mówiła, że wszyscy mamy skrzydła w różnych odcieniach szarości. A te jego wcale nie wyglądają na ciemne, tylko raczej na... brudne.

- Następnym razem mnie ostrzegaj, dobra? Składa lekko skrzydła, odwraca się i idzie na skraj trawnika, w miejsce, gdzie zostawiłam worek. Unosi go bez trudu i truchtem wraca do mnie. Mięśnie, które sobie wyrobił, ćwicząc zapasy, dają mu dużą przewagę.

- Dobra, do dzieła. - Wyciąga worek przed siebie, a ja łapię za jedno ucho. - Na trzy.

Nagle wyobrażam sobie, jak podnosząc worek, stukamy się głowami. Cofam się, robiąc tyle miejsca, ile się da bez puszczenia ucha. Kiedy tak trzymamy pakunek we dwoje, wcale nie wydaje się ciężki.

- Raz - mówi Jeffrey.

- Poczekaj! W którą stronę lecimy?

- W tamtą. - Kiwa głową w kierunku północnego krańca działki, gdzie drzewa rosną rzadziej.

- Dobry pomysł.

- Dwa.

- Jak wysoko?

- Zorientujemy się - rzuca poirytowanym głosem.

- Zaczynasz brzmieć jak tata, wiesz? I nie myśl, że mi się to podoba.
- Trzy! - krzyczy, ugina kolana, napręża skrzydła i dźwiga się w górę, a ja z całych sił staram się zrobić to samo.

Nie ma czasu na wahanie. Wznosimy się coraz wyżej, zgrywając ruchy skrzydeł. Worek między nami może odrobinę drży, ale udaje nam się go utrzymać. W ciągu jakichś dziesięciu sekund wznosimy się ponad linię drzew. A potem ruszamy na północ. Spoglądam na Jeffreya. Uśmiecha się do mnie zadowolony, jakby od początku wiedział, że nie będzie z tym kłopotu. Właściwie jestem w szoku, że idzie nam tak gładko. Moglibyśmy unieść dwa razy więcej. Mózg pracuje mi na najwyższych obrotach. Co to znaczy? Czy jeśli nie będę mogła unieść Christiana sama, ktoś może mi pomóc? Czy to wbrew zasadom?

- Jeffrey, może to to.
- To znaczy co? - pyta odrobinę nieprzytomnie, próbując podciągnąć worek, żeby go lepiej chwycić.
- Twoje zadanie. Może mamy to zrobić razem? Puszczam ucho i worek natychmiast ciągnie mnie w dół, więc ja puszczam swoje. Patrzymy, jak zwała się na ziemię.
- To nie jest moje zadanie - mówi bezbarwnym głosem. Jego szare oczy nagle stają się zimne i odległe.
- O co chodzi?
- O nic. Świat nie kręci się wokół ciebie, Claro.

To samo mówiła Wendy. Mam wrażenie, jakbym dostała cios w brzuch.

- Przepraszam - kajać się. - Zdaje się, że się za bardzo ucieszyłam na myśl o tym, że ktoś mi pomoże. Samej jest ciężko.

- Każdy z nas musi to zrobić sam. - Odwraca się w powietrzu i rusza w stronę trawnika. - Tak to już jest.

Patrzę za nim przez dłuższą chwilę, a potem opadam na ziemię i podnoszę worek. Któryś z baniaków w środku pękł i woda powoli wycieka na wysuszoną ziemię.

16. Straszak na niedźwiedzie

Następnego ranka moja komórka dzwoni o jakiejś nieludzkiej porze. Wydaję jęk spod kołdry i po omacku szukam jej na nocnej szafce. A kiedy znajduję, ściągam ją i odbieram z pogodnym:

- Czego?

- O mój Boże, słyszę, że jesteś cała w skowronkach. - To Tucker.

- Która godzina?

- Piąta.

- Zabiję cię.

- Jadę po ciebie - mówi. - Będę za pół godziny. Pomyślałem, że zadzwonię, żebyś miała czas wyszczotko-wać włosy i zrobić makijaż.

- Myślisz, że zamierzam robić makijaż, skoro idziemy w góry?

- Widzisz, to właśnie w tobie lubię, Karotko. Nie jesteś gogusiem.

Rozłączam się. Odkrywam kołdrę i leżę przez chwilę, wpatrując się w sufit. Na zewnątrz jest ciemno choć oko wykol. Uświadamiam sobie, że o nim śniłam, choć nie pamiętam szczegółów. Miało to jakiś związek z du-

żą czerwoną stajnią w Leniwym Psie. Ziewam. A potem zmuszam się, żeby wstać i się ubrać. Nie biorę prysznic, bo hałas mógłby obudzić mamę. Ochlapuję twarz zimną wodą i nakładam trochę kremu. Nie potrzebuję podkładu. Moja cera ostatnio sama z siebie jest świetlista, kolejny dowód na to, że pewne rzeczy zaczęły się zmieniać, intensyfikować, tak jak mówiła mama. Pociągam rzęsy tuszem, nakładam na usta trochę błyszczyku, a potem zajmuję się swoimi niesfornymi włosami. Widzę, że poprzyklejała mi się do nich żywica, świadectwo wczorajszych prób. Następných piętnaście minut spędzam, próbując się jej pozbyć, a gdy w końcu mi się to udaje - razem z okazałą garścią włosów - słyszę odgłos opon na żwirze przed domem.

Po cichu zakradam się na dół. Jeffrey miał rację. Mamy nie ma. Na blacie w kuchni zostawiam jej wiadomość: „Mamo, poszłam oglądać wschód słońca z przyjaciółmi. Wrócę później. Mam komórkę. C". I po chwili już mnie nie ma.

Tym razem jestem lekko zdenerwowana, ale Tucker zachowuje się zupełnie zwyczajnie, jak gdyby nic się nie zmieniło, zaczynam się więc zastanawiać, czy przypadkiem nie wymyśliłam sobie tego wczorajszego napięcia między nami. Znajome przekomarzanki sprawiają, że się rozluźniam. Tucker ma zaraźliwy śmiech. Całą drogę widać w jego policzku dołeczek, a jedzie przy tym tak szybko, że na zakrętach muszę trzymać się uchwytu nad drzwiami. Wybiera tajną boczną drogę, żebyśmy mogli dostać się do Grand Teton, omijając główną bramę, po czym mkniemy pustą szosą.

- Więc co to dziś za dzień? - pytam.

- He?

- Mówiłeś, że to szczególny dzień.

- Och. Dojdziemy do tego.

Jedziemy nad jezioro Jackson. Zatrzymuje się i wyskakuje z samochodu. Czekam, aż otworzy mi drzwi. Powoli przyzwyczajam się do tych dżentelmeńskich manier i zaczynam uważać je za urocze. Patrzy na zegarek.

- Musimy się śpieszyć - mówi. - Wschód słońca jest za dwadzieścia sześć minut.

Pochyłam się, żeby ciaśniej zawiązać sznurówki. Ruszamy. Wchodzę za Tuckerem między drzewa.

- Jakie zajęcia chcesz wybrać w przyszłym roku? -pyta przez ramię, kiedy wspinamy się na wzgórze po drugiej stronie jeziora.

- To co zwykle - mówię. - Rozszerzoną matematykę, rozszerzony angielski, wiedzę o społeczeństwie, francuski, fizykę, no wiesz.

- Fizykę?

- Mój tata wykłada fizykę.

- Żartujesz? Gdzie?

- Na Uniwersytecie Nowojorskim. Gwiżdże.

- Daleko stąd. Kiedy twoi rodzice się rozeszli?

- A co ty się zrobiłeś taki rozmowny? - pytam może trochę ostro.

Coś w pomysłu opowiedzenia mu o sobie sprawia, że czuję się nieswojo. Jak gdybym, kiedy już zacnę, nie mogła przestać. Jakbym miała mu wszystko wypaplać: że mama jest półkrwi aniołem, a ja w jednej czwartej, że mam wizje i różne niezwykle umiejętności, że mam swoje zadanie, które wiąże się z Christianem. I wtedy co? On mi opowie o rodeo?

Zatrzymuje się, odwraca i patrzy na mnie. W oczach tańczą mu figlarne ogniki.

- Musimy rozmawiać ze względu na niedźwiedzie -odzywa się przesadnie grubym głosem.

- Niedźwiedzie.

- Musimy hałasować. Nie chcemy przecież zaskoczyć grizzly.

- Nie, raczej nie chcemy. Rusza dalej.

- To opowiedz mi, co się stało z dziadkiem, kiedy twoja rodzina straciła ranczo - mówię szybko, zanim zdąży wrócić do poprzedniego tematu. Nie zwalnia kroku, ale wyczuwam, że się spina. Sytuacja się odwróciła. - Wendy mówi, że to dlatego nienawidzisz Kalifornijczyków. Co się stało?

- Wcale nie nienawidzę Kalifornijczyków. Jak widać.

- Uf, co za ulga.

- To długa historia - mówi - a my nie musimy iść aż tak daleko.

- Dobra, przepraszam. Nie chciałam...

- W porządku, Karotko. Któregoś dnia ci opowiem. Ale nie teraz.

A potem przestajemy rozmawiać, bo Tucker zaczyna gwizdać. Co obojgu nam pasuje bez względu na niedźwiedzie.

Po kilku minutach trudnej wspinaczki wychodzimy na polanę na szczycie małego wzniesienia. Niebo jest skąpane w szarościach i bladej żółci, a na horyzoncie, w miejscu, gdzie fioletowe, majestatyczne niczym królowie wierzchołki Teton wystrzelają w niebo, wisi kłębowisko różowych chmur. U podnóża jezioro Jackson jest

tak przejrzyste, że ma się wrażenie, że to dwa pasma gór i dwa nieba, tak idealne jest odbicie. Tucker spogląda na zegarek.

- Sześć sekund. Jesteśmy na czas.

Nie mogę oderwać wzroku od gór. Nigdy nie widziałam nic tak onieśmielająco pięknego. Czuję z nimi związek jak z żadnym dotąd innym miejscem. Jakbym wyczuwała ich obecność. Samo patrzenie na poszarpane szczyty na tle nieba sprawia, że spokój zalewa mnie niczym fale z pluskiem rozbijające się o brzeg jeziora pod nami. Według teorii Angeli góry pociągają anielitów, bo niebo i ziemię dzieli tutaj mniejsza odległość. Nie wiem, czy coś w tym jest. Wiem za to, że samo patrzenie na góry przepelnia mnie pragnieniem latania, potrzebą, żeby spojrzeć na ziemię z wysokości.

- Tutaj.

Tucker odwraca mnie w przeciwnym kierunku, gdzie po drugiej stronie doliny słońce wschodzi ponad odległym i nie tak dobrze znanym pasmem. Jesteśmy zupełnie sami. Słońce wstaje tylko dla nas. A kiedy dociera na szczyt, Tucker delikatnie ujmuję mnie za ramiona i odwraca z powrotem w kierunku szczytów Teton, gdzie na tafli jeziora lśni tysiące złotych iskier.

- Och! - wydaję stłumiony okrzyk.

- Sprawia, że człowiek zaczyna wierzyć w Boga, prawda?

Zerkam na niego zaskoczona. Nigdy wcześniej nie mówił o Bogu, choć wiem od Wendy, że cała jej rodzina co niedzielę chodzi do kościoła. Nie podejrzewałam, że jest religijny.

- Tak - przytakuję.

- Wiesz, że Grand Teton znaczy „wielki biust”? -Kącik jego ust unosi się w figlarnym uśmiechu.

- Nieźle, Tucker - pryham kpiąco. - Pewnie, że wiem. Trzeci rok francuskiego, pamiętasz?

Podejrzewam, że ci odkrywcy naprawdę długo nie widzieli kobiety.

- A ja myślę, że po prostu chcieli się pośmiać. Przez chwilę stoimy obok siebie w kompletnej ciszy, patrząc, jak promienie wydłużają się i tańczą wśród gór. Zrywa się delikatny wietrzyk, który rozwiewa mi włosy, tak że opadają Tuckerowi na ramię. Spogląda na mnie. Przełyka. Wygląda, jakby zamierzał powiedzieć coś ważnego. Serce podchodzi mi do gardła.

- Myślę, że jesteś... - zaczyna.

Oboje w tej samej chwili słyszemy hałas w krzakach za plecami. Odwracamy się.

Niedźwiedzica właśnie wyszła na szlak. Od razu wiem, że to grizzly. Ogromne bary lśnią w promieniach wschodzącego słońca, kiedy zatrzymuje się i na nas spogląda. Za nią z zarośli wypadają dwa młode.

Niedobrze.

- Nie uciekaj - ostrzega Tucker. Nie ma takiej możliwości. Stopy przyrosły mi do ziemi. Kątem oka widzę, że zsuwa z ramienia plecak. Niedźwiedzica opuszcza głowę i sapie.

- Nie uciekaj - mówi, tym razem głośno. Słyszę, że czegoś szuka. Może zamierza czymś rzucić.

Niedźwiedzica patrzy prosto na niego i napina mięśnie, szykując się do ataku.

- Nie - szepczę w języku aniołów, unosząc dłonie, jakbym potrafiła powstrzymać ją samą siłą woli. - Nie.

Zatrzymuje się. Jej wzrok przeskakuje na moją twarz. Oczy ma jasnobrażowe, całkowicie puste. Żadnych emocji, żadnego zrozumienia. Sama zwierzęcość. Uważnie patrzy na moje ręce, po czym, sapiąc, unosi się i staje na tylnych łapach.

- Nie zrobimy ci krzywdy - mówię cicho w języku aniołów.

Nie wiem, jak to brzmi w uszach Tuckera. Nie wiem, czy niedźwiedzica w ogóle mnie rozumie. Nie mam czasu, żeby się nad tym zastanawiać. Muszę spróbować.

Zwierzę wydaje z siebie odgłos, który brzmi po części jak ryk, po części jak warknięcie. Nie ruszam się z miejsca. Patrzę jej w oczy.

- Odejdź - każe stanowczo. Czuję dziwną moc, która przyprawia mnie o zawrót głowy. Patrzę na swoje wyciągnięte ręce i widzę wzbierającą mi pod skórą delikatną poświatę.

Niedźwiedzica opada na przednie łapy. Opuszcza głowę i szczeka na młode.

- Idź sobie - dodaję.

I to właśnie robi. Odwraca się i z powrotem przedziera przez zarośla. Młode podążają jej śladem.

Znikają tak nagle, jak się pojawiły.

Uginają się pode mną kolana. Tucker mnie obejmuje. Przez chwilę czuję, jak mnie zgniata - jedną ręką przytrzymuje mnie w krzyżu, drugą opiera na karku. Przyciska mi głowę do piersi. Serce wali mu jak oszalałe, oddycha spazmatycznie.

- O mój Boże - szepcze.

Trzyma coś w dłoni. Odrywam się, żeby sprawdzić co. To długa srebrna puszcza, która wygląda trochę jak gaśnica, jest tylko nieco mniejsza i lżejsza.

- Straszak na niedźwiedzie - mówi. Twarz ma białą, niebieskie oczy rozszerzone ze strachu.
- Och, czyli byś sobie poradził.
- Próbowałem przeczytać instrukcję obsługi - wyjaśnia, uśmiechając się ponuro. - Nie wiem, czy zdążyłbym na czas.
- Nasza wina. - Osuwam się i siadam na skalistym podłożu u jego stóp. - Przestaliśmy rozmawiać.
- Masz rację.

Nie wiem, co słyszał, co sobie pomyślał.

- Chce mi się pić - mówię, próbując zyskać trochę czasu, żeby wymyślić jakieś wytłumaczenie. Wsuwa puszkę z powrotem do plecaka i wyciąga butelkę. Otwiera ją, a potem klęka koło mnie. Przykłada mi butelkę do ust, twarz ma wciąż ściągniętą, ruchy tak gwałtowne, że wylewa mi wodę na brodę.
- Ostrzegałeś przed niedźwiedziami - wyjąkuje, kiedy udaje mi się przełknąć kilka łyków. - Mieliśmy szczęście.
- Tak. - Odwraca wzrok, spogląda na szlak w miejscu, gdzie zniknęły niedźwiedzie, po czym patrzy na mnie. W jego oczach widzę pytanie, na które nie mogę odpowiedzieć. - Mieliśmy prawdziwe szczęście.

Nie rozmawiamy na ten temat. Schodzimy na dół i jedziemy do Jackson na śniadanie. Później wracamy do domu Tuckera po łódź i całe popołudnie spędzamy na Snake, łowiąc ryby. Tuckerowi udaje się złapać kilka, ale wrzuca je z powrotem. Kiedy trafia się duży okaz pstrąga tęczowego, postanawiamy, że zjemy go na obiad razem z rybami, które złowił wczoraj. Dopiero kiedy stoimy w kuchni w domu Averych i Tucker uczy mnie patroszyć ryby, temat niedźwiedzicy powraca.

- Co ty dzisiaj zrobiłaś tej niedźwiedzicy? - pyta, gdy stoję z rybą przy zlewie, próbując naciąć brzuch, tak jak mi pokazał.

- To obrzydliwe - narzekam.

Odwraca się i patrzy na mnie twardo, tak jak zawsze, kiedy próbuję go zbyć. Nie wiem, co powiedzieć. No bo jakie mam możliwości? Wyznać prawdę, co oznaczałoby złamanie jedynej niepodważalnej zasady, jaką wpoila mi mama: „Nie mów ludziom, nie uwierzą. A jeśli nawet, nie będą sobie potrafili z tym poradzić”. Albo wymyślić jakieś śmieszne kłamstwo.

- Śpiewałam jej - próbuję.

- Mówiłaś do niej.

- To było coś w rodzaju nucenia - koryguję go powoli. - To wszystko.

- Nie jestem głupi, wiesz? - stwierdza.

- Wiem. Tuck...

Nóż mi się ześlizguje. Czuję, jak zagłębia się w ciało poniżej kciuka, rozcinając skórę i mięśnie.

Pojawia się krew. Instynktownie zaciskam palce na ranie.

- Dobra, czyj to był pomysł, żeby dać mi nóż do ręki?

- To brzydkie rozcięcie. Masz. - Rozprostowuje mi palce, żeby przyłożyć ręcznik do rany. - Przyciśnij

- mówi i puszcza moją dłoń.

Wybiega z kuchni. Przyciskam ręcznik przez chwilę, tak jak mi kazał, ale rana przestała już krwawić.

Nagle czuję się dziwnie. Znowu kręci mi się w głowie. Oszołomiona opieram się o blat. Ręka zaczyna mi pulsować, a potem fala ciepła, maleńka jak liźnięcie płomienia, przebiega mi od łokcia aż po czubek małego palca. Gwałtownie wypuszczam powietrze. Rzeczywiście czuję, jak rana sama się zamyka, a tkanki zrastają.

Mama miała rację. Moja moc rośnie.

Po chwili niezwykle wrazenie blednie. Podnoszę ręcznik i uważnie przyglądam się dłoni. W tej chwili to już tylko płytkie rozcięcie, odrobinę większe niż zwykle zadrapanie. Wygląda na to, że proces samoleczenia się zatrzymał. Delikatnie zginam palce to w jedną, to w drugą stronę.

Tucker zjawia się z tubką maści z antybiotykiem i ilością bandażu wystarczającą, żeby opatrzyć małą armię. Rzuca to wszystko na blat i szybko podchodzi do mnie. Owijam ściśle dłoń ręcznikiem i przyciskam rękę do piersi w obronnym geście.

- Nic mi nie jest - mówię pośpiesznie.
- Pokaż, niech zobaczę. - Wyciąga dłoń.
- Nie, wszystko w porządku. To tylko zadrapanie.
- To głębokie cięcie. Trzeba je ścisnąć.

Powoli podaję mu rękę. Bierze ją i delikatnie odwraca wnętrzem dłoni do góry. Podnosi ręcznik.

- Widzisz? - mówię. - To tylko niewielkie zranienie. Patrzy na mnie badawczo. Łapię się na tym, że wstrzymuję oddech. Mówię sobie, że mam się rozluźnić. Zachowywać zupełnie normalnie, tak jak mówiła mama. Mogę to wyjaśnić. Muszę to wyjaśnić.

- Będziesz mi przepowiadał przyszłość? - pytam, uśmiechając się słabo.
- Myślałem, że dla pewności trzeba będzie założyć szwy.
- A kuku. Fałszywy alarm.

Robi więc to, co trzeba, żeby doprowadzić mnie do porządku. Oczyszcza skaleczenie wodą, smaruje maścią z antybiotykiem, a potem ostrożnie owija bandażem. Czuję ulgę, kiedy ranka znajduje się pod opatrunkiem, bo w końcu przestaje się na nią gapić.

- Dzięki.

- Co z tobą jest, Claro? - Patrzy na mnie gniewnie, wzrok ma zraniony i oskarżycielski zarazem. Co sprawia, że oddech więźnie mi w gardle.

- Jak... Jak to? - wyjąkuję.

- To znaczy - zaczyna. - Nie wiem, o co mi chodzi. Po prostu... Ty po prostu...

A potem nie dodaje nic więcej.

Wstawcie tu sobie najdłuższą i najbardziej krępującą chwilę milczenia w historii najdłuższych i najbardziej krępujących chwil milczenia. Wpatruję się w niego. Nagle wszystkie te kłamstwa, których mu naopowiadałam, sprawiają, że czuję się wyczerpana. Tucker jest moim przyjacielem, a ja codziennie go oszukuję. Nie zasługuje na to. Chciałabym móc mu powiedzieć - chciałabym tego bardziej niż czegokolwiek na świecie. Chciałabym móc stanąć przed nim, być sobą i opowiedzieć mu o wszystkim. Ale to wbrew zasadom. I to takim, które niełatwo złamać. Nie wiem, co by się stało, gdybym mu powiedziała.

- Ja to po prostu ja - mówię miękko.

Prycha. Bierze ręcznik i unosi go, kawałek białego frotté z niewiarygodnie jasną plamą krwi pośrodku.

- Przynajmniej wiem, że krwawisz - stwierdza. -Podejrzewam, że to już coś. Nie jesteś tak całkiem niezwykła, prawda?

- Prawda - odpowiadam z całym sarkazmem, na jaki mnie stać. - A co, myślałeś, że jestem Supergirl? Wrażliwa tylko na kryptonit?

- Nie wiem, co myśleć. - Udało mu się oderwać wzrok od ręcznika i teraz znowu patrzy na mnie. - Nie jesteś... zwyczajna. Starasz się udawać kogoś zwyczaj-

nego. Ale wcale nie jesteś. Przemawiasz do niedźwiedzicy i ona cię słucha. Ptaki latają za tobą jak na kreskówkach Disneya, nie zauważyłaś? A po powrocie z Idaho Falls Wendy mówiła, że przed kimś albo przed czymś uciekałaś. Jesteś dobra we wszystkim, do czego się weźmiesz. Jeździsz na koniu, jakbyś się urodziła w siodle, już za pierwszym razem na stoku udaje ci się wykonać idealny zjazd równoległy, mówisz płynnie po francusku, koreańsku i kto wie jeszcze po jakimś. Wczoraj zauważyłem, że twoje brwi mienia się w słońcu. A w dodatku jest coś takiego w sposobie, w jaki się poruszasz. To coś więcej niż gracia, to coś wręcz nieludzkiego. Tak jakbyś... była czymś innym. Gwałtowny dreszcz przechodzi mnie od stóp do głów. Naprawdę pozbierał wszystkie elementy. Nie wie tylko, jak je połączyć.

- I oczywiście nie można tego wszystkiego racjonalnie wytłumaczyć - mówię.

- Jeśli uwzględnić jeszcze twojego brata, najlepsze, co mi przychodzi do głowy, to to, że może twoja rodzina jest częścią jakiegoś tajnego rządowego eksperymentu. Może jesteście genetycznie zmodyfikowanymi przyjaznymi zwierzętom superludźmi - mówi. - Którzy się ukrywają.

Prycham. Byłoby to zabawne, gdyby prawda nie była jeszcze dziwniejsza.

- Wiesz, że brzmisz jak wariat?

Kolejna chwila milczenia do księgi rekordów. W końcu Tucker wzdycha.

- Wiem. To szaleństwo. Czuję się jak... - milknie. Wygląda tak żałośnie, że aż kraje mi się serce.

Nienawidzę swojego życia.

- W porządku, Tuck. To był zwariowany dzień. Dotykam jego ramienia, ale kręci głową. Zamierza powiedzieć coś więcej, kiedy drzwi z siatką przeciwko owadom otwierają się i do domu wchodzi państwo Avery. Rozmawiają głośno, bo wiedzą, że nam przeszkadzili. Pani Avery spostrzega górę bandaży i maść na blacie.
- Oho, czyżby ktoś miał wypadek?
- To ja się zacięłam - wyjaśniam pośpiesznie, unikając wzroku Tuckera. - Tucker uczył mnie, jak patroszyć rybę, a ja byłam nieuważna. Ale nic mi nie jest.
- To dobrze - oddycha z ulgą pani Avery.
- Niezła sztuka - zauważa pan Avery, zerkając do zlewu, gdzie upuściłam dużego pstrąga tęczowego.
- Dzisiaj ją złapałaś?
- To nie ja, tylko Tucker. Wczoraj. Dzisiaj złowił tamtą. - Gestem wskazuję otwartą przenośną lodówkę. Pan Avery patrzy i gwizdże z uznaniem.
- Będzie dobre jedzonko.
- Jesteś pewien, że chcesz ją na urodzinową kolację? - Pyta pani Avery. - Mogę zrobić wszystko, na co masz ochotę.
- To twoje urodziny?! - wołam.
- Nie powiedział ci? - śmieje się pan Avery. - Kończy dziś siedemnaście lat. Jest już prawie mężczyzną.
- Dzięki, tato - mruczy Tucker.
- Nie ma sprawy, synu.
- Zrobiłabym ci jakiś prezent - mówię miękko.
- I zrobiłaś. Uratowałaś mi życie. Wiecie co? - Zwraca się do rodziców głośniejszym głosem niż zwykle. - Spotkaliśmy dzisiaj mamę grizzly z dwoma młodymi nad grzbiecie

nad zatoką Colter, a Clara jej zaśpiewała i niedźwiedzica sobie poszła.

Państwo Avery patrzą na mnie zdumieni.

- Zaśpiewałaś jej? - pyta pani Avery.

- Z Clary jest naprawdę koszmarna śpiewaczka - mówi Tucker, a oni wybuchają śmiechem. Myślą, że żartuje. Uśmiecham się słabo.

- Tak - przytakuję. - Naprawdę koszmarna.

Po rybie, którą pani Avery smaży na kolację, są jeszcze ciasto i lody, i kilka prezentów. Większość ma związek z koniem, na którym Tucker wygrywa rodeo. Koń ma na imię Midas, a ja uważam, że to zabawne imię dla zwierzęcia. Pan Avery przechwala się, jak to Tuckerowi i Mi-dasowi udało się wyłuskać ze stada jedną krowę.

- Większość koni, które biorą udział w tych zawodach, trenują zawodowcy i kosztują dobrze ponad czterdzieści tyśiaków - mówi. - Ale nie Midas. Tucker wychował go i wyszkolił od źrebaka.

- Robi wrażenie.

Tucker sprawia wrażenie, jakby czuł się niezręcznie. Pociera dłonią kark w geście, który oznacza, że jest okropnie skrepowany kierunkiem, w jakim zmierza rozmowa.

- Chciałabym cię zobaczyć w tym konkursie. Założę się, że jest na co popatrzeć.

- Będziesz musiała przypilnować go w tym roku - zapowiada pan Avery.

- Wiem! - wołam.

Opuszczam brodę na rękę opartą na stole i się uśmiecham. Wiem, że moje żarty sprawiają, że czuje się jeszcze bardziej zakłopotany. Ale może jeżeli będę się zachowywała zwyczajnie, wszystko będzie jak dawniej.

- Chodźmy pokazać Midasowi nową uzdę - rzuca Tucker, wyciągając mnie z domu do bezpiecznej stajni.

Koń podchodzi do drzwi boksu, gdy tylko się pojawia, i nadstawia wyczekująco uszy. Jest piękny, ma lśniącą kasztanową sierść i wielkie rozumne oczy. Tucker gładzi go pod brodą, a potem zakłada mu uzdę, którą dostał od rodziców.

- Powinieneś był mi powiedzieć, że dziś są twoje urodziny - wyrzucam.

- Chciałem. Ale właśnie wtedy omal nie zjadły nas niedźwiedzie.

- Pewnie. A co z Wendy? - pytam.

- Jak to co z Wendy?

- Przecież ona też ma dziś urodziny. Jestem najgorszą przyjaciółką na świecie. Powinnam była jej coś posłać. Ty już jej dałeś prezent?

- Jeszcze nie. - Odwraca się do mnie. - Za to ona dała mi prezent idealny.

Sposób, w jaki na mnie patrzy, sprawia, że czuję motylki w brzuchu.

- Jaki?

- Ciebie.

Nie wiem, co odpowiedzieć. To lato nie potoczyło się tak, jak sobie zaplanowałam. Wcale nie zamierzałam stać pośrodku stajni z niebieskookim kowbojem, który patrzy na mnie, jakby mnie chciał pocałować. Wcale nie powinnam chcieć, żeby mnie pocałował.

- Co my robimy? - pytam.

- Karotko...

- Nie nazywaj mnie tak - proszę drżącym głosem. - To nie ja.

- Co to znaczy?

- Godzinę temu myślałeś, że jestem dziwadłem. Niespokojnie przeczesuje ręką włosy, a potem patrzy mi prosto w oczy.

- Nigdy nie myślałem, że jesteś dziwadłem. Myślę... Myślałem, że może jesteś jakąś istotą magiczną czy czymś w tym rodzaju. Myślałem, że jesteś zbyt doskonała, żeby być prawdziwa.

Tak bardzo chcę mu się ukazać, polecieć na szczyt sterty siana i stamtąd się do niego uśmiechnąć, opowiedzieć mu o wszystkim. Chcę, żeby się dowiedział, kim naprawdę jestem.

- Wiem, że mówiłem dziś głupie rzeczy. Ale lubię cię, Claro. Naprawdę cię lubię.

Być może po raz pierwszy rzeczywiście zwraca się do mnie po imieniu. W moich oczach dostrzega wahanie.

- W porządku. Nie musisz nic mówić. Po prostu chciałem, żebyś wiedziała.

- Nie - mówię. Mam swoje zadanie, obowiązek, a on mnie od tego odciąga. Nie jestem tu dla niego.

-Tuck, nie mogę. Muszę...

Chmurzy się.

- Powiedz mi, że nie chodzi o Christiana Prescott-ta - mówi. - Powiedz, że skończyłaś z tym facetem.

Czuję nagły przypływ gniewu. Traktuje mnie protekcjonalnie, jakbym była jakimś głupim, zadurzonym dziewczęciem.

- Nie wiesz o mnie wszystkiego. - Staram się nad sobą zapanować.

- Chodź tutaj. - Głos ma tak ciepły i gardłowy, że aż mnie przechodzą ciarki.

- Nie.

- Nie wierzę, żebyś naprawdę chciała być z Christianem Prescottem.
 - Tak jakbyś wiedział, czego chcę.
 - Wiem. Naprawdę. On nie jest w twoim typie.
 - Och, za to założę się, że ty jesteś, tak?
 - Założę się, że tak - odpowiada i zanim zdążę pomyśleć, żeby go powstrzymać, podchodzi do mnie i ujmuje moją twarz w dłonie.
 - Tuck, proszę. - Głos mi drży.
 - Lubisz mnie, Claro - mówi. - Wiem, że tak jest.
- Gdybym tylko potrafiła się roześmiać. Gdybym potrafiła się roześmiać, odepchnąć go i powiedzieć, jaki jest głupi i jak bardzo się myli.
- Spróbuj powiedzieć, że nie - mruczy.
- Czuję jego oddech na twarzy. Podnoszę wzrok, spoglądam mu w oczy i widzę w nich zwodniczy ogień. Nie mogę myśleć. Jego usta są tak blisko moich, a ręce przyciągają mnie bliżej.
- Tuck - szepczę i wtedy on mnie całuje.
- To nie jest mój pierwszy pocałunek. Ale nigdy wcześniej nie było tak jak teraz. Jak na całą tę bezczelną gadkę całuje mnie z zaskakującą delikatnością. Wciąż obejmuje dłońmi moją twarz i ostrożnie muska ustami moje usta, powoli, jakby chciał zapamiętać, jakie to uczucie. Zamykam oczy. W głowie kręci mi się od jego zapachu - trawy, słońca i piżmowej wody kolońskiej. Całuje mnie znowu, tym razem nieco pewniej, a potem odsuwa się i patrzy na moją twarz. Tak bardzo nie chcę, żeby to się skończyło. Wszystkie inne myśli znikają mi z głowy. Otwieram oczy.
- Jeszcze - proszę cicho.

Kącik ust mu się unosi i wtedy to ja całuję jego. Wcale nie tak delikatnie. Puszczam moją twarz, chwytam mnie w pasie i przyciąga do siebie. Z gardła wyrывa mu się cichy jęk, co doprowadza mnie do szaleństwa. Zupełnie tracę głowę. Obejmuję go rękami za szyję i całuję bez zahamowań. Czuję, że jego serce wali tak jak moje, oddech przyśpiesza, a dłonie zacieśniają uchwyt.

A potem nagle czuję to co on. Tak długo czekał na tę chwilę. Uwielbia trzymać mnie w ramionach. Uwielbia zapach moich włosów. Uwielbia sposób, w jaki na niego teraz patrzę, zaczerwieniona, chcąc więcej. Uwielbia kolor moich ust, ich smak sprawia, że miękną mu nogi, a nie chce okazać przede mną słabości. Więc odsuwa się. Oddycha gwałtownie. Opuszcza ręce.

Otwieram oczy.

- Coś nie tak? - pytam.

Nie może mówić. Pod złotą opalenizną twarz mu pobladła. I wtedy orientuję się, że jest zbyt jasno, za jasno jak na ciemną stajnię, i że to światło pochodzi ode mnie, że wypływa ze mnie falami.

Jestem w chwale. Tucker wpatruje się we mnie w osłupieniu. Czuję jego szok. W tym świetle widać wszystko, przeświecam przez ubranie, tak że równie dobrze mogłabym stać przed nim nago.

Gwałtownie wciągam powietrze. Część mnie krzywi się boleśnie na widok przerażenia w jego oczach i wtedy światło po prostu znika. Jego obecność w moim umyśle blaknie, kiedy stajnię spowija mrok.

- Przepraszam - mówię. Patrzę, jak na jego twarz powoli wracają kolory.

- Nie wiem, co... - zaczyna, po czym przerywa sam sobie.

- Przepraszam. Nie chciałam...

- Kim ty jesteś? Wzdrygam się.

- Jestem Clara. - Przynajmniej moje imię się nie zmieniło. Robię krok w jego kierunku, wyciągam rękę, żeby dotknąć jego twarzy. Cofa się. A potem chwytą moją dłoń, tę, w którą się zraniłam.

Wypuszczam gwałtownie powietrze, gdy zrywa bandaż.

Rana zniknęła. Nie ma nawet znaku. Oboje patrzymy na moją dłoń. A potem ręka Tuckera opada.

- Wiedziałem - mówi.

Zalewa mnie przedziwna mieszanina paniki i ulgi. Tego nie można wytłumaczyć. Będę musiała mu powiedzieć.

- Tuck...

- Kim jesteś? - Znowu domaga się odpowiedzi, cofając się chwiejnym krokiem.

- To skomplikowane.

- Nie.

Nagle kręci głową. Twarz wciąż ma bladą, zielonkawą, jakby miał zaraz zwymiotować. Nadal się cofa, a kiedy jest już przy drzwiach, odwraca się i biegnie do domu.

Mogę tylko patrzeć, jak znika. Czuję się odłączona od siebie, roztrzęsiona po tym, co się stało. Nie mam jak wrócić do domu. Tucker, o ile wiem, mógł pobiec po strzelbę. Dlatego uciekam. Potykając się, biegnę w stronę lasu na tyłach rancza, wdzięczna drzewom za osłonę. Zapada zmrok. Gdy tylko znajduję się wśród drzew, skrzydła pojawiają się same. Lecę, nie zwracając uwagi na nic.

Przemoczona przez chmury, przemarznięta, trzęsąca się tak, że aż szczękają mi zęby, oślepiona przez łzy, wpadam w panikę i gubię się, zanim zdążę się zorientować, w którą stronę do domu.

Płacę przez całą drogę, wciąż i wciąż. Tak jakby łzy miały nigdy nie przestać płynąć.

Kilka godzin później mama znajduje mnie w moim pokoju, łkającą w poduszkę. Jestem podrapana, pocierana, na twarzy mam ślady łez, ale kiedy mnie widzi, pyta:

- Co się stało z twoimi włosami?

- Co takiego? - Rozpaczliwie próbuję zebrać je razem i zdecydować, ile mam jej powiedzieć o całej tej sprawie z Tuckerem.

- Wróciły do naturalnego koloru. Rudy całkiem zniknął.

- Och, to pewnie chwała je odbarwiła.

- Byłaś w stanie chwały? - pyta, jej niebieskie oczy się rozszerzają.

- Tak.

- Och, kochanie. Nic dziwnego, że jesteś poruszona. To takie przytłaczające doświadczenie.

Nawet nie wie, jak bardzo.

- Odpocznij. - Wyciska mi pocałunek na skroni. - Opowiesz mi o tym jutro rano.

Kiedy znika, wysyłam gorączkowego mej la do Angeli: „Ratunku”, piszę, choć trudno mi zmusić mózg, żeby współpracował z palcami na tyle, bym mogła sklecić prostą wiadomość. „Zadzwoń do mnie ASAP”.

Nie mam z kim porozmawiać. Nikogo, komu mogłabym powiedzieć. Już za nim tęsknię.

Ulegam pragnieniu, żeby usłyszeć jego głos, i dzwonię do Tuckera z komórki. Odbiera po pierwszym sygnale. Przez chwilę żadne z nas się nie odzywa.

- Daj mi spokój - mówi i się rozłącza.

17. *Po prostu nazwij mnie aniołem*

Mijają trzy dni. Trzy dni męki, kiedy nie dzwonię do niego ani nie próbuję się z nim zobaczyć, tylko wciąż na nowo przeżywam nasz pocałunek, aż w końcu myślę, że oszaleję i zacznę wrywać garściami pióra ze skrzydeł. Powtarzam sobie, że bardzo dobrze, że się tak stało. No dobra, może nie bardzo dobrze, skoro w zasadzie ujawniłam się przed człowiekiem, a przecież nawet nie wiem, jaka mnie czeka kara, jeśli ktoś się dowie. Ale może bardzo dobrze, że Tucker mnie odrzucił. I co z tego, że wie, że coś jest ze mną nie tak? Może to udowodnić? Nie. Ktoś mu uwierzy? Nie sądzę. Mało prawdopodobne zresztą, żeby komuś powiedział. Gdyby to zrobił, mogłabym wszystkiemu zaprzeczyć. I wrócilibyśmy do stanu wyjścia: on oskarżałby mnie o różne rzeczy, a ja udawałabym, że nie mam pojęcia, o co mu chodzi. Jasne.

Nie jestem dobrym kłamcą, nawet kiedy próbuję oszukiwać siebie. Chciałabym, żeby Angela do mnie od-dzwoniła i żeby mogła ją zapytać, co robić.

A jakby dnia było mało, Tucker śni mi się także w nocy. Przez trzy noce z rzędu. Nie potrafię wyrzucić z głowy tej chwili, kiedy byłam w jego umyśle, czułam to co on i słyszałam jego myśli, gdy mnie całował. Wyczuwam jego uwielbienie. I to mnie zabija - ten moment, kiedy uwielbienie zamienia się w strach.

Trzeciego ranka budzę się w powodzi łez i kiedy pogrążona w smutku gapię się w sufit, nagle przychodzi mi do głowy ta myśl.

On mnie kocha. To, co czułam w jego głowie, wszystkie te myśli i reakcje brały się z miłości. Szalonej, irracjonalnej (i na pewno odrobinę pożądlivej) miłości. Tucker mnie kocha i to go przeraziło, kiedy zobaczył mnie rozświetloną niczym choinka w Boże Narodzenie. Nie wie, kim jestem, ale mnie kocha.

Siadam na łóżku. Może powinnam była zrozumieć to już dawno. Przecież nie trzeba było czytać mu w myślach, żeby to zobaczyć. Ale wtedy, kiedy czułam, jak ta miłość w nim rośnie, wcale nie wiedziałam, że jestem w jego głowie. Nie miałam pojęcia, że to nie moje uczucia. A to co oznacza? Proste.

Oto cała ja: część ludzka i część anielska. I ja kocham Tuckera Avery'ego. A to ci objawienie. Właśnie dlatego siedzę teraz na chodniku przed Crazy River Rafting Company, firmą, dla której Tucker pracuje, jak jakaś przerażająco namolna eksdziewczy-na, która czeka, aż się pojawi i wpadnie w jej miłosną pułapkę. Tylko że wcale się nie pojawia. Powinien był wyjść już pół godziny temu, tymczasem jedyną osobą, która wyłania się z budynku, jest jasnowłosa kobieta. Podejrzewam, że to sekretarka.

- Mogę w czymś pomóc? - pyta.

- Raczej nie.

Waha się, nie wiedząc, jak rozumieć moją odpowiedź.

- Czekasz na kogoś?

- Na Tuckera.

Uśmiecha się. Lubi go. Wszyscy przy zdrowych zmysłach lubią Tuckera.

- Jest jeszcze na rzece - mówi. - Tratwa się wywróciła. Nic poważnego, ale trochę się spóźniła. Chcesz, żebym mu powiedziała przez krótkofalówkę, że tu jesteś?

- Nie - mówię pośpiesznie. - Poczekam.

Co jakiś czas patrzę na zegarek, a każda półciężarów-ka przejeżdżająca obok sprawia, że braknie mi tchu. Kilka razy dochodzę do wniosku, że to zły pomysł, i wstaję, żeby odejść. Ale ani razu nie udaje mi się wsiąść do samochodu. Muszę go przynajmniej zobaczyć.

W końcu duża czerwona półciężarówka wjeżdża na parking, ciągnąc przyczepę wyładowaną tratwami. Tucker siedzi na miejscu pasażera i rozmawia ze starszym facetem - spotkałam go już wcześniej - który prowadzi spływy. Tucker mówi do niego Murphy, ale nie wiem, czy to imię, czy nazwisko. Kiedy zabrał mnie ze sobą na rzekę, na początku zaznajamiali wszystkich z zasadami spływu i Tucker nazwał je prawami Murphy'ego.

Nie spostrzega mnie. Uśmiecha się tak jak zawsze, kiedy wypowiada puentę dowcipu - kpiący błysk zębów i dołeczek. Na jego widok miękną mi nogi i przypominam sobie, ile razy ten uśmiech był skierowany do mnie. Murphy wybucha śmiechem, po czym obaj wyskakują z samochodu, idą na tył do przyczepy i zaczynają wyładowywać tratwy. Wstaję, serce bije mi tak szybko, że boję się, że zaraz wyskoczy i uderzy w Tuckera.

Murphy otwiera ogromne drzwi do garażu, a potem się odwraca. I właśnie wtedy mnie widzi.

Zatrzymuje się i spogląda na mnie. Tucker pracowicie odwiązuje tratwy.

- Tuck - mówi powoli Murphy. - Zdaje się, że czeka na ciebie ta dziewczyna.

Tucker nieruchomieje na moment, jakby trafił go zamrażający promień. Mięśnie na plecach mu tężeją.

Pro-

stuje się i odwraca do mnie. Przez jego twarz przemyka cała gama uczuć: zaskoczenie, panika, gniew, ból. Zatrzymuje się przy gniewie. Oczy mu lodowacieją, mięśnie szczęki zaczynają chodzić.

Zamieram pod jego spojrzeniem.

- Potrzebna ci chwila? - pyta Murphy.

- Nie - mówi Tucker cicho. Jego głos złamałby mi serce, gdyby już dawno nie leżało w kawałkach u moich stóp. - Skończmy to.

Stoję jak wrośnięta, kiedy Tucker i Murphy ściągają tratwy z przyczepy i zanoszą do garażu obok biura. Tam uważnie oglądają każdą, sprawdzają z listą wszystkie kapoki i zamykają drzwi.

- Do zobaczenia - rzuca Murphy, po czym wskakuje do dżipa i odjeżdża.

Stoimy z Tuckerem na parkingu, spoglądając na siebie. Wciąż nie potrafię wydusić ani słowa.

Wszystko, co zamierzałam powiedzieć, wyleciało mi z głowy, w chwili kiedy go zobaczyłam. Jest taki piękny. Stoi z rękami w kieszeniach, włosy ma wciąż wilgotne, a oczy takie niebieskie. Czuję napływające łzy i mrugam, próbując je powstrzymać.

Tucker wzdycha.

- Czego chcesz, Claro?

Moje imię w jego ustach brzmi dziwnie. Już nie jestem Karotką. Znowu mam jasne włosy. Pewnie mógłby teraz powiedzieć, że nie jestem tym, kim się wydaję.

- Przepraszam, że cię okłamałam - odzywam się w końcu. - Nie masz pojęcia, jak bardzo chciałam ci powiedzieć prawdę.

- Więc dlaczego nie powiedziałaś?

- Bo to wbrew zasadom.
- Jakim zasadom? Jaką prawdę?
- Wszystko ci powiem, jeśli mnie wysłuchasz.
- Dlaczego? - pyta ostro. - Dlaczego miałabyś mi powiedzieć teraz, skoro to wbrew zasadom?
- Bo cię kocham.

Proszę. Powiedziałam to. Prawdę mówiąc, nie mogę uwierzyć, że to powiedziałam. Ludzie tak niefrasobliwie wypowiadają te słowa. Zawsze wzdragam się, kiedy słyszę dzieciaki wyznające sobie miłość na korytarzu w szkole. „Kocham cię, mała. Ja też cię kocham”. Mają raptem po szesnaście lat i są przekonane, że znalazły prawdziwą miłość. Zawsze myślałam, że będę rozsądniejsza, nieco bardziej przewidująca.

Tymczasem proszę bardzo. Mówię to i naprawdę tak myślę.

Tucker przetyka ślinę. Z jego oczu wyparowuje gniew, wciąż jednak widzę cień strachu.

- Możemy gdzieś pójść? - pytam. - Chodźmy do lasu, to ci pokażę.

Waha się, to jasne. Na jego twarzy widzę coś na kształt lęku. A co, jeśli jestem Obcym, który próbuje zwabić go w jakieś ustronne miejsce, żeby wyssać mu mózg? Albo wampirem spragnionym jego krwi?

- Nie skrzywdzę cię. Nie lękaj się.

W oczach błyska mu gniew, jakbym właśnie nazwała go tchórzem.

- Dobra. - Zaciska zęby. - Ale ja prowadzę.

- Jasne.

Jedzie przez godzinę w stronę Idaho, w góry nad zbiornikiem Palisades. Cisza między nami jest tak gę-

sta, że aż chce mi się kaszleć. Oboje próbujemy na siebie zerkać tak, żeby nie napotkać wzroku drugiego. Przy każdej innej okazji uznałabym to za komiczne i głupie.

Skreca w piaszczystą drogę oznaczoną jako prywatna i jedzie w górę, mijając drewniane chaty ukryte wśród drzew, póki nie dotrzemy do wysokiej siatki. Wyskakuje i walczy z kluczami. A kiedy udaje mu się otworzyć zardzewiałą kłódkę, która wisi na bramie, wraca i przejeżdżamy na drugą stronę. Kiedy docieramy do szerokiej pustej polany, zatrzymuje samochód i nareszcie spogląda na mnie.

- Gdzie jesteśmy? - pytam.

- Na mojej ziemi.

- Twojej?

- Dziadek chciał tu zbudować chatę, ale zachorował na raka. Zostawił mi tę ziemię. Trzy hektary.

Zawsze tu przyjeżdżam, kiedy trzeba zakopać trupa czy coś w tym rodzaju.

Patrzę na niego.

- No to mów.

Oddycham głęboko, starając się nie skupiać na tym, że mi się przygląda. Chcę mu powiedzieć. Zawsze chciałam. Po prostu nie do końca wiem, jak to zrobić.

- Nie wiem nawet, od czego zacząć.

- Może od tej części, w której jesteś nieziemską istotą zrobioną ze światła.

Oddech więźnie mi w gardle.

- Myślisz, że jestem zrobiona ze światła?

- To właśnie widziałem. - Znowu się boi. Poznaje po tym, że odwraca wzrok i odsuwa się odrobine.

- Nie sądzę, żebym była zrobiona ze światła. To, co widziałeś, to chwała. Trochę trudno to wytłumaczyć, ale

chwała jest czymś w rodzaju sposobu komunikacji, połączenia z innymi istotami.

- Komunikacji? Próbowalaś się ze mną skomunikować?

- To było niezamierzone - mówię, czerwieniąc się. - Wcale nie chciałam, żeby coś takiego się stało. Tak naprawdę nigdy wcześniej nie byłam w stanie chwały. Mama mówiła, że czasami mogą ją wywołać silne emocje - płaczę się. - Przepraszam. Wcale nie chciałam cię wystraszyć. Chwała zwykle wywiera na ludziach taki efekt.

- A ty nie jesteś człowiekiem - stwierdza Tucker beznamiętnie.

- W znacznej mierze jestem.

Opiera się plecami o drzwi i wzdycha rozczarowany.

- To jakiś żart, Claro? Jakaś sztuczka?

- Jestem nefilimem - mówię. - Zwykle nie używamy tego terminu, bo to po hebrajsku znaczy „upadły”, a my, no wiesz, nie lubimy myśleć o sobie jako o upadłych, w każdym razie tak się nas nazywa w Biblii. My wolimy, jak się o nas mówi anielici.

- Anielici - powtarza.

- Moja mama jest półaniołem. Jej ojciec był aniołem, a matka człowiekiem. Co oznacza, że ja jestem aniołem w jednej czwartej, bo mój tata to zwykły facet.

Wypluwam z siebie wszystko szybko, żeby nie zmienić zdania. Tucker gapi się, jakby mi wyrosła druga głowa.

- Więc jesteś po części aniołem. - Brzmi dokładnie tak jak ja, kiedy powiedziała mi o tym mama.

Jakby robił w głowie przegląd placówek psychiatrycznych w okolicy.

- Tak. Chodź, wysiądźmy z samochodu. Oczy mu się lekko rozszerzają.

- Dlaczego?
- Bo nie uwierzysz, dopóki ci nie pokażę.
- Co to ma znaczyć? Znowu zrobisz to coś ze światłem?
- Nie. Tego nie.

Delikatnie kładę mu dłoń na ramieniu, żeby go uspokoić. Mój dotyk jednak wydaje się mieć odwrotny skutek. Tucker odsuwa się pośpiesznie, otwiera drzwi i wyskakuje z wozu, żeby przede mną uciec.

Ja też wysiadam. Idę na środek polany i staję do niego twarzą.

- A teraz się nie bój - mówię.
- Jasne. Bo zamierzasz mi pokazać, że jesteś aniołem.
- Tylko w części.

Przywołuję skrzydła i leciutko obracam się, żeby mógł zobaczyć. Nie rozkładam ich ani nie zrywam się do lotu, tak jak to zrobiła mama. Myślę, że wystarczy, jak zobaczy je złożone.

- O do diabła! - Robi krok do tyłu.
- Wiem.
- To nie żart. To nie jest żadna zmyłka ani magiczna sztuczka. Naprawdę masz skrzydła.
- Tak.

Podchodzę do niego powoli, nie chcąc go wystraszyć, a potem odwracam się, żeby mógł je sobie obejrzeć. Unosi dłoń, jakby miał zamiar dotknąć piór. Serce zamiera mi w oczekiwaniu. Nikt dotąd nie dotykał moich skrzydeł i zastanawiam się, jakie to uczucie. Ale wtedy Tucker zabiera rękę.

- Możesz na nich latać? - pyta zdławionym głosem.
- Tak. Ale w znacznej mierze jestem normalną dziewczyną.

Wiem, że mi nie wierzy. Ciekawe, czy jeszcze kiedykolwiek będzie mnie traktował jak normalną dziewczynę. A przecież to część tego, co mi się tak podoba w byciu z Tuckerem. Dzięki niemu czuję się zwyczajna. Może nie tak zwykła jak jakaś przeciętna Jane, ale dość zwyczajna. Po prostu jak ja, bez całego tego anielskiego sztafażu. Omal nie zaczynam płakać na myśl, że miałabym to stracić.

- I co jeszcze? Co jeszcze potrafisz?

- Nie za wiele, naprawdę. Jestem aniołem tylko w jednej czwartej. Nawet nie wiem, co potrafią półanioły. Umiem mówić we wszystkich językach. Podejrzewam, że to się przydaje przy dostarczaniu wiadomości.

- To dlatego rozumiałaś tę Koreankę w kanionie. I tak samo rozmawiałaś z niedźwiedzicą?

- Tak.

Patrę w dół na swoje stopy. Boję się spojrzeć mu w twarz, żeby się nie dowiedzieć, że to już koniec. Pocałowaliśmy się raptem trzy dni temu, ale mam wrażenie, jakby to się przydarzyło komuś innemu. Jakaś inna dziewczyna stała wtedy w stajni i pierwszy raz całowała Tuckera. I jakaś inną dziewczynę on kocha. Nie mnie. Nie tę małą żalosną mnie. Na domiar złego zaczynam płakać. Jakie to upokarzające.

- Przepraszam - bąkam zdławionym głosem.

Nic nie odpowiada. Łzy spływają mi po brodzie. Powoli wypuszcza powietrze, oddech ma urywany.

- Nie płacz - mówi. - To nie fair. Śmieję się i zanoszę płaczem zarazem.

- Już dobrze. - Wyciera palcami łzy na moich policzkach. - Nie płacz.

Obejmuje mnie, skrzydła i wszystko inne. Chowam twarz na jego piersi, wdychając zapach rzeki.

Gdzieś

wśród drzew kracze wrona. Odpowiada jej kos. A potem się całujemy i nie ma już nic poza Tuckerem.

- Dobra, poczekaj - mówi po chwili, cofając się. Patrzę na niego oszołomiona. Proszę, proszę, myślę, niech to nie będzie ta część, kiedy zmieniasz zdanie.

- Czy to w porządku, że się całujemy? - pyta.

- Co takiego?

- Nie uderzy we mnie żaden piorun? Wybucham śmiechem. A potem leciutko muskam ustami jego usta. Zaciska ręce na mojej talii.

- Żadnych piorunów - zapewniam.

Uśmiecha się. Dotykam palcami jego dołeczka. Unosi kosmyk moich włosów (który wysunął się z kucyka) i ogląda uważnie pod słońce.

- Nie są rude - stwierdzam, wzruszając ramionami.

- Zawsze miałem wrażenie, że z twoimi włosami coś jest nie tak.

- Więc pomyślałeś, że może warto mnie podręczyć, nazywając Karotką?

- Wciąż myślę, że nigdy nie widziałem nikogo tak pięknego jak ty. - Spuszcza głowę i zawstydzony pociera kark. Czerwieni się.

- Prawdziwy z ciebie Romeo - mówię.

Sama się czerwienię i próbuję pokryć to żartami, ale wtedy on znów mnie obejmuje i przejeżdża dłońmi po moich skrzydłach. Jego dotyk jest lekki, delikatny, ale sprawia, że zalewa mnie fala rozkoszy, która trafia prosto do żołądka i sprawia, że miękną mi kolana. Opieram się o niego, przyciskając mu policzek do ramienia. Z całych sił staram się wdychać i wydychać powietrze, kiedy powoli przesuwam dłońmi wzdłuż skrzydeł.

- Więc jesteś aniołem. To wszystko - mruczy.

Całuję go w ramię.

- Tylko po części.

- Powiedz coś w języku aniołów?

- Co mam powiedzieć?

- Coś prostego - mówi. - Coś prawdziwego.

- Kocham cię - szepczę automatycznie, znów zaskakując samą siebie.

W języku aniołów te słowa brzmią jak pomruk wiatru i gwiazd, jak cicha, czysta muzyka. Zacieśnia uścisk. Spoglądam mu w twarz.

- Co powiedziałaś? - pyta, ale w jego oczach widzę, że słyszał wszystko wyraźnie.

- Oj, no wiesz. Coś w rodzaju, że cię lubię.

- Ha. - Całuje kącik moich ust i odsuwa kosmyk włosów z twarzy. - Ja też. Naprawdę, ale to naprawdę cię lubię.

A więc jestem zakochana. I to jest ta obłądna miłość, kiedy człowiek zapomina jeść, snuje się jak nieprzytomny, całymi nocami wisi na telefonie i co rano wyskakuje z łóżka w nadziei, że go zobaczy.

Lato przemija, a ja codziennie odkrywam w Tuckerze coś zachwycającego.

Mam wrażenie, jakby nikt nie znał go tak jak ja. Wiem, że tak naprawdę wcale nie lubi country, ale ponieważ jest częścią krajobrazu Dzikiego Zachodu, więc ją toleruje. Przyznaje, że na dźwięk hawajskiej gitary aż się kuli w środku. Uważam, że to przekomiczne, za każdym razem, kiedy ją słyszymy. Uwielbia cheetos. Twierdzi, że największą tragedią jest to, że ludzie pożerają ziemię, a wszystkie dzikie ostępy zapełniają osiedlami i gospodarstwami agroturystycznymi. Z tego właśnie powodu zarazem kocha Leniwego Psa i go nienawidzi.

Wciąż wyobraża sobie, że cofa się do czasów, kiedy nie istniały płoty, i galopuje z cielakami, pędząc stado jak prawdziwy kowboj.

Jest dobry dla ludzi, szanuje ich. Nie przeklina. Jest grzeczny. Troskliwy. Lubi zrywać dla mnie polne kwiaty, które wplatom we włosy i wącham całe dni. Fakt, że jestem inna, nie ma dla niego zbyt dużego znaczenia. Prawdę mówiąc, rzadko wspomina o mojej anielskości, choć niekiedy zauważam, że spogląda na mnie z czymś na kształt ciekawości w oczach.

Uwielbiam, jak czasami czuje się zakłopotany całą tą czułością między nami, i wtedy jego głos robi się szorstki, a on łaskocze mnie albo całuje, żeby nam zamknąć usta. O ludzie, wciąż się całujemy.

Doszliśmy w tym do mistrzostwa.

Tucker nigdy nie posuwa się za daleko, choć czasami chciałabym, żeby to zrobił. Całuje mnie wciąż i wciąż, póki nie zakreśli mi się w głowie, a ciało nie stanie się zarazem lekkie i ciężkie. Całuje, aż zaczynam szarpać na sobie ubranie, bo chcę, żebyśmy się dotykali jak największą powierzchnią ciała. Wtedy jęczy, łapie mnie za nadgarstki, odsuwa się, zamyka oczy i przez chwilę odдыcha głęboko. Myślę, że naprawdę wierzy, że pozbawienie dziewictwa anioła mogłoby się dla niego oznaczać całą wieczność w piekle.

- A co z kościołem? - pyta którejś nocy po tym, kiedy odsuwa się, spazmatycznie łapiąc powietrze.

Jest pierwszy tydzień sierpnia. Leżymy na kocu na tyle jego pikapa, nad głowami mamy morze jasnych gwiazd. Całuje moją dłoń i splata palce ze swoimi. Na chwilę zapominam, o co mu chodziło.

- Słucham? Śmieje się.

- Pytałem o kościół. Dlaczego twoja rodzina nie chodzi do kościoła?

Kolejna rzecz, która mi się zwykle podoba w Tucke-rze. Jest niezłomnie uczciwy, szczery aż do bólu. Spoglądam w gwiazdy.

- Nie wiem. Kiedy byliśmy mali, mama zabierała nas co niedziela, ale przestała, jak podrośliśmy.

Przekręca się, żeby na mnie popatrzeć.

- Ale wiesz, że jest Bóg. To znaczy, no wiesz, jesteś po części aniołem. Masz na to dowód, prawda? Tak naprawdę jaki mam dowód? Skrzydła. To coś z językami. Chwałę. Wszystko to za sprawą Boga, a w każdym razie tak mi powiedziano. Bóg wydaje się najbardziej prawdopodobnym wytłumaczeniem.

- No cóż, jest chwala - wyjaśniam. - W ten sposób łączymy się z Bogiem. Ale za wiele nie wiem na ten temat. Tylko raz jej doświadczyłam.

- I jak było?

- Dobrze. Nie potrafię tego opisać. Tak, jakbym mogła czuć wszystko to co ty, bicie twojego serca, krew płynącą w twoich żyłach, twój oddech. Jakbyśmy byli jedną osobą i oboje czuli tę niewiarygodną... radość. Ty tego nie czułeś?

- Raczej nie - przyznaje, uciekając wzrokiem. - Po prostu szalałem ze szczęścia, że mogę cię pocałować. A potem zaczęłaś się żarzyć. A potem świeciłaś już tak jasno, że nie mogłem na ciebie patrzeć.

- Przepraszam.

- Nie ma za co. Cieszę się, że to się stało. Bo dzięki temu dowiedziałem się, kim naprawdę jesteś.

- Serio? To kim jestem?

- Naprawdę, ale to naprawdę uduchowioną zepsutą laską z Kalifornii.
 - Zamknij się.
 - Myślę, że to fajnie. Moja dziewczyna jest aniołem.
 - Nie jestem aniołem. Nie mieszkam w niebie, nie gram na złotej harfie ani nie ucinam sobie pogawędek z Wszchemogącym.
 - Nie? Nie spędzasz Wigilii razem z Bogiem?
 - Nie - rzucam, chichocząc. - Mamy wprowadzić swoje tradycje, ale, prawdę mówiąc, nie kontaktujemy się za często. Mama mówi, że każdy anielita spotyka w końcu Boga, ale dopiero po tym, jak wypełni swoje zadanie na Ziemi. I że to jest spotkanie twarzą w twarz. Nie umiem sobie tego wyobrazić, ale ona tak twierdzi.
 - No tak, ale to dotyczy wszystkich, prawda? Ludzi też?
 - Słucham?
 - Wszyscy mamy spotkać Boga. Kiedy umrzemy. Wpatruję się w niego. Nigdy wcześniej nie myślałam o tym w ten sposób. Przypuszczałam, że to spotkanie będzie czymś w rodzaju sprawozdania z przebiegu misji.
i ten pomysł zawsze mnie przerażał.
 - Jasne - mówię powoli. - Wszyscy mamy kiedyś spotkać Boga.
 - Więc może powinienem dalej chodzić do kościoła.
 - Chodzenie do kościoła nie zaszkodzi.
- Gładzę go po policzku. Uwielbiam czuć dotyk jego zarostu. Chcę powiedzieć coś głębokiego, coś o tym, że jestem wdzięczna, że akceptuje mnie taką, jaka jestem, ze skrzydłami i w ogóle, ale wiem, że zabrzmiałoby to strasznie ckliwie. I wtedy myślę o kościele. O tym, jak z mamą i Jeffreyem siadaliśmy w ławce, kiedy byliśmy

mali, śpiewając i modląc się ze wszystkimi, a przez witraże z aniołami padało na nas kolorowe światło.

Podskakujemy w Hiacyncie na gruntowej drodze. Staram się zachowywać przyzwoicie, utrzymać między nami cnotliwy dystans, żebyśmy faktycznie dotarli na ryby, a nie tak jak ostatnim razem. Ale wtedy Tucker wyciąga rękę, żeby zmienić biegi, a potem kładzie mi ją na kolanie, a ja natychmiast zaczynam drżeć.

- Szubrawiec. - Chwytam tę jego dłoń i zamykam w swojej. Gładzi kciukiem moje kłykcie, przyprowadzając serce o palpacje.

- Czasami używasz przedziwnych słów, przysięgam - mówi.

- To dlatego, że mam mamę, która ma ponad sto lat. No i talent do języków - tłumaczę. - Rozumiem każde słowo, które usłyszę. Dlatego mam niewiarygodny zasób słów.

- Niewiarygodne - drażni się ze mną.

- Raczej godne naśladowania. Ej, rozmawiałaś ostatnio ze swoją siostrą?

- Tak, parę dni temu.

- Mówiłaś jej o nas? Marszczy brwi.

- A nie powinienem? Uśmiecham się.

- Możesz jej powiedzieć. Ale myślę, że już wie. Rozmawiałam z nią wczoraj i zachowywała się dość zabawnie.

- Czyli ty jej nie powiedziałaś.

- Nie. Pomyślałam, że gadka w rodzaju „Wiesz co? Chodzę z twoim bratem” mogłaby dziwnie zabrzmieć. Lepiej, żeby dowiedziała się od ciebie.

- Powiedziałem jej - przyznaje. - Nie potrafię niczego ukryć przed Wendy. Próbowałem. Nie działa.

- Ale... - mówię z wahaniem w głosie. - Nie powiedziałaś jej o... No wiesz.

Patrzy na mnie, udając, że nie ma pojęcia, o co mi chodzi.

- Co? Powinienem coś o tobie wiedzieć?

- „Po prostu nazwij mnie aniołem poranka” - nucę. Wybucho śmiechem.

- Pewnie, że jej nie powiedziałem. Nie wiedziałbym, jak to zrobić. - A potem dodaje cicho: - Ale będzie trudno, kiedy wróci.

Wyglądam przez okno. Samochód przemyka wśród sosen wydmowych porastających drogę po obu stronach. Tu i ówdzie widać osiki, które zaczynają zmieniać kolory. Gorąco nawet jak na Wyoming.

Powietrze jest suche, zapyłone.

A potem wszystko zaczyna wyglądać znajomo. Jak w najgorszym możliwym déjà vu.

Zaciskam rękę na dłoni Tuckera.

- Zatrzymaj samochód - udaje mi się wysapać.

- Co takiego?

- Stój!

Wciska hamulec, wzbijając wokół nas obłok kurzu, i zanim samochód zdąży się zatrzymać, wyskakuję. Gdy kurz opada, stoję pośrodku drogi, obracając się powoli dookoła.

A potem ogłuszona maszeruję na pobocze, mijając cień ogromnego srebrnego pikapa, którego widzę oczami wyobraźni. Skręcam - nogi niosą mnie same -i wchodzę w las. Słyszę słabe nawoływanie Tuckera, ale nie zwalniam. Nie wiem, czy nawet gdybym chciała,

potrafiłabym się zatrzymać. Prę naprzód, lawiruję wśród drzew. Potykam się i osuwam na zasłaną igłami ziemię, ale nie ustaję w wysiłku. Brnę głębiej w las, nawet nie próbując się otrzepać.

A potem się zatrzymuję.

To tutaj. Mała polanka. Grzbiet.

Powietrze pełne dymu. Żółtopomarańczowe niebo. Christian ma na sobie czarny polar, ręce trzyma w kieszeni, ciężar przeniósł na jedną nogę. Stoi nieruchomo, spoglądając na grzbiet wzgórza.

O Boże, myślę. Widzę płomienie. Robię krok w jego stronę. Wszystko jest takie suche. Oblizuję wargi i spoglądam w dół, na moje ręce, które drżą. Tak jakbym w tej właśnie chwili zostawiała za sobą całe swoje życie. Jest mi tak smutno, że mogłabym płakać.

- Christian - chrypię.

Odwraca się. Nie wiem, co znaczy wyraz jego twarzy.

- To ty - mówi.

- To ja... Ja...

Rusza w moją stronę, ja idę do niego. Po chwili oboje zatrzymujemy się na odległość wyciągniętej ręki i spoglądamy jedno na drugie. Mam wrażenie, jakbym była na dragach albo coś w tym rodzaju. Tak strasznie chcę go dotknąć, że powstrzymywanie się sprawia mi ból. Wyciągam rękę. Ujmuje ją w swoją dłoń. Skórę ma gorącą, rozpaloną. Na moment pod naporem doznań zamykam oczy. Czuję nagły błysk rozpoznania.

Stanowimy jedno.

Otwieram oczy. Christian podchodzi bliżej. Jego wzrok na mojej twarzy jest jak dotyk. Spogląda na moje usta, potem w oczy, a potem znowu na usta. Unosi dłoń

i dotyka mojego policzka. Uświadamiam sobie, że płaczę, łzy spływają mi po twarzy.

- To naprawdę ty - szepcze.

A potem otacza mnie ramionami. Ogień pędzi w naszą stronę niczym jakiś potwór, wydając ostrzegawcze ryki, chmury gęstego białego dymu buchają mu z nozdrzy. Przytulam się do Christiana, przywołuję skrzydła, chwytam w nie wiatr i z całych sił odpycham się w niebo.

Tylko że wcale nie odlatuję. Opadam na poszycie, obejmując rękami powietrze. Bo przecież Christiana tu nie ma. A potem wszystko spowija ciemność.

Mam niejasne wrażenie, że ktoś mnie niesie. Nie muszę otwierać oczu, żeby wiedzieć, że to Tucker. Tę mieszaną zapachu słońca i mężczyzny rozpoznałabym wszędzie. Moja głowa zwiesza mu się z ramienia, ręce zwisają luźno.

Miałam wizję. Znowu. O ile wizja to w ogóle jeszcze odpowiednie słowo. Bo nie tylko to widziałam. Ja tam byłam.

I widocznie zemdlalam. Znowu.

Próbuję usiąść, odzyskać władzę w rękach i nogach, ale kiedy tylko się poruszam, natychmiast zaczynam kaszleć. Jakbym nawdychała się dymu. Tucker zatrzymuje się w jednej chwili.

- Dzięki Bogu - oddycha z ulgą. - Wszystko z tobą w porządku.

Nie jestem pewna, czy posunęłabym się tak daleko. Wręcz przeciwnie, mam wrażenie, że nic nie jest w porządku. Kaszlę i kaszlę, aż w końcu udaje mi się oczyścić płuca. Patrzę w okropnie zmartwione oczy Tuckera

i próbuję się uśmiechnąć. I natychmiast zaczynam kaszleć znowu.

- Nic mi nie jest - mówię. Kachu, kachu, kachu.

- Trzymaj się. Już prawie jesteśmy na miejscu. Rusza znowu i po kilku minutach docieramy do samochodu. Otwiera tył, łapie znajomy koc i rozkłada go jedną ręką, drugą wciąż mnie trzymając. Delikatnie mnie na nim układa, a potem sam wdrapuje się obok.

- Dzięki - udaje mi się wychrypieć. - Jesteś moim bohaterem. - Za mało powiedziane. Przynajmniej kaszel znika.

- Co się stało?

Patrzę w niebo, na ogromne kłębiaste chmury przesuwające się powoli nad naszymi głowami.

Przechodzi mnie lekki dreszcz, który dostrzega Tucker.

- Możesz mi powiedzieć.

- Wiem.

Patrzę na niego. Słodkie niebieskie oczy ma tak pełne miłości i troski, że czuję, jak w gardle rośnie mi gula.

- Dobrze się czujesz? Potrzebujesz lekarza?

- Nie, po prostu zemdlałam. Czeka. Biorę głęboki wdech.

- Miałam wizję - mówię.

A potem wypływa ze mnie cała historia.

- Gdzie my jesteśmy? - pytam, kiedy kończę. Oboje teraz siedzimy, Tucker opiera się plecami oabinę, próbując wszystko to przetrawić. Nie umiem stwierdzić, czy jest wściekły z powodu Christiana, czy też mu ulżyło, że moja obsesja ma swoje podstawy. Przez dziesięć minut nie odezwał się ani słowem.

- Co myślisz? - pytam, nie mogąc dłużej znieść tego milczenia.

- Myślę, że to niewiarygodne. I znowu to słowo.

- To coś w rodzaju tajnej misji.

- Tak.

Rzecz jasna wersja, którą opowiedziałam Tuckero-wi, nie obejmuje nieprzyjemnych szczegółów, takich jak trzymanie się za rękę i dotykanie policzka w sposób, który oznacza, że oboje z Christianem jesteśmy w tamtej chwili pochłonięci wyłącznie sobą. Sama nie wiem, co o tym myśleć.

- Więc gdzie my jesteśmy? - pytam znowu.

- Jak to gdzie? Moje miejsce jest obok ciebie, twoje obok mnie. Ty tak nie myślisz?

- Nie. To znaczy, gdzie jesteśmy? Dosłownie.

- Och, na Fox Creek Road.

Fox Creek Road. Taka prosta, bezpretensjonalna nazwa dla miejsca, gdzie ma się wypełnić przeznaczenie. A więc wiem już gdzie. Wiem też kto i co.

Pozostało mi tylko jeszcze dowiedzieć się kiedy.

I dlaczego.

18. *Zycie w cieniu misji*

Siedzę na łódce z Tuckerem pośrodku jeziora Jackson, kiedy w końcu oddzwania Angela.

- No dobra, co się dzieje? - pyta. W tle słyszę bicie dzwonów. - Był już pożar?

- Nie.

- Zadziałałaś coś w końcu z Christianem?

- Nie! - Zaczynam się jękać, całkowicie wytrącona z równowagi. - On... Ja nie... Nie ma go w mieście. Zerkam na Tuckera. Unosi brwi i pyta bezgłośnie: „Kto to?” Kręcę lekko głową.

- Więc co to za nagły problem? - rzuca niecierpliwie.

- Wysłałam ci mejl wieki temu. Dopiero go odebrałaś?

- Nie miałam dostępu do Internetu - mówi, próbując się bronić. - Byłam trochę odcięta od świata. Więc już wszystko w porządku? Kryzys zażegnany?

- Tak - mówię, patrząc wciąż na Tuckera. Uśmiecha się. - Wszystko w porządku.

- To co się stało?

- Chcesz wracać? - pyta Tucker.

Kręcę głową znowu i uśmiecham się, żeby mu pokazać, że wszystko jest, tak jak powiedziałam, w najlepszym porządku.

- Mogę oddzwonić później? - pytam Angełę.

- Nie, nie możesz! Kto to był?

- Tucker - mówię z wymuszoną lekkością. Przesuwa się i opada na siedzenie obok, cały czas uśmiechając się szelmowsko, co sprawia, że oddech więźnie mi w gardle, a serce przyspiesza.

- Tucker Avery - upewnia się Angela.

- Tak.

- Wendy też tam jest?

- Nie, Wendy jest wciąż w Montanie.

Tucker podnosi moją dłoń i zaczyna całować kłykcie jeden po drugim. Przechodzi mnie dreszcz i próbuję wyrwać mu rękę, ale on nie puszcza.

- Czyli tylko Tucker - stwierdza Angela.

- Tak. - Staram się zdusić śmiech, kiedy Tucker lekko gryzie mnie w palec.

- Co ty tam robisz z Tuckerem Averym?

- Łowią ryby.

Całe popołudnie pływaliśmy dookoła po jeziorze, całując się, ochlapując nawzajem wodą, jedząc winogrona, prele i kanapki z tuńczykiem, całując się jeszcze więcej, przytulając się, łaskocząc, śmiejąc, a tak, trochę znowu całując, ale gdzieś w tym wszystkim na pewno było łowienie ryb. Dobrze pamiętam, że w którymś momencie miałam w ręku wędkę.

- Nie - mówi cicho Angela.

- Słucham?

- Co ty robisz z Tuckerem Averym? - pyta z naciskiem.

Czasami naprawdę jest zbyt bystra. Dla własnego dobra.

Siadam i odsuwam się od Tuckera.

- To naprawdę nie jest odpowiedni moment. Oddzwonię później.

Nie daje się zbyć.

- Dałaś ciała, prawda? - mówi. - Dekoncentrujesz się, choć powinnaś się skupić i przygotować. Nie mogę uwierzyć, że flirtujesz teraz z Tuckerem Averym. A co z Christianem? Co z przeznaczeniem, Claro?

- Nie daję ciała. - Wstaję i ostrożnie przechodzę na drugi koniec łódki. - Wciąż mogę zrobić to, co mam do zrobienia.

- Jasne. Brzmi, jakbyś miała wszystko pod kontrolą.

- Zostaw mnie. Nic nie wiesz.

- Twoja mama wie?

Kiedy nie odpowiadam, wybucha krótkim, gorzkim śmiechem.

- Super - mówi. - Brawo.

- To moje życie.

- Tak, to prawda. I właśnie konkursowo je sobie chrzanisz.

Rozłączam się. A potem odwracam i napotykam pytający wzrok Tuckera.

- Co to było? - pyta miękko.

Nie wie, że Angela jest anielitką, a ja nie zdradzę jej sekretu.

- Nic. Po prostu ktoś, o kim myślałam, że jest przyjacielem.

Marszczy brwi.

- Myślę, że powinniśmy się schować. Już dość długo tu jesteśmy.

- Jeszcze nie - mówię błagalnie.

Nad naszymi głowami zbierają się ciemne, burzowe chmury. Tucker zerka w niebo.

- Naprawdę powinniśmy się stąd zabierać. Zaczyna się sezon i burza może się pojawić znikąd. Zwykle trwa ze dwadzieścia minut, ale potrafi być gwałtowna. Powinniśmy wracać.

- Nie.

Łapię go za rękę i ciągnę na rufę, a tam popycham na dół i siadam zwinięta obok, zarzucając sobie jego ręce na ramiona i chowając się w jego ciepłe, w jego znajomym, kojącym zapachu. Wyciskam pocałunek na żyłce pulsującej na jego szyi.

- Claro...

Przykładam palec do ust.

- Jeszcze nie - szepczę. - Zostańmy tu jeszcze chwilę.

Następnym razem telefon dzwoni, kiedy jem połówkę wieprzową z jabłkami i fenkułem, jedną z najbardziej imponujących potraw mamy. Rzecz jasna, jest przepyszna, ale wcale nie myślę o jedzeniu. Nie myślę też o Angeli. Od rozmowy na jeziorze minęły dwa dni, a ja robię wszystko, żeby o niej zapomnieć. Pochłaniają mnie myśli o Tuckerze, śnię o nim na jawie. Ostatnich parę dni spędził na rzece, pracując, żeby - jak powiedział - móc postawić swojej dziewczynie stek na obiad z okazji naszej miesięcznicy. Jesteśmy ze sobą cały miesiąc, co za obłęd! Za każdym razem, kiedy nazywa mnie swoją dziewczyną, wciąż przechodzą mnie dreszcze. Zamierza zabrać mnie na tańce, nauczyć two-stepu i tańca liniowego, i w ogóle.

- Zamierzasz odebrać? - pyta mama, unosząc brew po drugiej stronie stołu. Jeffrey też się na mnie gapi. Próbuję zebrać rozproszone myśli. Wyciągam komórkę z kieszeni i patrzę na wyświetlacz. Numer nieznany. Ciekawość bierze górę. Naciskam przycisk „Odbierz”.

- Halo-mówię.

- Hej, nieznajoma - odzywa się znany głos. Christian.

Omam nie upuszczam telefonu.

- O, cześć. Nie rozpoznałam twojego numeru. Łał, jak się masz? Jak tam lato? Jak Nowy Jork? -
Zadaję zbyt wiele pytań.

- Nudny. Ale już wróciłem.

- Już?

- No cóż, jest sierpień. Niedługo szkoła. Prawdę mówiąc, w tym roku mam zamiar się wykazać. Na maturze i w ogóle.

- Racja.

- Więc tak jak mówię, wróciłem. Myślałem o tobie całe lato i chciałbym cię zaprosić jutro wieczorem na kolację. A właściwie na randkę, gdyby to nie było jasne - mówi celowo lekkim tonem, ale w jego głosie kryje się tyle niuansów, że mam wrażenie, jakby z pokoju nagle wyciekło całe powietrze. Podnoszę wzrok i widzę, że mama i Jeffrey wpatrują się we mnie.

Christian czeka, żebym powiedziała: „Tak, tak, tak, z rozkoszą zjem z tobą kolację, kiedy możesz po mnie wpaść, nie mogę się doczekać”, ale ja nie mówię ani słowa. Bo co miałabym powiedzieć?

„Przepraszam, wiem, że to wyglądało tak, jakbym szalała na twoim punkcie, ale to było kiedyś. Teraz mam chłopaka. Kto późno przychodzi, sam sobie szkodzi”?

- Jesteś tam? - pyta.

- Tak, pewnie. Przepraszam.

- Nie ma sprawy...

- Nie mogę jutro - mówię szybko, cicho, ale wiem, że mama mnie słyszy. Ma bardzo dobry słuch.

- Och. - Christian sprawia wrażenie zaskoczonego. - W porządku. A w niedzielę?

- Nie wiem. Oddzwonię i dam ci znać - mówię. Stchórzyłam.

- Jasne. - Christian próbuje się zachowywać, jak gdyby nigdy nic, ale wszyscy wiemy, on, mama, Jeffrey i ja, że sprawa jest poważna. - Masz mój numer. - Szybko mamrocze słowa pożegnania i się rozłącza.

Zamykam telefon. Przez chwilę panuje krępująca cisza. Mama i Jeffrey mają niemal taki sam wyraz twarzy: jakbym straciła rozum.

- Dlaczego powiedziałaś: nie? - pyta mama. Pytanie za milion dolarów, to właśnie, na które tak bardzo nie chcę odpowiadać.

- Nie powiedziałam: nie. Po prostu jutro nie mogę.

- Dlaczego nie?

- Bo mam inne plany. Mam swoje życie, wiesz? Sprawia wrażenie rozeźlonej.

- Wiem. I cóż takiego jest w twoim życiu w tej chwili ważniejszego od Christiana?

- Tucker. - Cały ten czas mówiłam jej, że wychodzę z ludźmi ze szkoły, a ona mi wierzyła. Nigdy nie miała powodu, żeby wątpić w moje słowa. A poza tym była zbyt zestresowana i zajęta pracą, żeby zwracać na to uwagę.

- Więc odwołaj to spotkanie - radzi mi mama. Kręcę głową i mówię:

- Nie. - Nie zrozumiała mnie. Patrzę na nią. - Ja chodzę z Tuckerem.

- Żartujesz - krztusi się Jeffrey, a ja wiem, że to nie dlatego, że nie lubi Tuckera, tylko dlatego, że po prostu nikt w mojej rodzinie nie jest w stanie uwierzyć, że zainteresowałam się kimś innym niż Christian. W końcu to on jest powodem, dla którego tu przyjechaliśmy.

- Nie. Tucker jest moim chłopakiem. - Mam ochotę powiedzieć, że go kocham, ale wiem, że to już będzie przesada.

Mama odkłada widelec.

- Przepraszam, że ci nie powiedziałam wcześniej - mówię zakłopotana. - Myślałam... Nie wiem, co

myślałam. To znaczy wciąż zamierzam ocalić Christiana. Tak jak w wizji.

Tylko że wcale nie tak jak w wizji, w każdym razie nie w tej, w której jest całe to trzymanie się za ręce, dotykanie policzka i reszta cikliwości. Ale ocalę go. W tej sprawie jestem zdecydowana.

- Ćwiczyłam latanie. Tak jak mówiłaś, jestem coraz silniejsza. Myślę, że dam radę go unieść.

- Skąd wiesz, że chodzi o to, żeby uratować Christiana?

- Bo w wizji odlatuję z nim przed płomieniami. To się nazywa ratunek, prawda?

- I to wszystko?

Uciekam wzrokiem przed jej wszystkowiedzącym spojrzeniem. „Stanowimy jedno”. Te słowa jak okruch szkła tkwiły w moim umyśle od czasu ostatniej wersji wizji. Obracałam je w myślach wciąż i wciąż, próbując znaleźć potwierdzenie, że może źle je zrozumiałam. Nie chcę być zakochana w Christianie Prescottcie. Już nie.

- Nie wiem - mówię. - Ale będę tam. Ocalę go.

- To nie jest jakaś przypadkowa sprawa, którą masz załatwić, Claro - odzywa się cicho mama. - To jest twoje zadanie na tym świecie. Naszedł czas. Wczoraj ogłoszono alarm przeciwpożarowy dla hrabstwa Teton. Ogień może wybuchnąć lada chwila. Musisz się skupić. Nie możesz pozwolić, żeby coś ci teraz przeszkadzało. Mówimy o twoim życiu.

- Właśnie. - Unoszę odrobinę brodę. - To moje życie.

Ostatnio często to powtarzam. Mama twarz ma bladą, spojrzenie twarde, oczy pozbawione blasku.

Pewnego ranka, kiedy byliśmy dzieć-

mi, Jeffrey znalazł grzechotnika na patio z tyłu domu, ospałego od zimna. Mama poszła do garażu i wróciła z motyką. Kazała nam trzymać się z tyłu. A potem podniosła motykę i odrąbała węzowi głowę jednym precyzyjnym ruchem.

Ma teraz taki sam wyraz twarzy, spokojny i zdecydowany. Przeraza mnie.

- Mamo, wszystko jest w porządku - zaczynam.

- Nic nie jest w porządku - mówi bardzo powoli. -Masz szlaban.

Tej nocy po raz pierwszy w życiu wykradam się z domu. Tak naprawdę to bardzo proste, wystarczy, że podniosę okno, zrobię krok na zewnątrz, przez chwilę balansuję na krawędzi dachu, a potem przywołam skrzydła i odleczę. Tylko że zawsze byłam grzeczną dziewczynką. Posłuszną. Ze ścieżki, którą wyznaczyła mi mama, nigdy nie zboczyłam ani o krok. Dlatego ten zwykły przejaw buntu sprawia, że serce ciąży mi tak bardzo, że z trudem podrywam się do lotu.

Ląduję przed oknem Tuckera. Leży na łóżku i czyta komiks, *X-Mena*. Uśmiecham się. Włosy ma krótsze niż wczoraj. Musiał je sobie przyciąć przed naszą miesięcznicą. Stukam leciutko w szybę. Patrzy w górę i rozciąga usta w uśmiechu ucieszony, że mnie widzi. Serce mi podskakuje. Całe szczęście, że nie jestem anielitą-po-słańcem. Nienawidzę przynosić złych wieści.

Chowa komiks pod poduszkę i pochodzi do okna. Musi włożyć nieco siły, żeby je otworzyć, bo powietrze jest gorące i ciężkie i okno się zaklinowało. Rzuca okiem na moje skrzydła i widzę, jak próbuje powściągnąć instynktowny strach, który pojawia się za każdym razem,

kiedy staje przed dowodem na to, że niektóre rzeczy na tym świecie są niezupełnie takie, jak się wydają. W końcu wychyla się i ujmuje moją dłoń. Chowam skrzydła. Próbuję się uśmiechnąć. Wciąga mnie do pokoju.

- Cześć. Co się stało? Wyglądasz na... zmartwioną. Prowadzi mnie do swojego łóżka, a ja siadam. Sam bierze krzesło, które stoi przy biurku, i siada naprzeciwko. Spojrzenie ma zatroskane, ale pewne, jakby myślał, że znieśli wszystko, co mu zaserwuję. Jest ze mną, to właśnie mówią jego oczy.

- Wszystko w porządku? - pyta.

- Tak. W pewnym sensie. - Nie zostało mi nic innego, jak mu powiedzieć. - Nie powinnam tu być. Mam szlaban.

Sprawia wrażenie zdezorientowanego.

- Na jak długo?

- Nie wiem - mówię żałośnie. - Mama nie wnikała w szczegóły. Na czas nieokreślony, jak sądzę.

- Ale dlaczego? Co zrobiłaś?

- Eee... - Jak mam mu wyjaśnić, że to dlatego, że odrzuciłam zaproszenie na randkę od Christiana Prescottta? Ze mama ukarała mnie, bo nie powiedziałam jej, że jestem dziewczyną Tuckera. Nie żebym to przed nią ukrywała, ściśle rzecz biorąc. Po prostu nie powiedziałam jej, bo podejrzewałam, że się będzie krzywić. Ale nie aż tak.

Moja twarz musiała coś zdradzić, bo Tucker mówi:

- To przeze mnie, tak? Twoja mama mnie nie akceptuje?

Wyczuwam, że czuje się zraniony. To okropne. Nie mogę patrzeć na jego dzielną twarz, kiedy maluje się na niej taki wyraz. To niesprawiedliwe. Tucker to typ chło-

paka, który większość matek uznałaby za idealny dla swoich córek. Pełen szacunku, grzeczny, wręcz rycerski. A poza tym nie pali, nie pije, nie ma nawet żadnych kolczyków ani szalonych tatuaży. Złoty chłopak.

Ale moja mama o to nie dba. Kiedy już mnie uziemiła, powiedziała, że gdybym była normalną dziewczyną, bez problemu mogłabym się spotykać z Tuckerem. Ale nie jestem. Mam do wypełnienia zadanie. I ono nie dotyczy Tuckera.

- Chodzi o Christiana? - pyta.

- Coś w tym stylu - wzdygam.

- To znaczy?

- Mam się na nim skoncentrować. Mama uważa, że mnie od tego odciągasz. Stąd ten szlaban. - Wiem, że zasługuje na lepsze wyjaśnienie, ale nie chcę o tym więcej rozmawiać. Nie chcę się czuć, jakbym go zdradzała, bo to nie mój wybór, tymczasem on tak właśnie teraz na mnie patrzy.

Znowu długo milczy.

- A ty co myślisz? - pyta w końcu.

Waham się. Nie znam żadnych historii o anielitach, którzy nie wypełnili swojego zadania. Właściwie trudno powiedzieć, żebym w ogóle znała jakieś historie o anielitach. I kropka. Wiem tylko, że marnieją i umierają, jeśli zawiodą. Mama oczywiście nigdy nie przedstawiła mi żadnej innej opcji. Zawsze mówiła o moim zadaniu jako o rzeczy nieuniknionej. Jako o czymś, do czego zostałam stworzona.

- Nie wiem - przyznaję.

To zła odpowiedź. Tucker wypuszcza powietrze.

- Wygląda na to, że musimy się widywać z kimś innym. A w każdym razie ty musisz.

- Co takiego? Odwraca się.

- Zrywasz ze mną?

Wpatruję się w niego, a fale szoku przepływają przede mną niczym trzęsienie ziemi. Wypuszcza powietrze, przejeżdża palcami przez krótko ostrzyżone włosy, po czym spogląda mi w oczy.

- Tak myślę. Wstaję.

- Tuck, nie. Coś wymyślę. Zrobię coś, żeby się udało.

- Twoja mama nie wie, prawda?

- Czego?

- Że ja o tobie wiem. Że wiem, że jesteś anielitką i w ogóle.

Wzdycham i kręcę głową.

- A gdyby się dowiedziała, miałabyś jeszcze większe kłopoty.

- To nie ma znaczenia...

- To ma znaczenie. - Zaczyna spacerować po pokoju. - Nie zamierzam być kimś, kto wszystko psuje, Claro. Nie zamierzam stawać na drodze twojemu przeznaczeniu.

- Proszę, nie.

- Będzie dobrze - mówi raczej do siebie niż do mnie. - Może kiedy się to już skończy, kiedy wybuchnie ten pożar, a ty go ocalisz i w ogóle, wszystko będzie tak jak dawniej.

- Tak - zgadzam się słabo.

Za kilka tygodni, miesiąc, góra dwa sezon pożarów się skończy, a wtedy będzie już po wszystkim.

Cała ta sprawa z Christianem się skończy i będę mogła wrócić do Tuckera. I już nic nigdy nie stanie nam na prze-

szkodzie. Tylko że w to nie wierzę. Nie potrafię. Gdzieś w środku wiem, że jeśli pójde z Christianem do lasu, nigdy nie uda mi się odnaleźć z powrotem drogi do Tuckera. To będzie koniec. Na dobre. Nie patrzy mi w oczy.

- Jesteśmy młodzi - mówi. - Mamy mnóstwo czasu na miłość.

Przez dwa dni nie wychodzę z łóżku. Świat jest wyprany z kolorów, jedzenie nie ma smaku. To głupie, wiem. Tucker jest tylko chłopakiem. Ludziom zdarza się, że zostają porzuceni, tak to w życiu jest. Powinnam czuć się lepiej, bo wiem, że tak naprawdę wcale nie chciał mnie rzucić. Starał się postąpić właściwie. Czy nie to właśnie powiedział Christian, kiedy rozstawał się z Kay? „Po prostu staram się postąpić właściwie. Nie mogę dać jej tego, czego potrzebuje”. Ale ja potrzebuję Tuckera. Brak mi go. Rankiem trzeciego dnia dzwoni dzwonek do drzwi. Prawie nigdy się to nie zdarza i pierwsze, co mi przychodzi do głowy, to że to musi być Tucker. Że zmienił zdanie i że mimo wszystko się uda. Mama pojechała po zakupy. Słyszę, jak Jeffrey zbiega na dół, żeby otworzyć. Wyskakuję z łóżka i biegnę do łazienki, żeby rozczesać włosy i zmyć ślady łez z twarzy. Zarzucam coś na siebie, patrzę w lustro, a potem zmieniam bluzkę na flanelową koszulę, którą Tucker tak lubi, tę, która podkreśla błękit moich oczu. Tę, którą miałam na sobie wtedy na Skaczącym Drzewie. Ale gdy tylko dotykam klamki i wychodzę na korytarz, wiem, że przy drzwiach wejściowych nie będzie Tuckera. W głębi duszy wiem, że nie jest typem, który zmienia zdanie.

To Angela. Opowiada Jeffreyowi o Włoszech, uśmiecha się. Wygląda na zmęczoną, ale szczęśliwą. Oboje odwracają się, kiedy schodzę po schodach, ciągnąc nogę za nogą. Zważywszy na naszą ostatnią rozmowę, nie potrafię zdecydować, czy cieszę się, że ją widzę.

Jej uśmiech gaśnie, kiedy spogląda na mnie.

- O rany. - Wypuszcza powietrze, jakby była w szoku, że aż tak źle może wyglądać człowiek.

- Zapomniałam, że wracasz w tym tygodniu - mówię z najniższego stopnia.

- Tak, no cóż, ciebie też dobrze widzieć. - Unosi kącik ust.

Podchodzi i ściąga mnie ze schodów, a potem bierze garść moich włosów i podnosi do światła wpadającego przez okno.

- O rany - wzdycha znowu. Śmieje się. - Takie są dużo lepsze niż rude, C. Zmieniłaś się. Twoja skóra cała promienieje. - Przykłada mi dłoń do czoła, jakbym była chorym dzieckiem. -1 jest ciepła. Co się stało?

Nie wiem, co jej odpowiedzieć. Wcale tego nie zauważyłam, kiedy patrzyłam w lustro na górze.

Widziałam tylko swoje złamane serce.

- Podejrzewam, że moje zadanie jest coraz bliżej. Mama mówi, że staję się coraz silniejsza.

- To szaleństwo. - Nie rozumiem, skąd ta nieskrywana zawiść w jej złotych oczach. Nie przywykłam, żeby mi zazdrościła. Zwykle było na odwrót. - Jesteś piękna - mówi.

- Ona ma rację - odzywa się nagle Jeffrey. - Właściwie wyglądasz jak anioł.

Tylko że to, czy jestem piękna, nie ma znaczenia. Bo jestem beznadziejna. Łzy zaczynają spływać mi po policzkach.

- Och, C... - Angela obejmuje mnie i ściska.
- Tylko nie mów: „A nie mówiłam”, dobra?
- Jak długo to trwa? - pyta Jeffreya.
- Kilka dni. Mama kazała jej zerwać z Tuckerem. To nie do końca prawda, ale nie mam zamiaru go poprawiać.
- Wszystko będzie dobrze - mówi Angela. - Chodźmy się umyć, bo mimo tej świetlistej skóry i w ogóle trochę jednak cuchniesz, C. A potem coś zjemy i pogadamy. I wszystko będzie dobrze, zobaczysz. - Odsuwa się i patrzy na mnie podnieconym wzrokiem ange-lologa. - Mam ci do opowiedzenia tyle niesamowitych rzeczy!

Dochodzę do wniosku, że mimo wszystko cieszę się, że tu jest.

Kiedy mama wraca z miasta, znajduje Angelę i mnie w salonie. Angela maluje mi właśnie paznokcie u stóp ciemnoróżowym lakierem, a ja nareszcie jestem świeża i pachnąca. Obie z mamą prowadzą rozmowę bez słów -spojrzenie mamy mówi, że jest szczęśliwa, że nareszcie wyszłam z pokoju, a Angeli, że wszystko ma pod kontrolą. To prawda, czuję się lepiej, choć nie dlatego, że Angela ma wyjątkowy talent do podnoszenia na duchu, ale dlatego że nie chcę przed nią okazywać słabości. Ona sama zawsze jest taka silna, bystra i skupiona. Kiedy jesteśmy razem to tak, jakbyśmy stale grały w „prawda czy wyzwanie”, i teraz właśnie jesteśmy przy wyzwaniu: Angela kazała mi w końcu przestać snuć się z kąta w kąt i zacząć nareszcie zachowywać, jak przystało na anielitkę. Etap nastolatki ze złamanym sercem został oficjalnie zamknięty. Pora przejść do etapu następnego.

- Na dworze jest tak pięknie - mówi mama. - Nie miałybyście ochoty na piknik? Przygotowałam wam kilka kanapek.

- Nie mogę, mam szlaban.

Wciąż jestem wściekła na mamę. Bo z jej powodu straciłam Tuckera. I wciąż nie wierzę, że tak być musiało. Prawdę mówiąc, cały ten syf - moje zadanie, katastrofa na polu uczuciowym, obecne przygnębienie, żeby nie wspomnieć o całkowitej niewiedzy na temat tego, jak to wszystko ma się ułożyć - prowadzi do niej. To ona powiedziała mi o boskim obowiązku, który mam wypełnić. To ona wpadła na pomysł przeprowadzki do Wyoming. To ona twierdziła stanowczo i zapewniała mnie niezmiennie, że wszystko ma swój powód, i to jej głupie zasady utrzymywały mnie w nieświadomości. To. Wszystko. Jej. Wina. Bo jeśli nie jej, to Boga, a ja nie jestem gotowa, żeby się wkurzać na Wszechmogącego.

Angela marszczy brwi, a potem odwraca się do mamy i uśmiecha.

- Piknik byłby super. Z całą pewnością powinniśmy gdzieś wyjść.

Angela chce, żebyśmy zjadły na dworze, znalazły sobie jakiś piknikowy stolik w górach, może nad jeziorem Jenny, mówi, ale ja nie dam rady. Bo to sprawi, że będę myślała o Tuckerze. Wystarczy, że jestem na dworze, a już za nim tęsknię. Godzę się z myślą, że może nigdy więcej nie będę w stanie spacerować po okolicy. Dlatego jedziemy do Podwiązki. Scenę przygotowano do wystawienia *Oklahoma!*, są na niej zagony sztucznej pszenicy, połamane wozy, drzewa, zarośla i żółte farmy, a w tle błękitne niebo. Angela rozkłada koc na deskach, siadamy i jemy nasz lunch.

- Szukałam informacji na temat Czarnych Skrzydeł - mówi, odgryzając spory kęs zielonego jabłka.
- Czy to bezpieczne? Biorąc pod uwagę to, co mówiła moja mama o świadomości i w ogóle?

Wzrusza ramionami.

- Nie sędzę, żebym była bardziej świadoma ich obecności niż wcześniej. Po prostu wiem więcej. Wyciąga nowy zeszyt, jeden z tych prostych, klasycznych czarno-białych notatników, cały zapisany tym, co udało jej się ustalić na temat aniołów. Pismo Angeli jest zwykle ścisłe, pochyłe, pełne zawijasów, ale notatki w zeszycie są nabazgrane w pośpiechu, wszędzie rozsmarowany atrament, jakby nie dość szybko udawało jej się spisać słowa. Przerzuca strony. Myślę o swoim pamiętniku, który zaczęłam prowadzić z taką pasją i zdecydowaniem zaraz po tym, jak pierwszy raz miałam wizję. Nie dotknęłam go od miesiący. Angela naprawdę mnie zawstydza.

- Proszę - mówi. - Nazywają ich *moestifere*, żalonymi. Znalazłam starą książkę w bibliotece we Florencji, w której jest o nich mowa. Tłumaczy się to jako smutne demony.

- Demony? Ale przecież to mają być aniołowie.

- Demony to anioły - tłumaczy Angela. - Tak naprawdę to raczej artystyczne rozróżnienie. Malarze zawsze chcieli malować anioły z pięknymi białymi ptasimi skrzydłami, a ponieważ upadłe anioły też musiały mieć skrzydła, nie wystarczyło dać im po prostu czarnych piór. Trzeba było namalować je ze skrzydłami jak u nietoperzy. I to pociągnęło za sobą rogi, ogon, widły, wszystkie te wyobrażenia, jakie mają teraz ludzie.

- Ale ten facet, którego widziałyśmy w centrum, wyglądał zupełnie zwyczajnie.

- Tak jak ci mówiłam, myślę, że mogą wyglądać, jak zechcą. Pewnie w ten sposób sprawiają, że czujesz, że to ważne, nie? Gdybyś na przykład nagle zaczęła sobie wypłakiwać oczy, to byłby zły znak.

- Ten smutek w mojej wizji... Mama mówiła, że to mogłoby być Czarne Skrzydło.

Angela patrzy na mnie współczująco.

- Masz ją teraz częściej?

Kiwam głową. W ciągu ostatniego tygodnia miałam ją przynajmniej raz dziennie. Trwa tylko kilka minut. Tak naprawdę to coś w rodzaju przebitki, nic poważnego. Nic ponadto, co już wiem: avalanche, las, wędrówka, ogień, Christian, słowa, które wypowiadamy, dotyk, uścisk, odlot. Staram się ją ignorować.

- Mama wciąż powtarza, że powinnam trenować, ale jak? Umiem już dobrze latać, potrafię przenosić rzeczy. Jestem coraz silniejsza, ale to przecież nie moje mięśnie się liczą, prawda? Więc jak mam trenować? Co mam robić?

Przez chwilę zastanawia się nad moim pytaniem, a potem mówi:

- Powinnaś trenować umysł. Tak jak mówiła wtedy twoja mama. Musisz oddzielić się od wszystkich tych dupereli, dotrzeć do rdzenia i się skoncentrować. Możemy to zrobić razem. - Uśmiecha się. - Pomogę ci. Najwyższy czas się tym zająć, C. Wiem, że z Tuckerem kiepsko wyszło, ale naprawdę nie możesz się na to wypiąć. Wiesz o tym, prawda?

- Tak.

- No to do dzieła - mówi, klaszcząc w dłonie i podskakując, jakbyśmy miały zacząć już w tej chwili. - Nie ma czasu do stracenia. Zabieramy się do treningu.

19. Sztruksowa *marynarka*

Tak więc trenujemy. Codziennie rano wstaję razem ze słońcem i staram się nie myśleć o Tuckerze. Biorę prysznic, czeszę włosy, myję zęby i staram się nie myśleć o Tuckerze. Schodzę na dół i robię sobie koktajl mleczny - Angela wymyśliła dla nas dietę opartą na surowych produktach. Mówi, że im czystszy pokarm, tym lepiej dla umysłu. Zgadzam się z tym. Dodaję nawet wodorosty, co, o dziwo, sprawia, że myślę o Tuckerze. I o łowieniu ryb. I o całowaniu. Zamykam się. Po śniadaniu przychodzi czas na medytację na ganku, która w zasadzie sprowadza się do daremnych prób niemyślenia o Tuckerze. Potem wracam do domu i trochę czasu spędzam w Internecie. Sprawdzam pogodę, kierunek i prędkość wiatru, a co najważniejsze, stopień zagrożenia pożarem. Przez te ostatnie dni sierpnia cały czas ogłaszają stan podwyższonego lub najwyższego pogotowia. Pożar jest bliski.

W dni podwyższonego zagrożenia spędzam popołudnia, machając skrzydłami w lasku na tyłach domu. Latam z workiem marynarskim, za każdym razem zwiększając obciążenie i starając się nie myśleć, że to Tuckera trzymam w ramionach. Czasami Angela idzie ze mną i razem kreślimy skrzydłami wzory na niebie. Jeśli pracuję bardzo ciężko i mocno się staram, udaje mi się wyrzucić Tuckera z głowy na kilka godzin. A czasami mam wizję i wtedy przez chwilę w ogóle o nim nie myślę.

Angela zmusza mnie, żebym robiła dokumentację wizji. Sporządziła nawet specjalny arkusz kalkulacyjny. W te dni, kiedy mi nie pomaga, zwykle dzwoni w porze

kolacji - słyszę wtedy muzykę z *Oklahoma!* w tle -i mnie magluje. Dała mi zeszytik, który noszę w tylnej kieszeni dzinsów, i kiedy zdarzy mi się wizja, mam rzucić wszystko (kiedy mam wizję i tak zazwyczaj wszystko rzucam) i zapisywać. Godzinę. Miejsce. Czas trwania. Każdy aspekt, jaki mi się przypomni. Każdy szczegół.

To dzięki temu zaczynam dostrzegać różnice. Na początku zakładam, że za każdym razem wizja jest dokładnie taka sama, ale odkąd muszę ją zapisywać, uświadamiam sobie, że codziennie pojawiają się niewielkie rozbieżności. Z grubsza wszystko wygląda tak samo: jestem w lesie, nadciąga pożar, znajduję Christiana, odlatujemy. Za każdym razem mam też na sobie fioletową marynarkę. Za każdym razem Christian ma czarny polar. Te rzeczy wydają się stałe, niezmiennie. Ale czasami wdrapuję się na wzgórze z nieco innej strony albo Christian stoi kilka kroków bardziej w prawo lub w lewo niż poprzedniego dnia, albo wypowiadamy swoje kwestie: „To ty”, „Tak, to ja”, w inny sposób lub w innej kolejności. Zauważam też, że mój smutek się zmienia. Czasami czuję ból od samego początku. Kiedy indziej dopiero kiedy widzę Christiana - wtedy uderza we mnie niczym załamująca się fala. Czasami płaczę, a czasami mój pociąg do Christiana, magnetyzm między nami zwycięża smutek. Jednego dnia odlatujemy w jedną stronę, innego dnia w inną.

Nie wiem, jak to tłumaczyć. Angela uważa, że te wariacje mogą być różniącymi się nieco od siebie wersjami przyszłości, z których każda opiera się na ciągu wyborów, jakich tego dnia dokonałam. To sprawia, że się zastanawiam, co z tego wszystkiego w ogóle jest kwestią

wyboru. Czy w tym scenariuszu jestem aktorem, czy tylko marionetką? Podejrzewam, że w ostatecznym rozrachunku to bez znaczenia. Zawsze chodzi o to samo: o moje przeznaczenie. W dni najwyższego pogotowia latam nad górami w pobliżu Fox Creek. Robię rozpoznanie, szukam śladów dymu. Zważywszy na kierunek, z jakiego ogień nadchodzi w mojej wizji, Angela i ja doszliśmy do wniosku, że wybuchnie najprawdopodobniej w górach i będzie się przesuwiał wzdłuż Kanionu Śmierci (przerazająco odpowiednia nazwa) aż do Fox Creek Road. Dlatego patroluję teren o promieniu około trzydziestu kilometrów. Nie przejmuję się, że mogą mnie zobaczyć ludzie. Mimo przygnębienia i rozczulania się nad sobą latanie sprawia mi frajdę. Szybko okazuje się, że uwielbiam fruwać w świetle dnia i widzieć pod sobą ziemię taką spokojną, nieskalaną. Naprawdę jestem jak ptak, gdy rzucam długi cień na skały. Chcę być ptakiem. Nie chcę myśleć o Tuckerze.

- Przykro mi, że jesteś taka nieszczęśliwa - mówi mama pewnej nocy, kiedy tępo skaczę po kanałach. Ramiona mam obolałe. Ćmi mnie głowa. Od ponad tygodnia nie jadłam porządnego posiłku. Rano Angela wpadła na pomysł fantastycznego eksperymentu i spróbowała przypalić mi palec zapałką, żeby sprawdzić, czy będę się paliła. Okazało się, że owszem. Ale choć robię wszystko, czego chce i - o ironio - dzięki poczciwej Angelí jestem już starą wyjadaczką, z mamą wciąż układa mi się nie najlepiej. Nie potrafię jej wybaczyć. Nie jestem pewna, czego dokładnie, ale na pewno nie potrafię.

- Widzisz to? To coś w rodzaju małego miksera. Możesz tym posiekać czosnek, zrobić przecier dla dziecka i margaritę, a wszystko za jedyne czterdzieści dziewięć dziewięćdziesiąt dziewięć - mówię, nie patrząc na nią.

- To po części moja wina.

W ten sposób przyciąga moją uwagę. Ściszam telewizor.

- Jak to?

- Zaniedbałam cię tego lata. Pozwoliłam ci biegać samopas.

- Ach, więc to twoja wina, bo gdybyś zwracała na mnie większą uwagę, mogłabyś przede wszystkim zapobiec spotkaniom z Tuckerem. Zdusić niepożądane uczucie w zarodku.

- Tak - odpowiada, z rozmysłem puszczając mój sarkazm mimo uszu.

- Dobranoc, mamó - mówię, podkreślając z powrotem głos.

Pstrykam na wiadomości. Pogoda. Gorąco i sucho. Dość wietrznie. Sprzyja pożarom. Pod koniec tygodnia przewidywane burze. Wystarczy jedna błyskawica, żeby cała okolica stanęła w płomieniach. Czeka nas niezła zabawa.

- Claro - odzywa się mama powoli. Najwyraźniej nie skończyła jeszcze spowiedzi.

- Załapałam - warczę. - Kiepsko się czujesz. Ale teraz powinnam iść spać na wypadek, gdybym musiała jutro wypełnić swoje przeznaczenie.

Wyłączam telewizor, rzucam pilota na kanapę, wstaję i mijam ją po drodze na schody.

- Przepraszam, dziecinko - mówi tak cicho, że wcale nie wiem, czy miałam to usłyszeć. - Nie masz pojęcia, jak mi przykro.

Zatrzymuję się w połowie schodów i odwracam.

- No to mi powiedz - wypalam. - Jeśli ci tak przykro, to mi powiedz.

- Co ci mam powiedzieć?

- Wszystko. Wszystko, co wiesz. Poczynając od twojego zadania. Nie sądzisz, że byłoby miło, gdybyśmy mogli usiąść przy herbacie i porozmawiać o naszych zadaniach?

- Nie mogę - mówi.

Oczy jej ciemnieją, źrenice rozszerzają się, jakby moje słowa sprawiły jej fizyczny ból. A potem jakby zamknęła między nami drzwi, jej twarz przestaje wyrażać cokolwiek. Serce mi się ściska, częściowo dlatego, że jestem wściekła, że może coś takiego zrobić, że potrafi tak skutecznie się ode mnie oddzielić, a częściowo dlatego, że właśnie dotarło do mnie, że jedynym powodem, dla którego tak bardzo stara się utrzymać mnie w nieświadomości, jest to, że nie wierzy, że poradzę sobie z prawdą. A to znaczy, że prawda musi być naprawdę nieprzyjemna.

Albo też mimo całego tego wspierającego matczynego gadania tak naprawdę wcale we mnie nie wierzy.

Następny dzień jest dniem najwyższego pogotowia. Rano stoję w przedpokoju, próbując zdecydować, czy włożyć sztruksową marynarkę, czy nie. Jeśli jej nie włożę, to czy wybuchnie pożar? Czy możliwe, żeby to było aż tak proste? Całe moje życie uzależnione od zwykłej decyzji w kwestii stroju?

Postanawiam tego nie sprawdzać. W każdym razie na tym etapie nie próbuję uniknąć pożaru. Chcę, żeby

już było po wszystkim. Poza tym w chmurach robi się zimno. Wkładam marynarkę i wyruszam.

Jestem w połowie swojego patrolu, kiedy uderza we mnie fala smutku.

To niezwykajny smutek. Nie chodzi ani o Tuckera, ani o Christiana, ani o rodziców. To nie żal ani depresja nastolatki. Tylko czysta, naga rozpacz. Jakby wszyscy, których kiedykolwiek kochałam, nagle umarli. Zalewa mi umysł, przyćmiewając wzrok. Dławi mnie tak, że nie mogę oddychać. Cała moja lekkość znika. Zaczynam spadać, próbując chwycić się powietrza. Jestem tak ciężka, że opadam jak kamień.

Na szczęście zamiast roztrzaskać się o skały, uderzam o drzewo. Prawą ręką i skrzydłem zawadzam o gałąź w koronie. Rozlega się trzask, po którym gdzieś w górze ramienia następuje najgorszy ból, jakiego kiedykolwiek doświadczyłam. Krzyczę, kiedy ziemia pędzi mi na spotkanie. Sprawną ręką osłaniam twarz i to ona przyjmuje na siebie wszystkie ciosy i zadrapania po drodze. Zatrzymuję się kilka metrów nad ziemią i zwisam ze skrzydłami zaplątanymi w gałęzie.

Wiem, że to Czarne Skrzydło. Mimo bólu i paniki wciąż jestem w stanie zdobyć się na tę drobną dedukcję. To jedno przypuszczenie ma sens. Co oznacza, że muszę się stąd zabierać, i to szybko.

Zagryzam więc wargi i próbuję się uwolnić. Skrzydła się zaklinowały, prawe jest pewnie złamane. Chwilę mi zajmuje, zanim przypomnę sobie, że przecież mogę je schować, po czym ostatni kawałek drogi pokonuję, spadając jak śliwka.

Ciężko uderzam o ziemię. Znowu krzyczę jak opętana. Ból ramienia przy upadku jest tak silny, że niemal

tracę przytomność. Nie mogę zaczerpnąć powietrza. Nie jestem w stanie jasno myśleć, smutek zaćmiewa mi głowę. Rośnie z każdą chwilą, aż w końcu mam wrażenie, że serce pęknie mi z bólu. To znaczy, że on jest niedaleko.

Siadam z trudem i odkrywam, że nie mogę ruszyć ręką. Zwisa mi z ramienia pod dziwnym kątem. Nigdy wcześniej nie byłam tak poważnie ranna. Gdzie się podziała moja niezwykła umiejętność uzdrawiania, akurat kiedy jest potrzebna? Ostrożnie dźwigam się na nogi. Twarz mam z jednej strony mokrą. Unoszę dłoń, żeby dotknąć policzka, a kiedy ją odsuwam, widzę krew.

To nieważne, myślę. Uciekaj stąd. I to już.

Każdy ruch sprawia mi ogromny ból. Czuję się, jakbym miała umrzeć. Dosłownie. Nie ma nadziei, nie ma światła, na moich ustach nie ma modlitwy. Jestem wykończona. Kusi mnie, żeby się po prostu położyć i pozwolić, żeby mnie dostał.

Nie, mówię sobie. To, co czujesz, to Czarne Skrzydło. Nie zatrzymuj się, idź. Noga za nogą. Zabieraj się stąd.

Chwiejnie pokonuję kilka kroków i, dysząc, opieram się o drzewo. Próbuję zebrać siły. I wtedy słyszę głos mężczyzny za plecami. Płyne jakby niesiony wiatrem. Z całą pewnością nie należy do człowieka.

- Hej, ptaszyno. Zamieram.

- Co za upadek. Wszystko w porządku?

20. *Piekielny ból*

Odwracam się bardzo, bardzo powoli. Stoi niecałe trzy metry dalej, przyglądając mi się ciekawie. Jest obłędnie przystojny. Nie mogę uwierzyć, że nie zauważyłam tego wtedy w centrum. Podejrzewam, że wszystkie anioły powinny być zabójczo piękne, ale nie przypuszczałam, że dosłownie są zabójczo piękne. Jeśli istnieje forma idealnego mężczyzny, ten facet został z niej odlany. Nie jest tym, czym się wydaje. Nie wygląda ani na młodego, ani na starego, na skórze nie ma najmniejszej zmarszczki czy skazy, czarne jak węgiel włosy lśnią. Ale ja wiem, że jest stary jak skała pod moimi stopami. Sprawia wrażenie niezmiernie spokojnego. Smutku, który czuję każdym swoim nerwem, wcale nie widać na jego twarzy. Kąciki ust uniósł nawet leciutko w wyrazie czegoś na kształt współczującego uśmiechu. Gdybym nie wiedziała, mogłabym pomyśleć, że w jego głosie słychać życzliwość i że naprawdę chce mi pomóc. Jakby wcale nie był wielkim złym aniołem, który mógłby mnie zabić małym palcem. Jakby był tylko zaniepokojonym przechodniem. Nie mogę biec. To niemożliwe. Nie mogę latać. Żal odebrał mi lekkość, jest jak cień przesłaniający słońce. Prawdopodobnie zginę. Chciałabym zawołać mamę. Próbuję przedrzeć się przez rozpacz Czarnego Skrzydła, która oblepia mnie niczym mokry koc, i powiedzieć sobie, że po drugiej stronie cienkiej zasłony jest niebo, a ten człowiek, ten oszust udający człowieka, może zabić moje ciało, ale nie może tknąć mojej duszy.

Aż do tej pory nie wiedziałam, że naprawdę w to wierzę. Ta myśl sprawia, że przez chwilę jestem dzielna. Staram się nie myśleć o Tuckerze, Jeffreyu i wszystkich innych, których zostawię, jeśli ten facet mnie zabije. Zmuszam się, żeby się wyprostować i spojrzeć mu w oczy.

- Kim jesteś? - pytam stanowczo. Unosi brew.

- Odważne maleństwo - mówi, robiąc krok w moją stronę.

Kiedy się porusza, powietrze wokół niego rozmywa się i stabilizuje dopiero, kiedy się zatrzymuje. Im dłużej na niego patrzę, tym mniej ludzki się wydaje. Jakby ciało, które przede mną stoi, było tylko kostiumem, który włożył tego ranka. I jakby pod spodem była istota, która aż pulsuje z żalu i wściekłości, ledwo powstrzymując się, żeby się nie wyrwać na wolność. Robi kolejny krok w moją stronę.

Cofam się. Z jego ust wydobywa się krótki, cichy śmiech, stłumiony chichot, który sprawia, że dreszcz strachu przechodzi mnie od stóp do głów.

- Jestem Sam. - Ma leciutki akcent, ale nie umiem go rozpoznać. Mówi niskim, melodyjnym głosem, próbując mnie uspokoić.

To śmieszne imię dla istoty, z której zimna, mroczna moc promieniuje niczym coś w rodzaju antychwały. Omal nie wybucham śmiechem. Nie wiem, czy to ten straszliwy ból w barku, czy ciężar jego emocjonalnego bagażu, ale mam wrażenie, jakbym traciła poczucie rzeczywistości. Pękam, choć tortury jeszcze się nie zaczęły. Popadam w odrętwienie, jakby moje ciało, nie mogąc tego wszystkiego znieść, wyłączało się kawałek po kawałku. To ogromna ulga.

- A kim ty jesteś? - pyta z naciskiem.

- Clara.

- Clara - powtarza, jakby kosztował językiem mojego imienia i ten smak mu odpowiadał. - Bardzo stosownie. Jaki masz stopień?

Przynajmniej raz zwyczaj trzymania mnie przez mamę w niewiedzy się opłacił. Nie mam pojęcia, o co mu chodzi. Podejrzewam, że sprawiam wrażenie niemal tak nieświadomej, jak się czuję.

- Kim są twoi rodzice? - pyta.

Przygryzam usta aż do krwi. Czuję dziwny nacisk na umysł, jakby próbował wyciągnąć z mojego mózgu potrzebne informacje. Jeśli je znajdzie, będzie to miało zabójcze konsekwencje dla wszystkich. Miga mi przed oczami twarz mamy, po czym rozpaczliwie zaczynam myśleć o czymś innym. O czymkolwiek.

Niech to będą niedźwiedzie polarne, mówię sobie. Niedźwiedzie na biegunie północnym. Polarne misie pędzące za matką po śniegu. Niedźwiedzie pijące coca-colę.

Wpatruje się we mnie.

Niedźwiedzie polarne przedzierające się przez lód, żeby się dostać do małych foczek. Ich długie, ostre zęby. Różowe pyski i łapy.

- Mógłbym sprawić, żebyś mi powiedziała - mówi czarny anioł. - Ale byłoby milej, gdybyś to zrobiła z własnej woli.

Niedźwiedzie polarne umierające z głodu. Płynące wciąż przed siebie w poszukiwaniu suchego lądu. Toną, ich ciała podskakują na wodzie. Szkliste oczy, martwy wzrok. Biedne martwe polarne misie. Z rozmysłem robi kolejny krok w moją stronę. Patrzę bezradnie. Moje ciało nie reaguje na rozkaz do ucieczki.

- Kim są twoi rodzice? - ponawia pytanie. Polarne misie się skończyły. Nacisk na mój umysł się zwiększa. Zamykam oczy.

- Tata jest człowiekiem, mama dimidiusem - mówię szybko w nadziei, że go to zadowoli.

Nacisk staje się lżejszy. Otwieram oczy.

- Jesteś silna jak na kogoś tak słabej krwi - stwierdza.

Wzruszam ramionami. Czuję ulgę, że zaprzestał prób przejęcia kontroli nad moim umysłem. Ale w głębi duszy wiem, że spróbuje znowu. Wydobędzie imiona. Dowie się, gdzie mieszkamy. Zdobędzie wszystkie informacje. Chciałabym, żeby był jakiś sposób, by ostrzec mamę.

I wtedy przypominam sobie o komórce.

- Tak. Nie mam dla ciebie zbytnej wartości. Dlaczego nie pozwolisz mi odejść?

Mówiąc to, wsuwam dłoń do kieszeni. Dobrze, że komórkę mam po lewej, bo nie sądzę, żeby mi się udało zrobić coś prawą ręką. Wyczuwam klawisz z numerem dwa i wciskam, wzdrygając się w duchu na cichutki dźwięk, jaki wydaje. Zaczyna dzwonić. Modlę się, żeby anioł nie usłyszał. Zaciskam palce na głośniku.

- Po prostu chciałem z tobą porozmawiać - przemawia łagodnie.

Przypomina mamę - w jednej chwili brzmi zupełnie normalnie, współcześnie, w drugiej staroświecko, jakby właśnie zszedł z kart jakiejś wiktoriańskiej powieści.

- Halo? - To mama.

- Nie bój się - mówi czarny anioł. Podchodzi bliżej. - Nawet do głowy by mi nie przyszło, żeby cię skrzywdzić.

- Claro? - pyta cicho mama. - Czy to ty?

Muszę jej przekazać wiadomość. Nie żeby przyszła mnie uratować, bo wiem, że nie mogłaby zwyciężyć czarnego anioła. Ale żeby ratowała siebie.

- Po prostu chcę stąd odejść - mówię na tyle głośno i wyraźnie, na ile to możliwe, żeby nie wzbudzić jego podejrzeń. - Iść stąd i nigdy nie wracać.

Robi jeszcze jeden krok i nagle znajduję się w zasięgu jego czarnej chwały. Odrętwienie znika. Z całą siłą czuję smutek, ból tak głęboki i przenikliwy, jakby mnie uderzył sztachetą w pierś.

Co mówiła mama? Że anioły zostały stworzone, żeby zadowalać Boga, i kiedy występują przeciwko swojej naturze, przyprawia je to o emocjonalny i fizyczny ból?

Ten facet naprawdę cierpi. Nie należy się po nim spodziewać niczego dobrego.

- Zwichnęłaś sobie bark - stwierdza. - Stój spokojnie.

Nim zdążę się spostrzec, jego zimne, twarde jak skała palce owijają się wokół mojego nadgarstka, po czym rozlega się głośny trzask, a ja krzyczę i krzyczę, póki nie zabraknie mi głosu. Ściana szarości wypełnia mi pole widzenia. Anioł obejmuje mnie ramionami i przyciska do piersi, kiedy upadam.

- Już dobrze - mówi, gładząc mnie po włosach. Pozwalam, żeby pochłonęła mnie szarość.

Kiedy odzyskuję przytomność, powoli docierają do mnie dwie rzeczy. Po pierwsze, ból w barku niemal zupełnie zniknął. A po drugie, w zasadzie tulię się do Czarnego Skrzydła. Twarz mam przyciśniętą do jego piersi. Jego ciało jest nieruchome i twarde jak posąg. Dotyka mnie, wodzi palcami po mojej skórze - jedną ręką gładzi

mój kark, drugą oparł mi na krzyżu. Pod bluzką. Dłonie ma zimne jak trup. Skóra mi cierpnie. Najgorsze jest to, że wyczuwam jego umysł. Jakbym pływała w lodowatym morzu jego świadomości. Czuję, jak jego zainteresowanie mną rośnie. Myśli, że jestem rozkosznym dzieckiem, szkoda tylko, że mam tak rozrzedzoną krew. Przypominam mu kogoś. Podoba mu się mój zapach. Wyczuwa szampon lawendowy, krew, ślad chmury. I dobroć. Wyczuwa we mnie dobroć, której pragnie. Pragnie mnie. Weźmie mnie. Jeszcze jedna, myśli. Przez jego pożądanie przebija gniew. Jakie to proste.

Sztywnieję w jego ramionach.

- Nie bój się - mówi znowu.

- Nie.

Kładę dłonie na jego twardej jak skała piersi i pcham z całych sił. Nawet nie drgnie.

W odpowiedzi opuszcza mnie na ziemię.

Bezskutecznie walę go pięściami. Krzyczę. W głowie mam gonitwę myśli. Obsikam go. Obrzygam.

Będę biła, drapała. Przegram, pewnie, ale jeśli on ma mnie naznaczyć, to ja też go naznaczę, o ile to w ogóle możliwe.

- To na nic, ptaszyno.

Muska ustami moją szyję. Czuję jego myśli. Jest zupełnie samotny. Odcięty. Nigdy nie będzie mógł wrócić.

Wrzeszczę mu prosto w ucho. Wzdycha z żalem i zatyka mi usta ręką. Drugą łapie mnie za nadgarstki i pociąga ręce nad głowę, przygważdżając mnie do ziemi. Jego palce wbijają się w moje ciało niczym zimny metal.

Smakuje jak popiół.

Moje dzielne myśli o niebie bledną w zderzeniu z rzeczywistością.

- Przestań - rozlega się rozkaz.

Anioł zabiera rękę z moich ust. Wstaje szybkim, płynnym ruchem i unosi mnie w ramionach jak szmacianą lalkę. Ktoś tam stoi. Kobieta z długimi rudymi włosami.

Moja mama.

- Witaj, Meg - mówi Czarne Skrzydło, jakby wpadła na popołudniową herbatkę.

Mama stoi pod drzewami jakieś trzy metry dalej, nogi trzyma rozstawione na szerokość bioder, jakby przygotowywała się na cios. Twarz ma tak groźną, że wygląda, jakby była kimś innym. Nigdy dotąd nie widziałam, żeby miała takie oczy - błękitne jak najgorętsza część płomienia. Wzrok wbiła w twarz Czarnego Skrzydła.

- Zastanawiałem się, co u ciebie słyhać - odzywa się anioł. Nagle sprawia wrażenie młodszego. Wręcz chłopięcego. - Tak mi się wydawało, że cię niedawno widziałem. I to gdzie? W centrum handlowym?

- Witaj, Samjaza - mówi mama.

- Przypuszczam, że to twoje.

Zerka na mnie. Wciąż czuję go w swojej głowie. Jego pragnienie zniknęło w chwili, kiedy zobaczył moją mamę. Uważa, że to ona jest prawdziwie piękna. Uświadamia sobie, że to ją mu przypominałam. Jej słodkiego ducha. Odwagę. Taka podobna do swojego ojca.

- Zaskakujesz mnie, Meg - ciągnie przyjaznym głosem. - Nigdy bym nie podejrzewał, że zostaniesz matką. I to w tak późnym wieku.

- Zabieraj od niej ręce, Sam - mówi ze znużeniem mama, jakby naprawdę ją zirytował.

Anioł zacieśnia uchwyt.

- Może trochę szacunku?

- Ona jest tylko ćwierćaniołem. Nie jest warta twojej uwagi. Ledwie nieco więcej niż człowiekiem.

Na moment przeskakuje na mnie wzrokiem. Ma jakiś pomysł.

- Nie - oznajmia chłodno Sam. - Chcę ją mieć. Chyba że wolisz, żebym wziął ciebie?

- Idź do diabła - warczy mama.

Gniew anioła jest niczym grzyb atomowy, choć wyraz jego twarzy nie ulega zmianie.

- Dobrze-mówi.

Mruczy coś w języku aniołów, słowo, którego tym razem nie rozumiem, i nagle powietrze wokół nas zaczyna migotać i się rozstępuje. Dobiega nas trzask. Ziemia pod naszymi stopami drży lekko, tak jak wtedy, gdy ktoś upuści coś ciężkiego na podłogę. A potem świat, jaki znam, ustępuje miejsca szarości. Tak jakby las, w którym jesteśmy, zamienił się w ponure, przygnębiające pustkowie. Kształty są takie same jak w miejscu, które opuściliśmy, zbrocza gór nadal porastają drzewa, tylko że nigdzie nie ma liści ani igieł. Tylko nagie szare pnie i poskręcane gałęzie na tle ziarnistego, wydającego pomruki nieba. Nie ma żadnych kolorów, zapachów ani dźwięków poza sporadycznymi grzmotami. Żadnych ptaków. Światło jest wyblakłe, jakby zachodziło słońce, a po czymś, co na Ziemi wydawało się idealnie czystym niebem, przetaczają się ciemne burzowe chmury.

Zawsze wyobrażałam sobie piekło jako miejsce pełne gorących płomieni, jezior siarki i demonów z rogami oraz czerwonymi oczami, torturujących dusze potępionych. Tymczasem tutaj powietrze jest tak zimne, że widzę swój oddech. Owiewa mnie coś w rodzaju lepkiej mgły i zimno przenika moje ciało do szpiku kości. Drzę jak osika.

Mama jest jaśniejsza niż wszystko wokół, też w czerni i bieli, ale tak jakby kontrast na niej został wyostrzony. Jej skóra promieniuje bielą. Włosy ma czarne jak atrament.

Anioł poluzował uścisk na moim ramieniu. Oboje wiemy, że tutaj nie mam dokąd uciec. Sprawia wrażenie dużo bardziej rozluźnionego. W piekle jest potężniejszy, wyższy i bardziej umięśniony, jeśli to w ogóle możliwe. Jego moc jest ogromna, oczy błyszczą. Zamyka je na chwilę i wciąga głęboko powietrze, jakby się nim rozkoszował. I wtedy pojawiają się jego skrzydła. Są olbrzymie, dużo większe niż mamy czy moje, i oleiste, całkowicie czarne, jakby otworzyła się za nim czarna dziura, która wsysa wszelkie światło.

Uśmiecha się smutno. Jest z siebie dumny. Przeniesienie nas do piekła z miejsca, gdzie staliśmy, wcale nie było proste. Chciał zrobić wrażenie na mojej matce.

- Jesteś większym głupcem, niż myślałam - stwierdza bez ogródek mama. Wcale nie wydaje się być pod wrażeniem. - Nie możesz nas tu zatrzymać.

To dla mnie dobra wiadomość.

- Zapominasz, kim jestem, Margaret.

Jej obelgi zupełnie go nie poruszają, może wręcz myśli, że są czarujące. Jest taki cierpliwy. Chłubi się tą swoją cierpliwością. Wie, że mama się boi. Czeka, aż na jej spokojnej powierzchni pojawią się pęknięcia.

- Nie - mówi miękko mama. - To ty zapominasz, kim ja jestem, Obserwatorze.

Czuję, jak nagle przeszywa go ukłucie strachu. Nie boi się mojej mamy, ściśle rzecz biorąc, tylko kogoś innego. Dwóch osób. Niewyraźnie widzę ich zarys w jego umyśle. Stoją w pewnym oddaleniu: dwóch mężczyzn

o śnieżnobiałych skrzydłach. Jeden ma włosy ogniście rude i płomiennie niebieskie oczy. Drugi, jasnowłosy, o złotej skórze, wygląda groźnie, choć nie jestem w stanie dostrzec rysów jego twarzy. Ale dzierży w dłoniach płonący miecz.

- Kto to? - szepczę, zanim zdążę się powstrzymać. Sam zerka na mnie i marszczy brwi.

- Co widziałaś?

Znowu sonduje mój mózg, czuję przelotny nacisk

i nagle jest tak, jakby między naszymi umysłami zatrzasnęły się drzwi. Zabiera dłoń, jakbym go parzyła. W chwili, gdy przestaje mnie dotykać, jego myśli znikają. Gniew i smutek zostają przecięte na pół. Czuję, że znowu mogę się poruszać. Mogę oddychać. Mogę uciekać.

Nie zastanawiam się. Stawiam stopę na jego podbiciu - nie żeby to wyrządziło mu jakąś szkodę - a potem wystrzelam przed siebie, prosto do matki. Wyciąga rękę, a ja ją chwytam. Popycha mnie za siebie, nie puszczając przy tym mojej dłoni.

Czarne Skrzydło wydaje z siebie odgłos przypominający warknięcie. Włoski na ręce stają mi dęba. Wyraz jego twarzy nie pozostawia złudzeń. Zamierza nas zgładzić.

Rozpościera skrzydła. Chmury wokół nas trzeszczą od energii. Mama ściska moją dłoń.

Zamknij oczy, nakazuje mi w myślach. Nie wiem, co jest dla mnie większym szokiem - czy to, że potrafi mówić bezgłośnie, czy to, że spodziewa się, że w takiej chwili zamknę oczy. Nie czeka, aż usłucham. Wokół nas wybucha jasność. Tam, dokąd docierają promienie, widać cień barwy i ciepła. To chwała.

Czarny anioł natychmiast się wycofuje. Przesłania oczy. Jego twarz wykrzywia ból. Nareszcie widać na niej to, co naprawdę czuje. Jakby coś go zjadało od środka.

Me patrz na niego. Zamknij oczy, rozkazuje znów mama.

Robię, co mówi.

Grzeczna dziewczynka, dobiega mnie głos mamy w głowie. A teraz wezwij skrzydła. Nie mogę. Jedno jest złamane. To bez znaczenia.

Przywołuję skrzydła. Czuję ukłucie bólu tak silne, że aż gwałtownie wypuszczam powietrze i omal nie otwieram oczu, ale trwa to tylko sekundę. Przeszywa mnie ogień, przenika przez mięśnie, ścięgna i kości, a potem, tak jak wtedy, kiedy zacięłam się w dłoń, znika. Nie tylko ból skrzydeł. Znikają też zadrapania na rękach i twarzy, siniaki, bolesność w barku. Wszystko znika. Jestem całkowicie uleczona. Wciąż przerażona, ale uleczona. I znowu ciepła.

Nadal jesteśmy w piekle? - pytam mamę.

Tak. Nie potrafię sama zabrać nas z powrotem. Nie jestem dość potężna. Potrzebuję twojej pomocy. Co mam zrobić?

Myśl o ziemi. Pomyśl o zieleni i wszystkim, co rośnie. O kwiatkach, drzewach, trawie pod stopami. Pomyśl o tym, co kochasz.

Przywołuję osikę przed domem, jak szeleści na wietrze, cała drży w powodzi zielonych fal, prześwietlone słońcem liście poruszają się razem, jakby tańczyły. Przypominam sobie tatę, jak przycina stare karty kredytowe na kształt maszynki i jak oboje golimy się w niedzielny poranek, przy czym ja przejeżdżam po twarzy plastikiem,

naśladować jego ruchy, a potem napotykam ciepłe spojrzenie jego szarych oczu w zaparowanym lustrze. Myślę o naszym domu i o zapachu cedru i sosny, który uderza w nozdrza, gdy tylko przestąpi się jego próg. I o niesławnym cieście kawowym mamy - brązowy cukier rozpuszcza się na moim języku. I o Tuckerze, o tym, jak stoję koło niego i oddychamy tym samym powietrzem. *Tucker*. Ziemia pod naszymi stopami drży, ale mama szybko mnie łapie.

Znakomicie. A teraz otwórz oczy, mówi. Ale nie puszczaj mojej ręki.

Światło jest tak jasne, że aż mrużę oczy. Znowu jesteśmy na ziemi, stoimy niemal dokładnie w tym samym miejscu gdzie wcześniej, chwała otacza nas niczym niebiańskie pole siłowe. Uśmiecham się. Mam wrażenie, jakby nie było nas wiele godzin, choć wiem, że wszystko to trwało raptem kilka minut. Jak dobrze widzieć kolory. Tak jakbym obudziła się z jakiegoś koszmaru i świat wrócił na swoje miejsce.

- Wiesz, że nie wygrałaś? - odzywa się znajomy zimny głos.

Mój uśmiech gaśnie. Sam wciąż tu jest, stoi z tyłu, poza zasięgiem chwały, i spogląda na nas chłodno, z opanowaniem.

- Nie dasz rady utrzymać jej w nieskończoność - stwierdza.

- Damy radę wystarczająco długo - odpowiada mama. Ta odpowiedź go denerwuje. Przebiega szybko wzrokiem po niebie.

- Nie muszę cię dotykać. - Wyciąga ręce w naszą stronę, dłońmi do góry.

Przygotuj się do lotu, mówi głos mamy w mojej głowie.

Z dłoni Czarnego Skrzydła bucha dym, a potem unosi się niewielki płomień. Sam wpatruje się w mamę. Mama zacieśnia uścisk na mojej ręce, gdy odwraca dłoń i ogień skapuje mu z palców na ziemię. Wyschnięte krzaki szybko się zajmują i płomienie przenoszą się na konar najbliższego drzewa. Sam stoi pośrodku ognia nietknięty, a wokół niego tumany dymu wzbijają się w górę. Wiem, że my nie będziemy miały tyle szczęścia. Robi krok naprzód, wyłania się zza ściany dymu i spogląda na mamę.

- Zawsze uważałem cię za najpiękniejszą ze wszystkich nefilimów - mówi.

- To zabawne, bo ja zawsze uważałam cię za najbardziej odrażającego ze wszystkich aniołów.

To dobra kwestia. I to ja ją poddałam mamie. Podejrzewam, że Czarne Skrzydło nie ma poczucia humoru.

Żadna z nas nie spodziewała się strumienia ognia, który wystrzela z jego ręki. Uderza mamę w pierś i w jednej chwili jej włosy zajmują się płomieniami. Chwała, która emanowała z nas, gaśnie. W chwili, gdy znika, czarny anioł już jest obok. Chwyta mamę za gardło i ją unosi. Mama bezsilnie młóci nogami powietrze. Macha skrzydłami. Próbuje wyrwać dłoń, żeby mogła walczyć, ale trzyma mnie mocno. Wrzeszczę i zaczynam walić anioła wolną ręką, szarpać go za ramię. Bezskutecznie.

- Koniec szczęśliwych myśli - mówi Sam.

Spogląda mamie w oczy ze smutkiem. Znów przepelnia mnie jego żal. Przykro mu, że musi ją zabić. Patrzę na nią jego oczami, widzę ją z miedzianymi włosami, palącą papierosa, uśmiechającą się do niego szelmowsko.

Przechowywał ten jej obraz w umyśle prawie sto lat. Naprawdę wierzy, że ją kocha. Kocha, ale udusi. Usta mamy robią się sine. A ja krzyczę i krzyczę.

Cicho, słyszę znów jej głos w swojej głowie. Surowy, zaskakująco silny jak na kogoś, kto wygląda, jakby właśnie umierał. Krzyk zamiera mi w gardle. W uszach dzwoni mi jeszcze jego echo. Przetykam z trudem.

Mamo, kocham cię.

Chcę, żebyś teraz pomyślała o Tuckerze. Mamo, tak mi przykro.

Natychmiast! Jej nogi kopią coraz słabiej, skrzydła opadają na plecy. *Zamknij oczy i myśl o Tuckerze. W tej chwili!*

Zamykam oczy i próbuję się skoncentrować na Tuckerze, ale mogę myśleć tylko o tym, że ręka mamy w mojej dłoni wiotczeje i teraz już nikt nas nie ocali.

Myśl o czymś dobrym, szepcze w mojej głowie. *Przypomnij sobie chwilę, kiedy go kochałaś.*

I tak właśnie robię.

- Ile żyje dżdżownica złapana przez wędkarza? -pyta Tucker. Siedzimy na brzegu strumienia, a on przymocowuje przynętę do mojej wędki. Ma na sobie kowbojski kapelusz i flanelową koszulę w kratę narzuconą na szary T-shirt. Wygląda zachwycająco.

- No ile? - pytam. Chce mi się śmiać, choć przecież jeszcze nie powiedział puenty.

Uśmiecha się. Nie do wiary, jaki jest przystojny. I cały mój. On kocha mnie, a ja kocham jego, coś równie pięknego nie zdarza się codziennie.

- Dwa dni z hakiem - mówi.

Wybucham śmiechem na to wspomnienie. Pozwalam, żeby wypełniła mnie radość, którą wtedy czułam.

I jeszcze to, co czułam tamtego dnia w stajni, kiedy go całowałam. Kiedy trzymałam go w objęciach i stanowiłam jedno z nim i z całym światem.

I nagle wiem, czego chce mama. Chce, żebym wprowadziła się w stan chwały. Muszę odrzucić wszystko, żeby został sam rdzeń, ta część mnie, która łączy się ze wszystkim wokół, ta, która napędza moją miłość. To jest klucz, uświadamiam sobie, brakujący element chwały. To dlatego tamtego dnia w stajni zaczęłam świecić. Chodzi o miłość. *Miłość.*

Proszę, mówi mama w mojej głowie. Oto jest.

Otwieram oczy i potrzebuję chwili, żeby mój wzrok przyzwyczaił się do jasności, którą promienieję. Która się ze mnie wylewa. Świecę jak pochodnia, iskrzę jak zimne ognie na 4 Lipca.

Czarny anioł się wzdraga. Wciąż jestem uwieszona na jego ramieniu i w miejscu, gdzie go dotykam, jego skóra się rozpada. Tak jakbym przekopała się przez tę część, która jest fałszywa, przez kostium człowieka, i pochwyciła istotę kryjącą się pod spodem. Płomień bucha mi z koniuszków palców.

- Nie - mruczy z niedowierzaniem.

Uwalnia z uścisku mamę, a ona pada twarzą na ziemię. Wpuszczam jej rękę i chwytam anioła za ucho. Nie spodziewał się tego. Cofa się, ale ja przytrzymuję go bez trudu. Jego ogromna moc zniknęła. Zacieśniam uchwyt. Wyje z bólu. Klęby dymu buchają z niego niczym z suchego lodu. Rozwiewa się. W dłoni zostaje mi jego ucho.

Jestem w takim szoku, że niemal tracę chwałę. Upuszczam tę obrzydliwą resztkę, a ona rozpada się na

kawałeczki w chwili, gdy dotyka ziemi. Wyciągam rękę, myśląc, że tym razem pochwycę anioła za szyję, ale udaje mu się wywinąć. Skóra na ręku, w miejscu, gdzie go trzymałam, rozpuszcza się jak popiół na deszczu. Nie. Jak kurz. Jak kurz rozwiewany przez wiar.

- Chodźmy - mówi.

- Idź do diabła! Odpycham. Potyka się.

Nagle powietrze marszczy się, czuję podmuch lodowatego wiatru i już go nie ma.

Mama kaszle. Opadam na kolana i powoli ją przekręcam. Otwiera oczy i spogląda na mnie. Porusza wargami, ale z jej ust nie wydobywa się żaden dźwięk.

- Och, mamo - szepczę, spostrzegając ciemniejące siniaki na jej gardle. Widzę odcisk ręki anioła.

Moja chwała zaczyna blaknąć.

Wyciąga do mnie rękę, a ja ją ujmuje.

Nie pozwól, żeby zniknęła, kieruje mną w myślach. Przytrzymaj mnie.

Pochylam się, zalewając ją swoim światłem. Na moich oczach rany na jej głowie oraz szyi bledną i znikają. Spalone włosy odrastają. Bierze oddech jak pływak, który wynurzył się, żeby zaczerpnąć powietrza.

- Och, dzięki Bogu! - Robi mi się słabo z ulgi. Mama siada. Wciąż patrzy ponad moim ramieniem na coś, co mam za plecami.

- Musimy się stąd zabierać - mówi.

Odwracam się. Ogień, który wznicił czarny anioł, rozrósł się do potężnych rozmiarów. To już prawdziwy pożar, dziki i niepowstrzymany, pożerający wszystko na swojej drodze, także nas, jeśli zostaniemy tu chwilę dłużej.

Spoglądam na mamę. Powoli dźwiga się na nogi, poruszając się przy tym ostrożnie, jak staruszka wstająca z inwalidzkiego wózka.

- Nic ci nie jest?

- Jestem słaba. Ale mogę latać. Chodźmy stąd.

Wznosimy się, wirując i trzymając się za ręce. W górze widzę, jak wielki zdążył już urosnąć ogień. Zrywa się wiatr. Łapie płomienie i nagle pożar staje się dwa razy potężniejszy niż przed chwilą, ściana płomieni wytrwale zmierza w dół do Kanionu Śmierci.

Znam ten ogień. Wszędzie bym go rozpoznała.

- Chodź - mówi mama.

Wyruszamy w stronę domu. I kiedy tak lecimy, próbuję ogarnąć umysłem fakt, że to pożar z mojej wizji i że teraz, po tym wszystkim, będę musiała polecieć uratować Christiana. Zabawne, że wizja jakoś nigdy nie zahaczyła o Czarne Skrzydło. Ani o piekło. Ani o mnóstwo innych rzeczy, które mogły być pomocne.

- Kochanie, zatrzymaj się! - woła mama. - Ja się muszę zatrzymać.

Opuszczamy się na brzeg niewielkiego jeziora.

Mama siada na zwalonym pniu. Odleciałyśmy tak daleko i tak szybko, że teraz dyszy z wysiłku. Jest blada. A co, jeśli anioł zranił ją w sposób, którego nie może wyleczyć żadna chwala? A co, jeśli mama umiera?

Nagle przypominam sobie, że mam komórkę. Wyciągam ją i wybieram numer alarmowy.

- Nie - mówi mama. - Nic mi nie jest. Po prostu muszę odpocząć. Powinnaś lecieć na Fox Creek Road.

- Ale jesteś ranna.

- Powiedziałam, nic mi nie jest. Leć.

- Najpierw zabiorę cię do domu.

- Nie ma czasu. - Odpycha mnie. - Już i tak za dużo zmarnowałyśmy. Leć do Christiana.
- Mamo...
- Leć do Christiana - powtarza. - No już.

21. *Smoke Gets in Your Eyes*²

Ruszam prosto w stronę Fox Creek Road. Jestem wykończona, ale lecę, skrzydła same zdają się wiedzieć, dokąd mnie nieść. Opuszczam się na drogę w miejscu, gdzie zwykle zaczyna się moja wizja. Rozglądam się. Nie ma ani srebrnego avalanche'a na poboczu, ani pomarańczowego nieba, ani ognia. Jest zupełnie normalnie, panuje spokój. Ptaki śpiewają, liście osiki łagodnie szumią, wszystko wydaje się w absolutnym porządku.

Przyleciałam za wcześnie.

Wiem, że ogień jest po drugiej stronie góry i przemieszcza się w tę stronę. Nadejdzie. Muszę tylko zaczekać.

Schodzę z drogi, siadam pod drzewem i próbuję się skupić. To niemożliwe. Ciekawe, dlaczego Christian miałby się tu pojawić? Co mogłoby go sprowadzić na Fox Creek Road? Jakoś trudno mi wyobrazić go sobie, jak w sięgających bioder woderach macha wędką nad strumieniem. To nie pasuje.

²Refren znanego amerykańskiego przeboju (wykonywanego m.in. przez Louisa Armstronga, Billie Holiday, Charliego Parkera, Edith Piaf, Serge'a Gainsbourga); w dosłownym tłumaczeniu: „do twoich oczu dostał się dym” (przyp. tłum.).

Nic zresztą nie pasuje. W wizji wcale nie siedzę i nie czekam, aż się pokaże. Przybywa na miejsce pierwszy. Ja pojawiaam się dopiero, kiedy samochód stoi zaparkowany. Wchodzę w las i on już tam jest. Patrzy na zbliżające się płomienie.

Zerkam na zegarek. Wskazówki się nie ruszają. Zatrzymały się na jedenastej czterdzieści dwie.

Wyszłam z domu około dziewiątej, wypadek zdarzył się pewnie w okolicach wpół do jedenastej, więc o jedenastej czterdzieści dwie...

O jedenastej czterdzieści dwie byłam w piekle. I nie mam pojęcia, która jest teraz.

Powinłam była zostać z mamą. Miałam czas. Mogłam zabrać ją do domu albo do szpitala. Dlaczego nalegała, żebym ją zostawiła? Dlaczego chciała być sama? Serce ściska mi się ze strachu na myśl o tym, że mogła być dużo poważniej ranna, niż chciała przyznać, i że wiedziała, że nie uda jej się dłużej tego ukryć, więc kazała mi iść. Wyobrażam ją sobie leżącą na brzegu jeziora, jak umiera, a woda rozbija się u jej stóp. Umiera w samotności.

Przestań, karć sama siebie. Wciąż masz zadanie do wykonania.

Przez te wszystkie miesiące powtarzającej się wciąż wizji próbowałam ją zrozumieć, a teraz, kiedy w końcu nadszedł czas, wciąż nie wiem, co robić ani dlaczego. Nie potrafię pozbyć się wrażenia, że już zdążyłam zrobić coś złe. Że powinłam była pójść na tę randkę z Christianem, a wtedy może wydarzyłoby się coś ważnego, co sprawiłoby, że dziś by się tu zjawił. Może już nawaliłam.

To naprawdę przygnębiające stwierdzenie. Opieram głowę o pień drzewa akurat w chwili, kiedy dzwoni komórka. Numer, którego nie znam.

- Halo?
- Clara - słyszę znajomy, zmartwiony głos.
- Wendy? - Próbuję się pozbierać. Ocieram twarz. Dziwnie jest tak nagle prowadzić zwykłą rozmowę.
- Jesteś w domu?
- Nie - zaprzecza. - Mam przylecieć w piątek. Ale dzwonię w sprawie Tuckera. Czy on jest z tobą? Przeszywa mnie ból. Tucker.
- Nie - mówię zakłopotana. - Zerwaliśmy ze sobą. Nie widziałam go od tygodnia.
- To samo powiedziała moja mama - przyznaje Wendy. - Pewnie miałam nadzieję, że wróciliście do siebie albo coś w tym rodzaju i że jest z tobą, skoro ma dziś wolne. Rozglądam się dookoła. Powietrze staje się gęstsze. Wyraźnie wyczuwam dym. Nadchodzi pożar.
- Mama zadzwoniła do mnie, kiedy zobaczyła wiadomości. Moi rodzice są w Cheyenne na aukcji i nie wiedzą, gdzie on jest.
- Jakie wiadomości?
- Nie wiesz? Pożary?
- A więc ogień jest w wiadomościach. No tak.
- I co mówią? Jak wielki jest ten pożar?
- Co takiego? - pyta zdezorientowana. - Który?
- Słucham?
- Są dwa pożary. Jeden bardzo blisko, ogień szybko przesuwa się w dół Kanionu Śmierci. A drugi w Idaho, nieopodal Palisades. Czuję, jak zalewa mnie fala zimnego, przyprawiającego o mdłości lęku.
- Dwa pożary - powtarzam w osłupieniu.
- Dzwoniłam do domu, ale Tuckera nie ma. Myślę, że mógł pójść w góry. Uwielbia łowić ryby na końcu

Kanionu Śmierci. I w Palisades też. Miałam nadzieję, że ty i twoja komórka jesteście razem z nim.

- Tak mi przykro.

- Mam po prostu złe przeczucia. - Brzmi, jakby była bliska łoż.

Ja też mam złe przeczucia. Bardzo, bardzo złe przeczucia.

- Jesteś pewna, że nie ma go w domu?

- Mógł wyjść do stajni - odpowiada Wendy. - Tam nie słyhać telefonu. Zostawiłam mu pewnie ze sto wiadomości. Mogłabyś sprawdzić?

Nie mam wyboru. Nie mogę stąd odejść. Nie teraz, kiedy ogień jest tak blisko. Nie, skoro nie wiem, kiedy tu dotrze.

- Nie mogę - mówię bezradnie. - Nie teraz. Zapada cisza.

- Tak mi przykro, Wendy. Postaram się go znaleźć tak szybko, jak tylko będę mogła, dobra?

- Dobra - kończy. - Dziękuję.

Rozłącza się. Stoję przez chwilę, gapiąc się na telefon. W głowie mam gonitwę myśli. Żeby się upewnić, wybieram numer domu Tuckera i przeżywam katusze, kiedy telefon dzwoni i dzwoni. Gdy odzywa się automatyczna sekretarka, rozłączam się.

Ile czasu zająłby mi lot do Leniwego Psa? Dziesięć minut? Piętnaście? To niedaleko. Zaczynam chodzić w tę i z powrotem. Instykt podpowiada mi, że coś jest nie w porządku. Tucker zaginął. Jest w tarapatach. A ja stoję tu sobie i czekam, nie wiadomo na co.

Polecę. Pofrunę tak szybko, jak się da, i zaraz wrócę.

Przywołuję skrzydła i jeszcze przez chwilę stoję pośrodku Fox Creek Road, nie mogąc się zdecydować.

Nikt nie mówił, że się obejdzie bez poświęceń. Twoje miejsce jest teraz tutaj.

Nie mogę myśleć. Zanim zdążę się zorientować, już jestem w powietrzu i mknę do domu Tuckera tak szybko, jak pozwalają na to skrzydła.

Wszystko w porządku, mówię sobie. Masz czas. Po prostu odszukasz go i zaraz wrócisz.

A potem mówię sobie, że mam się zamknąć i skoncentrować na tym, żeby lecieć jak najszybciej. Nie myśleć o tym, co to wszystko znaczy - Tucker, Christian i wybór, którego właśnie dokonuję.

Docieram do Leniwego Psa w ciągu zaledwie kilku minut. Zaczynam wołać Tuckera, jeszcze zanim dotknę ziemi. Na podjeździe nie ma jego samochodu. Wpatruję się w miejsce, gdzie zwykle parkuje - plama oleju, zgnieciona trawa i polne kwiaty - i czuję, jak żołądek zamienia mi się w kamień.

Nie ma go tu.

Biegnę do stajni. Wszystko wygląda tak jak zawsze, boksy wysprzątane, wypolerowane uprząże na kołkach. Ale widzę, że nie ma Midasa. Nie ma też uzdy, którą Tucker dostał na urodziny, ani siodła, które zwykle stoi oparte o ścianę. Kiedy wychodzę na zewnątrz i idę na tyły podwórka, widzę, że nie ma też przyczepy na konie.

Tuckera nie ma w domu. Pojechał gdzieś na Midasie. Z dala od telefonów, radia i wiadomości.

Niebo przybiera znajomą złotopomarańczową barwę. Nadchodzi ogień. Muszę wracać na Fox Creek Road. Wiem, że to chwila prawdy. Miałam się tu zjawić i sprawdzić, czy nie ma Tuckera, ale to wszystko. Kiedy wrócę na Fox Creek Road, srebrny avalanche już tam będzie. Christian będzie stał i na mnie czekał. Uratuję go.

Nagle znowu mam wizję. Stoję na skraju drogi, patrzę na srebrnego avalanche'a Christiana i już mam do niego iść, kiedy ręce zaciskają mi się w pięści. Ściskam je tak mocno, że aż ranię paznokciami wnętrze dłoni. Bo wiem. Tucker znalazł się w potrzasku. Oczyma wyobraźni widzę wyraźnie, jak oparty o szyję Midasa rozgląda się w poszukiwaniu drogi ucieczki z otaczającego go piekła. Szuka mnie. Szepcze moje imię. A potem przetyka i pochyla głowę. Odwraca się do konia i delikatnie głaszcze go po szyi. Patrzę na jego twarz, kiedy godzi się ze śmiercią. Jeszcze tylko kilka uderzeń serca i dosięgnie go ogień. A ja kilometry dalej robię pierwszy krok w kierunku Christiana. Jestem tak daleko.

Teraz to rozumiem. Smutek w mojej wizji to nie żal Czarnego Skrzydła. Tylko mój, mój własny. Uderza we mnie z taką siłą, że mam wrażenie, jakby ktoś walnął mnie w pierś kijem do bejsbolu. Oczy wypełniają mi gorące, gorzkie łzy.

Tucker ma umrzeć.

A to jest sprawdzian.

Wracam na ranczo, zanosząc się szlochem. Spoglądam w niebo. Burzowe chmury gromadzą się na wschodzie, niebawem na ziemi rozpęta się piekło.

Nie jesteś zwyczajną dziewczyną, Claro.

- To niesprawiedliwe - wściekam się. - Powinieneś mnie kochać.

- *Ile żyje dżdżownica złapana przez wędkarza?*

- *No ile?*

- *Dwa dni z hakiem.*

Kocham go. Należy do mnie, a ja do niego. I dziś mnie ocalił. Moja miłość do niego mnie ocaliła. Nie mogę pozwolić, żeby umarł.

Nie zrobię tego.

- Dwa dni z hakiem, Tuck. A niech cię! Wystrzelam w niebo i mknę do Idaho. Instynkt podpowiada mi, że jest nad Palisades, na swojej ziemi. W każdym razie to jakiś punkt zaczepienia. Lecę prosto nad Palisades i właśnie wtedy widzę drugi pożar.

Jest ogromny. Dotarł do linii brzegowej jeziora i teraz pożera wszystko po drodze w górę zbocza. Nie pełźnie po poszyciu, tylko przenosi się wyżej, wśród drzew. Płomienie strzelają na wysokość co najmniej trzydziestu metrów. Kłębią się na niebie, skwiercząc i trzeszcząc. Prawdziwe piekło.

Nie zastanawiam się. Kieruję się wprost na nie. Ziemia Tuckera jest gdzieś za tymi drzewami. Ogień sprawia, że zrywa się wiatr - silny strumień powietrza, z którym muszę walczyć, żeby utrzymać się na kursie. Jest tyle dymu, że trudno mi się zorientować w terenie. Obniżam lot, próbując ominąć dym i zobaczyć drogę. Nic z tego. Lecę więc po prostu przed siebie, mając nadzieję, że mój anielski zmysł jakoś mnie poprowadzi.

- Tucker! - wołam.

Zawadzam skrzydłem o gałąź, tracę równowagę i, wirując, opadam. Prostuję się w ostatniej chwili, ląduję ciężko, ale udaje mi się utrzymać na nogach. Myślę, że jestem blisko. Byłam na ziemi Tuckera może z pięć razy tego lata i rozpoznaję zarys gór. Dym na chwilę rozwiewa się i widzę wyraźnie drogę wijącą się do góry. Wokoło jest za dużo przeszkód, żeby mogła lecieć, biegnę więc na drogę i gnam pod górę.

- Tucker!

Może wcale go tu nie ma. Płuca wypełnia mi dym, zaczynam kaszleć. Oczy mi łzawią. Może się pomyliłaś, myślę sobie. Może pojechał do Bubba's na wczesną kolację. Pierwszy raz dopadają mnie wątpliwości, ale szybko je odpędzam. Jest niedaleko, po prostu mnie nie słyszy. Nie wiem jak, ale wiem, że go tu znajdę. I kiedy droga zakręca, a ja wychodzę na polanę na granicy jego ziemi, wcale nie jestem zdziwiona, widząc jego samochód razem z przyczepą.

- Tucker! - wołam znowu ochryplym głosem. -Gdzie jesteś?

Żadnej odpowiedzi. Wodzę dookoła dzikim wzrokiem w poszukiwaniu jakiejś wskazówki. Na końcu polany widać trop, bardzo niewyraźny, ale z pewnością tam jest. Dostrzegam ślady kopyt na piasku. Spoglądam w dół drogi. Ogień zdążył już pojawić się u jej podnóży. Słyszę, jak nadchodzi, słyszę skwierczenie płonących gałęzi, huk pękającego drewna. Uciekają przed nim zwierzęta - zajęce, wiewiórki, nawet węże. Dym pełźnie po ziemi niczym rozwijający się dywan.

Muszę znaleźć Tuckera. I to już.

Teraz, kiedy znalazłam się przed płomieniami, widoczność mam dużo lepszą, choć wciąż nie nadzwyczajną. Tyle tu dymu. Szybuję ponad śladem końskich kopyt, wykrzykując jego imię. Zaglądam między drzewa.

- Tuck! - wołam wciąż i wciąż.

- Clara!

W końcu go spostrzegam. Zmierza ku mnie na Midasie. Jedzie tak szybko, jak tylko się da na takiej stromiźnie. Opadam na ziemię w tej samej chwili, kiedy on ześlizguje się z końskiego grzbietu. Biegniemy do siebie wśród kłębow dymu. Potyka się, ale nie zatrzymu-

je. A potem padamy sobie w ramiona. Tucker przyciska mnie z całych sił, nie zważając na skrzydła, usta trzyma tuż przy moim uchu.

- Kocham cię - mówi zadyszany. - Myślałem, że nie zdążę ci tego powiedzieć. - Odwraca się i zanosi kaszlem.

- Musimy iść - ponaglam, odrywając się od niego.

- Wiem. Ogień blokuje drogę. Próbowałem przejść ponad szczytem, ale Midas nie dał rady.

- Będziemy musieli polecieć. Patrzy na mnie, nie rozumiejąc.

- Poczekaj - mówi. - Ale Midas.

- Tuck, musimy go zostawić.

- Nie, nie mogę.

- Musimy. Musimy się stąd zabierać. I to już.

- Nie mogę zostawić mojego konia.

Wiem, jak się musi czuć. To najcenniejsze, co ma na świecie. Wszystkie te rodeo, nagrody, chwile, kiedy koń był dla niego niczym najlepszy przyjaciel. Ale nie ma wyboru.

- Umrzemy tutaj - tłumaczę, patrząc mu w oczy. - Nie uniosę go. Ale mogę unieść ciebie.

Nagle Tucker odwraca się i biegnie do Midasa. Przez chwilę myślę, że zamierza uciec razem z koniem. Ale odwiązuje uzdę i odrzuca ją na bok.

Wiatr się zmienia, jakby góra brała oddech. Ogień szybko przenosi się z gałęzi na gałąź. W każdej chwili drzewa wokół nas mogą się zająć płomieniem.

- Tuck, chodź! - wrzeszczę.

- Idź! - krzyczy do Midasa. - Uciekaj stąd!

Wali konia w zad, a on rży, jakby krzyczał, i pędzi z powrotem w stronę szczytu. Biegnę do Tuckera i chwytam go mocno pod ramiona.

Błagam, modlę się, choć wiem, że nie mam prawa prosić. Daj mi siłę.

Przez chwilę napinam wszystkie mięśnie, jakie mam - ramiona, nogi, skrzydła, co tylko chcecie. Natężam wszystkie siły. Wystrzelamy w górę w wybuchu czystej woli i przez dym wznosimy się ponad drzewa. Ziemia umyka nam spod stóp. Tucker trzyma mnie mocno, twarz ma przyciśniętą do mojej szyi. W sercu wzbiera mi miłość. Ciało drży od zastrzyku nowej energii. Unoszę go bez trudu, poruszam się w powietrzu z gracją większą niż kiedykolwiek wcześniej. To łatwe. Tak jakby dać się nieść przez wiatr.

Tucker wypuszcza gwałtownie powietrze. Przez kilka sekund widzimy, jak Midas galopuje po zboczu, a ja czuję smutek Tuckera na myśl o utracie. Gdy wznosimy się wyżej, widzimy, że płomienie wytrwale pną się w górę. Trudno stwierdzić, czy Midasowi się uda. Nie wygląda to dobrze. Pod nami ziemię Tuckera, niewielką polankę, na której pierwszy raz pokazałam mu skrzydła, zalewa ogień. Płonie Hiacynt, wypluwając w niebo pióropusz gęstego czarnego dymu.

Skręcam i wylatujemy spomiędzy gór na otwartą przestrzeń. Mój lot staje się tu bardziej płynny, a powietrze czystsze. Trzy zielone samochody strażackie mkną szosą w stronę ognia, ryczą syreny.
- Uważaj! - wrzeszczy Tucker.

Helikopter zmierzający do pożaru mija nas w pędzie tak blisko, że czujemy siłę łopat tnących powietrze. Spuszcza na ogień ścianę deszczu, po czym zawraca do jeziora.

Tucker drży w moich ramionach. Wzmacniam uchwyt i ruszam w stronę najbliższego bezpiecznego miejsca, jakie przychodzi mi do głowy.

Ląduję na podwórku przed domem, puszczam Tuckera, po czym oboje potykamy się i wywalamy na trawnik. Tucker przekręca się na plecy, zasłania oczy rękami i wydaje z siebie cichy jęk. Przepelnia mnie ulga tak wielka, że mam ochotę wybuchnąć śmiechem. W tej chwili obchodzi mnie wyłącznie jego bezpieczeństwo. Żyje.

- Twoje skrzydła - mówi.

Patrzę przez ramię na odbicie w oknie. Dziewczyna, która stamtąd wygląda, faluje jak ciepłe powietrze nad asfaltem. Nagle dostrzegam w niej kawałek innej istoty. Takiej jak ta, którą widziałam w Czarnym Skrzydle. Jej oczy przesłania cień smutku. Złożone skrzydła ma ciemne, grafitowe. Widać to wyraźnie nawet w szybie.

- Co to znaczy? - pyta Tucker.

- Muszę lecieć.

Właśnie w tym momencie mama zatrzymuje priusa.

- Co się stało? - woła. - Słyszałam w radiu, że ogień minął właśnie Fox Creek Road. Gdzie...

I wtedy spostrzega Tuckera klęczącego na trawie. Jej uśmiech przygasa. Patrzy na mnie znekanym wzrokiem.

- Gdzie Christian? - pyta.

Nie potrafię spojrzeć jej w oczy. Powiedziała, że ogień minął Fox Creek Road. Podchodzi do mnie w pośpiechu, łapie za skrzydło i obraca tak, żeby móc się lepiej przyjrzeć ciemnym piórom.

- Claro, coś ty zrobiła?

- Musiałam uratować Tuckera. Inaczej by umarł.

Wygląda tak krucho, jest taka wycieńczona, złamana, zagubiona. W jej oczach maluje się bezradność. Zamyka je na chwilę, po czym otwiera znowu.

- Musisz go odnaleźć - mówi. - Ja się zajmę Tuckerem. Leć!

A potem całuje mnie w czoło, jakby żegnała się ze mną na zawsze, i odwraca się w stronę domu.

22. *Spadł wielki deszcz*

Jestem za późno, ale przecież wiedziałam, że tak będzie.

Ogień już tu był.

Łąduję. Miejsce, w którym zwykle zaczyna się moja wizja, całe jest wypalone i szerniałe. Nie ma tu nic żywego. Drzewa zamieniły się w osmolone kikuty. Srebrny avalanche wciąż stoi na poboczu, jest wypalony, zwęglony, wokół nadal kłębi się dym.

Biegnę pod górę, w miejsce, gdzie w mojej wizji zawsze stoi Christian. Nie ma go. Wiatr podrywa z ziemi i ciska mi w twarz gorący popiół. Las wygląda jak z piekielnego wymiaru - ten sam krajobraz, tylko wypalony. Ogołocony ze wszystkiego, co piękne i dobre. Żadnych barw, dźwięków, żadnej nadziei.

Nie ma go tu.

Ta myśl wali mnie jak obuchem. To było moje zadanie, a ja nawaliłam. Przez cały czas myślałam wyłącznie o Tuckerze. Uratowałam go, bo nie chciałam żyć na świecie, na którym by go nie było. Nie chciałam takiego bólu. Jestem aż tak samolubna. A teraz nie ma Christiana. Mama mówiła, że był ważny. Że miał odegrać rolę w jakimś planie, czymś większym niż ja, Tucker czy cokolwiek innego. Że miał coś zrobić. A teraz go nie ma.

- Christian! - krzyczę chrapliwie, mój głos niesie się echem wśród poczerniałych pni. Nikt nie odpowiada.

Przez chwilę szukam jego ciała. Zastanawiam się, czy przy takim gorącu mogło spalić się na popiół. Zawracam do samochodu. Kluczyki wciąż tkwią w stacyjce. To jedyny ślad jego obecności. Jak otębiała wędruję po wypalonym lesie. I wtedy zachodzi słońce, ogniście czerwona kula chowa się za górami. Robi się ciemno.

Burzowe chmury, które nadciągnęły ze wschodu, otwierają się i potoki wody leją się z nich jak z kranu. Kilka minut wystarczy, żebym przemokła do suchej nitki. Trzęsę się cała. Samotna.

Nie mogę wrócić do domu. Nie sędzę, żebym potrafiła znieść widok rozczarowania na twarzy mamy.

Nie sędzę, żebym była w stanie ze sobą wytrzymać. Idę, przemarznięta i przemoczona, kosmyki włosów oblepiają mi twarz i szyję. Wspinam się na grzbiet i patrzę na ogień w oddali, na płomienie liżące pomarańczowe niebo. W pewnym sensie to piękne. Poświata. Tańczące pióropusze dymu. I burza, skłębione czarne chmury, pomruki, tu i tam błyskawice. Zimny deszcz zmywa sadzę z mojej twarzy. Zdaje się, że tak jest zawsze. Piękno i śmierć.

Za moimi plecami coś porusza się w zaroślach. Odwracam się.

Christian wychodzi spomiędzy drzew.

Czas to zabawna rzecz. Czasami wlecze się w nieskończoność. Jak na lekcji francuskiego. Albo kiedy się czeka, aż weźmie ryba. A kiedy indziej pędzi jak z kopyta,

dni przepływają przez palce. Pamiętam, jak w pierwszej klasie stałam pośrodku placu zabaw przy szkole, tuż obok drabinek, i koło mnie przebiegło stado trzecioklasistów. Wydawali mi się ogromni. Pomyślałam sobie wtedy, że kiedyś, za wiele, wiele lat, ja też będę w trzeciej klasie. To było ponad dziesięć lat temu, a mam wrażenie, jakby minęło zaledwie dziesięć minut. Ot, tak. Przeleciało, jak z bicia trzasnął, tak mówią, prawda? Lato z Tuckerem. Cały ten czas od chwili, kiedy po raz pierwszy miałam wizję.

A niekiedy naprawdę czas się zatrzymuje. Patrzymy na siebie z Christianem jak zakłęci. Jak gdyby kiedy jedno z nas się ruszy, drugie mogło zniknąć.

- Och, Claro - wzdycha Christian. - Myślałem, że nie żyjesz.

- Ty myślałeś, że ja...

Wyciąga dłoń, żeby dotknąć moich mokrych włosów. Nagle zaczyna kręcić mi się w głowie. Czuję się wyczerpana. Zupełnie zdezorientowana. Chwieję się na nogach. Łapie mnie w ramiona i podtrzymuje. Zaciskam powieki. To naprawdę on. Żywy.

- Jesteś cała przemoczona - spostrzega. Zdejmuje polar, który jest tylko odrobinę mniej mokry, i zarzuca mi na ramiona.

- Dlaczego tu jesteś? - pytam.

- Myślałem, że mam cię uratować.

Wpatruję się w niego tak intensywnie, że aż się czerwieni.

- Przepraszam - mówi. - To dziwaczna odpowiedź. To znaczy...

- Christian...

- Cieszę się, że nic ci nie jest. Powinniśmy się gdzieś schować, zanim się rozchorujesz.
- Poczekaj - mówię, szarpiąc go za ramię. - Proszę.
- Wiem, że to nie ma sensu...
- To ma sens - upieram się - poza tą częścią, kiedy to ty masz uratować mnie.
- Słucham?
- To ja mam uratować ciebie.
- Co takiego? Teraz to już ja nic nie rozumiem.
- Chyba że... - Robię dwa kroki do tyłu. Rusza za mną, ale powstrzymuję go drżącą dłonią.
- Nie bój się - mruczy. - Nie skrzywdzę cię. Nigdy bym cię nie skrzywdził.
- Ukaż mi się - szepczę.

Pojawia się krótki błysk. Kiedy wzrok mi się przyzwyczaja, widzę Christiana stojącego pod wypalonym drzewem. Kaszle i patrzy na stopy, jakby się wstydził. Zza jego ramion wystrzelają ogromne skrzydła w kolorze kości słoniowej z czarnymi cętkami. Wyglądają, jakby ktoś ochlapał je farbą. Christian porusza nimi ostrożnie, a potem składa je za plecami.

- Skąd ty...?
- Czy w twojej wizji spotykamy się tam? - pytam, wskazując na Fox Creek Road. - Ty mówisz: „To ty”, a ja mówię: „Tak, to ja”, a potem odlatujemy?
- Skąd wiesz?

Przywołuję swoje skrzydła. Wiem, że pióra mam teraz czarne, i wiem, co to dla niego znaczy, ale zasługuje, by poznać prawdę.

Oczy mu się rozszerzają. Wypuszcza z niedowierzaniem powietrze, tak jak to czasem robi, kiedy się śmieje.

- Jesteś anielitką.

- Mam tę wizję od listopada. - Słowa wylewają się ze mnie. - To dlatego tu się przeprowadziliśmy.

Miałam cię odnaleźć.

Wpatruje się we mnie osłupiały.

- Ale to moja wina - odzywa się po chwili. - To ja nie dotarłem na czas. Nie spodziewałem się, że będą dwa pożary. Nie wiedziałem, o który chodzi.

Zerka na mnie.

- Na początku nie wiedziałem, że to ty. To przez te włosy. Nie poznałem cię z rudymi. To głupie, wiem. Wiedziałem, że jesteś jakaś inna, czułem... W mojej wizji zawsze miałaś jasne włosy. Przez jakiś czas wiedziałem tylko tyle... Słyszałem czyjeś kroki za plecami, ale zanim zdążyłem się odwrócić, wszystko zniknęło. Nie widziałem twojej twarzy aż do wizji w czasie balu.

- To nie twoja wina, Christianie, tylko moja. Nie było mnie tu. Nie uratowałam cię.

W pustce wypalonego lasu mój głos brzmi donośnie i ostro. Zakrywam oczy dłońmi i zmuszam się, żeby nie płakać.

- Ale ja wcale nie potrzebowałam pomocy - mówi łagodnie. - Może mieliśmy ocalić siebie nawzajem. Ciekawe przed czym.

Opuszczam dłonie i widzę, że podchodzi do mnie, wyciągając ręce. Nie jesteśmy teraz w wizji, ale wciąż wydaje mi się piękny, choć cały jest przemoczony i pobrudzony popiołem. Ujmuje moje dłonie.

- Ty żyjesz - wykrztuszam, kręcąc głową.

Ściska moje ręce, a potem przyciąga mnie do siebie i przytula.

- Tak, dla mnie to też dobra wiadomość.

Powoli gładzi dłonią moje skrzydła, przyprawiając mnie o drżenie. A potem cofa się, unosi rękę do twarzy i patrzy. Wnętrze dłoni ma czarne. Ja też to widzę.

- Masz całe skrzydła w sadzy - zauważa ze śmiechem.

Łapię go za dłoń, przejeżdżam po niej palcem, a kiedy go unoszę, jest z całą pewnością umazany mieszaniną sadzy i deszczu. Christian wyciera rękę o dżinsy.

- Co teraz zrobimy? - pytam.

- Zobaczymy. Coś wymyślimy.

Znów spogląda mi w oczy, a potem patrzy na moje usta. Czuję kolejną falę drżenia. Zwilża wargi i patrzy na mnie pytająco.

To mogłaby być moja druga szansa. Gdyby któreś z nas potrzebowało ratunku. No bo o co jeszcze mogłoby chodzić? Wygląda na to, że niebiosy zorganizowały nam tutaj coś w rodzaju randki. Nie potrzebujemy pożaru. Moglibyśmy tu i teraz odegrać naszą wizję.

- To zawsze byłaś ty - mówi Christian tak blisko, że czuję na twarzy jego oddech.

Tonę. Chcę, żeby mnie pocałował. Chcę sprawić, żeby znowu wszystko było tak, jak trzeba. Żeby mama była ze mnie dumna. Chcę zrobić to, co powinnam. Kochać Christiana, jeśli takie jest moje przeznaczenie.

Pochyla się.

- Nie - szepczę. Nie jestem w stanie powiedzieć tego głośniej. Cofam się. Moje serce już do mnie nie należy. Oddałam je Tuckerowi. Nie mogę udawać. - Nie mogę.

Natychmiast robi krok w tył.

- W porządku - mówi. Odchrząkuje.

Biorę głęboki wdech, żeby rozjaśnić sobie w głowie. Deszcz w końcu przestał lać. Zapadła noc. Oboje

przemokliśmy do suchej nitki. Jesteśmy przemarznięci i zdezorientowani. Wciąż trzymam go za rękę. Zaciskam palce wokół jego dłoni.

- Kocham Tuckera Avery'ego - mówię po prostu. Wygląda na zaskoczonego, jakby myśl, że mogłabym

być już zajęta, nigdy nie powstała mu w głowie.

- Och. Przepraszam.

- Nie ma sprawy. Proszę, nie przepraszaj. W każdym razie czy ty przypadkiem nie kochasz wciąż Kay?

Jabłko Adama podskakuje mu, kiedy przełyka.

- Głupio się czuję. Jakby to był jakiś kosmiczny żart. Sam nie wiem, co myśleć.

- Ja też nie.

Puszczam jego dłoń. Rozkładam skrzydła, łapię wiatr i wznoszę się ponad wypalony las. Patrzy na mnie przez chwilę, po czym sam wzbija się w powietrze. Widok Christiana szybującego na tych pięknych nakra-pianych skrzydłach przyprawia moje ciało o dreszcze, a mój już i tak wstrząśnięty umysł o jeszcze większą dezorientację.

Masz poważne kłopoty, Claro, mówi moje serce.

- Chodź! - wołam, kiedy jeszcze chwilę unosimy się nad Fox Creek Road. - Chodź ze mną.

Przez dłuższą chwilę stoimy przed domem. Jest już ciemno. Na ganku pali się światło. Ćma rytmicznie uderza w szybę. Składam skrzydła i nakazuję im zniknąć. Odwracam się do Christiana. Też schował swoje skrzydła, ale wygląda, jakby wołał odlecieć i nigdy już tu nie wracać. Udawać, że nic się nie zdarzyło. Że nigdy nie było pożaru. Że nie wiemy tego, co wiemy, i że wszystko nie jest tak niemożliwie porąbane.

- W porządku. - Nie wiem, czy mówię to do siebie, czy do niego.

To mój dom, piękny, ustronny drewniany dom, w którym zakochałam się osiem miesięcy temu. Ale nagle czuję się, jakbym była tu obca, jakby moja noga nigdy już nie miała tu postać. W ciągu kilku godzin tyle się zmieniło. Głowę mam pełną ostatnich wydarzeń, wszystkiego, co przeżyłam, potyczki z czarnym aniołem, pożarów lasu i konsekwencji tego, co zrobiłam. Christian żyje, stoi obok tak samo zdenerwowany jak ja, okopcony, ale wciąż piękny. A w dodatku zupełnie inny niż się spodziewałam. Ale zawałam sprawę misji. Nie wiem, co teraz będzie. Wiem tylko, że muszę stawić temu czoło. Słyszymy hałas za plecami i oboje odwracamy się, wpatrując się w narastającą ciemność. Spomiędzy drzew leci ku nam jakaś postać. Nie wiem, czy Christian jest świadom istnienia Czarnych Skrzydeł, ale instynktownie łapiemy się za ręce, jakby to mogła być ostatnia chwila na tym świecie.

Okazuje się, że to Jeffrey. Ląduje na skraju trawnika, wzrok ma oszalały, jakby ktoś go gonił. Na ramieniu ma plecak, który obejmuje ramionami, żeby nie przeszkadzał skrzydłom. Odwraca się i patrzy na podjazd. Przez chwilę stoi do mnie tyłem, a ja widzę jego skrzydła. Pióra ma grafitowe, prawie czarne.

- Czy to twój brat? - pyta Christian.

Jeffrey słyszy go i odwraca się, jakby się spodziewał walki. Kiedy widzi nas na ganku, unosi dłoń, żeby osłonić oczy przed światłem. Mruży powieki, próbując się zorientować, kim jesteśmy.

- Clara? - woła. Przypomina mi to czasy, kiedy byliśmy mali. Jeffrey bał się wtedy ciemności.

- Tak, to ja - odpowiadam. - Nic ci nie jest?

Robi kilka kroków i wchodzi w krąg światła. Jego twarz jest plamą bieli w ciemności. Roztacza zapach spalonego lasu.

- Christian? - pyta.

- We własnej osobie - odpowiada Christian.

- Udało ci się. Uratowałaś Christiana - mówi Jeffrey. Brzmi, jakby mu ulżyło.

Nie mogę przestać gapić się na jego pociemniałe skrzydła.

- Jeffrey, gdzieś ty był?

Wzbija się na dach i ostrożnie ląduje przed otwartym na oścież oknem sypialni.

- Szukałem ciebie - wyjaśnia, nerwowo mnie uciszając, nim zanurkuje do środka. - Nie mów mamie. Spoglądam w bezgwiezdne niebo.

- Powinnam iść, zanim coś się stanie - mówię do Christiana.

- Poczekaj. - Podnosi dłoń, jakby chciał dotknąć mojej twarzy.

Wzdragam się i wtedy on też się wzdraga. Jego dłoń zatrzymuje się kilka centymetrów od mojego policzka w geście niemal identycznym z tym, który setki razy widziałam w wizji. Oboje mamy tego świadomość.

- Przepraszam - mówi. - Masz plamę. - Bierze oddech, jakby podejmował decyzję, i palcami przejeżdża mi po skórze. Kciukiem wyciera smugę na policzku. -Proszę. Już po wszystkim.

- Dziękuję. - Czerwienię się.

Właśnie wtedy otwierają się drzwi i staje w nich Tucker. Patrzy na nas - najpierw na mnie, omiatając wzrokiem całą moją postać, od stóp do głów, żeby się upew-

nić, że jestem w jednym kawałku, a potem na Christiana i jego rękę, którą wciąż trzyma przy moim policzku. Widzę, jak wyraz twarzy Tuckera się zmienia, ze zmartwionego i pełnego czułości staje się mroczny, pełen zrezygnowanej determinacji. Widziałam go już, kiedy ze mną zrywał.

Gwałtownie odsuwam się od Christiana.

- Tucker. Tak się cieszę, że wciąż tu jesteś. Rzucam mu się w ramiona. Obejmuje mnie mocno.

- Nie mogłem odjechać - mówi.

- Wiem.

- To znaczy, wiesz, dosłownie. Nie miałem jak wrócić.

- A gdzie mama?

- Zasnęła na kanapie. Wygląda, jakby była tylko trochę rozbita. Nie chciała ze mną rozmawiać.

Christian odchrząkuje zakłopotany.

- Powinienem już iść - stwierdza.

Waham się, co zrobić. Myślałam, że wejdziemy razem do środka, usiądziemy z mamą, on opowie jej swoją wersję i razem spróbujemy dojść, co to wszystko znaczy. Teraz jednak wydaje się to niemożliwe.

- Porozmawiamy później - rzuca. Kiwam głową.

Odwraca się na pięcie i schodzi po schodkach.

- Jak zamierzasz wrócić? - pyta Tucker. Przez chwilę Christian patrzy mi w oczy.

- Zadzwoń do wuja - mówi powoli. - Wyjdę na drogę, a on po mnie przyjedzie. Mieszkam niedaleko.

- W porządku. - Tucker jest najwyraźniej zbity z tropu.

- Do zobaczenia. - Christian odwraca się do nas plecami i szybko maszeruje w ciemność.

Wciągam Tuckera do środka, zanim zobaczy, jak Christian odlatuje.

- Więc jego też wyniosłaś z pożaru? - pyta, kiedy zamykam drzwi.

- To długa historia i wielu elementów sama nie rozumiem. A o części nie mogę mówić, bo dotyczą nie mnie.

- Ale to już koniec? To znaczy już po pożarze? Skończyłaś ze swoją misją?

To słowo rani mnie jak nóż.

- Tak, to już koniec.

To prawda. Już po pożarze. Koniec z wizją. Więc dlaczego mam wrażenie, jakbym znowu go oszukiwała?

- Dzięki za uratowanie mi dziś życia - mówi.

- Nie mogłam się powstrzymać - odpowiadam, wysilając się na dowcip, ale żadne z nas się nie uśmiecha. Żadne z nas też nie mówi „kocham cię”, choć oboje byśmy chcieli. Zamiast tego proponuję, że podrzucę go do domu.

- Na skrzydłach? - pyta z wahaniem.

- Myślałam, że weźmiemy samochód.

- Dobra.

Pochyla się i chce wycisnąć mi na ustach szybki dżentelmeński pocałunek. Ale ja go nie puszczam. Łapię za koszulkę i przyciągam do siebie, miażdżę mu wargi pocałunkiem, w który chcę włożyć wszystko - to, co czuję, to, czego wciąż się boję, całą swoją miłość tak wielką, że aż graniczy z bólem. Jęczy, wsuwa mi dłonie we włosy i całuje mnie z takim entuzjazmem, że aż cofam się i plecami uderzam o drzwi. Cała drżę, ale nie wiem, czy to przez niego, czy przeze mnie. Wiem tylko, że nie pozwolę mu już nigdy odejść.

Za naszymi plecami chrząka mama. Tucker odsuwa się, ciężko dysząc. Patrę mu w oczy i się uśmiecham.

- Cześć, mamó. Jak się masz?
- Ja dobrze. A ty, Claro?
- Też dobrze. - Odwracam się i patrzę na nią. - Właśnie miałam odwieźć Tuckera do domu.
- W porządku - mówi. - Ale wracaj zaraz.

Później, po tym jak już podrzuciłam Tuckera i wróciłam do domu, biorę prysznic. Stoję pod strumieniem, kurek z ciepłą wodą odkręciłam na tyle, na ile to możliwe do zniesienia. I dopiero kiedy gorące strugi spływają mi po włosach i twarzy, przychodzi czas na łzy, które płyną i płyną, dopóki ciężar w mojej piersi nie zelżeje. A potem przywołuję skrzydła i starannie zmywam z nich sadzę. Szary strumień wiruje mi u stóp. Szoruję pióra, póki nie staną się czyste, choć nie są już tak białe jak wcześniej. Ciekawe, czy jeszcze kiedykolwiek będą tak jasne i piękne jak niegdyś.

Kiedy kończy się ciepła woda, wycieram się i szczotkuję włosy. Nie potrafię spojrzeć w lustro. Kładę się do łóżka wyczerpana, ale nie mogę zasnąć. W końcu poddaję się i schodzę na dół. Otwieram lodówkę i zaglądam do środka, dochodzę jednak do wniosku, że nie jestem głodna. Próbuję oglądać telewizję, ale nie jestem w stanie na niczym skupić uwagi, a światło z ekranu telewizora rzuca na ścianę cienie, które przyprawiają mnie o lęk, choć wiem, że nic tam nie ma.

Myślę, że zaczęłam bać się ciemności. Idę do pokoju mamy. Sądziłam, że kiedy wrócę od Tuckera, zechce mnie wypytać, ale była już w łóżku i spała. Patrzę na nią, jak leży, i chciałabym się przytulić, ale nie chcę jej przeszkadzać. Pada na nią snop światła z otwartych drzwi. Wydaje się taka krucha, taka

maleńka, kiedy zwinięta na boku leży pośrodku łóżka z ręką odrzuconą nad głową. Podchodzę bliżej i dotykam jej ramienia. Skórę ma zimną. Marszczy brwi.

Idź sobie, mówi. Cofam się zraniona. Czyżby była wściekła za to, co się dzisiaj stało? Że wybrałam Tuckera?

Proszę, mówi. Nie potrafię powiedzieć, czy wypowiada te słowa na głos, czy słyszę je w swojej głowie. Ale orientuję się, że nie mówi do mnie. Śni. Kiedy znów jej dotykam, czuję to, co ona: złość, lęk. Pamiętam, jak wyglądała we wspomnieniu Czarnego Skrzydła, ten obraz, który przechowywał tyle czasu: krótkie brązowe włosy, jaskrawa szminka, papieros, sposób, w jaki na niego patrzyła, znaczący uśmiezek. Wtedy się nie bała. W każdym razie nie jego. Nie bała się niczego. Ta młodsza wersja mojej matki jest silniejsza ode mnie. Ciekawe, czy ją kiedykolwiek poznam. Ciekawe, czy teraz, kiedy jest już po mojej misji, będzie mogła mi opowiedzieć o swoich tajemnicach.

Wzdycha. Naciągam kapeć, żeby ją przykryć, i odsuwam jej kosmyk włosów z twarzy. A potem wyślizguję się po cichu z pokoju. Wracam do kuchni, wciąż jednak mogę wyczuć jej sen, wystarczy, że się dostroję. To coś nowego, jak sędzę, umiejętność wyczuwania tego, co czują inni. Tak jak wtedy, kiedy Tucker mnie pocałował. Tak jak wtedy, kiedy dotknęłam Czarnego Skrzydła. Sięgam do mamy umysłem i odnajduję ją, wyczuwam. To niewiarygodne i przerażające zarazem. Przenoszę swój umysł na górę, do pokoju Jeffrey'a, i jego też wyczuwam. Śpi i śni sen, w którym czai się strach, a także coś na kształt wstydu. Niepokój. Który sprawia, że ja zaczynam się niepokoić o niego. Nie wiem, gdzie był podczas pożaru ani co robił i dlaczego mu to tak ciąży.

Podchodzę do zlewu po szklankę wody i wypijam ją powoli. Czuję dym, zapach ognia wciąż unoszący się w powietrzu. To sprawia, że myślę o Christianie. „Mniej więcej pięć kilometrów w linii prostej na wschód”, powiedział. To nie tak daleko. Wyobrażam sobie, jak przemykam po ziemi, wędruję wśród korzeni drzew i trawy, jakbym przeciągała między naszymi domami kawałek sznurka, moją własną prowizoryczną linię telefoniczną.

Chcę poczuć to co on.

I udaje mi się, odnajduję go. Skądś wiem, że to on, nikt inny. Nie śpi. Myśli o mnie. O tej chwili, kiedy wytarł mi z policzka smugę popiołu, o dotyku mojej skóry pod palcami, o tym, jak na niego patrzyłam. Jest zdezorientowany, wzburzony, sfrustrowany. Już sam nie wie, czego się od niego oczekuje.

Rozumiem go. Nie prosiliśmy się o to, tacy się urodziliśmy. Tymczasem oczekuje się od nas, że będziemy ślepo posłuszni, że będziemy postępować zgodnie z zasadami, których nie rozumiemy, że pozwolimy, by jakaś wyższa moc zaplanowała nam życie i powiedziała, kogo mamy kochać i o czym, jeśli w ogóle o czymś, śnić.

Tymczasem na końcu, kiedy razem z Christianem odlatywaliśmy, nie było żadnych płomieni. Nie ścigał nas żaden ogień. Żadne z nas nie ocalało drugiego. Żadne z nas drugiego nie kochało. Zamiast tego byliśmy odmienieni. Zapędzono nas w kozi róg. Nie wiem, czy popadłam w niełaszkę, czy też to coś w rodzaju niebiańskiego planu B. Może to bez znaczenia.

Wiem jedno. Że nie ma drogi powrotu.

Podziękowania

Żeby mogła powstać książka, potrzeba wysiłku całej wioski. Chciałabym podziękować: Cudownemu, ciężko pracującemu zespołowi Harper-Collins, to znaczy: Kate Jackson i Susan Katz za ich entuzjazm oraz wsparcie dla Clary i jej świata; Sashy Illingworth za to, że sprawiła, że nijakie stroniczki zyskały cudowną, olśniewającą oprawę graficzną; Catherine Wallace za ciężką pracę w kularach; a także wielu innym osobom, dzięki którym mogła powstać ta książka, zwłaszcza zaś Farrin Jacobs, mojej redaktorce. Musiałam naprawdę urodzić się pod szczęśliwą gwiazdą, żeby trafić na tak mądrą i skrupulatną osobę. Uwielbiam wszystkie jej kolorowe długopisy, nawet niebieski. Katherine Fausset, najlepszej agentce, jakiej mógłby sobie życzyć pisarz, za to, że tak gładko przeprowadziła mnie przez drogę ku realizacji najbardziej szalonych snów. Mojej matce Carol Ware za to, że siedziała do późna, słuchając kolejnych rozdziałów, i za to (Bogu dzięki!), że zawsze jej się podobały, oraz mojemu ojcu Rodneyowi Handowi za to, że z całego serca wspierał moją decyzję podjęcia studiów pisarskich, choć był przekonany, iż to oznacza, że będę głodować.

Joan Kremer, mojej pomocy pisarskiej, dzięki której praca nad tą książką była aż tak wielką frajdą. Mojej najlepszej niezwykle przyjaciółce Lindsey Terrell za to, że była ostoją miłości i trzeźwości w czasach szaleństwa.

Moim pierwszym czytelniczkom: Kristin Nacy, Cali Lovett, Robin Marushii, Amy Yowell i Melissie Stockham, najwierniejszym czirliderhom i najzabawniejszym kibickom na świecie.

Czytelniczkom z Liceum Bishop Kelly, a zwłaszcza Victorii Agee i Katy Dalrymple. Dziewczyny, rządzicie.

Życzliwym i gotowym udzielić wszelkich informacji strażnikom Parku Narodowego Teton, a także uczniom i personelowi Liceum Jackson Hole, ze szczególnymi wiwatami dla Ga-ry'ego Elliotta, emerytowanego już dziś dyrektora, który przyjął mnie ciepło i odpowiadał na niezliczone pytania z łaskawym entuzjazmem. Bez was świat Clary byłby dużo uboższy.

Shannon Fields (i Emily!) za to, że tak troskliwie zajęły się moim synem, dzięki czemu mogłam pracować w spokoju.

Moim niewiarygodnym i utalentowanym studentom z Pepperdine, którzy zawsze z takim zapalem słuchają najświeższych informacji na temat książek i którym zawdzięczam wytrwałość w uczciwości pisarskiej każdego dnia.

Na koniec wreszcie, choć nie na ostatku, chciałabym podziękować Johnowi Struloeffowi, mojemu mężowi i współpi-skowcowi, redaktorowi, rezonatorowi i systemowi wspomagającemu, za to, że pomógł mi na więcej sposobów, niż jestem w stanie wymieni ć. A także mojemu synowi Willowi, bo to przede wszystkim z jego powodu zaczęłam pisać o aniołach.